

INTROLIGATOR  
E. STRZAŁKOWSKI  
W KIJOWIE



Biblioteczki

50

Apolonii Siekaczyskiej



318839

III

# WOLNO-MULARSTWO

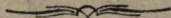
## JEZUITYZM.

PRZEZ

Artura Storcha,

w przekładzie polskim.

Tom IV.



WARSZAWA.

w Drukarni Felicji Krokoszyńskiej ulica Krak. Przed:  
Nr. 388 (40).

—  
1875.

830-3-24



474699

ANULOWANO  
23812

Дозволено Цензурою.  
Варшава 18 (30) Сентября 1874 г.



WARSAWA

Druckerei Felicitas Krokoszyński ulica Krak. 100  
№ 388 (40)

1875

## Rozczarowania.

Podczas długiej i monotonnej podróży morskiej z Bremerhaven do New-Jorku, nie korzystała „dumna Junona“ ani z jednego z owych niezliczonych środków, względem Schancenaua któremi się każda uwodzicielka kobieta posilkuje, by pozyskać i usidlić skłonność mężczyzny. Ale pomimo, że Alwina zupełnie się stosowała do charakteru i sposobu myślenia swego kuzyna, podczas gdy swojej nadzwyczaj gorącej krwi nakładała najsilniejsze pęta władzy nad sobą, to z drugiej strony środek ciężkości jej mądrze obmyślanej kokieteryi, leżał w słodkim oddalającym się, prawie marzycielskim jej usposobieniu.

Alwina zauważyła bardzo trafnie, że serce jego gorąco jeszcze biło, dla osądzonej za zmarłą Maryi, i tylko moralny ekwiwalent straconego, byłby w stanie znowu wzniecić płomień miłości w jego opustoszałym sercu.

„Dumna Junona“ która tyle już złego doznała z przyczyny Schancenaua, postanowiła więc, jak-

kolwiek z trudnością jej to przychodziło, konsekwentnie raz rozpoczętą rolę gołąbka dalej odgrywać. Przedewszystkiem rachowała ona w swoich planach zaborczych, na dzieci Schancenaua jako na wojska posilkowe. Postanowiła obchodzić się z Alfredem i Minną z bezprzykładną tkliwością i serdecznością, a nawet by uwieńczyć pomyslnym skutkiem tę komedię, ułożyła sobie przebiegle plan, w skutek którego dwoje dzieci wpadli w wielkie, widoczne niebezpieczeństwo życia, i z tegoż również z narażeniem życia jej własną ręką miały być wyratowane. Ponieważ czyn taki byłby poświęceniem, spodziewała się więc, przebić zupełnie i tak już dość stopniały lód w piersi Schancenaua i sam już obowiązek wdzięczności musiałby go wtedy skłonić by kobietę, która dzieciom jego podwakroć życie ocaliła, publicznie uznać za ich matkę przed Bogiem i światem.

Dobry Schancenau, podczas całej podróży mówił wyłącznie prawie o Alfredzie i Minnie. Setne projektował i odrzucał plany co do systemu wychowania, jaki chciał zastosować dla swoich drogich dzieci, i Alwina, już śmiertelnie znudzona jednostajnością tego tematu, zdawała się na pozór nie mniej od kochającego ojca być przejętą gorącym jego życzeniem, by w przyszłości całą swoją działalność poświęcić dobrze potomkom Schancenaua.

Tym sposobem udało się dumnej Junonie zyczliwość i dobre wyobrażenie, jakie sobie przy pierwszym spotkaniu ze swoim kuzynem, można powie



dzieć szturmem zdobyła, nie tylko zachować, ale nawet powoli powiększyć i utrwalić; tak, że przebiegła zalotnica już w duchu budowała złote mosty, jakie dotychczasowy przedział obojętności stawiać mógł na zawadzie do wnętrza serca Schancenaua.

Kiedy nakoniec ujrzano New-York, po trzynastodniowym wyjeździe z Bremerhaveu, z trudnością tylko dotąd poskramiana niecierpliwość Schancenaua wzmogła się do gorączkowego szalu. Mała godzinka, nie zbędna dla zadość uczynienia celnym i policyjno lekarskim przepisom, wydawała się całą wiecznością biednemu Schancenauowi, który umiał tak długo po mistrzowsku pokrywać swoją niecierpliwość.

Kiedy już nareszcie miał drogę otwartą przed sobą, pospieszył, nietroszcząc się o nic co się koło niego działo, tak szybko na ląd, że go Alwina już o mało nie straciła z oka w tłumie, i dopiero nadzwyczaj biegiem zmęczonój, udało się jój dogonić Schancenaua, kiedy ten już miał zamiar wsiąść do jednego z wielu odpływających właśnie parowców.

Dumna Junona szalała ze złości w duszy na taką obojętność swego towarzysza podróży, gdyż widziała z tego, jak mało znaczyła już u swego kuzyna, który widocznie tak był owładnięty całkowicie miłością dla swoich dzieci, że nawet zapomniał o najpierwszych zasadach przyzwoitości i grzeczności. Pomimo jednak tajonego gniewu Alwina miała tylko żartobliwe i serdeczne słowa na ustach, skoro się na ramieniu niegrzecznego zwiesiła, który teraz sam

spozrzegl swój błąd i wyjąkał kilka wyrazów na swoje uniewinnienie.

— Ach, drogi Oskarze! szepnęła Alwina miękim, wzruszonym głosem! — pragnienie moje, ujrzenia kochanych dzieci, z pewnością nie jest mniejsze, jak twoje. Jakież piękne, nowe życie rozpoczniemy teraz przy boku ukochanych małych? Nie prawda, mój przyjacielu?

— Tak, tak, odrzekł Schancenau, z oczyma napełnionymi łzami i przenikniony rozkosznym wzruszeniem, — tak, tak, masz słusność, dla Alfreda i Minny rozpocznę teraz nowe życie i postaram się by zapomnieli o przeszłości, okropnej przeszłości!

Aj! wykrzyknęła mimowolnie Alwina nieco podrażnionym tonem, mówisz w liczbie pojedynczej? Dobrze więc — z góry już byłam przygotowana, że pewnie dziś jeszcze uwolnię się z pod twojej łaski.

— Nie tak zaraz złośliwie, moja dobra Alwino, odrzekł słodkim, proszącym tonem Schancenau, jakąś mi wyrządzasz wielką niesprawiedliwość! Nigdy, nigdy nie zapomnę, że dzieci tylko przez twoje trudy odnalezione zostały, tak, co więcej, Alwino, już dawno miałem na ustach myśl by twoje piękne, szlachetne dzieło dalej poprowadzić; otóż pragnę jeszcze żądać od ciebie ofiary, którą być może przyjmiesz na siebie? Jesteś młoda, piękna, bogata, niezależna, czyż nie mogłabyś się więc dobrowolnie zdecydować by sama pokierować wychowaniem Alfreda i Minny? Czyż zdołam cię o to uprosić? Nic nie prze-

sadzę skoro powiem, że jestem bardzo ubogi, ale serce moje z pewnością jest jeszcze biedniejsze! Potrzebuję pracy, roztargnienia, słowem, bezustannej, prawie wyniszczającej działalności, by *może* w jakie lat parę, wrócić napowrót spokój mojej duszy. Muszę więc iść ztąd daleko, bardzo daleko, w dziewicze lasy, by pasować się i walczyć o nędzne życie! ale czasami mógłbym przecież powrócić do mego domowego ogniska, by się pokrzepić widokiem moich dzieci, i sam się wybadać, czy i o ile rany mojego serca się zagoiły, i dalej zająć się spokojną i cichą pracą.

Alwina o mało z radości głośno nie krzyknęła, kiedy usłyszała prośbę Schancenau, by zastąpiła miejsce matki przy Alfredzie i Minnie; postanowienie jej kuzyna, przez jakiś czas jeszcze błędzić po świecie wydało się jej bardzo pożądanem, gdyż mogłaby się teraz spodziewać, że Schancenau w swoim obecnym położeniu, mógłby się zdecydować, ofiarować jej swoją rękę jako małżonek; jego melancholia i marzycielstwo musiały istotnie odbyć odpowiedni process wyklarowania się, którego szczęśliwy i zadawalniający rezultat, przy zdrowej duchowej i cielesnej naturze tego człowieka, nie podlegał żadnej wątpliwości; powtóre zobowiązał ją Schancenau, gdyby z powodzeniem się wywiązała ze swego zadania jako wychowawczyni jego dzieci, do większej jeszcze wdzięczności, a ta wdzięczność miała być, jak bardzo słusznie osądziła, podstawą dla niej jego miłości; tak mogła ona

wówczas otwarcie żądać, co teraz tylko jako lekkie życzenie przedstawiała. Alwina więc zgodziła się nieodwołalnie na przedstawione przez Schancenaua zamiary, i podczas długiej, przez całe 5 godzin trwającej drogi z New-Jorku do Willi Howard, gdzie według wiadomości agentów, dzieci się znajdowały, było teraz wszystko *en détail* umówione, i ustalone. — Alwina zgodnie z tym, miała tutaj w pobliżu New-Jorku obrać sobie miejsce pobytu, i zaraz wespół wszystko do porządku przyprowadzić, na przypadek, gdyby Schancenau chciał udać się w głąb północno-amerykańskiego lądu, by tam wyszukać sobie i uprawić stosowny kawałek gruntu w pięknej, zdrowej i żyznej okolicy, gdyż „dumna Junona“ ukazywała się zupełnie skłonną trwale osiedlić się w Stanach Zjednoczonych, i tamże dla swoich uniwersalnych spadkobierców mianowicie dzieci Schancenaua, założyć wielki rozległy majątek. — Jej kuzyn z nieograniczoną swobodą i bez względu na kosztą miał wszystko tak urządzić, jak to za najwłaściwsze uzna.

Pełni najpiękniejszych planów i nadziei wysiedli nakoniec na ląd, Schancenau i dumna Junona, w pobliżu dobrze znanej Willi Howard. — Cały jednak tak pięknie zbudowany karciany domek ich planów, zaraz w pierwszej półgodzinie, runął w zamąconym chaosie. — Jak piorun z jasnego nieba uderzyła w nich wiadomość, że willa Howard od dziesięciu dni zmieniła właścicieli i jój dotychczasowi posiadacze wyjechali daleko w głąb kraju. Wszystkie poszukiwania

prowadziły tylko do rezultatu, że nikt niewiedział, kto właściwie był ów Howard, i że nigdy żadna obca noga nie przestąpiła progów hermetycznie zamkniętej willi. Niektórzy utrzymywali, że nastąpiła tylko pozorna sprzedaż tego wspaniałego majątku. Schancenau był naturalnie niepokieszony w skutek tego nieprzewidzianego wypadku, a Alwina również bardzo była w złym humorze, choć z innych zupełnie powodów jak kochający ojciec, który tak napewno spodziewał się znaleźć tu swoje dzieci i przycisnąć je do swego serca.

Skoro pierwsza trwoga minęła, Schancenau i Alwina dołożyli wszelkich starań, by się cośkolwiek dowiedzieć o kierunku, w jakim się udali dotychczasowi mieszkańcy willi Howard. — Ich połączone trudy w części zostały uwieńczone powodzeniem. Kiedy najbliższym nawet mieszkańcom zupełnie nieznani goście willi Howard znikli pewnej nocy bez hałasu, zaraz następnego dnia powynoszone zostały przez obcych tragarzy liczne tłumoki z opuszczonego domu. Te paki i skrzynie zawierały w sobie widocznie rzeczy dotychczasowych posiadaczy willi i były wszystkie opatrzone cedulą do Cincinnati, jak utrzymywało kilku ciekawców nadbrzeżnych.

— A więc do Cincinnati! rzekła Alwina, która znowu zupełnie przytomność odzyskała; musimy, powinniśmy prawdziwy ślad odnaleźć, i następnie dowiedzieć się dokładnie, czyli to nagłe zniknięcie jest tylko przypadkiem, czy też, jak się bardzo obawiam, ma za powód zamiar dobrze z góry obmyślany.

— Ach, droga Alwino! zawołał zasmucony Schancenau, mówisz wyrazy które ścinają krew w moich żyłach i być może, że w rzeczy samój nie patrzysz nazbyt czarno na rzeczy. A więc nawet z tą słodką nadzieją trzeba się pożegnać u samego portu.

Schancenau usiadł na ławce kamiennój przed bramą willi i zaczął gorzko płakać. Jego boleść tak była głęboka, tak przenikająca, że nawet czuła się nią mimowolnie przejęta dumna Junona, i w jej dotąd zawsze chłodnem oku perliła się łza współczucia.

— Chodź, Oskarze, chodź! rzekła nakoniec słodko, i pociągnęła nieszczęśliwego, złamanego człowieka silnie za sobą do blizkiego brzegu; właśnie parowiec który szedł do New-Jorku, przygotowywał się do odbicia.

— Masz słusność, Alwino! zawołał uspakajając się Schancenau, zamiast jęczeć i płakać jak dziecko, powinieniem działać teraz jak mężczyzna. Czy chcesz mi towarzyszyć do Cincinnati?

— Choćby na koniec świata! jednym tchem i drżącym głosem odrzekła Alwina i cisnęła konwulsyjnie ramię Schancenaua obiema rękami.

— Szlachetna duszo! śmiał się z pomiędzy łez nieszczęśliwy, jakże mało znałem dotąd twe dobre serce! Czyż wynagrodzić zdołam kiedy wielki dług mojej dla ciebie wdzięczności?

Dumna Junona żałowała, że odjazd parowca zaraz przerwać miał dalsze serdeczne wylania Schancenaua, ale drugi sygnał dzwonka był już dany, a majt-

kowe już się zabierali do ściągnięcia ruchomych mostów na statek.

W New-Jorku Schancenau poszukał zaraz owego pana Ferdynanda Hubera, którego list z 18-go Listopada 1859 r., gdzie donosił o znalezieniu dzieci, czytaliśmy już w Brementhaven.

Adres, jaki mu Alwina wskazała, był dobry, ale pan Huber — wyjechał. Dziwnym sposobem nie zostawił żadnych wiadomości, chociaż mógł się spodziewać, że panna Eichenstamm, która dotąd usługi jego bardzo hojnie opłacała, w skutek jego doniesienia, bezwzględnie przybędzie do New-Jorku. W hotelu *Garni* gdzie na *Broadway* mieszkał, wiedziano tylko, że przed 10 dniami, natychmiast po odwiedzinach jakiegoś wiekowego jegomości z niedźwiedzią niną, spakował swoje kufry i sam udał się na koleją.

Wiadomość ta jeszcze bardziej przygniotła do ziemi biednego Schancenaua. Powrócił napowrót do hotelu, gdzie zostawił swoją kuzynkę, i udzielił jej wiadomość o zagadkowym zniknięciu Hubera. Najemni słudzy wysłani zostali do wszystkich biur pocztowych i telegraficznych w New-Jorku, by się dowiedzieć czy gdzie nie zostawiono dla panny Alwiny Eichenstamm listu lub telegramu. Wszyscy posłańcy wrócili po dwóch godzinach z próżnymi rękami. — Co dotąd tylko przypuszczano, temu teraz musiano na pewno uwierzyć. — Agent Huber widocznie został przekupiony, jego odjazd był bardzo prawdopodobnie w ścisłym związku ze zniknięciem dzieci z willi Howard

nad zatoką Hudsonską. Nagroda 50,000 guldenów, jaką mu za wynalezienie Alfreda i Minny przyrzeczono, i którą by mu Alwina zaraz bez trudności wypłaciła, puszczona została mimo przez Hubera, lub lepiej powiedziawszy, został on prawdopodobnie daleko lepiej zapłacony z drugiej strony. Ponieważ zresztą Huber był człowiek bardzo porządny i prawy, to musiały być szczególniej ważne powody, które go nakłonić mogły, do zdradzenia swęj pani, której służył już od lat wielu.

Nieszczęśliwy Schancenau leżał zrozpaczony, zalamując ręce, na kanapie. Dumna Junona dokładała wprawdzie wszelkich usiłowań, by stan rzeczy w jak najlepszym świetle przedstawić; jakkolwiek było to przeciwne jej własnemu przekonaniu.

— Nie, nie, kochana Alwino! zawołał Schancenau, napróżno starasz się mnie i siebie uwodzić próżnemi pociechami. Mamy do czynienia z mocniejszym i przebiegłym przeciwnikiem, którego tajemne zamiary już nieraz poznaliśmy. Jakąż przyczynę mieć można, do przetrzymywania moich dzieci?

— To jest w każdym razie wielką zagadką, jaka mnie, kiedy w moim życiu spotkała, odrzekła zamyślona Alwina; widocznie obchodzą się z dziećmi bardzo dobrze; drobne wiadomości, jakieśmy mogli zebrać o owym tajemniczym panu Henryku Howard, dają powód do przypuszczenia, że ten człowiek nie jest żaden obskurant, ale należy do jawnych sprzymierzeńców liberalnej partyi. Jeszcze jedno, mój dobry Oskarze; co znaczą te znaki? Przy tych słowach Alwina sięgnęła po arkusz papieru



i ręką wprawną artysty nakreśliła szkic który przedstawiać miał front Willi Howard, jak się ten utrwalił w jej pamięci.

Po paru minutach „Dumna Junona“ podała ulotny szkic swemu kuzynowi do obejrzenia i rzekła:

— Tak prawie wyglądają szczególne arabeski i heroglify, w których środku stoją wyrazy *Willa Howard*, Zdaje mi się, że ważnego nic nie opuszczono. O ile mi wiadomo, w twojem zamartwieniu i obłądnie, nie rzuciłeś ani razu okiem na piękny, z białego marmuru kunsztownie wykonany portyk.

— Nieba! zawołał Schancenau, jakby z elektryzowany zeskakując z sofy, jak skoro raz tylko rzucił okiem na znaki. Nieba! ów Howard jest wolno-mularzem i do tego jeszcze majstrem wysokiego znaczenia. Ach Alwino jakże szczęśliwym mnie czyni twoje odkrycie. Teraz nie potrzebuję się już więcej kłopotać o los moich dzieci.—Są one w dobrych rękach, rękach braterskich!

Radość Schancenaua była tak wielka, iż już to śmiejąc się, już to płacząc, biegał na wszystkie strony po pokoju, i nakoniec swoją dziwnie spoglądającą na to kuzynkę, z chałasem zaczął obejmować przytulać do serca i całować.

— Do piekła z temi wolno mularzami, pomyślała w duchu dumna Junona. Odkrycie to, obarcza mnie nowemi i ciężkiemi kłopotami! teraz chcę i muszę te dzieci dostać w moją władzę, choćby mnie miało to milion kosztować. Następnie ciągnęła dalej głośno:

— Właśnie przyszło mi na myśl że Huber, kiedy mnie już przed dwoma laty raz poznał, w podróży po Niemczech, zdaje mi się że to było w Dreźnie, przystąpił do związku wolno-mularskiego. Okoliczność ta powinna Hubera domniemaną znowę z owym zagadkowym Howardem bez trudności wyjaśnić.

— Tego zdania i ja jestem, rzekł Schancenau, z którego miny i postawy mówiło zgodzenie się na jedno, i dla tego, kochana Alwino, zaraz jutro z rana przedsięwzięmy podróż na zachód. Obecnie wcale już nie wątpię o pomyślnym skutku naszych poszukiwań. A teraz, wielki stworzycielu Wszechświata! Dzięki, serdeczne Tobie dzięki, żeś zesłał ten promień jasny radości i nadziei w moje męczarniami tysiącznemi udreżone serce; pozwól dzieła mojego dokonać, pozwól bym nakoniec odnalazł moje dzieci, moje najukochańsze dzieci. Biedna Maryo! pros i ty także litosiwego Boga by zamiar mój pobłogosławił, znajdź z twego jasnego sklepienia z gwiazd i pod czystą osłoną zaprowadź mnie w ramiona moich dzieci, naszych dzieci!

Dumna Junona usunęła się nieco na stronę by ukryć gorzko złośliwy grymas swych ust, od jakiego nie mogła powstrzymać się, z powodu prostodusznej ale serdecznej modlitwy Schancenaua a szczególnie pełnego ekstazy wspomnienia o Maryi.

Następnego dnia więc 27-go stycznia 1860 roku przedsięwzięli Schancenau i jego kuzynka podróż do Cincinnati. Pierwszy pełen wesołych nadziei, druga zaś przygnębiona ciężkimi troskami i smutnemi przeczu-

ciami dalszych zawodów. Zdrada Hubera i tajemnicza osobistość owego Howarda, upoważniły ją w samej rzeczy do najsmutniejszych obaw, ale charakter taki jak „dumnej Junony“ nie ugina się lekliwie przed niespodzianymi przeszkodami. Chciała ona swego celu, mianowicie posiadania Schancenaua dopiąć lub sama zginąć.

Dnia 30-go stycznia przybyli nasi podróżni do wspaniałgo miasta Cincinnati, które słusznie zasłużyło sobie na tytuł „królowej Zachodu“ i o którym krótka wiadomość z pewnością zajmującą będzie dla naszych czytelników.

Cincinnati leży nad, 900 łokci tu szeroką rzeką Ohio, która bierze swój początek w górnej części miasta, z wąskiej, ciemno ocienionej doliny. Na 5 mil (angielskich) wszerz i wzdłuż około 2 mil wznosi się na 2 tarrasach gór „królowa zachodu“.—Nieprzejrzany szereg wspaniałych trzymasztowców, pstro pomalowanych, wszystkich prawie o dwóch kominach, tworzy podstawę niezmiernego, towarami, pakami i beczkami pokrytego nadto wozami, tragarzami, kupecami i podróżnymi, snującego się placu nadbrzeżnego, który sam w sobie podobny jest do wielkiego miasta. Białe i czerwone domy murowane z zielonemi żaluzjami, wysokie a wąskie spichrze, zapełniają trzy inne części równoległoboku.

Z tego środkowego punktu handlu rozchodzą się na prawo i lewo liczne szerokie ulice. Z prawej strony hałasują fabryki, huczą pociągi kolei żelaznych z Xenia, kuje i piluje mnóstwo cieśli w warsztatach nowych parowców, wszystko kolosalnych rozmiarów. Na lewo

znów wznosi się majestatycznie gotycka wieża pierwszego presbiterjańskiego kościoła, na którym stosownie do pierwiastkowego planu, osadzona być miała olbrzymia ręka sięgająca ku niebu, komicznie jednak wykonana — wygląda jak rękawiczka. Dalej ukazuje się przed nami kopuła ogromnego *Burnet-House*. Nie daleko ztamtąd strzela w górę katolicka katedra z białymi bez smaku wieżycami, podczas gdy w głębi błyszczą krzyże czterech innych kościołów Rzymskich. W tyle zamykają miasto pagórki wapienne, częścią nagie, częścią ogrodami, winnicami i domkami wiejskimi, częścią także lasami dziewiczemi pokryte. Cincinnati, całkowicie zabudowane, przedstawia swoim dziwnem położeniem amfiteatr ogromnych rozmiarów, tak, że nigdzie więcej żadne miasto w świecie nie przedstawi oczom tak imponującego widoku.

W Cincinnati niemiecki żywioł bardzo silnie jest zakorzeniony; z trzech targów, jeden posiadają wyłącznie, a sprzedaż owoców ogrodowych stała się faktycznie ich przywilejem, gdyż amerykańnin ma w tym względzie uprzedzenie na korzyść Niemców, którzy, wszyscy rodzą się ogrodnikami. Jeżeli amerykańnin chce urządzić ogród, to zwołuje pierwszego lepszego Niemca, i oddaje mu robotę, a nawet nie zapyta go, czyli umie się z tem obchodzić? gdyż uważa to za zbyteczne. Prócz tego nasi wieśniacy mają handel kapustą kwaszoną wyłącznie w swoich rękach, z czem się obchodzą jak kreole ze swoim ulubionym Gumbo.

Wielką jednak rolę w mieście Cincinnati odgrywa bezopornie—świnia.

Urzędowa statystyka Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, przyjmuje w roku 1840 liczbę istniejących swiń w ogólnej summie na 26, w roku 1850 na 30, a w r. 1856 na 40 milionów, a więc więcej jak cała Europa razem tych zwierząt posiada.

W dolinach Mississipi i Ohio hodowanie swiń prowadzi się na wielką skalę; wielu z tamtejszych farmerów trzyma po 1,000 sztuk tych zwierząt, które o wiele tłuszczejšie jak we wschodnich stanach, zwykle wazą do 700 funtów sztuka.

W ten sposob Cincinnati stała się srodkowym punktem okolicy, która w niezmiernej ilości wydaje żyto i swinię, jak również głównem targowiskiem swiniami, ich mięsem w całej północnej Ameryce, a nawet w całym świecie, ponieważ większa część mieszkańców zajmuje się zyskiem z rozmaitych u tych zwierząt wyciągniętych korzyści tak więc „Krolowa zachodu“ otrzymała nieco złośliwe przezwisko „porcopolis“ (miasto wieprzowe). Ze swininy w Cincinnati otrzymuje się nie tylko mięso, słoninę i szmalec, ale także olej, światło, łój, skórę, szczecinę, a nawet — słuchajcie i dziwujcie się — barwnik i nawóz. My Europejczycy możemy się tu nauczyć, jak wiele jeszcze u nas z wieprzowiny bezpożytecznie marnieje.

W położonych wewnątrz i zewnątrz miasta bardzo odpowiednio urządzonych ogromnych szlachtuzach, zabija się począwszy od polowy Listopada aż do Marca,

codziennie tysiące wieprzy. Mięso i słonina nasala się, pakuje w wielkie beczki, i odsła do miast portowych północnej Ameryki, częścią dla zaopatrzenia okrętów, częścią w wielkich ilościach do Indji zachodnich Ameryki południowej. Smalec musi swego pokupu szukać przedewszystkiem w Hawannie, gdyż tam masło jest bardzo drogie, podczas gdy w północnej Ameryce, gdzie masła jest ogromna ilość, wstrzymują się od używania szmalcu świnińskiego. Wielka część tego szmalcu z tego powodu rafinuje się w Cincinnati na olej.

Wejdźmy teraz do jednego z wielkich zakładów, który się zajmuje wyłącznie wyrabianiem szmalcu, i wędzeniem szynek. Tutaj oddzielają się tylko z zabitych zwierząt szynki, i wyjmują wnętrzności; cała reszta wędruje do wielkich żelaznych kotłów, z których każdy może przyjąć 15000 funtów. Maszyna parowa która dokonywa niezmiernego ciśnienia 70 funtów na cal kwadratowy, tak wyciska zawartość w kotle, że nawet kości zostają sproszkowane. Z całej masy odłączona tłustość, zostaje odprowadzona w oddzielne naczynia przez rury, które są opatrzone kurkami, a pozostałość zamienia się na barwnik i nawóz.

Oczyszczanie szmalcu odbywa się także przez działanie pary, i do 50 fabryk zajmuje się wyłącznie w mieście Cincinnati wydobywaniem z czyszczonego szmalcu oleju, podczas gdy z pierwszego otrzymuje się stearyna. W roku 1867 zostało tym sposobem zamienione w Cincinnati przeszło 20 milionów funtów szmalcu na olej, przyczem získano  $\frac{3}{7}$  oleju i  $\frac{3}{7}$  czystej stearyny. Ten

olej szmalcowy umieją tak dziś oczyszczać, że można dodać do najsubtelniejszego oleju oliwnego 70 na 100 szmalcowego, a fałszu się nie spostrzeże.

Pozostałe resztki świniny albo się na gnój spożywa lub też wyrabia się z nich potasz, którego bardzo silnie poszukują w fabrykach perkalików.

Nie dopuściliśmy się więc żadnej przesady, skorośmy utrzymywali, że w mowie stojące, za niechlujne uważane stworzenia, rozsądnemu amerykańcowi stały się jednym z głównych czynników narodowego dobrobytu. Zresztą ta gałąź przemysłu jeszcze większe przybierze rozmiary, jak skoro tylko fermerom przez nieco lepsze ceny targowe będzie się lepiej opłacać jak dotąd. Niesłychany nadmiar mięsa w Cincinnati czyni obecnie to miasto jednym z najtańszych na całym północno amerykańskim lądzie. Pojedynczy człowiek przy 400 dolarach żyje tutaj bardzo przyzwoicie, podczas gdy w New-Jorku przy pięć razy większej summie można zadowolnić tylko najniezbędniejsze potrzeby życia. Nas i podróżni wjechali w dochodzącą do portu najpiękniejszą i najbardziej ożywioną ulicę Mainstreet i tam wysiedli w hotelu, tak zwanym „Waszyngtona”. Prawie nigdzie w całej północnej Ameryce nie natrafia się tak często na imię tego wielkiego męża jak w Cincinnati tak żeszukających cudzoziemców nadzwyczajna liczba sztyldów Waszyngtona wprost do rozpaczki przyprowadza, zanim znajdą miejsce żądane. Dzień urodzin Waszyngtona (22-go lutego 1732 r.) należy tu, do naj-

ważniejszych w roku i obchodzony bywa jak jedna z największych uroczystości.

Już w czasie podróży z New-Jorku Alwina mocno zapadła na zdrowiu, co za przybyciem do Cincinnati, do tego stopnia się wzmogło, że przez dwa dni nie opuszczała łóżka i musiała zająć pomocy doktora.— Schancenau zmuszony był więc sam przedsięwziąć poszukiwania w mieście i okolicy, które jednak nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Dowiedział się tylko o jednym szczególe, że wszystkie kufry, które przez New-Jork uwiezione zostały z Willi Howard do Cincinnati, stąd już kilka dni temu odjechały w dół rzeki na nieznanym, wielkim statku z załogą złożoną z samych murzynów. Schancenau postanowił więc bezzwłocznie wynająć małe czółno z wiosłami wraz z dwoma majtkami i wyjechawszy natychmiast, pytać się we wszystkich przystaniach o dość dokładnie opisany mu statek. Było to przedsięwzięcie bardzo uciążliwe i nudne, ale wola i energja Schancenauatak się dobrze zahartowały w nadzwyczaj ciężkiej szkole życia, że wyprawa, jaką sobie zamierzył, wydawała mu się tylko dziecinną zabawką. Wkrótce wynalazł potrzebne czółno i dwóch tęgich ludzi, doskonale obeznanych z jazdą po wodzie i okolicą. Schancenau nie chciał stracić jednej godziny czasu; pośpieszył więc napowrót do hotelu, by przenieść niektóre rzeczy na statek i pożegnać się z Alwiną, która tymczasem miała pozostać w Cincinnati.

Skoro Schancenau wszedł na korytarz, prowadzący do jego pokoju, natrafił na jakiegoś nieznajomego



sobie mężczyznę, którego nie rzekłszy ani jednego słowa. wręczył mu list opatrzony kilkoma pieczęciami. Schancenau spojrział na adres, który brzmiał: „Do pana Oskara Schancenau, pod pseudonimem Filipa Brauna w Cincinnati, hotel Waszyngtona, Mainstreet, drzwi N. 28“. Mocno zdziwiony zajrzał wewnątrz, gdyż ciągle się jeszcze nazywał Braunem; chciał zapytać się o coś nieme go posłańca, ale człowiek ten już znikł bez śladu. Wtrząsnąwszy głową i pod wrażeniem jakiegoś nieprzyjemnego przecucia, udał się Schancenau do swego pokoju gdzie drżącą ręką poźdierał pieczęcie listu. Trzy pieczęcie na kopercie nosiły litery „H. H.“ i były temi samemi emblematami wolno mularskiemu ozdobione, jakie zauważyła Alwina na portyku willi Howard.

W miarę jak czytał, wzruszenie Schancenau powiększało się z każdą chwilą. Boleść, pogarda a nawet nieznane mu dotąd uczucie, mianowicie śmiertelna nienawiść, malowały się we wszystkich jego rysach. Kiedy nakoniec przebiegł cały przez Henryka Howard podpisany list, pospieszył do zajmowanych przez dumną Junonę pokoi.

Alwina siedziała w nadzwyczaj zalotnej rannej toalecie w fotelu i przewracała kartki jakiegoś ilustrowanego dziennika. Na widok Schancenaua mimowolnie wydała okrzyk zadziwienia a nawet przestachu. Takim jeszcze nigdy swego kuzyna nie widziała.

Czytaj! cierpko rozkazującym głosem zawołał Schancenau, i rzucił jej otrzymany list na łono.

— Ależ Oskarze, co się tobie stało? rzekła Alwina zdumiona i pomięszana. Ociągała się ona wzięść listu do ręki, który jej w tak brutalny sposób podany został.

Czytaj! powtórzył raz jeszcze straszliwie groźnym głosem, czytaj powiadam, a potem mów jeśli możesz! Dumna Junona złapała za list; zaledwie go przelotnie przejrzała, kiedy głośno krzyknęła, skoczyła z fotela i zakrywszy twarz obiema rękami chciała uciec do przyległego pokoju. Ale Schancenau zastąpił jej drogę, złapał za ramię i zawołał z zabijającą powagą:

— A więc prawdziwe, rzeczywiście prawdziwe są straszne oskarżenia, jakie ów Henryk Howard podnosi przeciwko tobie. Ty więc, ty jesteś krzywdzicielką mojego honoru, zabójczynią mojej żony! Nikczemna, niegodna istoto! Skoro cię tu natychmiast zamorduję, na Boga, spełnię tylko czyn sprawiedliwości. Ale nie, nie chcę rąk moich brudzić krwią jadowitego węża. Szkaradną gadzinę jak ty, odtrąca się tylko na bok nogą.

I wprowadzając pogrózkę w czyn, rzucił swoją kuzynkę szorstko na ziemię. Następnie podniósł list, który upadł Alwinie i wybiegł jak szalony.

Biada jak śmierć, drżąca na całym ciele z wściekłości i zgrozy, podniosła się nakoniec dumna Junona.

Zemsty, zemsty, wołała pokrytymi pianą ustami, tak, krwawej, okrutnej zemsty za taką obrazę! Dla mnie jesteś stracony, Oskarze, nie ma się co łudzić, ale powinieneś być także stracony dla świata całego. Tobie i twoim dzieciom okropny los zgotuję! Biada, po trzykroć biada tobie i twoim! Dumna Junona znajdzie Jo-

wisza, który jej użyczy gromu zniszczenia. Wszystko, nawet mój honor kobiety dotąd niepokalany, poświęcę na ten cel. O! Rzucę się nawet w objęcia wstrętnego murzyna, straszego dzikiego człowieka, jeśli nie będę miała innego środka, by się zemścić na tobie i owym Howardzie!

Kiedy Schancenau dostał się znowu do swego pokoju, spiesźnie zapakował swoje rzeczy i kazał je zanieść na dworzec kolei. Już oczekujących majtków odprawił za małą zapłatę, gdyż plan jego podróży zmienił się teraz zupełnie. Zamiast na zachód, za śladem swoich dzieci, udał się drogą do Waszyngtonu, stolicy północno amerykańskiego centralnego zarządu.

Podamy tutaj w mowie będący list Howarda. Brzmiał on tak:

„Mój panie i bracie!

Wszystkie pańskie zamiary, wszystkie pańskie kroki są mi zawsze z góry wiadome. Jest więc czystą niemożliwością, byś pan moje zamiary, moją drogę skutecznie kiedy mógł pokrzyżować. Obecnie nie chcę, abyś pan już wrócił do posiadania swoich dzieci, które mówiąc nawiasem dla pańskiego uspokojenia, we mnie drugiego ojca znalazły, i przesłicznie się chowają. Pan, mój przyjacielu i bracie przeznaczony jesteś do wielkich rzeczy w usługach dla ludzkości, a czas pańskich doświadczeń jeszcze nie minął. Pański kiedyś zbyt słaby charakter musi się jeszcze wzmocnić w twardej szkole życia. Musisz pan jeszcze doznać wielu burz dzikich zanim łódka twoja dozwolone będzie miała

dopłynąć do spokojnego portu. Nie gniewaj się pan za tak rozkazującą mowę — ale mam prawo, pańskim losem kierować, i biorę Boga za świadka, że władzy mojej używam dobrze, jedynie zmierzając tylko do prawdziwego dobra pańskiego. Zaniechaj więc nadal poświęcać czas i trudy bezskutecznemu poszukiwaniu Alfreda i Miny. Użycz dzieciom i mnie staremu człowiekowi nieco spoczynku i nie ganiaj nas pan po całym łądzie. Mam nadzieję, że pan wrócisz do rozsądku, gdyż inaczej byłbym nakoniec zmuszony wybrać sobie pobyt na jakiej wyspie południowego morza, podczas gdy obecność moja w Stanach Zjednoczonych jest teraz bardzo potrzebna, gdyż może nawet interessa wielkiej całej ludzkość obchodzącą kwestyi, wówczas ucierpieć by mogły. Za kilka miesięcy wszystko już pan jasno zobaczysz. Tymczasem idź pan za moją radą i przedstaw się pan bezzwłocznie Ministrowi wojny w Waszyngtonie. Przyjmie on pana z otwartymi rękami, gdyż jest już przezemnie proszony, by pańską przyszłość wziął w swoje ręce.

Aby zaś panu, mój przyjacielu i bracie, pożegnanie z ową damą, która się panu do pięty przyczepiła i uważa go za pewną zdobycz, nie było za ciężkie, opowiem panu teraz małą historyjkę, która krew pańską nieco wzburzy. A więc umiarkowania, mój przyjacielu, i nie rwij się zbyt do pospiesznego kroku, który mógłby pana zaprowadzić przed sądy. Dumna Junona napewno nie byłaby warta, byś pan dla niej miał doznawać dalszych jeszcze nieprzyjemności.

Teraz przedstawił Howard w krótkości, ale zupełnie zgodnie z prawdą nikczemną intrygę, przez którą nastąpiło skazanie Schancenaua.

Te moje wiadomości, kończył piszący, nie są proste przypuszczenia, lub zmyślenia, lecz prawdziwe, szczerze jak nasza święta Ewangelja. Daj pan ten list przeczytać swojej niewinnej kuzynce, i czytaj pan sam w jej rysach. Jestem przekonany, że pan nie będziesz potrzebował żadnego więcej dowodu, by wiedzieć co masz pan trzymać, o mojem strasznem oskarżeniu. Zresztą nadejdzie dzień zapłaty i dla Alwiny; wiem to na pewno! Ukarz więc pan tymczasowo tę nikczemną osobę niemą pogardą; ostateczny rachunek, nastąpi w swoim czasie tym zasadniej i surowiej.

Ja przypuszczam, że pan wiernie pójdiesz za wszystkiemi memi życzeniami, i wskazówkami. Jeśli pan pisać do mnie zechcesz, adresuj zawsze listy swoje do Cincinnati, poste restante. Nietylko mnie, ale i komuś innemu jeszcze bardzo będzie przyjemnie, skoro pan to tak często uczynisz o ile będziesz mógł. Pozdrowia pana i td.

„Ktos inny“ mówił do siebie Schancenau wtrąsając głową, kiedy jechał do Waszyngtonu, i teraz dla rozrywki ze spokojną krwią list odczytywał. Któż mógłby to być jak nie Alfred i Minna, którzy prawdopodobnie już dobrze czytać się nauczyli. Bądź co bądź—ślepo pójdę za radami zagadkowego Howarda. Jestem mu bardzo dużo obowiązany. On zastępował miejsce ojca przy moich dzieciach, on ostrzegał mnie przed straszną Alwiną, i ostatecznie troszczy się o mój byt, przez

swoje wstawianie się do Ministra wojny. Co do stosunków majątkowych, to istotnie ze mną nie tęgę: posiadam wszystkiego jeszcze około stu dolarów, i jeśli moje nadzieje w Waszyngtonie nie powiodą się, to muszę chwycić się pierwszego lepszego godziwego środka, by się wyżywić. Bogu dzięki w Ameryce praca nie przynosi wstydu jak w Europie. Dziś można tutaj być prostym pastuchem, a jutro, bez niczyjego zadziwienia wybranym na prezydenta. Jasna strona amerykańskiego życia wypadła mi zawsze na korzyść.

## II.

### Schronienie.

Okolo 100 mil angielskich poniżej Cincinnati, na prawym brzegu rzeki Ohio, wpada do tej potężnej rzeki mała rzeczka toczna, która bardzo dosadnie „jasną wodą“ się nazywa, gdyż odznacza się zarówno przez rzadką przezroczystość swoich bałwanów jak i przez swoje złożone z wapna dno. „Jasna woda“ jest wprawdzie tylko u swego ujścia, zaledwie jedną milę angielską, spławną, gdyż spada z blizkich gór kilkunastoma kataraktami. Niezmierna siła wody, którą ta górna rzeka daje przy równym prawie przez cały rok stanie wody, jest dotąd prawie nie spożytkowana. Tylko najniższy spadek wody porusza młyn walcowy i tartak, obydwaj jednak bardzo małych rozmiarów, i pracujące tylko dla domowych potrzeb właściciela.

O parę set kroków od wspomnianego bardzo skromnego zakładu przemysłowego na ustroni, na małym wzgórkku tuż przy spadku wody i łożysku rzeki, wśród pysznej, z prawdziwie wspaniałemi widokami malowniczej okolicy, stoi skromna ale bardzo odpowiednio zbudowana dość przestronna willa. Budynek ten widocznie dopiero od niedawna i z prawdziwie amerykańskim pośpiechem został zbudowany, gdyż jeszcze pracują mularze na froncie, cieśle przykładają ostatnią rękę do pokrycia dachu, a mularze po trzeci już raz malują na jasno brunatny kolor drzwi i okiennice. Rzućmy jednak okiem we wnętrze tego budynku, znajdziemy tam już wszystko w najlepszym porządku i z elegancją urządzone, co świadczy zarazem o dobrym smaku jak i o zamożności właściciela.

W około okazalego domu dwunastu murzynów zajętych jest urządzeniem ozdobnego ogrodu. Praca ich jednak nie idzie bardzo prędko. Żartują i dowcipkują między sobą, i zdają się uważać pracę za rzecz podrzędną. Zresztą wszyscy wyglądają bardzo łagodnie i wesoło.

Naraz jednak rozbiegli się przestraszeni i zabrali się do kopania, odbywając tę czynność z prawdziwie małpią zwinnością.

Zobaczyli oni z poza zabudowań gospodarskich, położonych o blisko ćwierć mili angielskiej w dół rzeki, zbliżającego się „*massa*“ (pan). Ale w dziesięciu minutach nie mogli leniwi i gadatliwi hultaje tego zrobić,

czego od dwóch godzin, kiedy ich pan i właściciel był nieobecny, lekkomyślnie zaniedbali.

W głębokim zamysleniu pogrążony i bardzo wolnym krokiem, z rękami w tył założonemi, zbliżył się na koniec master Henryk Howard do zamieszkanego domu. Murzyni ludzili się już nadzieją, że „*massa*“ nie raczy zwrócić na nich uwagi i zaraz wejdzie do willi. Lecz niestety! Noga jego zaczęła się o pozostawiony przez niedbalstwo na drodze rydel. Spojrzał w około siebie i zauważył teraz, że przez czas jego nieobecności robota bardzo mało postąpiła.

— Wy lotry! zawołał, unosząc się gniewem, i wyjął szpicrutę, którą miał zawieszoną na pasku, — dziś wam już dotrzymam słowa, gdyż widzę, że dobrocią i łagodnością nie z wami zrobić nie można. Menelaus zbliży się tutaj!

Drżącym krokiem zbliżył się zawołany do słusznie rozgniewanego pana. Menelaus był przez Howarda ustanowionym dozorcą nad innymi, nie przynosił jednak wiele zaszczytu położonemu wien zaufaniu.

— Jeszcze nigdy, zaczął Howard po długiej, bardzo przykrej dla delikwenta pauzie, jeszcze nigdy szpicruta moja nie dotknęła grzbietu murzyna, dziś jednak muszę się na to na koniec zdecydować. Zawsze obchodziłem się z wami jak z ludźmi, nie jak z niewolnikami. Macie co jeść do zbytku, wszyscy jesteście lepiej odziani jak inni wam równi na sto mil w około, szczęśliwi i nie-tykani życie z waszemi żonami i dziećmi, i chętnie używam wam godzin swobody i przyjemności. Jakże



mi za to odpłacacie? Tak — że jesteście coraz leniwi i lekkomyślniejsi, od czasu jak stary, surowy Achilles powrócił przed miesiącem do domu, a ja — w szalonym przecenianiu waszej dobrej woli, ludziłem się nadzieją, że się będzie można obejść bez innego dozorca nad wami. Czyż nie przyrzekłem każdego z was udarować wolnością, który będzie się przez dziesięć lat w mojej służbie poczciwie prowadził? Ale wy nicponie wcale nie zwracacie uwagi na taką dobroć, tak, nie chcecie nigdy być wolnymi, gdyż wtedy musielibyście pracować, podczas gdy teraz zbyt kujecie i próżnujecie na moim koszcie. Teraz musi być inaczej, i przedewszystkiem dam wam przykład.

Przy tych słowach Howard zamierzył się szpicrutą, by tę spuścić na grzbiet stojącego przed nim ze zwieszoną głową Menelausa. Murzyn przynuruzył oczy i nie śmiał się ruszyć, stojąc z obiema rękami na piersi złożonemi i głową wciśniętą między ramiona. Ale z niemą determinacją oczekiwany cios nie nastąpił.

Przez kilka sekund ociągał się Howard, by uderzyć, i jego prawa ręka ciągle jeszcze groźnie była podniesioną.

— Tak być musi! mówił prawie ze smutkiem do siebie, byłem za dobry dla tych ladaco; karność rozwalnia się z każdym dniem, a w końcu mogłoby powstać z tego wielkie niezczęście; duch niespokojności zaczyna już wszędzie między murzynami kielkować; tak to być musi.

Howard chciał właśnie teraz uderzyć, kiedy uczu

się konwulsyjnie schwytanym za rękę. To była Marya która przyglądała się z domu całej scenie i pośpieszyła wnieść prośbę za winnymi.

— Łaski, łaski, kochany ojcze! prosiła Marya wzruszającym głosem i ze łzami w oczach, — łaski przynajmniej na ten raz.

Howard opuścił bicz na ziemię, schwytał ulubioną suplikantkę w obie ręce, i odgarnąwszy jej włosy z czoła, rzekł po chwili:

— Czynię być może niesłusznie, lub przynajmniej bardzo niemądrze, że pozwalam się miękczyć, ale tobie mój aniele, nie mogę nic odmówić.

— A jednak, jednak, zawołała Marya, podczas gdy jasne łzy spadały jej na policzki, a jednak jesteś tak okrutny, żeś mi tego wzbraniał raz bardzo surowo.

Stary jegomość zmarszczył ponuro czoło, i schwytawszy Maryę za rękę, dał do zrozumienia że chce udać się do domu.

Kiedy młoda kobieta przechodziła koło udarowanego łaską Menelausa, niewolnik padł na kolana i zawołał, całując gorąco kraniec jej sukni: Misses! biedny Menelaus ma tylko jedno życie, ale by chętnie umarł dziesięć razy dla dobrej pani!

I w księdze przeznaczenia stało zapisane, że wdzięczność tego murzyna w biegu późniejszych wypadków istotnie na próbę wystawioną być miała.

Howard zaprowadził swoją piękną towarzyszkę do wielkiego salonu, i padł tam na fotel, wskazując

młodej kobiecie poruszeniem ręki, żeby zajęła miejsce obok niego.

— Maryo! zaczął starzec tonem pełnym uczucia, w którym zarazem spostrzegać się dawał lekki odcień wyrzutu, — Maryo, ach, jaką przykrość zrobiła mi twoja uwaga! Bóg jest świadkiem, że mój charakter od niczego nie jest tak dalekim, jak od pociągu do okrucieństwa, i ja, który nieraz bezpotrzebnie dałem ostrogę swemu koniowi, lub mu ostre wędzidło poczuć dałem, miałem na sobie przenieść, by ciebie i jego dręczyć z prostej pychy, lub z karygodnego zuchwalstwa? i właśnie ty, która tak dokładnie wiesz, jak bardzo serce moje zakrwawia się cierpieniem mego tak serdecznie ukochanego Oskara, ty podnosisz skargi na okrucieństwo przeciwko mnie.

— Przebaczenia, drogi ojcze! łkając mówiła Marya, i schwytała obie ręce Howarda, by je pokryć pocałunkami, ach cóż winnam, że nie mogłam zrozumieć wielkości twoich idei, niezbadanej głębi twojej woli, że moje serce coraz głośniejsze i natarczywiejsze za nim woła, że czuję w sobie siłę, że mogę mu wszystko przebaczyć, i przywrócić mu jeszcze po tylu ciężkich kolejach szczęście.

— Marzycielko! rzekł Howard wzruszony, i wycisnął pocałunek na niewinnem czole Marji, która kłęczała obok niego na taborecie, i z zaufaniem spoglądała na niego.

— Los naszego Oskara, ciągnął dalej poważnie starzec po pewnej przerwie, tak, jego los spełni się, tak jakieś ty to w stanie zagadkowego marzenia przewi-

działa. Dla tego nie lękajmy się nowego niebezpieczeństwa na jakie się naraża. Zdrow i nienaruszony, oczyszczony ze wszelkich fusów ludzkich namiętności, powróci nakoniec w twoje objęcia, i wtedy będzie nawet zdolnym mnie kiedyś zastąpić w ciężkim urzędzie jaki spełniam w usługach ludzkości. Pomoże mi dźwigać ciężką odpowiedzialność jaka spoczywa na wielkim dziele, do którego wykonania tysiące ludzi oczekuje tylko mego skinienia. Straszna, okrutna walka powstała na tym lądzie. Potoki najszlachetniejszej krwi popłyną, i tysiące milionów złota pochłonie wojna domowa, jakiej dotąd jeszcze świat nigdy nie widział.

— Okropne, jednym tchem wyrzekła Marya, drżąc na całym ciele, i na takie nieszczęście zaprzysięgałbyś ty, dobroć i słodycz, ty który nigdy małego robaczka nie zdeptałeś?

— Tak, zdobędę się na odwagę! z żelaznym spokojem, będę ją mieć, ponieważ ją mieć muszę. Wymaga tego konieczność, idea wyższego porządku świata, by potomność ratować. Wolność całego rodzaju ludzkiego jest w niebezpieczeństwie, dziś górować zaczyna potęga ciemności, duch potępienia, w którego pętach Europa jęczy i tęskni od roku 1848. My wolnomularze o duchu miłości, sprawiedliwości i pojednania, prawiemy nie tylko massom, ale także ujawniamy go przez niezliczone dzieła, by pokojowy związek osiągnąć. Nasi nieprzyjaciele jednak zawsze tylko udawali, gdzie widocznie odgadywali nasze zamiary. Korzystali oni ze swego czasu bardzo mądrze, by się w cichości goto-

wać do walki zniszczenia. Powtórne ustąpienie stronnictwa liberalnego, wzmocniłoby tylko bardziej jeszcze nieprzyjaciela, a naszym sprowadziłoby równie szybko jak pewną zagładę. Mój obowiązek jako wielkiego majstra wszystkich wolnomularzy Północno-Amerykańskich Stanów, jest więc przez okoliczności jasno nakreślony; na zawołanie mogę mieć 500,000 braci: do broni, miecz w rękę, w imię wolności, równości, braterstwa! Precz z niewolnictwem!

Howard uniesiony zapalem, podniósł się z krzesła, i ostatnie wyrazy wymówił głośnym, piorunującym głosem.

Marya tymczasem otarła lzy, i obejmując serdecznie starca, rzekła ożywiona również szlachetnym zapalem:

— I ja mój ojciec, chcę się przyłączyć do tej świętej walki! Nie mogę wprawdzie o nic prosić, ale chcę serca, chcę z nim duchem przy jego boku walczyć, za prawdę i prawo, i modlitwa moich kochanych dzieci z pewnością ześle na jego drogą głowę opiekę i błogosławieństwo nieba!

— Jakże szczęśliwym mnie czynią twoje słowa, rzekł Howard i uścisnął rękę Maryi na podziękowanie. Teraz jednak pośpieszmy się do małych, i nacieszmy się ich widokiem.

Wziąwszy się pod rękę starzec i młoda kobieta, pośpieszyli do drugiego do sali dotykającego pokoju, gdzie właśnie słyhać było wesoly gwar. Alfred i Minna skończyli w tej chwili swoje nauki, i mieli te-

raz bawić się w gry aż do obiadu. Najchętniej dobre dzieci poświęcały ten swój wolny czas, małemu Oskarowi, który hołdy i serdeczności swojego starszego rodzeństwa, zawsze z pewnym rodzajem szczególnej życzliwości przyjmował. Świeże o różnych polieczkach dzieciątko, które teraz właśnie pięć kwartałów liczyło, zostało przyniesione tutaj przez swoją piastunkę murzynkę Minerwę. Mały Oskar ulegał rzeczywistemu niebezpieczeństwu rozszarpania z miłości, gdyż Howard, Marya, Alfred i Minna chwyтали małego obywatela świata i rozrywali go naraz we wszystkich kierunkach, czemu jednak mały chłopak silnym głosem i głośnym krzykiem sprzeciwiał się, i zarazem bardzo zamasyście wywijał dużą lalką, którą zawsze nosił w prawej ręce. Musiano mu zabronić takiej dowolności, i teraz rzucał się na swoją matkę, kładąc swoją blond główkę na jej łonie.

Teraz dopiero Oskar raczył zwrócić uwagę swoją na Alfreda i Minnę, pozwalając się im obojgu łaskawie wsadzać na drewnianego konika, którego bił mocno małym bacikiem, przy czem z radości kląskał językiem mocno kropiąc swoich towarzyszy.

Dobrze z godzinę Howard i Marya przyglądali się z niemym zachwytem wesołej, szczerzej zabawie trojga dzieci, przy czem oboje starsze rodzeństwo ciągle starało się przesadzać wzajemnie w grzecznościach dla małego Oskara. Wreszcie dziecku sprzykrzyła się ta zabawa, i zaczęło głośno krzyczeć. Czarna jego piastunka wiedziała jednak co to znaczyło. Przyniosła

więc zaraz *papkę*, czyli tak zwane dziecinne jedzenie, i podawała mu łyżeczką to zdrowe pożywienie. Mały Oskar zabrał się do jedzenia tak żarłocznie, jak młody wilk. Minerwa nie mogła dość szybko nadążyć, a jakież to był krzyk rozpacz, jeżeli łyżka nie była zupełnie pełną. Marya, która przy tem pożywaniu jak zawsze była obecną, aby mały żarłok nie zjadł za wiele, miała dosyć do roboty, by ręce dziecka w porządku utrzymać, gdyż hultaj lubił zaraz wszystkie dziesięć palcy położyć na talerzu i pomazać sobie twarzyczkę jedzeniem.

Stary Howard stał w bliskości z rękami w tył założonemi i z zadowolnionym uśmiechem przyglądał się całemu przebiegowi tej nadzwyczaj wesolej scenie. Nakoniec mały Oskar zasnął, i zanesiono go teraz jak zwykle na południowy spoczynek. Kiedy się już uspokojono z małym awanturnikiem, udali się, Marya, Howard i dwoje starszych dzieci do werendy, gdzie zwykli byli zawsze przy sprzyjającej pogodzie, jadać obiad. Chociaż srodki Howarda pozwoliłyby mu na zbytek Lucullusa, obiad jednak był nadzwyczaj skromny. Składał się on z 5-u potraw; wszystkie nie wyszukane, równie posilne jak smaczne, wszakże nie zatrute wyższą sztuką kuchenną i korzeniami. Ilość jednak była taka, że jeszcze 10 zgłodniałych osób zupełnie zadowolnić by się mogło, gdyż zawsze tu dla gości przygotowywano. Prawie codziennie przybywali i odjeżdżali posłancy ze wszystkich okolic północno-amerykańskiego lądu; byli to „bracia“ którzy wielkiemu majstrowi przynosili ust-

ne lub piśmienne wiadomości, i otrzymawszy od Howarda zawsze lakoniczną odpowiedź, odjeżdżali na powrót dalej w świat.

Marya dała poznać swoje zdziwienie, że od czasu jej pobytu nad „jasną wodą“, dziś dopiero po raz pierwszy nikt się z gości nie pokazał.

Howard przymusił się do uśmiechu i rzekł:

— Moja dobra Maryo! każdą wielką burzę, zwykła poprzedzać wielka cisza. Dałby Bóg, żeby ocean, który może już za parę tygodni straszliwie z brzegów wystąpi, oszczędził tego schronienia moich drogich. Do tego cichego zapomnianego zakątka ziemi, zaciekłość wojny mogłaby zaledwie dosięgnąć, zbliża się jednak niebezpieczeństwo, że muszę zawczasu pomyśleć, izby was posunąć bardziej ku północy. Marya zwiesiła smutnie pięknie w łoki utrefioną głowę, i rzekła:

— Ach, jakże żałuję, że nigdy się przez całe moje życie nietroszczyłam o politykę! mogę ztąd pojąć, że my tutaj w Ameryce możemy stać nad brzegiem przepaści, w przededniu strasznej wojny domowej. Być może spoglądasz na stan rzeczy zbyt czarno, drogi dziadku, być może że przejdzie niepogoda, nie srożąc się nad naszemi głowami!

— Chciałbym podzielać twoje naiwne, optymiczne złudzenia! zawołał Howard z ponuro zasmuconą miną. Tak, lepiej jest, że z tej strony na rzeczy spoglądasz, i dla tego postaram ci się w krótkości opowiedzieć obecne stosunki naszej dumnej republiki. Odeślij dzieci. Udamy się do ocienionój altanki i tam, przy czarnej ka-



wie i wonnym hawańskim cygarze; przeczytam ci mały pamiętnik, który już poprzednio przed kilkoma tygodniami sam spisałem dla oczyszczenia z zarzutów siebie i moich „braci“.

Marya zaprowadziła Alfreda i Minnę do położonego od tyłu ogrodu, gdzie pod okiem starego murzyna rozpoczęły zwykłą swoją przejażdżkę po parku na dwóch ślicznych i bogato przystrojonych kucykach, dopóki ich o czwartej godzinie dzwonek do nauki nie przywoła. Howard poszedł tymczasem do swego gabinetu pracy po swój manuskrypt, i udał się następnie do wspomnianej altany, z której roztaczał się wspaniały daleki widok na katarakty. Prawie jednocześnie przybyła tam pani Schancenau, w towarzystwie dwóch służących murzynek, z których jedna niosła kawę, druga zaś kilka pudełek cygar do wyboru, wraz z potrzebnymi przyrządami do palenia.

Howard gładził w zamysleniu prawą ręką rękopism i zaczął następnie odczyt dla swej pięknej słuchającej.

— Już od dziesiątek lat uznał świat cały wykształcony, że nowy, wyłącznie na podstawie naturalnego prawa ludzkiego spoczywający system państwowy, daje się spostrzegać w północno amerykańskim związku.— Nikt nie może zaprzeczyć, że pomimo nadzwyczajnego wzrostu granic i ludności, pomimo wewnętrznych trudności, jakie ztąd powstały, pomimo przykrych społecznych i narodowych przeciwności, pomimo poważnej wojny i dyplomatycznych zatargów, związek uwolnił się

z pod nacisku, z jakim ciężą jeszcze ciągle nad Europą wielkie armje, wspaniałe utrzymania dworów i niezliczone przywileje pojedynczych klas społeczeństwa.

— Im więcej się interessowano związkiem, im bardziej się do tego sklaniano, by tam szukać wzoru dla europejskich stosunków, tem bardziej spoglądano okiem krytyki na północną Amerykę, i w skutek tego nie tylko w takich kołach, które z politycznych, społecznych i religijnych powodów niechęci przepelnione były przeciwko demokratycznemu żywiołowi, podnosiły się bardzo surowe uwagi przeciw panującemu we związku stanowi rzeczy. Silnie napadano na ciągle wzrastające walki stronnictw, wyprowadzono na jaw spory między północnemi i południowemi stanami związku; i wskutek tego głośno powątpiewano o wielkiej przyszłości tej republiki; gdyż rozpadnięcie się związku zdawało się prawie nieuniknionem tak według praw natury, przy klimatycznej różnicy północy i południa, jak i według starej nauki doświadczenia poczerpniętej z historii.

Widocznie pierwiastkowa konstytucya związku zostawiła wielkie luki, które uważane być mogły za punkt wyjścia do rozpadnięcia się. Ale właśnie w tem uznane być winno świadectwo wysokiej mądrości jej założycieli, iż gmach państwowy chcieli zbudować na *jednej* podstawie ogólnego prawa ludzkiego. Do owej śmiałej budowy nigdyby nie przyszło, gdyby z góry wzię i się do rozwiązania pytania: czy założyć związek państw, czy państwo związkowe, czy też zwrócić uwagę na kwestyę zniesienia niewoli. Twórcy tego nowego

systemu państwowego byli nie tylko filozofami, ale i mężami praktycznymi, ale pozostawili przyszłości to, co do przyszłości należało. Zadowolnili się wprost założeniem podwaliny do wolności państwowej.

Teraz w trzeciem pokoleniu powinno się pokazać, czy ta podwalina, tymczasem do ogromnych rozmiarów wzrosłej budowy, dość silną byłaby dźwignąć związek. Dopiero kiedy nasza republika zwycięsko zwalczy jedną z największych kryzys, jaka kiedy państwo spotkała, wtedy dopiero cieszyć się może pewną przyszłością dzieło Franklina, Waszyngtona, Jeffersona i wszystkich wielkich mężów, którzy w niem udział brali.

Fundamentalna budowa północno-amerykańskiego związku nie na to jest obrachowana, by dźwignąć jakieś ruiny. Tylko przez utrzymanie całego związku zapewniony jest byt trwały wielkiej przewodniej myśli, jego konstytucji i naturalna prostota jej organizacji. Z rozpadnięciem się całości na pojedyncze państwa, trwale zaprowadzenie stałego wojska i sztucznych mechanizmów państwowych stałoby się koniecznością. Już Waszyngton, który w całej doniosłości poznał niebezpieczeństwo rozdziału między wschodem i zachodem, jak równie między południem i północą; w słynnym swoim politycznym liście pożegnalnym z 17-go Września 1796 r., przekonywająco upominał: „by jedną część kraju od reszty nie odstręczać“. Następujący po nim mężowie stanu zawarte w tym samym liście wyrazy: „Nazwisko Ameryka należy do obywateli związku jako narodu“, w słusznej konsekwencji tak wytłuma-

czyli, że związek nie tylko jedną całością pozostać musi, ale nawet najmniej aż do międzymorza Panama, na innych politycznych podstawach spoczywające państwa, powinien cierpieć przy sobie. Ten pogląd znajduje swoje odbicie nawet w uroczyscie w r. 1823 do zasady państwowej podniesionej *doktrynie-Monroe*, skoro tam jest powiedziano, że każde wkroczenie europejskich mocarstw do krajów zachodniej półkuli, a które się niezależnymi ogłosiły, w zamiarze ich podbicia, lub zakreślenia im losów, uważane będzie za krok nieprzyjacielski, skierowany przeciwko samemu związkowi, dalej, że amerykańskie lądy mogą odtąd być tylko uważane za kraj przyszłych osad przez jakieś Europejskie państwo.

I rzeczywiście północno-amerykański związek potrzebował całego obszernego obrębu między obydwoma oceanami, by zachować swoją polityczną zasadę, i swoje stanowisko mocarstwa świata, jak również by przekazać mógł swoje cywilizatorskie zadania, od pierwotkowego wyłomu kolei w dziewiczym lesie—aż do najnowszego rozwoju cywilizacji, nawet najodleglejszym pokoleniom, pole niewyczerpanej działalności.

Rozdział związku musiałby nadto doprowadzić koniecznie do dalszych podziałów; byłby to proces rozpadania się na części, który powoli wszystkie węzły by rozwiązał, jakie teraz łączą mieszkańców morza Spokojnego, z mieszkańcami Atlantyckiego oceanu.

Przy tem rozpadnięciu się unii, byłaby nakoniec zupełnie nie do zatarcia plama, pochodząca z Brytań-

skiego kraju macierzyńskiego, to jest, niewola murzynów, podczas gdy wyższe prawo, mianowicie moralny porządek świata, kategorycznie powiada: że człowiek niepowinien być przyrównanym do towaru na sprzedaż. Oczekiwana więc walka północy z południem, stawia sobie za zadanie nie tylko ocalenie i zachowanie związku, ale niewątpliwie ma także na celu wielką ideę ludzkości. Temi wyższymi, idealnymi celami związku byliśmy jednak tylko my wolnomularze prawie wyłącznie kierowani, gdyż większa część mieszkańców północy zdążyła przy zbliżającej się walce z południem, do zupełnie innych celów, mianowicie: do powiększenia politycznego wpływu i do czysto materialnych korzyści nad południem. Przypatrzmy się położeniu, jak było i jest. Jest mianowicie niewątpliwem, że związek wysoki stopień swobodnego rozwoju i politycznego stanowiska państwa, na jakie wszedł w biegu trzech wieków,—zawdzięcza mężom stanu południa, że północ powoli tylko wznosiła się do podobnego politycznego znaczenia, i że dopiero, kiedy ta równowaga przywróconą została, zwrócono uwagę, by uwolnić się od jego przewagi pod względem bogactwa, jego licznych związków ze światem starożytnym i jego korzyści, by znieść moralne pięta niewoli. Niewolnictwo nadto, od czasu jak na północy zniesionem zostało, głównie do tego się przyczyniło, iż wzmogło sprzeczki między temi dwiema częściami związku, gdyż na południu wycisnęło ono swoje charakterystyczne piętno. Pomimo tego zniesienie niewoli niebyło wcale z góry zakreślonym ce-

lem, ale była tylko skutkiem. Wojna domowa, w której przededniu stoimy, dla nas właściwie będzie tylko przedłużeniem owej walki stronnictw, która już od założenia naszego związku wolnych państw prawie bezustannie wrzała.

By dokładnie się przyjrzeć tym waśniom stronnictw, musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na społeczne różnice między północą i południem związku. Uprawa bawełny odgrywa przy tem główną rolę, jak dalecemianowicie klimat związku okazał się właściwym do *produkcowania* tego nadzwyczaj ważnego artykułu w handlu świata, tenże stał się powoli monopolem południa. Do uprawy bawełny potrzeba koniecznie rozległych, dotykających się wzajemnie płaszczyzn, przez co system wielkich majątków gruntowych już od samej natury jest wymagany. Rozwinęło się ztąd owe „*niewolnicze baronostwo*“ które coraz bardziej wzrastało w potęgę i wpływ, i teraz istotnie panuje nad wszystkimi południowemi państwami. Ta arystokracja, która osobiście nic robić nie potrzebuje, opiera się na niewolnictwie, jako źródle i podstawie swego bogactwa i potęgi. Samo się przez się rozumie, że arystokracja ta, która przez solidarność interesów silnie ze sobą jest związana, nie nie przedsięwzięcie, cokolwiek choćby odległe zagrażało podstawom jej władzy. Nienawidzi więc i prześladowuje jako swego najzawziętszego nieprzyjaciela nas wolnomularzy, apostołów ogólnego prawa ludzkiego, które chcielibyśmy zaszcześcić nawet pomiędzy kolorowymi.

Na północy przeciwnie cały system społeczny spoczywa na pracy obywateli i z tego powstającej indywidualnej samodzielności; podstawa więc organizmu państwowego związku północnego leży nie w posiadaniu wielkich majątków, lecz w massach przenikniętych świadomością, że każdy, czy to bogaty bankier, czy ubogi dzierżawca, lub nawet tylko z pracy fizycznej żyjący robotnik, *jest równouprawnionym* członkiem społeczeństwa. Praca na północy zawsze była zaszczytem, na południu zaś co najmniej bez znaczenia i atrybutem potrzeby; bogaty baron ze wszystkich stanów nie *powinien* nic robić. Na północy przeciwnie pracuje każdy, czy to ubogi, czy bogaty, gdyż żadnego zajęcia nie uważa za hanbę, za zniewieściałość.

Tylko na północy związku mógł się rozwinąć specyficznie amerykański charakter narodowy, mianowicie owe Yankiesostwo, celujące działalnością i dzielnością ducha przedsiębiorczego, który prawie nazwany być musi fanatyczną namiętnością. Pogardzają więc tu z całej duszy leniwym, dumnym, zarozumiałością odętym synem południa, który żyje tylko z krwawego potu swoich niewolników; bez ich pracy musiałby się chwycić łupieżstwa na lądzie i morzu, by na chleb zarobić.

Nie stanowe, zawsze jednak pełne znaczenia są *wyznaniowe* różnice między północą i południem związku. Południe jest poważnie katolickie i tutaj *Jezuici*, *Lignoryanie* i inni podobni rzymianie i katolicy najczystszej wody są potężni i ze znaczeniem, gdyż ci panowie

schlebiają namiętnościom baronów szczególnie przez to, że niewoli bronią jako *boskiej* (!!!!) instytucyi.

Najwyższe jednak różnice między północą i południem leżą we wszystkich ich *gospodarsko ludowych* stosunkach. Ameryka nie jest bynajmniej krajem idealizmu. Obok zamięłowania swobody, materialne interesa odgrywają tu zawsze równouprawnioną rolę. Jeżeli tylko te interesa w wysokim stopniu narażone są na niebezpieczeństwo, lub gdy wielkie materialne korzyści stoją na widoku, przychodzi tu do wielkich rezultatów. I ztąd także przyczyny i powody do groźących olbrzymich walk, są więcej materialnej jak idealnej natury. Jedna choćby tylko słynna walka o niepodległość wywołana została bezprawnymi żądaniami kraju macierzystego. Gdyby nie szalone uciski Anglików, ziemia ta do dziś dnia jeszcze na pewno znajdowałaby się pod władzą zwierzchnią *Albionu*.

Zdawna należały zasady ocalenia do słabych stron północno amerykańskiego zarządu państwa. Od dawna hołdowano tendencyom protekcyi handlu. Ten błąd jest trudny do wyjaśnienia, ponieważ nawet na północy związku, interesa handlu były bardzo rozległe, ale tylko na północy była większość dla tej zasady, na południu zawsze hołdowano zasadom wolnego handlu, ponieważ własne jego, wyłącznie gospodarstwa wiejskiego produkta, po większej części były wywożone, wszystkie zaś wyroby rękodzielnicze, które jeszcze dziś w Europie są lepsze i tańsze jak w Ameryce, kupować musiano na północy. W ten sposób pozostawało zawsze połu-



dnie pod handlową opieką północy, gdyż pierwsze nigdy nie było w stanie, wytworzyć z siebie wielki samodzielny stan handlowy; bardzo naturalnie — gdzie niewola rządzi, tam niema między nizko stojącą warstwą robotniczą i wysoką arystokracją, żadnego gruntu do przyjęcia się tak zwanego stanu średniego.

Niewolnictwo południa, dojrzało wszakże dopiero do kwestyi politycznej, od czasu jak baronowie przez swoje ostatnie zwycięstwa na kongresie w błąd popadli, by chęć się ze swego niewolniczego prawa i odnośnie do tego zaczęli przechodzić z obozu obronnego do zaczepnego. To smutne zjawisko jest obwiniającym dowodem powszechnego wyrodzenia się republiki, której upadkowi tylko można zapobiedz przez wielką katastrofę wojny. Krótki pogląd na dzieje niewoli związku będzie tu potrzebnym dla gruntownego zrozumienia tej ważnej kwestyi.

Kiedy związek wypłynął z walki o niezależność, we wszystkich trzynastu stanach ówczesnego porządku była niewola. W stanach północnych, gdzie zimny klimat, niewola już wówczas chyliła się już ku upadkowi, i znikła w parę dziesiątków lat później zupełnie. Liczba stanów, które do owego czasu jeszcze zupełnie oświadczały się za niewolą, tworzyła już wówczas mniejszość, gdyż było ich tylko sześć. Nie żadne jednak humanitarne pobudki pobożnych purytanów północy skłoniły do zniesienia niewoli, lecz tylko wprost własna korzyść. Przez liczne emigracye z Europy, wzrastała w północno wschodnich stanach związku liczba białej ludności,

przez co upadł dawniejszy brak sił do pracy, przez co więc posiadanie niewolników przedstawiało się dla gospodarzy, a jeszcze bardziej dla przemysłowców północy ciężarem. Wolnych robotników można było po żniwach, lub kiedy nie potrzeba było ich pracy, wprost uwolnić, murzyńca zaś z jego zdrowym nienasyconym żołądkiem, musiano trzymać przez cały rok. Im bardziej jednak wartość „hebanowego drzewa“, jak drwiąco przezywano biednych czarnych, upadała w północnych stanach, tem bardziej wzrastała na południu.

Tym sposobem przyszło do tego, że północ powoli swoich niewolników wyprzedala południowi, a nie pochodziło to z żadnych popędów ludzkości, ale z prostego faktu handlowego, że na południu dawana cena za „towar ludzi“ o wiele była wyższą, jak na północy, i z tą  $\frac{9}{10}$  wszystkich niewolników jakich południe posiadało, zostały wyszachrowane za dobre pieniądze. Jeżeli sądzić będziemy kwestją niewolnictwa bezstronnie, to wypadnie, że i północ niema żadnego prawa wyszydzać w tym przedmiocie niemoralności południa, nie idzie jednak za tem, abysmy chcieli bronić niegodny handel oiałem ludzkim. Chcieliśmy tylko przedstawić, że północ w całej kwestji niewolniczej, od dawna tylko udawała ludzkość, i że nawet teraz usunięcie niewoli nie jest celem wojny domowej, ale tylko pozorem. My wolnomularze uważamy naturalnie tę kwestję ze słusznego, mianowicie kosmopolitycznego punktu, i wszelkich dołożymy starań, by nawet czarnej rasie w obec naszej świętej zasady *wolności, równości i braterstwa od-*

dać co jej należy. Dalsze Howarda wywody przerwane zostały wejściem murzyna, który doręczył kilka listów przybyłych do Cincinnati, a pomiędzy nimi także list Schancenaua z Waszyngtonu; Minister wojny zaraz mu wygotował patent na kapitana i zatrudnił go tymczasem w swoim biurze.

Starzec kiwnął głową zadowolniony, kiedy spostrzegł ślepe Schancenaua posłuszeństwo z jego życzeniami. Marya jednak załała się gorącemi łzami i szepnęła, ach, dla czegoż w Waszyngtonie a nie tutaj?!

Howard rzucił pięknej kobiecie ostre i rozkazujące spojrzenie. Następnie podniósł się, zwinął swój rękopis i udał się do swego gabinetu pracy, by przejrzeć inne nadeszłe listy i papiery.

### III.

## Czarna niewdzięczność.

Hrabia Roosval, zawsze przyzwyczajony wszelki powzięty zamiar natychmiast wprowadzać w wykonanie, jak już wiemy, odjechał z Marsylii do Szwecyi. Conte Barberini i jego zacna siostra Małgorzata, odpowiadali z delikatną starannością i pieczołowitością włożonemu na nich obowiązkowi opieki i przyjaźni nad czasowo pozostawioną biedną Fryderyką. Wszyscy troje opuścili zaraz Marsylię; najbliższym celem ich podróży była Nicea, której nadzwyczaj łagodny i zdrowy klimat,

i cudowne położenie nad morzem, niedaleko zatoki Paglio sprowadzał na zimę mnóstwo cudzoziemców, a szczególnie chorych na piersi ze wszystkich okolic świata.

Nicea rezydencya biskupa, i od 1860 r. stolica nowego departamentu *Des Alpes-Maritimes*, liczy około 50,000 mieszkańców. Jój muzeum historyi naturalnej a także biblioteka obejmująca 300,000 tomów, są bardzo godne uwagi, zwłaszcza że Nicea właściwie żadnych innych dzieł pomnikowych nie posiada, jakkolwiek miasto w ogóle a szczególnie cyrkuł cudzoziemców, mianowicie przedmieście *De la Croix-de-Marbre*, dobrze jest zabudowane.

W Nicei samej z powodu stanu Fryderyki i możliwości spotkania się codziennie ze znajomymi hrabiego Roosval, nie można było przedsięwziąć dłuższego pobytu. Conte Barberini wysadził więc obie swoje towarzyszkę podróży w „hotel de France“ na wybrzeżu Massena, i udał się natychmiast w okolice, by gdzie położoną zdala wynaleźć willę, gdzie w głębokiem odosobnieniu i zupełnem odłączeniu się od świata zewnętrznego, chciano czekać chwili rozwiązania Fryderyki.

Signor Barberyni i panna Roosval skorzystali z dwóch dni nieobecności ich kochanego marszałka by obejrzeć najpiękniejsze miejsca okolicy Nicei.

Przedewszystkiem wdrapali się na płaszczyznę rozwalin starego, w 1596 r. zburzonego, na 93 metry nad zatoką położonego zamku. Płaszczyzna ta ciągnie się od latarni morskiej w godzinę od Nicei oddalonego

miasteczka Villa Franca aż do brzegów *Antibes* i *Montagnes de l'Estarel*, jak je nazywają zwiedzający Alpy morskie. Widok, jakiego się ztąd używa, obejmuje ku południowi wspaniałe przystanie Nicei, Willami oliwnymi i pomarańczowymi drzewami zielone pagórki, i nadzwyczaj rozległy widok na morze aż do na pół w ciemnym błękitcie znikających gór Korsyki. Po drugiej stronie w głębi spostrzega się nagie wierzchołki *Monte Chauve* i okrągłe grzbiety gór *Monte-Cinveivéens* zamknięte nawet wśród lata śniegiem pokrytymi Alpami.

Już po dwóch dniach powrócił Conte Barberini ze swojej podróży odkryć. Nie daleko *Beaulieu*, które leży tylko o dwie godziny od Nicei, wynalazł on wśród wspaniałych i słynnych drzew oliwkowych, mastykowych i dębów, powabny i przypadkowo wolny do najęcia domek letni, co wszystko doskonale odpowiadało żądanym warunkom.

Barberini o odkrytym Atilum tak nadzwyczajne robił pochwały, że obiedwie jego damy, natychmiast tam wyjechały. I wcale nie zostały zawiedzione w swoich oczekiwaniach, owszem więcej jeszcze znalazły.— Zresztą wyjazd z Nicei nastąpił przy takich środkach ostrożności, iż byłoby komuś bardzo trudno, odnaleźć ślad naszej trójki, gdyż musiano wziąć nawet w rachunek ewentualność, że może hrabia Roosval skrócić swój pobyt w swojej ojczyźnie by pospieszyć do swego jedynego dziecięcia. Ztąd chodziły i wracały wszelkie korespondencye przez upoważnioną osobę zaufaną w Nicei, i listowy stosunek między Willą i wspomnionem

miastem tak był urządzony, że nie było się nigdy narażonym na zwłokę.

Obydwom damom, które tymczasem serdeczną między sobą zawarły przyjaźń, czas wcale nie wydawał się długi. Nadarzała się ciągle nowa materya do rozmowy o przeszłości i przyszłości. Nakoniec musiano także w cichości pomyśleć o przygotowaniu bielizny dla młodego obywatela świata *in spe*, zajęcie, które młoda matka zawsze niechętnie powierza w obce ręce.

Przeciwnie księciu Barberini przyzwyczajonemu zawsze się obracać w chęlnym świetle, sprzykrzyła się wreszcie samotność tego ukrycia; wzdychał więc za fuzyą, kupił wspaniałego wyżła, i pilnie przebiegał przez „Małą Afrykę“, jak nazwał książe położone góry skaliste Baux Roux z tyłu Beaulieu, z powodu tam panującego, przez odbicie promieni słonecznych powstałego gorąca.

Pewnego rana posłaniec przyniósł ostatnie listy i gazety w chwili, kiedy książe Barberini miał już flintę na ramieniu, by się jak codziennie prawie udać do „małej Afryki“. Ponieważ z pewnością spodziewał się że mu dziś po ośmiu dniach uda się położyć nakoniec dzikiego kozła, który dotąd sztychł sobie ze wszystkich jego nemrodowych usiłowań, więc niezwrócił na otrzymane listy i gazety, prawie żadnej uwagi, a przebiegł je tylko oczami. Kiedy listy wrzucił do szufladki swego biurka, i takowe następnie zamknął, oddalił się w towarzystwie Hektora, który głośno szeczekając wesolo skakał do góry.

Signora Małgorzata czuła się tego dnia bardzo nie zdrową, tak że musiała pozostać w łóżku. Fryderyka pełna starań i uwagi dla swojej ukochanej przyjaciółki postanowiła na dzisiaj wszystkie swoje prace zawiesić, a zamiast tego, czytaniem rozerwać swoją drogą pacjentkę. Udała się więc do pokoju księcia, gdzie się także znajdowała mała biblioteczka naszych trzech samotników.

— Ach, wybornie! zawołała hrabianka kiedy spostrzegła stos nowych gazet, i illustrowanych tygodników w pięknym nieładzie rozrzuconych na stole nieobecnego Barberiniego: poczta więc już przyszła, jakież on jest niegrzeczny że nam nie o tem nie doniósł! Ale na Boga ten zawzięty myśliwiec odejdzie od zmysłów, jeśli wkrótce nie zabije owego kozła. Gorliwość jego w tym względzie jest prawie komiczna. Uważa prawie za obrazę honoru, że biedne zwierzę chytrzej się zbroi od niego.

Podczas tego krótkiego monologu, Fryderyka przejrzała i uporządkowała nieco gazety. Kiedy ostatnie pismo wzięła ze stołu, leżał pod nim otwarty list. Kobięca ciekawość obudziła się w niej, lecz zaraz wzięło nad nią przewagę rozsądek.

— Nie, nie, rzekła do siebie, listy, które do nas nie należą, czytać z prostej ciekawości, jest podłością. Widocznie zacny nasz przyjaciel zostawił go tu z pośpiechu, z jakim widziałam go wylatującego z domu na wyścigi z *Hektorem*. Aby jednak służba nie dopuściła się jakiej niedyskrecyi, schowam list ten do otwartej

szuflady i klucz od niej wezmę do siebie aż do jego powrotu.

Dobrze hrabianka postanowiła postąpić wedle powziętego pięknego planu. Ale nagle wzdrygnęła się jakby iskrą elektryczną rażona. Od lat najmłodszych do zbyt nawet przesadzonego przyzwyczajona porządku, chciała pomiętoszony list nieco wygładzić i tak wyprostować, jak był pierwiastkowo. Zupełnie niespodzianie rzuciła w tej chwili bystry wzrok na zapisane wiersze — teraz chodziło jednak o jej dobre zmysły, o jej przytomność; zdawało jej się, że czyta w napisanym po włosku liście wyrazy: „*Isidoro Goldstern, condannate dal Tribunale segreto alla morte, venne sepolto vivo*“ (Izydor Goldstern, przez tajemny sąd na śmierć skazany, został żywcem pogrzebany). Te straszne wyrazy ścięły jej krew w żyłach. Teraz muszę już wszystko, wszystko wiedzieć. Jakkolwiek wiele sobie dotąd trudu zadawała, by pogardzać a nawet nienawidzić obludnego uwodziciela, skłonność jej serca sztucznie tylko była przytłumioną. Czyż mogła nawet kiedy tak moralna, silnego charakteru i pomimo upadku swego jeszcze tak poczciwa, jak Fryderyka istota, inaczej jak wiecznie kochać co raz pokochała, co ją jak Izydor pokochał?

Ręce jej drżały, kiedy przebiegała oczami, dosyć lakonicznie zredagowany list Del Lucca, w którym ten donosił swojemu przyjacielowi i towarzyszowi związku Barberiniemu, kiedy, dla czego i gdzie, młody Goldstern przez radę związku Orsiniego skazany został.



List kończył się objawieniem chłodnego żalu, iż niepodobnem było, w obec sprawiedliwej zawziętości „dobrych kuzynów“ by pozwalać, na wstawienie się Garibaldeggo o łaskę dla zdrajcy, i że on (Barberini) teraz dopiero o tem generała ostrożnie zawiadomić powinien.

Widocznie Barberini list tylko otworzył ale go nie przeczytał, i w swoim roztargnieniu i myśliwskim zapale przez nieostrożność między dziennikami zostawił; inaczej nigdy byłby czegoś podobnego się nie dopuścił.

Fryderyka padła blada jak śmierć w fotel który stał przed biurkiem. Cisnęła przez kilka chwil konwulsyjnie swoje piękne białe czoło, zdawało się jej, że straci przytomność, ale z tą energiczną wolą właściwą kobiecie północy, i którą w wysokim stopniu odziedziczyła po swoim ojcu, opierała się bezwładności pomimo swej słabości i wstrząśnienia całego systemu nerwowego.

Z nadzwyczajnem wysileniem sięgnęła nakoniec raz jeszcze za fatalnym listem, który półgłosem sama odczytała. Potrzebowała kontroli własnego organu słuchu, by rzeczywiście uwierzyć, co z pomiędzy łzami zalanych ocz migotało ze straszliwych wierszy.

— Czyż miałoby być zapóźno?! zawołała nakoniec głośno, i z dzikim prawie pośpiechem porwała się z krzesła, nie, nie,—nie może, niepowinno być zapóźno!

Starala się zebrać swoje zmysły, by datę dnia dzisiejszego porównać z datą listu.

— Tak, tak jest, wyzionęła z trudnością z uciśnionej

piersi, list dopiero wczoraj rano wyszedł z Tortony, nie ma wątpliwości że został napisany zaraz kiedy go— straszne słowo—żywcem pogrzebano. Jeśli wszystkich starań dołożę, i zrobię co tylko leży w mocy człowieka, mogę jeszcze dziś w nocy być w Tortonie. Wszystkie wskazówki są tak dokładne, że tam niepowinno błędzić i być w wątpliwości, gdzie trumna z nim się znajduje. Powinien być jeszcze przy życiu?! Jednak do czego to pytanie — muszę odważyć się na wszelkie niebezpieczeństwa by go ratować; jestem odpowiedzialną ojcowi za dziecię, które się pod moim sercem porusza.

Fryderyka pośpieszyła do swego pokoju, i spakowała swoje kosztowne klejnoty, a zarazem znaczną gotówkę, którą jej zostawił do rozporządzenia hr. Roosval. Następnie udała się do pani Barberini, która przy jej wejściu wydała głośny krzyk przestachu, tak strasznie wyglądała Fryderyka.

— I ja się muszę do łóżka położyć, rzekła hrabianka, ale spodziewam się, że mi wkrótce lepiej będzie. Chciałabym parę godzin spokojnie pozostać w swoim pokoju. Gdybym czego potrzebowała, zadzwonię na Joasię. Ostatnie słowa odnosiły się do wspólnej pokojówki obydwóch dam. Pomimo wszelkich usiłowań pani Barberini, Fryderyka została przy swoim, że Joasia przy chorej zostanie i tylko udać się miała na znak dzwonka do przyległego pokoju, gdzie spała hrabianka.

Fryderyka oddaliła się następnie, i robiła w swoim pokoju szelest, z którego wnosić można było, że się istotnie udała do łóżka. W kilka minut później zeszła

jednak ostrożnie hrabianka po schodach do ogrodu, od którego tylnej furtki, przez którą także zwykł był wchodzić i wychodzić Nemrod Barberini, klucz posiadała. Przypadek sprzyjał jej zamiarowi. Z całej służby, która oprócz pokojówki i Joasi, składała się z kucharki, ogrodnika i starego zaufanego lokaja księcia, nikt nie spostrzegł jej oddalenia. Kiedy już ogród miała za sobą, udała się najkrótszą drogą do odległego stąd tylko o małe półgodziny miasteczka Beaulieu; i tutaj okoliczności sprzyjały jej zamiarowi. Jeszcze zanim weszła do miasteczka, spostrzegła próżno jadące Veturino (powóz do najęcia). Fryderyka przyrzekła człowiekowi pięć marengi (sto franków) w razie gdyby jeszcze w porę, mianowicie prawie w ośm godzin zajechał do Cuneo, wówczas najbliższej stacyi kolei żelaznej w Nicei, by udać się do Tortony.

Woźnica Veturino, którego konie nie tylko były dobre, ale i dobrze wypoczęte, zgodził się bez namysłu i dotrzymał słowa. Punktualnie o czwartej godzinie po południu jechała już hrabianka pociągami do Aleksandryi; o dziesiątej wieczór mogła się spodziewać, że dojedzie do celu swej podróży, to jest do Tortony.

Jeszcze przed przybyciem Fryderyki do Cuneo, spostrzeżono jej wydalenie się z willi. Niezwykła spokojność w jej pokoju spowodowała Joasię, pomimo jej rozkazu, żeby przyszła dopiero na znak dzwonka, zajrzeć do hrabiny. Skoro znalazła pokój opróżniony, pospieszyła do rozległego ogrodu, gdzie przeszukała wszystkie znane jej ulubione miejsca panny; naturalnie

napróžno. Teraz Joasia zaniepokoiła cały dom. Ogrodnika i starego lokaja wysłano, dla przejrzenia okolicy; dopiero po nad wieczorem powrócił pierwszy posłaniec z wiadomością, że jakaś, według opisu do hrabiny podobna dama, wynajęła na gościńcu dobrze w okolicy znane Veturino Bernarda, i pojechała powozem w kierunku miasta Gospello.

Signora Barberini była naturalnie niepokieszona tą wcale dla niej niewytłomaczoną przygodą i gniewała się mocno, niewiedząc jak sobie sama poradzić, na swego brata, który wrócił nakoniec do domu po zachodzie słońca z miną tryumfującą niosąc przez ramię przewieszzonego, młodego szczęśliwie położonego kozła.

Jego rozpacz i szaleństwo, skoro się o wypadku dowiedział, były nie do opisania. Rzucił kozła na ziemię i deptał nogami niewinną przyczynę swego długiego oddalenia, następnie na wszystkich świętych w niebie i wszystkich możliwych djablów w piekle, złożył uroczystą przysięgę, że nigdy, nigdy już przez całe swe życie, nie pójdzie na polowanie. Kiedy się już zgodnie ze swą południową naturą dostatecznie nagniewał, uspokoił się nieco, i zastanowił chwilę, co ma robić.

Nie było dla niego wcale łatwą rzeczą, przyjść do odpowiedniego postanowienia, gdyż, jak Fryderyka zgadywała, nieznał wcale treści fatalnego listu. Miał on jak i w tym razie bardzo naganny zwyczaj, że wszystkie listy, jakie naraz otrzymywał, odrazu także otwierał a potem dopiero z kolei je odczytywał. Musiał więc

Del Lucca włożyć list pomiędzy gazety, na które Barberini, spiesząc na polowanie nie zwrócił wcale uwagi.

Księżciu brakowało teraz jakiegoś punktu wyjścia do zasadniczych przypuszczeń. Nie mógł jednakże pozostać z założonymi rękami. — Jakkolwiek ogrodnik i służący, przynieśli jakie takie wiadomości, nie mogły one jednak jeszcze, gdyby szczęśliwy traf jaki nie dopomógł, naprowadzić na właściwy ślad zbiegłej: Signora Barberini nie mogła się powstrzymać, by nie towarzyszyć swemu bratu, który natychmiast wyjechać postanowił. Przestrach dziwnie na nią oddziałał. Jej podagra i migrena ustały jakby od czarów, i jeszcze przed północą jechała obok, naturalnie mocno zakłopotanego księcia, po drodze do Cuneo. Ponieważ powóz którym pojechała Fryderyka, doskonale był znany w całej okolicy, nie wiele więc kosztowało trudu, pytając się po gospodarach wzdłuż drogi pocztowej, wyszukać ślad aż do Cuneo. Tutaj zaczęły się jednak trudności. Na szczęście jednak kassyer na banhofie w Cuneo przypomniał sobie, że jakaś młoda, elegancko ubrana dama, której opis stosować się mógł tylko do hrabiny Roosval, wzięła bilet wprost do Tortony.

Teraz dopiero księżciu Barberiniemu wyjaśnił się cały firmament; sądził iż teraz będzie mógł wszystko odgadnąć. Może przed dwoma tygodniami przesyłał on list Garybaldego do Del Lucca, w którym ostatniego nalegająco proszono, by z młodym Goldszternem, w razie gdyby go podstępem schwytano, nie posuwać się do ostateczności, ale tylko zdrajcę uczynić nieszkodliwym,

nie narażając na niebezpieczeństwo jego życia. Prośbę tę wnosił generał w imieniu bankiera Goldsterna, który się w tej chwili skrycie znowu znajdował na Caprerze, i którego dobre serce nie mogło przenieść myśli, żeby Izydor swoją zbrodnię miał śmiercią przyplacić.

Barberini odciągnął swoją siostrę na stronę i szepnął jej do ucha;

— Teraz przypominam sobie, że jeden z otrzymanych dziś rano listów miał markę pocztową „Tortona“ i adres był napisany ręką Del Lucca. O, ja lekkomyślny stary głupiec! Z pewnością zamieszczona była w liście jakaś zła wiadomość o młodym Goldsternie i hrabianka pospieszyła do Tortony, by ojca dziecka swego ratować lub choćby ostrzedz. *Va bene!* Jeśli tam jest istotnie, potrafię ją wynaleźć. Przy pomocy Zerlotti'ego, naszego sprzymierzeńca w Tortonie, dowiemy się wszystkiego. A więc do Tortony.

Rodzeństwo Barberini musiało jednak poskromić swą gwałtowną niecierpliwość, gdyż najpierwszy pociąg odchodził dopiero o trzeciej godzinie i przed wieczorem nie mogli się spodziewać by przybyć mogli do tak bardzo upragnionego celu swojej podróży.

Musiemy teraz zobaczyć jak się hrabiance powiodło, która w chwili, kiedy oboje Barberini dopiero do Cuneo przybyli, już dawno znajdowała się w Tortonie.

Było już około jedenastej godziny w nocy, kiedy opuściła banhof w ostatnio wzmiankowanym mieście. Już podczas drogi poczerpnęła wszystkie o miejscowych stosunkach konieczne wiadomości, od pewnej wraz ja-

dącej damy, która również w Tortonie wysiadła i w tem mieście jako miejscowa znała wszystko doskonale. Panna Roosval nie miała więc ani na chwilę wątpliwości, w jakim kierunku wypadało jej się udać, by pomimo dość ciemnej nocy, wybrać najkrótszą drogę na Cmentarz. Obawa nie była wcale znanem uczuciem córce hrabiego Rooswala. Do tego nosiła przy sobie mały rewolwer; w używaniu bowiem palnej broni miała już od dzieciństwa wielką wprawę. Na piętnaście kroków odległości nigdy nie chybiła z pistoletu środka każdej obranej litery.

Jak większa część włoskich cmentarzy, i ów w Tortonie był zupełnie nie ogrodzony. Pewnym krokiem jednak z bijącym ze wzruszenia sercem przestąpiła odważna panna ciche zamieszkanie umarłych. Wszędzie cisza i spokój grobowy. Bez namysłu, nie zatrzymując się nawet na jedną sekundę, szybkim krokiem, udała się w kierunku kaplicy marmurowej, która przed nią w środku cmentarza błyszczała.

Podobnie i kaplica, której wewnątrz nie obejmowała więcej jak dziesięć kroków w kwadrat, była nie ogrodzona, drzwi wszakże były przymknięte. Fryderyka weszła do środka i zamknęła za sobą na zamek bez hałasu ciężkie drzwi dębowe. Teraz zapaliła małą ślepa latarkę, i obejrzała się po kaplicy.

— Tu musi to być, szepnęła do siebie; tu na tem miejscu po prawej stronie ołtarza; tak, tu na téj posadzce jest odlana półwypukło z metalu postać świętego Antoniego Padewskiego. Dzięki Bogu, Del Lucca

wskazał w swoim liście co trzeba zrobić, by tę posadzkę do drzwi podobną otworzyć.

Podczas ostatnich wyrazów Fryderyka nacisnęła naprzód prawe metalowe oko świętego, następnie błyszczący guzik jego pasa a w końcu środkową, głowę jego otaczającą, gwiazdę. Przy każdym naciśnięciu slyszala przytknięcie sprężyny a po ostatnim otworzyła się posadzka jak drzwi do środka. Hrabianka przycisnęła znowu trzy wspomniane sprężyny, skoro się przekonała że manipulacya od wewnątrz podobna jest zupełnie do zewnętrznej.

Wązkie, strome i głęboko na dół prowadzące schody otworzyły się teraz. Nie ociągając się, zaczęła schodzić po nich na dół.

Powietrze stawało się coraz zimniejsze, wilgotniejsze, nawet stęchłe, im głębiej na dół postępowała. Fryderyka narachowała 53 stopnie. Znajdowała się więc tak głęboko pod powierzchnią ziemi, jak wysoki jest zwykły dwupiętrowy dom.

Na końcu tych schodów znajdował się wysoko sklepiony budynek okrągły na trzy sążnie średnicy; prowadził tu dość szeroki korytarz. Panna bez obawy i namysłu udała się tą jedyną drogą, która ją do pożądanego celu doprowadzić miała; naprzód się jednak zapewniła, czy nie zgubiła paczki świec woskowych, jaką zabrała ze sobą z domu. Jakkolwiek była odważna, wzdrygała się jednak mimowolnie na myśl, iż będzie musiała w tym nieznanym i tak ponurym świecie podziemnym błąkać się bez światła.—Skoro się co do



tego zupełnie uspokoiła, poszła dalej bez zatrzymywania się. — Liczyła z cicha kroki zrobione, i narachowała ich już przeszło tysiąc, kiedy usłyszała nad sobą głuchy łoskot ciężkiego ładownego wozu. Podług kierunku i odległości swój dotychczasowej drogi, musiała się hrabianka znajdować we wnętrzu miasta. I tak było istotnie. Znajdowała się na owem miejscu, gdzie się w szybkim chodzie po pierwszy raz zatrzymała, by nieco tchu złapać, właśnie pod wielkim rynkiem Tortony, na którym znajdował się także dom Zerlotti'ego. — Korytarz rozszerzał się ztąd do obszernego przestworza, którego wysoko sklepienie pokryte podparte było grubemi kolumnami.

Fryderyka przez chwilę była niezdecydowaną co dalej począć, gdyż na prawo i lewo, rozchodziły się w wielu miejscach boczne korytarze. Postanowiła przede wszystkim każdy z tych korytarzy na mały kawałek obejrzyć, i zawsze do głównej podziemnej sali powrócić, by mogła się łatwiej oryentować.

Na tem straciła hrabianka dobrze z pół godziny czasu. Siły ją zaczęły już opuszczać. Od wczorajszego rannego śniadania w Willi, nic a nic jeszcze nie jadła, jakkolwiek miała przy sobie sucharek, i flaszeczkę rumu; przy wielkiem wewnętrzném wzruszeniu, zapomniała zupełnie o swoim zmiennym stanie i potrzebach ciała. — Wyczerpana i bez rady wyteżala wzrok biedaczka przed siebie; zaczynała ją opuszczać odwaga.

Wtedy przyszło jęj na myśl, że list Del Lucca zawierał także jedno, dotąd jęj niezupełnie jasne znacze-

nie. Teraz jednak, kiedy się już z temi straszniemi przestrzeniami dosyć obeznała, umiała by pewnie zrozumieć rzeczywiste znaczenie. Drżącą ręką wyjęła wspomniony list z kieszeni, i czytała przy słabem świetle ślepej latarki, następujący dopisek: Zerlotti jest upoważniony, trumnę, która w piątym bocznem sklepieniu z miasta rachując stoi, przez wiadomy korytarz i kaplicę kazać wynieść nocną porą na cmentarz. Nikt prócz nas wtajemniczonych nie będzie wiedzieć jakim się tam sposobem trup dostał.

Hrabianka udała się teraz w kierunku, w jakim z cmentarza tu przybyła, na lewo od piątego bocznego korytarza. Skoro z kilkaset kroków przebyła uderzyła nagle jej noga dość mocno o twardy przedmiot, i o mało z tego powodu nieupadła na ziemię. Wydała głośny krzyk. Była u celu. Trumna, z której wieka kościotrup ze srebra ku niej był zwrócony, stał teraz przed nią.

— Izydor, Izydor! zawołała Fryderyka na wskroś przenikającym głosem. Izydorze! czy żyjesz jeszcze? oto jest pomoc; Fryderyka, twoja Fryderyka, ratuje cię.

Dał się słyszeć głuchy, gardłowy jęk.—

— Tak, on żyje, żyje! wyjąkała hrabianka, i padła na kolana.

— Dzięki, dzięki Ci Boże Wszechmocny! modliła się z wyciągniętymi do góry rękami. Dzięki, żeś memu dziełu udać się pozwolił.

— Cierpliwości Izydorze, tylko trochę cierpliwości

pocieszała następnie szlachetna dziewczica, śmiejąc się przez łzy; za parę minut odzyskasz życie i wolność.

Fryderyka, kiedy te słowa mówiła, rozpoznawała sposób, w jaki trumna zamknięta była. Na swe zadowolenie przekonała się, że wieko nie było ani przybite; ani przyszrubowane, ale tylko przytwierdzone kołkami, które wprawdzie od środka samemu Herkulesowi opór by stawily, zewnątrz jednak przez słabe nawet dziecko, odkręcone być mogły. W kilka sekund hrabianka usunęła łatwą przeszkodę i odkryła wieko trumny.

Krzyk rozpaczny rozległ się z jej piersi.—Młody Goldstern, który trzy doby przeleżał w strasznym więzieniu, podobny był już do trupa. Oblicze jego było śniade i głęboko zapadnięte, oko prawie zagasłe, ale prawie okropniejszy jeszcze widok przedstawiały jego zakrwawione ręce, które z rozpaczny i dręczony strasznymi męczarniami głodu, zaczął szarpać zębami.

Kiedy Fryderyka spoglądała nań klęcząc przy trumnie, sądziła, że widzi przed sobą postać z tamtego świata. Duch jego tak był zamarły, siły fizyczne tak wycieńczone, że wcale nie poznawał swój wybawicielki, nie mógł rozróżnić, czy śmierć przysła zakończyć dni jego męczarni, czy też został uratowany i znajduje się jeszcze między żyjącymi.

Fryderyka, która odgadła z jego wykrzywionych rysów, chaos panujący w jego umyśle, zrozumiała, co jej teraz czynić wypada.

Nalała na w pół bezprzytomnemu nieco araku

w usta. Z chciwością połknął Izydor ten ożywczy napój, następnie zamknął z osłabienia oczy, wydając przytem głębokie westchnienie. Hrabianka spostrzegła że młody niemal już na śmierć udręczony człowiek, potrzebuje przedewszystkiem spoczynku i wzmocnienia. Zdecydowana więc usiadła szlachetna, zdolna do poświęceń istota na ziemi obok swego uwodziciela, i odwilżała mu od czasu do czasu ożywym napojem skronie, usta i język. Po dwóch czy trzech nareszcie godzinach odważyła się wsunąć mu w usta kawałek na papkę rozmiękczonego sucharka.—Mechanicznie połknął Izydor ten posiłek, nie budząc się jednakże ze swego odrętwienia; widocznie ogarnął go posilny, głęboki sen, gdyż oddech jego płuc był coraz silniejszy i pełniejszy.

W ten sposób upłynęło z górą sześć godzin, wiekiem się wydający czas dla szlachetnej Fryderyki, która śledziła za każdym oddechem Izydora.—By z wyczerpania nie zasnąć, podnosiła się od czasu do czasu chcąc się nieco chodzeniem orzeźwić.—Z téj to okoliczności odkryła na wielką swoją radość, że w jednym z rogów sali przesączał się cienki strumyczek świeżej wody do picia. Dręczona pragnieniem chciwie piła niespodziewany napój; następnie zwilżyła chusteczkę i ochłodziła nią rozpalone ciało śpiącego. Ta próba często powtarzana, przez gorliwą opiekunkę, wydała nakoniec pomyślny skutek.—Izydor przyszedł powoli do zupełnej przytomności ale członki jego były tak sztywne, iż czuł, że nie jest w możności się podnieść

jakkolwiek, jak łatwo pojąć, gorącem było jego życzeniem, opuścić okrutne swoje łożo męczarni.

Fryderyka objęła go więc obiema rękami i dobyła wszystkich sił, by mu ułatwić podniesienie się. Nakoniec udało jej się to; ale w tej samej chwili, kiedy Izydor chwiejną nogą dotknął podłogi, Fryderyka wydała przeraźliwie przenikający krzyk. Zapomniała o swoim obecnym „stanie“.

— Mój Boże, mój Boże! jęczała nieszczęśliwa padając na kolana i wijąc się w boleściach. Boże mój i Ojczyzno! Moje dziecię przyjsć ma na świat w tych okropnych podziemiach, u stóp tej trumny. Pomocy, Izydorze, na miłość Boską pomocy!

— Cóż mam zrobić? wyjąkał młody Goldstern, któremu ten niespodziany wypadek groził na nowo odebraniem przytomności.

— Spiesz do miasta, jednym tchem rzekła Fryderyka, tu są pieniądze, dużo pieniędzy, ale spiesz się, spiesz.

Przy tych słowach hrabianka podała młodemu Goldsternowi swój pugilares, który zawierał w sobie kilka tysięcy franków i bardzo kosztowne klejnoty. Następnie wskazała Izydorowi kierunek, w jakim miał się udać, by się dostać do kaplicy na cmentarzu a ztamtąd na zewnątrz.

Młody Goldstern wziął pugilares i ślepą latarkę ze sobą. Fryderyka zatrzymała dla siebie dwie świece woskowe, z których jedną zapaliła i postawiła w rogu trumny.

— Spiesz się, spiesz! nalegała nieszczęśliwa wijąc się po ziemi. Bóle stawały się coraz silniejsze.

Młody Goldstern, który tymczasem wrócił do normalnego stanu używania członków, i odzyskał siły z samego przerażenia ujrawszy gdzie się znajduje, udał się tak prędko, jak mu tylko na to pozwoliły uginające się pod nim kolana.

Kiedy po półgodzinnem krążeniu dostał się do znanéj nam już kaplicy, padły na jego oblicze przez okna gotyckie silne promienie słoneczne. Ogarnęło go uczucie nieskończonej błogości. Zagasił ślepą latarnię i ukrył ją w niszy po za ołtarzem. Tajemne wejście starannie zamknął na zamek.

Ostrożnie otworzył teraz prowadzące na zewnątrz drzwi kaplicy i wyglądał przez chwilę. Żadnéj żyjącej istoty nie było widać w okóło. Wyszedł na cmentarz.

— Uf! mrucał z cicha do siebie, podczas gdy zimny dreszcz przeszedł mu po grzbiecie, uf! Wcale nie mam już ochoty, powracać do tego okropnego miejsca. Przypadek mnie uratował, niech tak samo uratuje i Fryderykę! Hm! gdyby ją tam nawet śmierć spotkała?! Ba! cóż mogę na to poradzić? Jest się dla samego siebie najbliższym — wreszcie miałbym w mieście szukać pomocy? — nie, tysiąc razy nie — Zerlotti lub ktoś inny z tajemnego związku mógłby mnie zobaczyć i zamordowanoby mnie — żal mi cię, bardzo żal, kochana moja Fryderyko, ale, jak powiedziałem, własne moje bezpieczeństwo wymaga, żebym Tortony unikał i o ile można

prędko opuścił to przekłete miejsce.—Pugilares jest dosyć ciężki — wiele on też w sobie może zawierać?

Podczas tego nieczemnego i nacechowanego najzupełniejszym brakiem serca monologu, opuścił już młody Goldstern cmentarz i skierował się powoli ku pięknej, cienistej alei, która, jak słupy milowe wskazywały, prowadziła do Pawii.

Po małym kwadransie doszedł do małej, przy trakcie położonej gospody. Kazał sobie otworzyć mały pokoik i wziął ze sobą nieco jedzenia i napoju. Następnie udał się na spoczynek. Obudził się dopiero dnia następnego; najął sobie powóz, by dostać się do Vercelli, ztąd myślał skorzystać z kolei żelaznej, by przez Como pojechać do Szwajcaryi. Środków, by swój dawny sposób życia na jakiś czas rozpocząć, posiadał podostatkiem, mianowicie przeszło 30,000 franków gotówką i klejnoty, których wartość o wiele jeszcze tę summę przewyższała.—Biedna Fryderyka!

#### IV.

### Para kluczy.

„O jedenastej godzinie, 50 krajcarów ostatnie dla Wiednia!“

Takie dla prawdziwych sióstr loteryi zawsze tak ważne i wiele znaczące obwieszczenie stało jednej Soboty w jesieni 1860 r. w znajdującym się w Wiedniu

na Salzgries kantorze, wypisane kredą na czarnej tablicy, wielkimi, z daleka czytelnymi, literami.

Małe ale dobrane kółko rozkolysanych marzycielek i zawsze wiernych protektorek niestałej bogini Fortuny, obstało deskę z tak zwanymi „rysowanymi kartkami“, których kupony już bardzo mocno podskoczyły.—Te „rysowane kartki“ są mianowicie takie bilety, do 7-iu i 10-iu krajcarów, które kollektorowie celem pokupu na własne ryzyko przygotowują na kilka dni jeszcze przed ciągnięciem. Nie rozkupione bilety pozostają więc „leżące“ t. j. że kollektor sam gra niemi. W zasadzie praktycznemu kollektorowi nigdy prawie ani jeden z nich nie zostaje, jeśli zna dosyć swoich graczy i umie sprzedać i zachwalić swój towar.

Kollektor więc musi zbierać nowinki z miasta i takowe zręcznie spożytkowywać. Zdarzy się np. głośne jakieś morderstwo lub umrze jakiś wysoki dygnitarz lub przyjdzie na świat jakiś książę i t. p., kollektor powinien umieć zaraz dobrać odpowiednie liczby, mianowicie tak zwane *numera nadziei* 1 i 100 wielce są poszukiwane, gdyż istotnie dotąd bardzo często chciał przypadek, że wkrótce po smutnych lub radosnych wypadkach w cesarskiej rodzinie te najwyższe i najniższe cyfry całą wygraną zabierały.

Te i tym podobne zdarzenia czystego przypadku wzmacniają tylko tak mocno rozpowszechnioną między wieloma ludźmi nierozsądną wiarę, że urzędy loteryjne, kiedy chcą mogą przy ciągnięciu „cóż zrobić“ i że oza-



sami numera, które niechybnie wyjść by musiały, umyślnie nie są wyciągnięte.

Czemu nie wierzy jednak zapamiętały gracz w loteryę, kiedy raz się wtajemniczy w rozliczne kombinacye gry i nabierze silnego przekonania, że istotnie drogą zupełnej tajemnicy i losu przychodzi się do *pewniej* wygranej. A ileż nieszczęść sprowadziła na całe rodziny ta mania poszukiwania kamienia mądrości! Wiele to gra podobna sprowadza nędzy, szerzy okropnej demoralizacyi, która właśnie dotyka najbiedniejsze masy narodu a zło to rozszerza się coraz bardziej!

Do małego kółka publiczności, stojącej przed wzmiankowanym kantorem, słusznie możemy zastosować wypowiedziane przez nas nieco ostre słowa.— Przyjrzyjmy się teraz najwybitniejszym osobistościom tej grupy.

Owa mała, ubogo odziana stara kobietka, która trzyma na ręku tłustego mopsika i z powodu zbytnej krótkości wzroku prawie nosem dotyka tablicy, jest wdową po kanceliście; pobiera małą pensyjkę miesięcznie 17 guldenów i 50 krajcarów; z czego jednak przeszło połowę regularnie na grę poświęca, u pani Huber korzysta z kredytu do dziesięciu guldenów, ponieważ jest osobą bardzo uczciwą i skromną. By zaspokoić swoją namiętność do gry, żyje przez cały rok suchym chlebem i jakimś szkaradnym napojem ochrzczone szumnym mianem kawy, który osławiony saski wywar z kwiatków o sto procent jeszcze przewyższa. Mięsa używa tylko wtedy, kiedy jej spasły Azorek, który jest

bardzo przyzwicie jak na psa karmiony resztkami z hotelu za trzy krajcary dziennie, gdyż „ukochane zwierzątko“, które oprócz loteryi stanowi jej jedyną pociechę na tym świecie, nie może mieć ani na kawałek zmniejszonej racyi swój żywności.

Za tą starą mateczką stoi tęga kucharka, trzymająca na lewój ręce wielki kosz do miasta.—Jest ona dopiero od niedawna w Wiedniu, prawdziwa prostota wiejska, z uderzająco otwartym i poczciwym wyrazem nieco surowych rysów; jest ona dotąd jeszcze uczciwą dziewczyną a jej serdeczna miłość dla biednych rodziców daje piękne świadectwo o jej dobrém sercu. Posłała regularnie połowę swojej placy do domu i jej wszystkie marzenia zmierzają do tego, by żyć sobie w drewnianym domku w dolinie Mürz. To rzadkie dziecko nie uczuło wcale dotąd potrzeby „kochanka“. A jednak Annamirl już wzięła zadatek od djabła, mianowicie dwa razy już ambo wygrała. Teraz jest mocno przekonana, że musi także wygrać terno i od dwóch już tygodni wędruje druga połowa jej ciężko zapracowanego grosza do kantoru. Onegdaj przegrała ostatniego krajcara swoich pieniędzy, dziś w nocy jednak śniły jej się trzy numera, które wyjdą z pewnością za kilka godzin. Szczęście jej rodziców, stałoby się jej własnem, gdyby posiadała 50 krajcarów—wyplaconoby jej 2.400 guldenów. 2.400 guldenow! Według jej pojęcia, jest to ogromna summa, bajeczne bogactwo, i w istocie mała ta kwota dostateczną by była, by rodziców jej uczynić stosunkowo *bogatem* ludźmi.—Myśl

utracenia tak *wielkiego* i  *pewnego* szczęścia, stawała jęj się coraz nieznośniejszą. Już dawno powinna być w domu Annamirl i z pewnością będzie złajana przez swoją Panią, ale nie może oderwać się od kantoru. „O jedenastęj godzinie 50 krajcarów dla Wiednia! Te czarodziejskie słowa przykuły ją do miejsca. Ach, gdybym miała 50 krajcarów! westchnęła do siebie dziewczyna, i łzy boleści i niechęci napelniły jęj poczciwe, niebieskie oczy. Masz je przecie, szepnął jęj duch uwodziciel do ucha, masz je jeśli chcesz; twoje zakupy wyniosą przeszło 6 guldenów; porachuj twojęj pani o 50 krajcarów więćej, i pomożesz sobie.—Fe! odrzekła Annamirl, to bym oszukiwała, a moi dobrzy rodzice nauczyli mnie przecie, że niepowinno się nawet szpilki przywłaszczyc, skoro się wie, kto jest jęj właścicielem. Głupia! rozległo się w jęj uszach, któż mówi, że byś miała panią twoją oszukiwać? Wypożyczysz tylko dzisiaj 50 krajcarów; wygrasz je z pewnością, a gdyby nawet nie, to zwrócisz je z następnych pieniędzy, skoro mniej porachujesz. A więć nie bądź dziecinną, i stawiaj, stawiaj na twoje Numera; czas nagli; prędko, decyduj się! I Annamirl zdecydowała się istotnie—sięga do klamki drzwi—jeszcze raz ostrzega ją dobry geniusz; ociąga się, wacha, chce kupić zakup i pospieszyć do domu, ale nie—2,400 guldenów! myśl ta zaćmiewa jęj rozsądek, tłumi głos jęj sumienia. Nie wiedząc jak ujrzała się nagle w kantorze. Z prawie bezdźwięcznym i drżącym głosem, wyszczególniła swoje trzy Numera; jeszcze raz czuje ochotę, ratować się uciec z ką,

gdyż ręka jój opiera się sięgać za pieniędzmi które nie do niej należą, i których wydanie zmusi ją do kłamstwa, *pierwszego* kłamstwa w jój całym życiu. Ale jój los już raz zapieczętowany. Falszywy wstyd nie pozwala jój słuchać ostatniej przestrogi jój sumienia; płaci, bierze kwit loteryjny i idzie. Ale wyraźnie czuje, że sklep inaczej opuściła, jak weszła do niego, i wewnętrzny głos jój mówi, że w téj chwili cały jój bieg życia przybrał inny kierunek, ale nie kierunek do lepszego, tylko do powolnego zepsucia, do jój pewnego upadku.

Obok pensyonarki z pieskiem na ręku stoi chłopak szewcki. Zupełnie przeciwko swemu zwyczajowi spogląda teraz poważnie, zawsze tak rozpuszczony chłopiec; nawet zwieszający się z pod ręki staréj siostry loteryi ogon tłustego Azorka, który śmiałego chłopaka z pewnością by zwabił, by zwierzę uszczypać, i szarpać dziwnym sposobem został zupełnie nie dostrzeżony; młodemu chłopakowi przychodzi mianowicie lechciwa myśl, i to w prawdziwym, ścisłym znaczeniu tego wyrazu, gdyż gdy ją wykona, majster jego z pewnością mu tęgo skórę wyćwiczy. — Chłopak mógłby na dzisiejsze ciągnienie postawić jeszcze trzy Numera. Egipski sennik, który pani majstrowa od wczesnego rana do późnej nocy nie wypuszcza z ręki, istotnie zna chłopak dokładniej od katechizmu; tak wie też dzisiaj na pewno, że po południu wyjdą Numera 11, 28, i 82. Pała więc ochotą, wziąć te liczby, ale z kąd tu wziąć pieniędzy na stawkę? — Nasz chłopak

jednak w tym punkcie potrafi sobie dać radę. Postawione być musi, gdyż tak pewne terno nie może być z ręki wypuszczone! Chodzi tylko o sposób, w jakim ma przenieść się w otrzymanych właśnie od kogoś za parę obcasów 50-iu krajcarach. Ma tylko dwie drogi, albo otrzymania pieniędzy zaprzeczyć się, albo powiedzieć że zgubił w drodze pieniądze. Po krótkim namyśle zdecydował się na ostatnie. Wprawdzie otrzyma straszne cięgi i włosy wystawi na ciężką próbę, ale—obrachował przebiegły chłopak—w ten sposób, pozostanie przynajmniej czysty mój honor, podczas, gdy zaparcie pieniędzy jeszcze dziś wieczór zostałoby odkryte, kiedy by pan Köchelmajer spotkał się w gospodzie ze swym kundmanem. W ten sposób można mnie tylko brać za lekkomyślnego chłopca, ale nie za żadnego złego.

Po takim rozumowaniu, chłopak wszedł do kantoru, i zażądał pewnym nawet zuchwałym głosem, swoich trzech Numerów. Resztę ukrył starannie pod najbliższą bramą w podartym trzewiku, w którym już dawno urządził sobie kryjówkę swoich tajemnych pieniędzy.—

Jak widzimy, przebiegły chłopak przez *matkę* loteryjkę jest na najlepszej drodze, do zostania *wielkim* lotrem.

Z pomiędzy około dziesięciu innych osób składających grupę, uderza nas jeszcze postać kobiety, która ubiega się o lepsze ze starą emerytką tak z ubogiej powierzchowności jak z namiętności szalonej do gry.

Jest to żona robotnika i trzyma na ręku małe dziecko równie biedne i wynędzniałe jak ona sama. Rysy twarzy téj kobiety, mogącój liczyć zaledwie trzydzieści lat wieku, są dosyć piękne i regularne, ale nadzwyczaj wynędzniałe. Pomiędzy jój włosami w nieładzie rozrzuconemi na głowie widać już liczne srebrne nitki. Pod lewem okiem nosi krwawą szramę, a jój na pół obnażony grzbiet pokazuje mnóstwo sinych guzów. Brakuje jój kilku zębów na przodzie, które jednakże nie przez dentystę lub felezera wyrwane zostały, ale od pięści jój męża, któremu także zawdzięcza inne pamiątki małżeńskiej miłości. A jednak małżonek jój nie jest z natury ani grubianin ani swarliwy człowiek, ale mania gry w loteryą jego żony doprowadziła go od lat dwóch do rozpacz, a że gospodarstwo coraz bardziej upadało, jakkolwiek każdego tygodnia regularnie zaplatę swoją do domu przynosił i sam sobie wszystkiego odmawiał dla żony i dziecka, w końcu więc został pijakiem. Im bardziej bięda w domu dokuczała, tem namiętniej żona jego grze się oddawała. Od ciągnięcia jednego do drugiego spodziewała się terna, wtedy, myślała sobie, wszystko może znowu być dobrze. Tak więc dziś zastawiła ostatnią koszulę swego męża, by dobyć ostatnie 50 krajcarów. Wie ona, że jutro rano kiedy odkryty zostanie brak ostatniej sztuki bielizny, nastania straszna scena małżeńska, ale—nie może inaczej, musi próbować ostatniego środka ratunku. Jeżeli nawet ta nadzieja zawiedzie, cóż wtedy!? Wówczas biedna zaslepiona kobieta zdecydowana jest na najgor-

sze. — Pomimo wszelkich braków i nędzy została dotąd uczciwą. Skoro po południu o trzeciej godzinie fortuna się do niej nie uśmiechnie, wtedy ucieknie od swego męża i usłucha nakoniec gorszących podszeptów starego, nikczemnego birbanta, który już od roku przeszło chce ją zrobić swą metressą.

Na zakończenie przyjrzyjmy się jeszcze z kolei piątej osobie, dzikiej i wcale nie wiele obiecującej postaci. Jest to elegancko ubrany mężczyzna około lat trzydziestu; z twarzy jego przemawia wysoka intelligencja, ale oko jego błędnie zatacza w około. Moznaby prawie sądzić że człowiek ten cierpi ciche szaleństwo. W każdym razie mózg jego nie próżnuje a gorączkowo poruszająca się pierś z trudności powstrzymuje wybuchy dzikiej rozpacz. Jakżeby mu lekko było, gdyby mógł głośno jęczeć, gdyby mógł opowiedzieć swoje cierpienia i zgryzoty duszy; ale częścią obawa, częścią słaba isierka nadziei zamyka mu usta i zaledwie odważa się pomyśleć, co się z nim dzieje. W Poniedziałek, mówi do siebie, tak w Poniedziałek, kassa moja będzie liczona i musi się odkryć brak około 20,000 guldenów! Mógłbym się jeszcze wyratować, gdyby dziś szczęście mi nakoniec dopisało! Czy jednak wszystko zrobiłem, by domagać się łaski od fortuny? Nie—muszę poświęcić ostatnie krajcary; może ta ostatnia ofiara wzruszy surową boginię losu. Hm! możeby było lepiej, gdybym dwa tysiące guldenów, które dziś rano sobie przywłaszczyłem, obrócił na ucieczkę? Mógłbym w Ameryce rozpocząć nowe życie, zebrać majątek

i wszystko naprawić, co tu nabroiłem; mógłbym ztamtąd opiekować się moją żoną i pięciorgiem dzieci, tak, zapewnić im byt świetny! Ba! Co to jest dwa tysiące guldenów! Jestem głupiec i dla tego *va banque*; wszystko albo nie! Po tych słowach idzie zaślepiony do kantoru, gdzie przyjmują go niskimi ukłonami, gdyż od pół roku jest najlepszym kundmanem interesu. Stawia całe dwa tysiące guldenów na terno. Dostyc spokojny opuszcza kantor i udaje się na przechadzkę po blizkim kanale Dunaju. Tak, szydyczko mówi do siebie, tak mój drogi przyjacielu, teraz masz już wszystkie mosty za sobą spalone. Dziś po południu o trzeciej godzinie, jeżeli nie wygrasz wszystkich ukradzionych pieniędzy, masz wolny wybór przed sobą, albo skoczyć do rzeki, albo sam się wydać w ręce policyi.

Do osób, które się przed kantorem w studyowanie „rysowanych kartek“ zagłębiły, przyłączyła się około w pół do jedenastej godziny także niezwykle otyła kobieta, której powierzchowność tak była uderzająca, tak komiczna, że wszyscy obecni mimowolnie na nią spoglądali i poddali ją krótkiemu przeglądowi, przy czem nie obeszło się bez głośno wyrzeczonych ostrych i uszczypliwych uwag.

— Musiała *ona* uciec z jakiegoś menażeryi? zawołał jeden z otaczających.

— Dla czegoż nie, podchwycił zaraz inny; pan się nie mylisz, uniknęła tylko skłonności Babończyka. (¹)

---

(¹) Babończyk, skrócona nazwa mocno upasionego wieprza.



— Ależ nie, zauważył trzeci, ja wiem najlepiej; ona została zamówiona do występów w rolach pierwszej tancerki; zrobi *furorę* swoją wysmukłą kibicią i piękną postawą.

Głośny śmiech nastąpił po tym nieco jałowym, lecz ze złośliwą miną wymówionym dowcipie.

Wyszzydzona jednak nie wiedziała o wesołości, jaką wywołało jój przybycie, ale przecisnęła się aż do wywieszonej tablicy, by przejrzeć kartę. Widocznie jednak nie znalazła, czego szukała. Następnie rzuciła okiem na czarną tablicę, na której ostateczna gra z 50 ma krajcarami zapowiedziana była. Numera, których napróżno na karcie szukała musiały być bardzo dobre, gdyż sięgnęła po woreczek, by postawić stawkę 50 krajcarów.

— O Jekus, Jekus! zaczęła nagle wyrzekać, skoro spostrzegła że cała jój gotówka składała się tylko z 40-tu krajcarów, dla czegoż nie wzięłam z sobą z domu więcej pieniędzy, dla czegoż wypita z rana tak wiele piwa!

— No, kiedy tak wierzy, dokożycę jój piąta! rzekł bardzo poważnie jeden z obecnych żartownisiów.

— Ach! zawołała obca mocno ucieszona; są więc przyjacielscy ludzie w Wiedniu!

— Oto jest! odrzekł żartowniś, ale zamiast pięcio-guldenówkę wydobyć z kieszeni, przyłożył wielki palec prawej ręki do nosa.

— Satrecene! z gniewem zawołała wyszydzona, i w swoim macierzyńskim języku wyrzucając potok

obelżywych wyrazów udała się w kierunku „am Graben“.

— „Pani, pani—słuchajno! wołał za nią młody człowiek, uważaj dobrze, żeby piąta nie stracić!“

Gruby potwór, z którego powierzchowności i obejścia tak swawolnie żartowano, był nie kto inny, jak zacna pani Wawerka, która się dopiero od 24 godzin w Wiedniu znajdowała, i u dawnych znajomych szukała pomocy. Ze swoim małym majątkiem w Cza-slsu już się prawie zupełnie rozstała; sprzedała wszakże dom i dwór za przyzwoitą cenę, tak że jęj jeszcze zostało gotówką około 300 guldenów. Z temi pieniędzmi chciała w Wiedniu prowadzić lichwę między swemi ziomkami, co jęj w każdym razie przynosić musiało na rok 150 od sta, nawet gdyby daleko tanięj i ostrożnięj pożyczala jak inni lichwiarze. Jest to mianowicie nie do uwierzenia, jak biedny dzienny robotnik kiedy raz wpadnie w ręce maklarzy, do krwi bywa wyswany. 10 krajcarów od guldena na tydzień, jest zwykły grzeszny podatek, jaki w mowie stojące upiory biorą *a conto* następnej płacy tygodniowej. To daje na rok od *jednego* guldena procent 5 florenów i 20 krajcarów czyli 520%!!!

■ Prócz tego dążyła pani Wawerka przez swoją podróż do Wiednia jeszcze do innego celu. Chciała ona mianowicie nałożyć jaki podatek na swego syna Wenzela Cihulka, który na jęj liczne listy, żadnej nie dawał odpowiedzi, i stały miesięczny dodatek w dobry lub zły sposób z niego wydusić. Dawny praktykant

Cihulka tymczasem w skutek tajemnych protekcyi awansował na urzędnika z pensją 600 guldenów i odpowiednim dodatkiem na mieszkanie.

Gniew pani Wawerki z odcierpianego pośmiewiska złała wkrótce smutną uwagą, że nie jest w stanie wygrać dziś pewnego terna z braku tylko nędznych 10 krajcarów, podczas gdy dużo jeszcze pieniędzy złożonych miała w Simmering w swojej skarbnicy. Nawet gdyby powóz wzięła i do domu pojechała, przybyłaby zapóźno. Ale stawić chciała i musiała. Postanowiła tedy swoją chustkę z szyi w najbliższym miejscu zastawić, lecz po dojrzałszem rozważeniu nie zrobiła tego, gdyż szwy jej sukni popękały dziś podczas chodzenia na całym grzbiecie, i lękać by się musiała bez okrywającej chustki, że będzie ściganą przez chłopców ulicznych, jeżeli nawet policya ją nie przytrzyma, za nieprzyzwoite ubranie.

Poszła tedy do sklepu ślusarskiego niedaleko wysokiego mostu. Przyszła jej dobra myśl; tak przynajmniej sądziła. Wydobyła więc parę pięknych, sztucznie wypracowanych kluczy z kieszeni, i wstąpiła do sklepu, w którym 12-u czeladników i chłopców kuli żelaza, tak że zaledwie można było rozumić własne słowa.

Wyszedł na przeciwko niej dobrodusznego wyrazu stary człowiek, w którego, pełnej godności postawie, nie trudno było poznać samego majstra interesu. Chociaż i on śmiesznym ubiorem pani Wawerki czuł się rozweselonym i zaledwie był w stanie ukryć śmiech,

zapytał wszakże przybyłej bardzo grzecznie, co sobie życzy.

Pani Wawerka sięgnęła po klucz, i prosiła go, by pożyczył na nie 10 krajcarów; jeszcze dziś chciała fant z pewnością wykupić, gdyż kluczami temi zamknięta była skarbница, w której się ukrywał cały jej majątek.

Slusarz Lichter, o którego nazwisku przypomni sobie może czytelnik, jeszcze na początku naszego opowiadania, obejrzał z miną znawcy klucze i znalazł je tak wybornie delikatne i dodrze wypracowane, że wyjawiał swoje zadziwienie, że je w takich rękach spotyka.

Z wielką potoczystością mowy, pani Wawerka, która zawsze wielką była gadułą, zapytana w swoim niemiecko-czeskim łamanym języku, opowiedziała, że one, dopiero co przyszły z Czaslau i że jej syn tu w Wiedniu jest znacznym urzędnikiem. Jej opowiadanie byłoby się z pewnością nie prędko skończyło, gdyby nie myśl, że już jest jedenasta godzina i że czas nagli się spieszyć. Powtórzyła więc swoją prośbę o małą pożyczkę.

Lichter dał jej bez namysłu pełną garść drobnej monety, prosił jej jednak, aby się zaraz wróciła, gdyż chce jej jeszcze zrobić kilka zapytań. Pani Wawerka pośpieszyła uradowana do kantoru loteryi. Slusarz posłał jednak za nią jednego ze swoich chłopaków, z surowym rozkazem, by czeszki nie spuszczał z oka i w razie potrzeby, by śledził za nią ostrożnie choćby do nocy. Pan Lichter udał się następnie do małego odgrózonego pokoiku, który mu służył za gabinet

i przyglądał się po kilka razy kluczom, które ciągle w rękę obracał. Widocznie gonił za jakimś zaciemnioném wspomnieniem i nie mógł dobrze natrafić.

— Jestem nędznym partaczem a nie sławnym majstrem Lichter, jeśli raz już nie miałem do czynienia z zamkiem, do którego te klucze pasują. Te dwa zęby w jednym i szczególne wycięcie u drugiego zbyt rzadko się spotykają, żebym miał się omylić. Jest może na całym świecie najwyżej sto kluczy, które zrobione są według tego nieco przestarzałego systemu. Tak, ale gdzie, gdzie i kiedy miała miejsce ta historia. Aj, aj, teraz widzę, że już jestem stary i tracę pamięć! Sprawa ta zaczyna mnie interesować. Czy mnie też to wytlómaczy stara czarownica—a, otóż i ona. Myślałem już, że ona klucze tylko znalazła, ale zdaje się jednak być prawdą, że one do niej należą.

Promieniejąca radością pokazała pani Wawerka bilet loteryjny. Właśnie jeszcze w ostatniej chwili przybyła w porę do zapisania się, kiedy lista już odesłaną być miała, do obok znajdującego się głównego zarządu loteryi.

— A więc pani jesteś z Czaslau, zaczął Lichter, kiedy pani Wawerka dziękowała mu, i na wszystkich świętych obiecywała pospieszyć zaraz do Simmeringu by odnieść 27 krajcarów, które otrzymała jako pożyczkę.

Potok słów pani Wawerki popłynął na nowo. Opowiadała drobiazgowo, jaki i od jak dawna posiada tam dom, że przypadł na nią od jój męża Nepomucena.

dalej, gdzie jój syn jest w służbie. Przy ostatnim punkcie wybuchła płaczem, przedstawiając swego ukochanego Wenzela jako dziecko bez serca, że zapomniał zupełnie o swojej biednej matce, i tak bardzo stał się dumnym, że nie śmie nawet go odwiedzić.

Ślusarz pozwolił megerze mówić spokojnie, po czem rzekł:

— O, nigdy bym nie myślał, że w Czaslau znajduje się tak sztuczny zamek, pani jednak te klucze tam zrobić kazała?

Pani Wawerka na to niespodziane zapytanie bardzo była zakłopotana, ale prędko przyszła do siebie i rzekła:

— Znalazłam pewnego razu te klucze na ulicy, i kazałam sobie później w Czaslau dorobić podwójny zamek do mojej skarbnicy.

— Tu się coś kryje! pomyślał w duszy Lichter, zaczyna rozwidniać się coś w moim umyśle; a więc ciągnął dalej głośno: syn pani jest urzędnikiem.

Pani Wawerka wymieniła imię Cibulki i Władzę w której służył.

Ślusarz obrócił się szybko by pani Wawerka nie spostrzegła nadzwyczajnego zadziwienia jakie go ogarnęło, kiedy usłyszał nazwisko Władzy przy której kiedyś znajdował się także baron Schancenau. Teraz wspomnienia jego wchodziły na właściwy ślad, teraz przypominał sobie zupełnie jasno i wyraźnie wszystkie poboczne okoliczności, jakie wówczas towarzyszyły otwarciu biurka i podręcznej kassy nieszczęśliwego Schance-

naua. Teraz nakoniec nie miał wątpliwości, że klucze, które trzymał w ręku, należeć tylko mogły do owego biurka i owój kassy.

— Jak to wszystko jest w związku, rzekł do siebie, wprawdzie nie mogę pojąć, ale mój zdrowy rozum nasuwa mi pewność, że w tem tkwi jakiś duży hak. W każdym razie ta stara flądra kłamała, kiedy zmyślała, że klucze znalazła. To jedno już jest ważną przyczyną do podejrzenia, i jako uczciwy obywatel jestem obowiązany zrobić doniesienie. Ci panowie będą już umieli bliżej tę sprawę wyjaśnić. A więc marsz z tą panią do policyi, ale bez hałasu.

Lichter, który dotąd był tylko w kamizelce, włożył surdut, sięgnął po kapelusz, i rzekł krótko:

— Moja kochana pani, pójdziemy sobie razem kawalek drogi.

Pani Wawerka, która nie miała najmniejszego podejrzenia, toczyła się obok pana Lichter, który się jój o różne obojętne rzeczy wypytywał, i przez to zajął zupełnie jój uwagę. Ślusarz poszedł przez Ministerjum wojny i Bazar; ztamtąd dostał się na Spenglergasse, i skierował się na prawo, do gmachu zarządu policyi. Pani Wawerka ciągle zajęta paplaniem, nie zwracała wcale na drogę uwagi, i nawet kiedy już z Lichterem weszła do gmachu policyi, nie miała wcale żadnego złego przeczucia, gdyż ten dom jest przechodni, i z tego powodu setki ludzi tam chodzi, którzy nawet nie do czynienia z biurem nie mają.

Przy wejściu jednak prowadzącym do gmachu,

Lichter się nagle zatrzymał, i prosił swoją towarzyszkę, by udała się z nim do Ober-Komisarza cyrkułu miejskiego.

Pani Wawerka sądziła że nie właściwie jest podsłuchiwać, i pomyślała sobie zupełnie naiwnie, że chętnie na dole zaczeka, gdy tymczasem łaskawy jegomość. coś na górze załatwi.

— Naturalnie mam coś na górze do załatwienia, ale i łaskawa pani musisz koniecznie być przy tem obecną. chodzi o małą wiadomość o jednego mieszkańca z Czaslau, co tylko pani jesteś w możności udzielić.

Pani Wawerka pośpieszyła się z odpowiedzią, iż jest najzupełniej gotowa, przez wdzięczność za pożyczkę, po trzy schody wstępując, jakkolwiek jój to z wielką trudnością przychodziło, przy ogromnej tuszy ciała.

Lichter, który na trzecie piętro o parę minut wcześniej przybył jak z wysilenia purpurowa i strasznie zadyszana pani Wawerka, szepnął parę słów do znajdującego się w przedpokoju woźnego, i udał się następnie wprost do pokoju naczelnika policyi. Złożył on w jego ręce dwa klucze, które dziwny przypadek, lub moglibyśmy lepiej powiedzieć namiętność d gry, złośliwego demona wydały.

Urzędnik policyjny, któremu tragiczna sprawa Schancenau, jeszcze bardzo żywo stała w pamięci. przyrzekł dzielnemu mieszczanowi, że zaraz działać zacznie z całą energią swego urzędu. I jemu jasnym się wydawało, że te dwa piękne klucze ze stali, bardzo prawdopodobnie do ważnych odkryć doprowadzą.



Pan Lichter oddalił się przez boczne drzwi. Urzędnik zadzwonił i rozkazał, by przedstawiono mu czekającą w przedpokoju Maryankę Wawerka.

Podstępny i zręczny urzędnik policyjny przyjął „oskarżoną“, która o prawdziwym stanie rzeczy ani się jeszcze domyślała, bardzo po przyjacielsku. Serce Czeszki topniało z radości, kiedy w swojej rodzinnej mowie, słyszała słodkie głosy, i „laskawy panie“, z unizieniem i uprzejmością zaprosił ją by siadła na fotelu obok jego biurka.

Komisarz zadał jej z kilkanaście zapytań, na które pani Wawerka z niezwykłą gadatliwością odpowiedziała; klucze które pod aktem jakimś ukryte były, dotąd urzędnik zupełnie zostawił na boku. Dopiero kiedy wszystkie stosunki Maryanki, jej zbiegłego męża i Cihutki dokładnie wy badał, zmienił nagle ton, kładąc przed sobą klucze, i teraz cierpko a nawet dosyć ostro na panią Wawerkę nalegał, by zaraz zgodnie z prawdą opowiedziała, w jaki sposób przysła do posiadania tych dwóch kluczy

Za późno teraz zbyt zawierzająca pani Wawerka poznała, że wpadła w bardzo zły interes. Przez chwilę starała się ratować wybiegiem, że klucze znalazła. Ale kiedy jej urzędnik w cierpkich słowach objawił, że wie dokładnie, do jakich zamków te klucze kiedyś należały, kiedy na chybi trafi zręcznie ułożył sam poboczne okoliczności zdarzenia, pani Wawerka, która nigdy do ludzi silnego charakteru nie należała i dla każdego urzędnika, do tego jeszcze policyjnego, miała

wielki szacunek, straciła zupełnie przytomność. Zaczęła płakać, jęczeć, narzekać by udowodnić swoją niewinność. Komisarz coraz natarczywiej na nią nalegał; dowiódł jej z własnego jej opowiadania, że sama bezwiednie zdradziła niektóre ważne okoliczności i że może się teraz tylko ratować szczerem, całkowitem przyznaniem. Badana uznała słusność tych słów, i postanowiła, przynajmniej względną wyznać prawdę, i całą winę chciała zwalić na swego męża nie mieszejąc zupełnie do sprawy syna swego Wenzela Cihulki. Przyznała tedy, że jej mąż przyszedł do posiadania tych kluczy w nieznanym jej bliżej sposób, i za pomocą nich w bardzo wczesnej, rannej godzinie dokonał włamania się do biura barona Schancenaua. Nie mniej konsekwentnie obstawała przy swoim, że o dokonaniu czynu ze złym zamiarem przez męża swego, nic nie wiedziała, a więc nie jest współwinną.

Komisarz zadowolnił się, przyznawaniem zeznań badanej tak, jak je sama podawała, jakkolwiek wyraźnie spostrzegł, że pani Wawerka jakąś tajemną myśl w całym swym zeznaniu ukrywa. Tymczasowie mógł być zupełnie zadowolnionym osiągniętym rezultatem; podług prawa było teraz zupełnie rzeczą usprawiedliwioną, zatrzymać w areszcie panią Wawerkę a prawo krajowe mogłoby dalej ze sprawą odpowiednio postąpić.

Pani Wawerka została odprowadzoną przez służbę policyjnego, który ją przeprowadził pod eskortą

stróża wojskowego do znajdującego się na Sterngasse, blisko wyższego targu, policyjnego aresztu.

Inkwizytka zdała się prawie spokojnie na nieuni-  
knione; łudziła się nadzieją, że cała wina ciążyć będzie  
na jej mężu, którego od czasu jego ucieczki zawzięcie  
nienawidziła. Że jej synek mógł popaść w niebezpie-  
czeństwo, uważała za rzecz niemożliwą, gdyż nie tylko,  
że tak była głupia, iż sądziła, że pan urzędnik sam bę-  
dzie umiał sobie dopomódz, nie znała rzeczywiście  
przytem bliższych okoliczności, wśród których mąż jej  
przywłaszczył sobie tysiąc guldenów. To zostało wła-  
śnie główną od początku treścią tajemnicy między Ci-  
hulką i jego ojczymem.

W chwili, kiedy pani Wawerka, weszła na targ  
wyższy, nagle zaczęła iść prędkiej i rękami silnie gesty-  
kulować. Policjant, który tuż szedł za nią, sądził  
z początku, że jego aresztantka chce zemknąć, lecz  
w obec strasznej niezgrabności i ciężkości równie oty-  
łego jak kolosalnego kawała mięsa, który bardziej po-  
ruszać się zdawał na szerokość jak na długość, musiał  
żołnierz sam uważać tę swoją obawę, za widocznie  
śmieszna.

Niemniej jednak niezwykle ożywienie, jakie pani  
Wawerka okazywała, miało słuszną swoją przyczynę.  
Jakis elegancko ubrany mężczyzna, o bardzo pospoli-  
tych rysach, na którego ramieniu wspierała się zuchwa-  
le wystrojona dziewczyna, chciał, właśnie przejść  
z Wiplingerstrasse w przedłużenie wyższego targu,  
mianowicie, do tak zwanego targu rybnego. Ponieważ

on swęj towarzyszece własnĳe co najmnĳej dwójnacznę grzecznoścĳi szeptał do ucha, wcale więc nie spostrzegł aresztantki, która od prawęj strony do niego podeszła.

Ale pani Wawerki bystre oko zaraz poznało fałszywego, niewiernęgo, uciekajęcęgo niewolnika swęgo łóża małżeńskęgo, chociaź *pane Nepomcek*, jak powiedziano, bardzo był pięknie ubrany i okazywaną nadętą wielkoścĳą usiłował nadać sobie minę szlachetnęgo człowĳeka.

— Jego, jego aresztować! krzyknęła pani Wawerka, wskazujęc na swęgo męźa,—jęgo aresztować, on jest złodziej, który skradł 1,000 guldenów.

Zazdrośc pozbawiła ją zupełnie rozsądku, gdyż widocznie dla jęj sprawy byłoby daleko lepięj, gdyby jęj męź nie został znaleziony. Z pewnością byłaby o tyle przezorna, iżby niepoznała swęgo męźa, gdyby go samego zobaczyła, ale, jak powiedziano, namiętnośc, nienawiśc, jaką zapalała na widok jęgo towarzyski, odebrały jęj rozum zupełnie.

Pan Wawerka zbladł kĳedy swojĄ żonę zobaczył, i ze strachu choiał dać odczepnęgo. Ale śmiała dziewczyna powstrzymała go od tego kroku.

— Co ty robisz! zawołała rezolutnie, i pociągnęła go za kołnierz, zostań! czy ty myślisz głupcze że ja się moźe zamiast twojęj aresztować pozwolę?

W jednęj chwili zrobiło się zbiegowisko. Kaźdy chciał wiedzieć co się stało. Ukazał się patrol policyjny, i podczas gdy pani Wawerka odprowadzoną zo-

stała do miejsca swego przeznaczenia, do policyjnego aresztu, jój męża zabrano do blizkiego zarządu.

Historya, jak pan Wawerka do Wiednia przybył, jest krótka do opowiedzenia. W skutek kradzieży którój dokonał na upojonym swym księciu i jego wiernym towarzyszu Ajgnerze, również przez znaczną zapłatę za zdradę, jaką mu wypłaciła papieżka policya został zamożnym człowiekiem. Chciał też teraz odgrywać rolę dużego pana i używać życia. Przede wszystkim myślał jednak wyjechać dalej z Włoszech. Zatrzymawszy się jakiś czas, w Tryeście, w Lajbachu i Gratzu, pomimo woli ciągnęło go coś do pięknej stolicy Cesarstwa, do miasta użycia, gdzie dla swoich zwykłych, jedynie do kobiet, i wina zmierzających namiętności, spodziewać się mógł lepszego zadowolenia, jak w mieście prowincjonalnem. O swojej żonie zapomniał prawie zupełnie, i w Wiedniu ją spotkać przez myśl mu nawet nie przeszło. Mniemał, iż jego droga Maryanka jest jeszcze ciągle w Czaslau, i zresztą w swoim nowem odzieniu i przy nowych manierach tak się zmienił, iż mógł sądzić że nikt z jego starzych znajomych nie pozna w nim dawnego czeladnika mularskiego.

Pan Wawerka w protokule w policyi spisany wcale nie tak łatwo dał się złapać jak jego żona; zaprzeczył wprost wszystkiemu co jego żona zeznała, we względzie nastąpionej kradzieży z włamaniem, tak że nic innego nie pozostało, jak sprowadzić z aresztu Maryankę do konfrontacyi. Ale i ona tymczasem rzecz inaczej rozważyła; spostrzegła nierozwagę, jakiej się

dopuszcila przez denuncyowanie swego męża. Udzieliła więc temuż przed Komisarzem formalne przeproszenie, uniewinniła swoje lekkomyślne oskarżenie zazdrością, i nakoniec podstępnie włożyła swemu mężowi w usta sposób obrony, który on miał akceptować. Przyznała ona że z jednym najemnikiem nazwiskiem Antoni Krepelka, który do czasu kiedy w mowie będąca kradzież nastąpiła, sypiał nocami u Wawerki że z owym Krepelką w niedozwolonych żyła stosunkach i że ten człowiek dopuścił się czynu. Pan Wawerka, sam także dosyć przebiegły, zrozumiał zaraz zamiary swojej żony. Rzucić się zaczął jak wściekły na niewierność swój żony, która zresztą w każdym razie zaświadczała o bardzo złym smaku współ obwinionego cudzołożnika; tak, udawał nawet, iż Maryankę dotkliwie zobelża. W sercu jednak cieszył się ułożoną powiastką, gdyż ów Krepelka, który istotnie we wspomnionym czasie mieszkał u Wawerki w Simmeringen, potem umarł w szpitalu.

Komisarz przenikał swoją rutyną i znajomością ludzi całą tę tkanę kłamiwą, ale nic się nie mógł domysleć. Zadowolnił się więc, że kazał zatrzymać w więzieniu w odosobnionym areszcie obojga Wawerków, i zawiadomić natychmiast władze o wszystkim. Zupełnie bez rezultatu, nie zostało jednakże przesłuchanie obojga Wawerków, gdyż teraz już rzeczą pewną było, że co do barona Schancenau nastąpiła jakaś bardzo smutna pomyłka, którą teraz władze mogły wyjaśnić ze wszystkiemi szczegółami.

Zostawiwszy na chwilę losowi zacną małżeńską parę Wawerków, która w kilka dni później wezwana została do Sądu Kryminalnego, musimy tu wspomnieć jeszcze o jednej dość ważnej scenie, jaka się odegrała w Wiedniu tegoż samego dnia po południa.

W biurze, w którym pracował Cihulko, tego dnia było bardzo wiele roboty, tak że pan urzędnik dzisiaj wyjątkowo stawić się musiał po południu w budynku rządowym. Dopiero około godziny 7-mej wieczór gotów był ze wszystkimi swojemi pracami, i właśnie chciał się ostatni zabierać do odejścia, gdy wszedł spiesźnie sługa biurowy i zaraz zawołał:

— Panie urzędniku, panie urzędniku, wielka nowina która pana pewno zainteresuje!

— Czyżby tak?! odrzekł Cihulko dosyć obojętnie.

— Tak, tak, potwierdzał robiąc ważną minę służący. Zdziwisz się pan, co panu powiem i ucieszysz także moją wiadomością, gdyż wiem, jak wszyscy lubili zanego barona Schancenaua, i że pan, jak my wszyscy mocno wzięłeś do serca jego nieszczęście.

— Schancenau?! wyjąkał Cihulko nadzwyczaj przestraszony.

— Czyż nie zgadłem, śmiał się gaduła z tą poufalskością, jakiej sobie starzy urzędnicy chętnie pozwalają względem młodych, tak, poczciwy Schancenau tyczy mojej historii—serce mi skacze z radości, słuchaj pan, panie urzędniku, i ciesz się ze mną—baron jest niewinny; całe łajdactwo, które go do więzienia wtrąciło, wyjdzie teraz na jaw! Mój Boże, mój Boże, gdybym

też biednego człowieka, który tak marnie zginął w Dunaju, mógł do życia przywrócić, chętnie oddałbym za to parę lat swoich! Pan wiesz przecie, jak on i jego dobra żona obchodzili się ze mną, kiedy się przez różne nieszczęścia znajdowałem w potrzebie i nędzy. Gdyby nie ta zacna para, moje osierocone dzieci byłyby zmarnieć musiały, w czasie kiedy ja sam nawet po śmierci mojej żony na tyfus chory leżałem.

Wymowa wdzięcznego człowieka bardzo była na rękę niegodnemu Cihulce, gdyż tym sposobem miał czas nieco zebrać się z myślami.

— A więc, powiedz pan nareszcie, co się właściwie stało! szybko wypowiedział, rzucając się na krzesło.

— Pan wiesz, panie urzędniku, że mój rodzony brat jest woźnym w policyi. Otóż, w jego biurze, miała miejsce dziś nadzwyczaj ciekawa historia, o której naturalnie nie powinno się mówić, gdyż wszystko jest jeszcze tajemnicą urzędu, ale *my*, my jesteśmy przecież ludźmi przysięgłymi i powtarzam to, tak prawda jak Bóg w Niebie, jednemu panu; nie mogę przecież przed panem ukrywać dobrej nowiny i teraz, kiedy widzę, że pan istotnie tak głęboko jesteś wzruszony, nie potrzebujesz się pan wstydzić, że baron był także pańskim dobroczyńcą i cały świat wie przecież o tem, a więc teraz mogę tem mniej milczeć—ale, panie urzędniku, trzymać język w gębie, inaczej mój brat mógłby mieć zmartwienie.

— Do rzeczy, do rzeczy, nalegał ochryplym głosem



Cihulka, który czuł że ma gardło jak zesnurowane, a z obawy trząsł się jak w febrze.

Wozny opowiedział teraz ze wszystkimi szczegółami o odbytem dziś w policyi przesłuchaniu obojga Wawerków, co wszystko brat jego podedrzwiami pod słuchał. Że oboje zatrzymani tak blizcy byli dla pana urzędnika, naturalnie ani się domyślał nawet dobry człowiek, gdyż Cihulka wypierał się zawsze swego niskiego pochodzenia i nazwiska swojej najbliższej rodziny. Podobnież nikt o tem nie wiedział, że teściowie Schancenaua zabrali z ulicy Cihulkę, ośmioletniego, w okropnym stanie chłopaka, na pół nagiego, zgłodniałego i zmarzniętego, i wychowali go potem jak własne dziecko.

— Dziękuję panu za jego wiadomości, rzekł Cihulka, kiedy nakoniec wozny skończył swoje opowiadanie, dziękuję panu bardzo, wyświadczyłeś mi pan przez to nieskonczoną usługę!

Następnie porwał się Cihulka i opuścił gmach biurowy. Jego wzburzenie było straszne, pojął niebezpieczeństwo, w jakie popadł przez aresztowanie jego matki i ojczyma. Byłby chętnie oboje udusił. Widział jasno, że nie było zadość uczynione jego ścisłemu rozkazowi, by oba klucze po dokonany czynie wrzucić do rzeki, i że z obejścia tego rozkazu przypadek bardzo łatwo może spowodzić jego zgubę.

Co teraz mu robić wypadało? Czy czekać, aż podejrzenie padnie i na niego? Bynajmniej. Za dobrze znał swoją matkę i jej męża, by nie przewidzieć,

że oboje prędzej lub później pokrzyżują się w tłumaczeniach i nakoniec wszystko wyznają.

Po kilku godzinach dojrzałego namysłu przyszedł nakoniec do stanowczego postanowienia.

— Tutaj w Wiedniu, rzekł do siebie, bezpieczeństwo moje od téj chwili jest mocno zagrożone, moja posada urzędnika tak dobrze jak przepadła. Czyż mam czekać aż nieszczęście całą mnie siłą przywali? O nie! Taki głupiec nie jestem! Moja współwinna powinna się troszczyć o swą przyszłość i może zdarzy się przy tem okoliczność, do upokorzenia jéj dumy. Tak, tak jest, tak być powinno! Jutro podam się o uwolnienie, i jeszcze jutro udam się w podróż do Ameryki, gdzie znajdę pannę Alwinę Eichenstamm; mogę się zatrzymać gdzie zechcę, a Bogu dzięki, nie jestem bez pieniędzy. Posiadam około trzech tysięcy guldenów, więcéj jak dosyć; dopóki nie znajdę „dumnéj Junony“. A więc do domu i prędko w drogę. Jeśli mnie moje obrachowania nie mylą, powinienem w ciągu trzech dni w Bremen, Hamburgu lub Southamptonie do zaatlantyckiego parowca na czas przybyć. Zanim nasza powolna sprawiedliwość bliżéj rozejrzy się w sprawie i na mnie zwróci oczy, będę już dawno bezpieczny. Piekło i djabli! Któżby kiedy mógł pomyśleć, że dla dwóch błachych kluczy, przedsięwzmę podróż do Ameryki. Hm! Moznaby prawie wierzyć w Opatrzność!

V.

## Braterska wojna.

Przepowiednie tajemniczego wielkiego majstra północno amerykańskich wolno mularzy co do blizkiego wybuchu straszliwej wojny braterskiej aż nazbyt prędko się spełniły. Przy nastąpionym 6-go Listopada 1860 roku, wyborze Abrahama Lincolna na prezydenta rzeczypospolitej na lata 1861—1865, zostało dane hasło do walki. Sto ośmdziesiąt głosów ze stanów północnych, liczba jaka jeszcze nigdy na jednego człowieka nie przypadła; przeciwnie ani jednego z całego południa.

Abraham Lincoln był prawdziwym z krwi i kości reprezentantem zasady, która północ pod jego chorągiew zapisała. W r. 1809 urodził się w stanie Kentucky, jako syn mniej zamożnego wieśniaka. Młodość jego upłynęła wśród ciężkiej pracy z siekierą i bosakiem. Otrzymał zaledwie bardzo słabe wykształcenie szkolne, które w późniejszych latach życia tak dalece uzupełnił, że mógł kursa prawne dalej prowadzić. Na podstawie tego osiadł w Springfieldzie, w stanie Illinois jako Adwokat, gdzie obok powszechnego szacunku pozyskał ową nadzwyczajną popularność, której głównie zawdzięczał swój wybór na prezydenta. Ale właśnie dla tego, że wszystko sam sobie zawdzięczał ukazywał się w oczach rodem i pieniędzy dumnych baronów południa jako pospolity plebejusz, którego uznanie za

prezydenta było spotwarzeniem ich zasad arystokratycznych.

Południowi zaczęto wtedy jawnie głosić jako polityczną konieczność secessyi to jest odpadnięcia od Północy. Północy przeciwnie objawiano występowanie pojedynczego Państwa jako uczciwe i niepodobne do dopuszczenia zdrady stanu. Południowa Karolina, zawsze ognisko wszelkiego buntu przeciwko Władzy związku, i tą razą chwyciła inicjatywę; wypisała małą armię z ochotników i to pod błachym pozorem że przez podburzenia Północy należy się obawiać powstania niewolników. Zaś inne południowe stany poszły zaraz za tym przykładem. Teraz południowa Karolina posunęła się jeszcze o krok dalej; zwołała zjazd, by nad kwestyą wystąpienia z unii, publicznie się naradzić. Sześć dotykających sąsiednich jej Stanów: Georgia, Floryda, Alabama, Missisipi, Louiziana i Texas przyłączyły się do niej niebawem, i urządziły się już 8 Lutego 1861 r. w Montgomery, w Alabama jako „Stany Zjednoczone Północnej Ameryki“; reszta Stanów postąpiła wkrótce za niemi. Na Prezydenta nowego stowarzyszenia został wybrany Jefferson Davis, osobistość do tego zupełnie usposobiona. Jako wychowawiec słynnej akademii wojennej w Westpoint i dowódca korpusu ochotników w ostatniej meksykańskiej wojnie, posiadał bardzo wybitne przymioty wojenne. Jednocześnie cieszył się najzupełniejszym zaufaniem sprzymierzeńców swojej partyi. Prócz tego był on pod Prezydentem Piercem ministrem wojny związku, i kiedy

ten urzędu tego z powodu swego nad zbyt stanowczego poglądu od południowych państw rozłączyć się musiał, zabrał z sobą ninbus politycznego męczennika. Davis, kiedy stanął na czele secessjonistów, miał dopiero lat 40 i odznaczał się niezmierną energią i działalnością. Jego zbiorowe działania wskazują rozsądek, konsekwencye i skutek. Z zadziwiającą szybkością umiał Davis ustanowić porządek państwowy, podczas gdy na Północy nieraz z wewnętrznymi sporami walczyć musiał.

Naturalnie secessjonistom albo jak ich na Północy po prostu nazywano „buntownikami“ przydało się bardzo, że liczne ministra Buchonaua, który odpowiednio ustawie aż do 4 Marca 1861 r. jako Prezydent na urzędzie pozostał, wojenne przygotowania północy w taki sposób podpadły, iż pożar zdrady stanu niewygasłe wybuchnął.

Kiedy Lincoln w całe pięć miesięcy po swoim wyborze zasiadł nakoniec prezydentowskie krzesło, secesya była już faktem skończonym. Lincoln poznał tylko zbyt poważną stronę rzeczy; zrozumiał on, że przez zdradę i stratę czasu, Północ bardzo będzie narażoną na stratę.

Uważał tedy za odpowiednie swojej mowie inauguracyjnej, przybrać ton umiarkowany, pojednawczy a nawet proszący. Wprost odwoływał się do wspianiałomysłności secessjonistów, kiedy zakończył słowami: „w waszych rękach, moi niezadowolnieni obywatele, a nie w moich leży straszny los wojny domowej. Rząd

was nie napastuje; nie będziecie mieli żadnej walki do stoczenia, jeśli nie będziecie sami napastnikami“.

Wybuch nienawiści nie długo pozwolił czekać na siebie. Ze wszystkich w zakresie secessyi położonych fortec, zostały tylko w ręku unionistów: fort Sumter na wybrzeżu Charlestonu w południowej Ameryce, fort Monroe na wybrzeżu Chesapeake (w Wirginii) i fort Pickens na wybrzeżu Pensakola (we Florydzie).

W fortecy Sumter dowodził wierny związkowi major Anderson nad słabą załogą, która dotychczas sściągala prowiant z miasta Charleston. Nagle jednak przecięto Andersenowi wszelkie stosunki z tą miejscowością. W skutek tego objawił Lincoln 8-go Kwietnia 1861 r., że fort Sumter w razie potrzeby przy użyciu siły będzie w żywność zaopatrzone, wszakże Anderson otrzymał rozkaz, by nieprzyjaźnie wtedy tylko występował, kiedy rzeczywiście będzie napadany. Ale już 11-go Kwietnia rozpoczął generał Beauregard, naczelny wódz skonfederowanych, straszne bombardowanie kiedy mu Anderson na nowo odmówił wydania fortu Sumter. Już 13-go musiał Anderson kapitulować, gdyż drewniane oficerskie baraki zaczęły się palić a zapasy prochu groziły wysadzeniem w powietrze.

Na tem się wojna skończyła, gdyż teraz został tylko wybór Południowi, albo bić się do ostateczności, albo ślepo się poddać.

Nie jest; nie może być tutaj naszym zadaniem, by śledzić i opisywać amerykańską wojnę domową we wszystkich jej fazach. Zadowolnimy się jedynie, przed-

stawieniem tych głównych momentów, które są koniecznymi, by ułatwić zrozumienie onęj o tyle o ile z niektórymi głównymi osobami naszego opowiadania, znajdowała się w ścisłym związku.

Pierwsza bitwa polna miała miejsce między wojskami Unii i skonfederowanymi dnia 21 Lipca 1861 r. pod Bull-run. Ta bitwa w skutek niezdatności generała wojsk północnych, przybrała bardzo opłakany koniec dla unionistów, i gdyby nie energiczne i pełne poświęcenia zasłonięcie odwrotu przez dowodzone przez Siegla i Heckera niemieckie legjony, byłoby niechybnie nastąpiło osadzenie Waszyngtonu przez zwyciężkie i dobrze wyćwiczone wojska południowe.

Wrażenie jakie katastrofa pod Bull-run na Północy wywołała, nieodpowiadało wcale oczekiwaniom Południa. Zamiast cofnąć się przed wojną, wierna związkowi ludność, zdecydowała się teraz na wszelkie ofiary. Teraz dopiero Północ zdobyła się na wszelką energię i rozwinięcie dotąd słabo kierowanych środków pomocy i sił.

Już pod koniec 1861 r. rzeczywisty stan wojska Północy wynosił przeszło 650 tysięcy ludzi, co kosztowało dziennie, około 7 milionów franków; flota jeszcze wcześniej została zaopatrzona w 7 okrętów, i świetnie rozpoczęła swoją działalność w północnej Karolinie podczas gdy sprzymierzeni, zmuszeni zostali palić sami swoje statki.

Tymczasem na Południu skoncentrowano siły główne, pod Richmond, które wynosiły zaledwie połowę

wojsk północnych. Ale lepsza karność, zręczniejsze kierowanie było bez wątpienia po stronie sprzymierzonych; ci więc wyglądali głównego ciosu, jaki naczelny generał sił związkowych Mac Clleton przygotowywał na Richmond, od którego posiadania zależały losy całej wyprawy, i politycznej przyszłości Południa.

Przez całe 7 dni, mianowicie od 26 Czerwca do 1 Lipca 1862 r. trwała krwawa bitwa, w której walczone o zdobycie Richmondu i skończyła się odwrotem Unionistów, kiedy ostatniego dnia śmiały generał sprzymierzonych Jackson, połączył się z główną armią stojącą pod rozkazami generała Lee. Richmond został uwolniony i tym sposobem koniec wojny domowej jeszcze na długo odwleczony. Przeszło 40,000 ludzi z obu stron było na placu, gdyż walczone z niesłychaną zaciętością.

W tej 7-io dniowej rzezi dzielny też udział brał nasz przyjaciel Schancenau, który zatrzymał już przy pierwszym pobycie w Ameryce przybrane nazwisko Filipa Brauna. Dowodził on jako pułkownik płukiem ochotników, który po większej części składał się z Niemców. Szybki jego awans nie powinien nas dziwić, gdyż do owego czasu wszędzie otwierano biura rekrutkie, przy czem w ten sposób postępowano: jakiś popularny człowiek, bądź to znany polityk, lub zbieg polityczny, który z Europy przywiózł znane wojenne nazwisko, pozyskiwał pozwolenie od Waszyngtona „otworzenia“ pułku, jak brzmiał *terminus tehnicus*. Jeśli złoży pułk, to naturalnie został jego pułkownikiem,



a kto pułkownikowi bataljon zebrał, był majorem; w podobny sposób postępowano z kompaniami i ich dowódcami. Wszyscy ci oficerowie otrzymywali swoje nominacje od Ministra wojny; potwierdzenie, respective wybór dowódców i poruczników, było jednak podług prawa pozostawione wojsku. Generałowie nakoniec których w Unii było tylko dwie rangi, mianowicie generał major wyższa, i brygadier niższa, byli przez Prezesa senatu przedstawiani, i przez tegoż przyjmowani lub odrzuceni.

Jest rzeczą jasną, że przy takim systemie, wielkie się z początku wkradło zepsucie. Każdy, zaczawszy od generała, aż do prostego żołnierza, myślał po większej części tylko o swojej korzyści, i działał się rzeczy, które tylko w Ameryce są możliwe i do uwierzenia. Całe przybory wojskowe przez jeden korpus wojska były sprzedawane jako bezpożyteczne, za cenę starego żelaza, a z trzeciej ręki znowu jako nowe zakupywane. Tysiące koni w podobny sposób zostało wyprzedanych, i na powrót kupionych. Przy tem płaca żołnierzy w żadnem wojsku w świecie nie jest tak znaczna jak w północno amerykańskim. Dzienna płaca wynosi 75 centimów, a miesięczna płaca ostatniego żołdaka, bez stołu i nbrania, 13 dolarów. Przytem zadatek ochotników wynosi często 4—500 dolarów. Nic więc dziwnego, że jakeśmy powiedzieli, armia związkowa chłonęła w przecięciu dziennie 7 milionów franków.

Przy ogólnym odwrocie Unionistów pod Richmond 1 Lipca był pułk Schancenaua, który przez

wszystkie 7 dni miał ważny udział w czynnościach, by zasłonić odwrót rezerwie artylerji. Dzięki jego przeczności i męztwu nie dostało się w ręce sprzymierzonych ani jedno działo, jakkolwiek dowodzili wyborną i liczną kawaleryą. Ale w ostatnim miesiącu, kiedy nieprzyjacielska konnica powoli już zaniechała ścigania opuściło go dotychczasowe niesłychane szczęście. We wszystkich niezliczonych bitwach jakie odbył od roku w usługach Unii, nie otrzymał ani jednej rany, chociaż zawsze śmiało niebezpieczeństwu zaglądał w oczy, i nigdy się nieoszczędzał. Z nieustraszoną zimną krwią kierował on także wieczorem 1 Lipca przejściem swego pułku przez most łyżwowy, podczas gdy cała artylerja, której chciał zamknąć odwrót, znajdowała się już bezpieczną, na przeciwnym brzegu. Przez tę rzekę musiano z konieczności zaprzestać dalszego ścigania i miał prawo nakoniec spodziewać się dla siebie i dla swoich śmiertelnie wycieńczonych ludzi, co najmniej dnia odpoczynku. Musiał zresztą całą swoją powagę wysilić, by przy przejściu przez most nie było ani nacisku, ani nieładu, gdyż każdy wzdychał za drugim brzegiem, z kądem przy zmierzchu wieczornym, liczne ognie obozowe bardzo uludnie wyglądały, a przy których licznie gotowały się napełnione mięsem garnki.

Schancenau postanowił jako ostatni przejść przez most, do którego zniszczenia czekał już w pogotowiu oddział pionierów.

Niedaleko mostu ciągnął się po nad brzegiem gęsty las, który przez cały, kilka godzin trwający

przechód artylerji, zajęty był przez oddział piechoty. Kiedy ostatnia kompania szykowała się nakoniec do przejścia mostu, Schancenau pojechał w towarzystwie trębacza do wzmiankowanego lasku i kazał trąbić. Ten rozkaz, do zbierania się i odstąpienia, z największym pośpiechem i dokładnością został spełniony, gdyż pionierzy zaczęli już odwiązywać łyżwy. Niewojkowy pośpiech, z jakim się rzucił do mostu ostatni oddział, wzbudził w dzielnym dowódcy nieco gniewu, i żeby swojej usprawiedliwionej niechęci nie być zmuszonym okazać, pozostał około 40 kroków w tyle.

Nagle usłyszał za sobą, tentent konia. W pierwszej chwili myślał, że to może być rozproszony oddział unionistowskiej jazdy. Odwrócił swego mocno zmęczonego konia, któremu od 8-miu dni nieodpinano wcale siodła. Ale teraz poznał, pomimo coraz silniejszego zmierzchu, że to był około 40 głów liczący oddział nieprzyjacielskiej jazdy. Schancenau dodał więc swemu zwierzęciu z całej siły ostrogi, by dosięgnąć mostu. Wtedy kilka strzałów za nim wypaliło, i upadł z koniem śmiertelnie raniony na ziemię. W jednej chwili uczuł się przez liczne ręce schwytanym, na konia w sadzonym, i wszalonym galopie uprowadzonym.

Schancenau stracił prawie przytomność, gdyż wprawdzie przy spadnięciu niepołamał członków, doznał jednak kilku silnych kontuzji. Na szczęście dzika ta jazda trwała tylko kwadrans, w którym to krótkim czasie przebyto około 3-ch mil angielskich. Ratunku

od swoich nie mógł się więzień spodziewać. Tylko szybka i wielka dywersja mogła go wyrwać z rąk sprzymierzonych. Ale unioniści nadzwyczaj byli zadowoleni, iż się nakoniec na przeciwnym brzegu ukrytymi widzieli, a do tego ich zmęczona piechota nie była w stanie, utrzymać się zwycięzko z dobrze ujeżdżonymi przeciwnikami.

Była to dzika, zuchwała hałastra, w której ręce popadł biedny Schancenau. Wprawdzie nosili oni znaki, ale nie uniformy sprzymierzonych; ponieważ stanowili tylko rodzaj awanturniczej i chciwej łupu bandy gierylasów, która poświęciła się na usługi południa z własnej korzyści, i by podnieść nieco cugle swoim namiętnościom.

Podobne bandy gierylasów dopuszczały się strasznych okrucieństw podczas wojny, i rzadko przebaczały swoim więźniom. Naturalnie i unioniści także nie robili sobie wielkich ceremonji, jeżeli im podobny kannibal wpadł w ręce, po prostu takiego łotra zastrzeliwano, lub wieszano na najwyższej gałęzi, z góry przekonani, że każdy z nich z pewnością zasłużył sobie raz na śmierć, po dziesięciu lub więcej morderczych czynach.

Po krótkim odpoczynku, jaki zrobili bandyci, kazali wsiąść swemu więźniowi znowu na konia, i teraz umiarkowanym krokiem zdążano ku Richmond, głównej kwatery sprzymierzonych, gdzie mała gromadka przybyła o pół nocy. Schancenau, który się dziwił, że go już dawno podczas drogi nie stracono, został w Richmond oddany w ręce policyi, i odprowadzony do miej-

skiego więzienia. Chociaż ten obszerny budynek przepelniony był więźniami, których prawdziwie w barbarzyński sposób gromadzono, bez względu na znajdujących się pomiędzy nimi licznych chorych i rannych, by rozciągnąć nad nimi jaką opiekę, Schancenau jednak dostał mały oddzielny pokoik, w którym jakkolwiek panowało nieznośne gorąco, straszne brudy i niebrakło wszelkiego rodzaju chciwych krwi owadów, wszakże w obec pobytu reszty więźni, pokój jego musiał być nazwanym prawdziwie wspaniałym.

Pomimo że Schancenau był nadzwyczaj zmęczony, jednak skorzystał z ubogiego łóżka, które dziś zrana służyło za śmiertelne łoże jednemu rannemu oficerowi, z partji sprzymierzonych. Ponieważ jednak pokój oprócz łóżka nie miał żadnych mebli a nawet krzesła, usiadł więc sobie na oknie, oparł się grzbietem o żelazną kratę i drzymał ze zmęczenia. Słońce już dawno wstało, kiedy został obudzony przez chałas w pokoju. Dwaj żołnierze zajęci byli wyczyszczeniem nieco pokoju; wynieśli wspomniane łóżko, a wnieśli w to miejsce dosyć wygodną materacami wyslaną kanapkę.

Nieco później umeblowanie zostało uzupełnione jeszcze przez stary stół, i dwa krzesła. Na zakończenie postawili na stole umundurowani lokaje, zdawało się głusi i niemi, gdyż niezdawali się słyszeć żadnego pytania zrobionego im przez więźnia, i nawet między sobą ani słowa niezamienili, — dzbanek wody, parę butelek wina, nadzwyczaj smaczną

prawdziwą szynkę *Cincinnati* i kilka sucharów okrętowych.

— E, pomyślał sobie Schancenau, z kąd i dlaczego wszystkie te względy? czy to nie jest już dość dziwnem że dzika tłuszcza, która mnie dostała w swoje ręce, zostawiła mi zegarek i woreczek, i postępuje ze mną tak, iż wyraźnie pozwala poznać, iż komuś na moim życiu wiele zależeć musi? hml rozwiązanie tej zagadki znajdzie się jeszcze. Przedewszystkiem muszę coś zjeść i napić się potrzebuję tego istotnie.

Więziem pozwolił się tego nakarmić przez zagadkową rękę dostarczonym posiłkiem, następnie wyciągnął się na kanapce jak długi i zasnął tak mocno, że nawet niezliczone moskity nie mogły przerwać jego spoczynku.

Musiał spać bardzo długo, gdyż kiedy się nakoniec obudził, paliła się lampa olejowa na stole. Zdawał się marzyć, kiedy tuż przy sobie ujrzał postać młodego człowieka, który właśnie okazywał ochotę jeszcze raz go wstrząsnąć za barki, jak to dotąd napróżno ze 12 razy uczynił, a pomimo tego nieotworzyły się ołowiane powieki śpiącego.

— Obudź się Oskarze! zawołała postać pochmurnym tonem, obudź się, godzina sądu wybiła!

— Alwina! zawołał Schancenau przerażony, kiedy ten głos usłyszał.

Dumna Junona wybuchła ochryłym śmiechem.

VI.

Znak niebezpieczeństwa.

— Ty u powstańców?! rzekł Schancenau, niedowierzająco wstrząsając głową. Zdawało mu się, że jest pod wrażeniem jakiegoś marzenia, tem więcej gdy Alwina bardzo mocno się odmieniła, nie tylko przez nieco fantastyczny ubiór męzki ale także i w rysach twarzy.

— I cóż w tem jest dziwnego? odparła dumna Junona ostrym, przeszywającym głosem, w którym zarazem przebijała się prawdziwie niekobieca moc i szorstkość, — jestem nietylko u powstańców, ale nawet *kochanką* powstańca, a to ty, ty mnie narobiłeś!

— Jest to dla mnie rzeczą bardzo obojętną, kogo Alwina Eichenstamm łaską swoją zaaszczyca, mówił uwięziony z lodowym chłodem i nietajoną pogardą.

— Nie pobudzaj więcej mego gniewu! zawołała Alwina drżąca ze złości; pomyśl, żeś mnie śmiertelnie obraził i że nakoniec nadejdzie dzień pokuty.

— Może ci mam podziękować, żeś mi żonę zamordowała i honor mój skrzywdziła?! odrzekł Schancenau z zachmurzonym czołem. Krew zaczęła wrzeć w jego żyłach

Próżny gaduła! żartowała z gniewem „dumna Junona“; twojej krwi dziś pragnę, jak również krwi twoich dzieci za niecne ze mną postępowanie.

— Nieb, jak dotąd zaopiekuje się nadal biednymi małemi, odrzekł poważnie uwięziony, wznosząc pełne zaufania i mdlitwy spojrzenie w górę; co zaś mnie ty-

cze, dodał zupełnie zdecydowany, możesz swoją zemstę zaspakając, ile ci się spodoba. Jestem zupełnie na śmierć przygotowany.

— Tak, na zaszczytną śmierć żołnierza, szydziła Alwina, ale nie na śmierć z ręki kata!

Schancenau wstrząsnął niedowierzająco głową i rzekł:

— Znajduję się w niewoli wojennej i nie sędzę, żeby tu w głównej kwaterze krzywdzono prawo narodów w haniebny sposób.

— Ho! ho! śmiała się „dumna Junona“ z okrutnem zadowoleniem; któż mi zaręczy, że pan jesteś schwytyany jako więzień wojenny? o ile wiem schwytyano pana jako szpiega.

— Ja szpiegiem?! zawołał Chancenau, odchodząc od przytomności; któż śmie rzucić na mnie taką infamię, zawołał schwytyany, w chwili kiedym spełniał usługi uczciwego żołnierza.

— Wiem ja to, mówiąc między nami, tak dobrze jak ty, gdyż zotałeś przecież szczęśliwie nakoniec schwytyany przez oddział konnicy, który wyszykowałam własnym moim kosztem, i którym dowodził pan Belville mój wielbiciel. Ale znaleźli się świadkowie, którzy jutro zrana przed sądem wojennym zeznają, iż schwytyli cię jako szpiega, przy naszych forpocztach.

— Okropnie, nikczemnie! zawołał Chancenau głęboko poruszony. Kobieto, nieprzyprawiaj mnie do rozpaczki! precz, precz, albo nie ręczę z tobą.

— Próżne groźby! rzekła pogardliwie „dumna Ju-



nona“ jeśli się niegrzecznie zemną obejdiesz, zakneblują cię i zwiążą. Niepogorszaj sam swego położenia, bez tego jest ono dość smutne i bez wyjścia. Jutro o tej godzinie będziesz już trupem.

— Ale ty ze mną, grzmiąco zawołał więzień, i zanim Alwina się spostrzegła, uczuła swoje garło ściśnięte żelazną pięścią. Zdołała tylko wydać ochryply krzyk.

Drzwi szybko się rozwarły, i pan Belville wpadł w towarzystwie kilku żołnierzy. Alwina była bowiem o tyle przezorna, iż miała pomoc pod ręką, gdyż istotnie zamierzyła sobie, więźnia do najwyższego stopnia rozgniewać. W jednej chwili została Alwina uwolnioną z rąk Schancenaua, który po krótkim oporze wstał pokonany, i zupełnie ogołocoony ze swego uniformu. Pan Belville rzucił mu pod nogi już przyniesione z sobą proste ubranie; potem oddalił się, wzięwszy elegancko Alwinę pod ramię. Żołnierze opuścili na końcu pokój i dobrze obejrzelili drzwi z zewnątrz.

— Pojmuję co te suknie mają znaczyć, i dla czego mi zabrano mój uniform, mrucał do siebie ponuro więzień owładnięty niemą rozpaczą; przez to skarga o szpiegostwo będzie bardziej uzasadnioną! O, na Alwinę wszystko jest możliwem! okropnie, okropnie, umierać, umierać mam na szubienicy, jak jaki niecny bandyta! Dla czegoż mnie żadna kula na polu bitwy nie trafiła? Zagadkowy Howardzie, który wszystko wiedziałeś, wszystko przewidziałeś, ty, którego ręka kierowała ciągle moim losem, czy wiesz także jaka sromotna śmierć mi

dzisiaj grozi? Czy tajemnicza twoja siła jest wstanie mnie uratować? Czy mogę i powinienem zawierzać jeszcze twoim powtarzanym piśmiennym przyrzeczeniom, że nie ma jeszcze tak dużego niebezpieczeństwa, któreby istotnie życiem mi groziło? Czy nie ludzisz się może sam, ty godny ducha moich dzieci, co do pewności twoich przepowiedni i co do siły twego środka?!

Wśród takich i tym podobnych uwag, przepędził Schancenau kilka godzin aż do brzasku dziennego, naturalnie bez zamknięcia oka.

Wkrótce po rozpoczęciu się dnia, który przez rojących się żołnierzy w Richmond na wszystkich rogach i końcach został otrąbiony i obębnyony setkami bębnow i trąb, ukazał się w Schancenaua więzieniu podoficer z trzema żołnierzami. Więzień został wezwany by się ubierał, i szedł za nimi. Jakkolwiek Schancenau opierał się bardzo brać nasiebie bluzę i plantatorski kapelus, które mu rzucił Belville, musiał wszakże je użyć. Pomimowolnie wydawszy głębokie westchnienie, pozwolił się następnie prowadzić. Droga jaką miano do przebycia, była dość długa; wychodziła ona za miasto, aż do najodleglejszych szanów; w których obozowała dowodzona przez pana Belville dzika konnica.

Więzień został zaprowadzony do kwatery, w środku której zebrany był sąd wojenny. Ostatnia nadzieja Schancenaua znikła, kiedy zobaczył, że pan Belville zajmuje miejsce prezesa w sądzie wojennym. Ten człowiek był widocznie pod każdym względem bezwładnym narzędziem swojej kochanki. Było tylko pociechą dla

biednego więźnia, iż niezauważył nigdzie dumnej Junony. Było to jednak ze strony mściwej Alwiny nie z braku złej woli że się w dali została; nie chciała tylko być świadkiem wyroku człowieka, któremu zaprzysięgła nieprzejednaną zemstę aż po za grób.

Pan Belville był to piękny, dobrze zbudowany mężczyzna około lat 30, ale widocznie dosyć zepsuty. Należał on do jednej z pierwszych rodzin z nowego Orleanu. Rodzice jego pochodzili z Francji, i chociaż on sam urodzony i wychowany został w nowej ojczyźnie niezapierał się prawdziwego francuza, tylko że przy tem łączył także w sobie wszystkie najgorsze przymioty prawdziwego barona niewolniczego. Pomimo swoich na pozór eleganckich ruchów i wdzięcznej powierzchowności, było to jednak pospolite, chciwe pieniądze zwierzę, które przed żadnym występkiem się nie cofnęło gdzie chodziło o zadowolenie próżności, rozkoszy zmysłowych i tak łatwo podrażnionej zemsty.

Pan Belville na krótko przed wybuchem wojny domowej zrobił znajomość w Nowym Orleanie z panną Eichenstamm. Poznała ona w tym człowieku najodpowiedniejsze narzędzie do swoich niecznych planów, i pan Belville, który wówczas właśnie ostatniego dolara swego przy zielonym stoliku stracił, przyklepił się ciałem i duszą do syreny, której młoda piękność zawróciła mu w głowie, i której niesłychany majątek, zapewniał mu świetną przyszłość. Alwina dała mu środki do rozporządzania, by zwerbował lekki oddział konnicy. Nie było to z powodów sympatyj dla sprawy Południa, lecz

z powodu silnego postanowienia, by w ten sposób w zmiennych kolejach wojny dostać w swą władzę mogła dziś lub jutro Schencenaua i jego dzieci. Żadna summa nie była dla niej za wielką, na opłacenie zręcznego szpiega, któryby zawsze ją uwiadamiał o pobycie Schancenaua. Już po sto razy blizką była dostania go w moc swoją, ale zawsze ratował go, pomimo że tego nieprzeczuwał, szczęśliwy przypadek przed jego zawziętą nieprzejednaną nieprzyjaciółką, aż nakoniec po 7-o dniówej walce pod Richmond zdarzyła się tak gorąco upragniona sposobność.

Pan Belville otworzył posiedzenie Sądu Wojennego przesłuchaniem trzech świadków jego własnego wojska, którzy zaprzysięgli, że oni tu stojącego człowieka w nocy z 1-o na 2-o Lipca w czasie wycieczki przed szanćami schwytali i w jego kieszeniach znaleźli szkice fortec, i inne wiadomości o stanie i siłach sprzymierzonego wojska.

Z oburzeniem naturalnie Schancenau uznał to świadectwo za krzywo przysięstwo. Ale to skutkowało tak mało jak pełne prawdy podanie jego przymiotu jako Pułkownika Unii i okoliczności wśród których dostał się do więzienia.

Nie pozwolono mu ani razu do końca mówić; Belville dał rozkaz, by odprowadzono zupełnie zeznaniami świadków przechowanego szpiega. Wyrok sądu wojennego nastąpił wkrótce. Brzmiał on na śmierć przez powieszenie, a wykonanie go ze szczególnej łaski miało mieć miejsce dopiero o zachodzie słońca zewnątrz szan-

ców w pobliżkiem zagajniku. To odwleczenie wyraźnie było żądane przez okrutną Alwinę. Ofiara jęj musiała wycierpieć tylo godzinne męczarnie obawy śmierci.

Więzień został wzięty przez oddział piechoty i zaprowadzony do próżnego oficerskiego baraku, w pobliżkiej reducie; ta reduta, od czasu jak się cofnęły pobite unionistowskie wojska, była bez załogi, z wyjątkiem kilku artylerzystów, którzy czyścili działa i strzegli znacznych zapasów żywności.

Mały oddział, któremu Schancenau został oddany, dowodzony był przez młodego oficera. Skazanym wolno było sprowadzać duchownych z miasta i raczyć się dowolnie jadłem i pićiem, o ile co do tego ostatniego obóz był w możności dostatecznie zadowolnić.

Schancenau zamówił sobie duchownego na godziny po południowe; co zaś do jego potrzeb ciała, zadowolnić się troszką rumu i wody, by zwilgocić wysuszone gardło. Dziękował młodemu oficerowi, który się zdawał być człowiekiem bardzo wykształconym i uczuciowym i który bardzo serdecznie zgodził się na zanesioną do niego prośbę, by zostawił więźnia jakiś czas w spokoju.

Oficer cofnął się przed drzwiami małego baraku i zajął miejsce na polnem krześle.

Schancenau mimowolnie rozpoczął z sobą przytłumionym głosem monolog o rozpaczliwym swoim położeniu. Głos jego był coraz głośniejszy i nawet sam niewiedział, że oficer przed barakiem może rozumieć każde słowo.

— Ach, zawołał Schancenau, za ledwo 40, lat wieku

i już mam udawać się do zagadkowej przyszłości! Na Boga! nigdy nie drżałem przed śmiercią, ale dzisiaj, straszno mi się robi na myśl o rodzaju i sposobie śmierci jaką muszę umierać. Wszech potężny Ojczy Niebieski! czyż niema żadnego ratunku przed tą hańbą? Ach, gdyby tu był „brat“ w bliskości, któryby mi zamknął oczy i pomyślał o moim pogrzebie! Nacóż im się teraz zdadzą znaki naszego związku? Na co się przyda gdy ja w nieskończonej obawie mojej duszy ręce w ten sposób na mojej głowie krzyżuję i wołam:....

Schancenau w samej rzeczy wydał mimowolnie wezwanie pomocy wolno-mularskiej.

Jak zelektryzowany porwał się młody oficer z siedzenia, roztworzył drzwi i zawołał: „pan nie umrzesz mój bracie“!

Schancenau zdziwiony wpatrywał się w młodego człowieka, odpowiedział jednak na jego wolno-mularskie ściśnienie ręki. Kilka innych znaków i słów przekonało, że stali obok siebie dwaj członkowie wielkiego po całym świecie rozszerzonego braterskiego związku.

Za nim dalej przedstawimy skutki tej sceny poznania, musimy zapoznać trochę naszych czytelników z owymi znakami niebezpieczeństwa, któremi się posługują wolno-mularze w wielkim i nagłym niebezpieczeństwie życia, by znaleźli ratunek z ręki braterskiej. Te znaki działały szczególnie dobroczynnie w czasie wojennym, i często najzawziętszego nieprzyjaciela rozbijały. Od czasu powstania i rozszerzenia się wolno-mularstwa, znaki te w wojnach przeszłego i bieżącego

stulecia okazały się zbawiennymi, i często przynosiły najniespodziewańszą pomoc. Opowiemy tu kilka rzeczywistych historyj, które powinny być interesujące dla ogółu czytelników.

Skoro młody oficer, który się nazywał *Edward Actinson*, i należał do jednéj z pierwszorzędných rodzin w nowym Orleanie, w prostych ale serdecznych wyrazach objawił swoją radość, że szczególne zdarzenie dało mu sposobność uratować „brata“, rzekł:

— Usiądźmy sobie— opowiedz mi pan w krótkich zarysach dzieje swojego życia, a potem naradziwszy się, w jaki sposób najlepiej może być zapewniony pański ratunek.

Schancenau bez ociągania się i namysłu, zgodził się na opowiadanie najważniejszych momentów swego życia. Opowiadanie jego było przerywane kilkakrotnie przez okrzyki zdziwienia i oburzenia ze strony Actinsona, kiedy więzień zaczął mówić o swoim wyroku w Wiedniu, i o tajemnych działaniach dumnej Junony. Kiedy wreszcie Chancenau skończył swoje opowiadanie, młody oficer napisał spiesźnie karteczkę do swego pułkownika, którego nie jako przełożonego, ale jako wolno-mularza zaklinał na jego przysięgę braterską, by się zaraz ukazał w reducie; — listek został wysłany zaraz do miasta przez konnego posłańca do kwatery pułkownika Hamiltona. Nim pół godziny upłynęło, przybył wezwany w wytężonym galopie. Zostawił na stronie najważniejsze interesa, byle tylko zadość uczynić powołaniu się na braterski obowiązek.

Kilka słów Actinsona wystarczyły, by swego pułkownika za ratunek więźnia uwolnić od zarówno hańbiącej jak nie zasłużonej śmierci.

Schancenau zaczął nabierać nadziei. Hamilton zaczął z nim długą rozmowę, przy końcu której pułkownik dał słowo, iż wszystkich możliwych środków użyje by uratować zagrożonego „brata“.

Pułkownik Hamilton kazał podać kilka butelek wina i zimną przekąskę, i zaprosił młodego oficera Schancenaua, by zwałiwiej rozmawiali. Z obudzoną powtórnie nadzieją powrócił skazanemu i apetyt.

Okolo 4-ój po południu pożegnał się nakoniec pułkownik, umówiwszy się poprzednio z porucznikiem Actinsonem.

Kiedy słońce skłaniało się ku zachodowi, Actin-son kazał swoim ludziom wybierać się w drogę, i zawiadomił Schancenaua, że ma się wybierać z eskortą do małej blizkiej wysepki, którą tworzył *James River* niedaleko zewnętrznego oszańcowania, i żeby pozornie okazywał zdanie się zupełne na los.

Przybywszy na wyspę, miał stosownie do umowy przyjść piśmienny rozkaz pułkownika Hamiltona, który nie tylko zakazywał kaźni, ale nawet dawał więźniowi zupełną wolność. Hamilton brał wprawdzie za to ciężką na siebie odpowiedzialność, ale podobne właskawienia miały przecież miejsce bardzo często we własnym interesie partyi, kiedy skazany szpieg w ostatniej chwili ma ważne rzeczy do powiedzenia, i szczególniej ważnej przysługi można się od niego spodziewać.



W najgorszym razie mogła spotkać za to pułkownika surowa nagana.

Pułkownik dotrzymał punktualnie słowa. Na wyspie gdzie miało nastąpić wykonanie wyroku, czekał już adjutant Hamiltona ze wspomnianym piśmiennym rozkazem.

Actinson pospieszył się, by uratowanemu bratu w obec swojej załogi, głośno odczytać miłą wiadomość, i wydać mu jednocześnie paszport przy rozkazie pułku.

Schancenau schwycił wzruszony zacnego młodego człowieka w swoje objęcia, i chciał się oddalić, objawwszy pułkownikowi pozdrowienia i podziękowania.

— Co to ma znaczyć? zawołał nagle w bliskości jakiś zmęczony głos.

Actinson i Chancenau, którzy się właśnie po raz ostatni po bratersku żegnali, spojrzeli się w około siebie zdziwieni.

Pułkownik Belville, mając tuż za sobą „dumną Junonę“ zatrzymali swoje parskające rumaki. Około 40-u ludzi Belvilla doskoczyli w pełnym galopie.

— Więzień jest ulaskawiony i wolny! odrzekł z mocą młody oficer, i pokazał na rozkaz w swoich rękach.

— Ulaskawiony i wolny! powtórzył Belville szyderczym tonem, kto dał to rozporządzenie, kogo mam oto zapytać?

— Mój pułkownik, którego muszę słuchać dosłownie, — rzekł spokojnie porucznik Actinson.

— Ale jeszcze więcej, mój panie poruczniku, zawołał Belville sarkastycznie, ale jeszcze więcej jak swego puł-

kownika, powinienes pan sluchac naczelnego dowodzcy całej armii. Czytaj pan, kochany mój Actinsonie!

Porucznikowi zaćmiło się w oczach, skoro przeczytał rozkaz generała Lee, że stracenie schwytanego szpiega ma się odbyć pod okiem i dowództwem pułkownika Belvilla.

Chwytajcie skazanego i wieszajcie go! zawołał Belville na swoich ludzi, którzy dotąd tuż przy nim stali.

Dwaj żołnierze skoczyli ze swych koni i chcieli schwycić Schancenaua.

— Z drogi! zawołał porucznik Actinson, wywijając szablą, z drogi, albo...

— Oho! Nieposłuszeństwo! zawołał Belville rozniewany, czekaj hultaju! nauczę ja cię posłuszeństwa!

Ta pogróżka dowódcy powstańców nie była próżną. Żołnierze jego trzy razy silniejsi od eskorty piechoty, którą Actinson dowodził, musiała wkrótce w bitwie stanąć zwycięzko.

Niemniej jednak dzielny porucznik był zdecydowany, na nierówną walkę. — Gotój się do uciezki mój bracie! szepnął do Schancenaua, będę walczyć aż do ostatniego człowieka.

— Nie, nie, odrzekł Schancenau stanowczo, nie będę jak tchórz uciekać, kiedy waleczni mężowie za mnie walczą. Ach! czemuż jestem bezbronny!

Ostatniemu złemu wszakże wkrótce zaradzono. Wspomnieni dwaj jeźdźcy Belvilla, rzucili się na dany znak do Schancenaua. Ten jednak przewalił obydwóch

na ziemię, i w jednej chwili zdobył szablę i rewolwer jednego z nich. Dano znak do zaciętej walki. Actin-son zakomenderował ognia, i padło kilku ludzi Belvilla. Piechota nie miała czem już po raz drugi nabić broni. Musiała swoim przeciwnikom, którzy całą siłą na nią nacierali, bronić się bagnetami. — Powstała straszna, zacięta rąbanina. „Dumna Junona“, chociaż nie wprost, brała udział w walce, zachęcała konnicę słowem i obietnicami. Dawała 10,000 dolarów nagrody temu, kto jęj dostarczy żywego Schancenaua. Ten warunek uratował prawdopodobnie małej garstce życie, która, gdyby jezdni powstańcy mieli w ręku jęj broń, w kilku minutach byłaby rozproszoną.

Chciwa zemsty kobieta nie chciała się widzieć pozbawioną przyjemności stracenia z zimnym okrucieństwem znienawidzonego Schancenaua.

Piechota utworzyła kwadrat, w srodku którego znajdował się porucznik i Schancenau. Z mistrzowską taktyką i godną podziwu zimną krwią, cofał się mały oddział ścieśniony krok za krokiem do brzegu.

Walka na wyspie zwróciła uwagę oficera artylerji na wprost leżącej reduty. Na szczęście oficer ten był blizkim kuzynem Actinsona, i kiedy spostrzegł wielki kłopot młodego porucznika, niedługo się namyslał. Kazał haubicę nabić kartaczami i skierował działo własnoręcznie na konnicę powstańczą. W chwili kiedy Belville dawał rozkaz atakowania, z rozpuszczonemi cugłami, zakomenderowano w reducie „pal!“. Strzał był dobrze wymierzony.

Przeszło 20 konnych padło, wraz ze swemi rumakami, pomiędzy niemi także Belville, któremu kula karcaczowa strzaskała czaszkę.

Actinson rozkazał nabić na nowo; nie było już jednak potrzeby. Zanim przygotowali się do drugiego wystrzału, reszta przeciwników znikła bez śladu. Nie mieli oni ochoty narażać się na drugie podobne powitanie.

— Dalej, dalej! nalegał Actinson na Schancenaua, który posępnym okiem śledził za dumną Junoną. Jeszcze zdaleka podnosiła Alwina ku niemu groźną prawicę; jechała ona ostatnia za swemi ludźmi, którzy przejęci wielkim strachem nie dali się namówić, ani jej prośbami, ani obietnicami, by raz jeszcze rozpocząć walkę.

Jeden żołnierz z piechoty schwytał na rozkaz Actinsona konia bez jeźdźca. Przypadkowo był to wyborny rumak zabitego Belvilla. Z lekkim sercem wskoczył Schancenau na siodło i po raz ostatni uściskawszy na pożegnanie rękę zacnego Actinsona, pojechał w pełnym galopie. Z paszportem Hamiltona w kieszeni, mógł się spodziewać, iż bez żadnego przypadku dostanie się za kilka godzin między forpoczty związkowych.

## VII.

### Na jeziorze genewskim.

Po nad wszelki opis okropne było położenie biednej, przez niegodziwego Izydora w tak nikczemny sposób opuszczonej Fryderyki. Każdej chwili spodzie-

wała się pomocy, sprowadzonej przez ojca jęj dziecięciu. — Ale jak wiemy próżną była jęj nadzieja. Skoro nakoniec godzina upłynęła, przyłączyła się do jęj rozpacznego położenia jeszcze obawa, że Izydora spotkać mogło jakieś nieszczęście, że może wpadł w ręce swoich nieprzyjaciół, i ci po raz drugi wykonali na nim okrutny wyrok tajemnego sądu. Że nikczemny człowiek mógł być wstanie opuścić ją z prostęj bojaźni i chęci zysku, o tém szlachetna istota ani na chwilę nie pomysłała.

Nakoniec powiła nieszczęśliwa dzieciętko; lecz dziecko było nieżywe. Nowa niewypowiedziana boleść dla Fryderyki, w jęj prawdziwie rozpacznym położeniu. Sify ją zupełnie opuściły. Oparłszy głowę na twardym kancie trumny, i przycisnąwszy konwulsyjnie obiema rękami nieżywe dziecię do swęj piersi, straciła wreszcie przytomność. Powoli zapadła w sklepieniach głęboła ciemność. Fryderyka nie miała już siły zastąpić spaloną świecę woskową przez drugą i ostatnią, jaką jeszcze miała przy sobie. Ciemność ośmieliła legjony szczurów, które massami znajdowały się w tych podziemnych przestrzeniach i na chwilę spłoszyły się niezwykłym dla nich światłem, do opuszczenia swych kryjówek. Coraz liczniej i śmielęj zbliżali się nieproszeni goście, by zobaczyć kto się ośmiela przeszkadzać im w ich zwykłych czynnościach. Starsze z nich ośmieliły się nawet podleżeć do bezwładnej i obwachać nieżywe dziecię, które zdawało się pobudzać ich apetyt. Lodowe ślizkie nogi gryzących, które coraz zuchwałęj

gospodarować zaczęły, przyprowadziły Fryderykę nieco do przytomności. Przerazenie i wstręt jaki uczuła kiedy widziała się zagrożoną wraz z dziecieniem w głębokiej ciemności, od szkaradnych stworzeń, skłoniły ją do rozpaczliwego wysiłku. Porwała się z ziemi i głośno krzyknęła o pomoc. Ale któż mógł ją słyszeć w tem strasznem miejscu, głęboko pod powierzchnią ziemi, w tém ustroniu śmierci, i zniszczenia!

Kilkakrotnie zraniła sobie czoło Fryderyka o wilgotne ściany, macając bez światła, a ze strachu nie mogąc wyrachować środka wąskiego korytarza!

— Pomocy! na miłość Boską pomocy! wołała nieszczęśliwa coraz bardziej słabnącym głosem. Nogi zaczęły jęć odmawiać usługi, musiała się oprzeć o ścianę, jednak swoje umarłe dziecko przyciskała jeszcze silniej obiema rękami do piersi.

— Mój Boże, mój Boże, dla czego mnie opuścicieś, szeptała Fryderyka z ostatnim natężeniem opuszczających ją sił. Czowała, że kolana się pod nią uginają, i powoli zsunęła się pod ścianę na ziemię.

W chwili, kiedy jęć oczy miały się zamknąć, spostrzegła w pewnem oddaleniu promień światła. Widok ten dodał jęć nowęć odwagi.

— Pomocy, pomocy! zawołała na nowo ożywiona, tutaj, tutaj, Izydorze!

Ostatnie słowa przekonywają, że biedaczka ciągle jeszcze spodziewała się ratunku od nędznika, który w tęć chwili nie troszcząc się o ofiarę swojęć niegodzi-

wój huci, rozkosznie używał spoczynku w jednym z hoteli na drodze między Tortoną i Vercelli.

Fryderyka zdumiała, kiedy zamiast swego jedyne-  
nego kochanka, nagle zobaczyła przed sobą hrabiego  
Barberiniego i jego siostrę, w towarzystwie nadto kilku  
mężczyzn, między nimi i adwokata Zerlotti, który wska-  
zywał drogę z górnej powierzchni na dół.

Kiedy hrabianka ujrzała przyjacielskie twarze,  
wydała okrzyk radości, i w tejże chwili straciła przy-  
tomność. Schwytano ją na ręce, a ponieważ w pośpie-  
chu zapomniano noszów, więc położono zemdloną  
w trumnę, i tak zaniesiono ją do domu Zerlottiego.  
Sprowadzono natychmiast zaufaną akuszerkę i doktora,  
którzy oboje nie mogli popełnić żadnej niedyskrecyi.  
Zarówno doktor jak i akuszerka znaleźli stan Frydery-  
ki bardzo groźnym, a nawet niebezpiecznym. Wcale  
też tego nie ukrywali.

Rodzeństwo Barberini spoglądało niewiedząc co  
robić. Ich jedyną pociechą było, że doktor nie lękał  
się prędkiej katastrofy hrabianki, ale wyraził nadzieję,  
że jój życie jeszcze przez dni kilka, a nawet kilka  
tygodni może się przedłużyć, chociaż o wyzdrowieniu  
nie było mowy.

Po kilku godzinach Fryderyka znów przyszła do  
przytomności. Jój pierwsza myśl była o dziecku, któ-  
re złożono na marach niedaleko jój łózka, druga o jego  
ojcu. Rodzeństwo Barberini i doktor, którzy otaczali  
jój łóżko, dziwili się silnemu, a nawet prawdziwie bo-  
haterskiemu duchowi, jaki jeszcze ciągle ożywiał na-

wpół już obumarłe ciało biednej hrabianki. Usiłowa-  
no dodać jój odwagi, i ukryć przed nią niebezpieczeń-  
stwo jój stanu.

— Nie, nie! śmiała się zdecydowana Fryderyka, na-  
próżno zadajecie sobie trudy, by oszukiwać mnie w po-  
dobny sposób. Czuję to najlepiej, że już leży we mnie  
zarodek śmierci. — Tak, tak, ja umrę, ale jeszcze mam  
czasu dosyć, by raz jeszcze zobaczyć w tym życiu mego  
kochanego ojca. Mój kochany hrabio, mówiła dalej  
zwróciwszy się do Barberiniego, do pana mam teraz  
dwie prośby. Po pierwsze napisz pan zaraz do Szwecyi  
ale oględnie, oględnie, a potem, potem...

Ciężko chora ociągała się powiedzieć więcej, na  
jój śmiertelnie bladych policzkach zajaśniał przelotny  
rumieniec, jakby wstydziła się wystąpić ze swoją drugą  
prośbą. Nakoniec pokonała swój kłopot i szepnęła:  
Co się też z nim stać mogło? Jego także chciałabym  
widzieć jeszcze raz przed śmiercią!

Szlachetna dusza myślała o nędznym Izydorze,  
o którego nickszemności naturalnie nic jeszcze nie wie-  
działa.

— Może on znowu wpadł w ręce owych strasznych  
ludzi, którzy go żywcem pogrzebali? ciągnęła niespo-  
kojna po pewnej chwili.

Dopiero teraz zrozumiał Barberini, o kim hrabian-  
ka myślała. Zamienił kilka słów z cicha z Zerlottim. Ad-  
wokat, który był naczelnikiem mularzy - węglarzy w Tor-  
tonie i okolicy, stanowczo zaprzeczył, żeby młody zdraj-  
ca schwytyany został po swojej ucieczce z podziemnych



sklepień. Zresztą przyrzekł zarządzić ściśle poszukiwania, bez przeszkadzania wszakże zbiegowi. Ostatnie przyrzeczenie wprawdzie udzielił niechętnie, ale Barberini prosił go o tę łaskę imieniem Fryderyki ze złożonymi rękami.

Zdawało się, że hrabiankę przyrzeczenie to bardzo uspokoiło, i kiedy zażyła lekarstwo połączone z silną dawką opium, wpadła w długi letargiczny sen.

Kiedy się nakoniec obudziła, jój wstrząśnięte nerwy uspokoiły się nieco, lecz stan zdrowia pozostał tak samo bez nadziei.

Barberini przeczytał jój koncept listu, który już wysłał do hrabiego Roosvala. List ten donosił w bardzo delikatny sposób wiadomość o zbłądzeniu hrabianki z pięknym Izydorem i dalszych tego następstwach; następnie Barberini krótko i bardzo oględnie opisał zaszłe wypadki po odjeździe hrabiego, zakończając wzmianką, że przy rozwiązaniu hrabianki urodziło się nieżywe dziecko i młoda matka znajduje się w groźącym niebezpieczeństwem życia stanie i upragnionym byłby jak najrychlejszy przyjazd jego excellencji. O strasznych scenach w katakumbach Tortony, list naturalnie nic nie wspomniał, by dobrego hrabiego więcej nie zatrwazać, jakkolwiek między wierszami listu, wiele więcej czytać można było.

Jeszcze za nim dwie doby upłynęło, już adwokat Zerlotti dotrzymał danego słowa co do pięknego Izydora. Wszedł on z telegramem z Genewy w rękę; młody Goldstern znajdował się wedle téj wia-

domości w roszkosznie położonym nad jeziorem genewskim *Vevey*, gdzie, jak mówiła depesza, miał czas jakiś zabawić, gdyż jego zbyt nadwątłone zdrowie, wymagało użycia morskich kąpeli.

Hrabianka przeczytała kilkakrotnie i uważnie telegram; następnie prosiła by przywołano doktora, który się zaraz ukazał w towarzystwie Barberiniego.

Ci obadwaj panowie zdziwili się niepomalu, kiedy Fryderyka objawiła im stałe postanowienie, wyjechania do Genewy. Wszystkie przedstawienia doktora pozostały bez skutku. Dotąd tak łagodna Hrabianka zaczęła coraz bardziej się unosić, i to do tego stopnia, iżby niesprowadzić przedwczesnej katastrofy, musiano jęj przyrzec spełnienie jęj życzenia. Hrabianka między innemi kładła silny na to nacisk, że pobyt w Tortonie nadzwyczaj jest dla nięj przykrym i powiększa jęj cierpienia, gdyż tutaj wszystko jęj przypomina o okropnych wypadkach w podziemnych korytarzach.

Ten wstręt, który niestety był aż nazbyt usprawiedliwiony, zasługiwał istotnie na uwzględnienie, nawet z doktorskiego punktu zapatrywania się. Częścią koleją żelazną, częścią na noszach, gdyż na najkrótszjęj drodze między Tortoną i Genewą wówczas nie było jeszcze pociągów, przebyto dosyć szczęśliwie podróż w ciągu 5-u dni. Żelazna wola Fryderyki, która nad swoim schorzałym ciałem istotnie zadziwiająco panowała, wystawioną została na ciężką próbę, pomimo jednak niewypowiedzianych boleści nie zdradziła się najmniejszą miną, że cierpi, tak, że nawet towarzyszący jęj

doktór z Tortony do Genewy zupełnie został zawiedziony, i łudził się jeszcze zwodniczą nadzieją, iż można będzie uratować pacjentkę.

Hrabia Barberini i jego godna siostra Małgorzata czuwali dniem i nocą przy łóżku chorój, która z upragnieniem wyglądała przyjazdu swego ojca. Samo się przez się rozumie, że hrabia Roosval już z Tortony był uwiadomiony telegramem o podróży do Genewy, wiadomość, która dobremu człowiekowi brzmiała bardzo pocieszająco, i uspokoić, a raczej zwiesć go musiała, co do niebezpieczeństwa stanu jego córki.

Kiedy nasza karawana przybyła do Genewy, znalazła już tam telegram od hrabiego Roosvala, który zapowiadał przybycie swoje za dwa tygodnie dopiero, gdyż w téj chwili sam leżał w łóżku, i bez widocznego niebezpieczeństwa, nie mógł zaraz przedsięwziąć podróży.

Fryderyka wydała ciężkie westchnienie, kiedy się dowiedziała o téj zwłoce.

— Czy ja będę jeszcze żyć tak długo? szeptala smutno do siebie, czy otrzymam z ust mego ojca pocieszające słowo jego przebaczenia do zagadkowej przyszłości? Czy mi się uda wyblagać łaskę i dla niego, niewiernego tchórza, zdrajcy? Ach czyż powinnam myśleć jeszcze o Izydorze, który mnie w tak okropnym stanie niegodnie porzucił. Niestety, moja sympatya? Nie, pewnością nie, ale nie mogę inaczej, — nie jestem w możności wyrwać go z mego serca, gniewać się na niego, gdyż kochałam go kiedyś serdecznie, i lękam się, ale

kocham go jeszcze pomimo hańby, i zbezczeszczenia jakie mi zgotował, pomimo niesłychanych cierpień, jakie z jego powodu znoszę. Niechaj Bóg sędzi, czy moja stałość istotnie jest cnotą, czy — szaleństwem!

Fryderyka rzuciła łzawem okiem na małą, bogato srebrzem ozdobną trumnę, w której spoczywało jej nieżywo urodzone dziecko. Nie mogła się zdecydować, by małą istotkę zostawić chłodnej ziemi w Tortonie, zachowano więc ciało w trumience cynkowej, a tę włożono w drugą elegancką, bogato ozdobioną z drzewa hebanowego: Barberini dać jej musiał słowo honoru, że w razie gdyby umarła, dziecko zostanie z trumny wyjęte, i jej oddane między złożone ręce na piersi.

Chociaż tak bardzo pragnęła biedna hrabianka spotkać się z pięknym Izydorem, zapanowała jednak nad tém upragnionem życzeniem, gdy Barberini bardzo rozsądnie przypuszczał, że młody Goldstern prawdopodobnie przedsięweźmie ucieczkę, jak się tylko dowie w Vevéj o przyjeździe Fryderyki do Genewy. Z przeczności więc zachowano incognito, by młody Goldstern zawczasu nie zwąchał i nie *urządził nogi*, coby zniweczyło dobrze obmyślany plan Barberiniego. Dobry człowiek pragnął mianowicie, by Fryderyka w najgorszym razie choćby na łożu śmiertelnem podała rękę swemu uwodzicielowi, i przez to do pewnego stopnia rehabilitowała swój honor; powtóre sądził, iż przez to także staremu Goldsternowi wyświadczy wielką usługę. Powiadamy wyraźnie, *sądził* tak, gdyż zupełnie mu nie było wiadomém, że bankier wcale nie był powiadomio-

nym o pierwszym owocu jego związku z bezwstydną Zuzanną. Przez ten związek w ostatniej chwili, piękny Izydor byłby odpowiednio do przyrzeczeń familii Roosval, pozyskał prawo do hrabiowskiego tytułu. Stan Fryderyki już w kilka dni po przybyciu do Genewy tak się polepszył, że z hotelu *des Bergues*, leżącego tuż po nad jeziorem, w którym nasi podróżni stanęli kwaterą, podczas zupełnej ciszy w umyślnie z wszelkimi wygodami opatrzonej łódce przedsiębrać mogła kilkogodzinne przejażdżki.

Chociaż biedna hrabianka z każdym dniem bardziej spadała z ciała, tak że jej dawniej dość chude ciało, teraz wyschło zupełnie jak skielec, była jednak jak na swój stan dosyć wesołą. Ojciec jej donosił ostatnim telegramem, że już przedsięwziął podróż do Szwajcarji, a Izydor, jak donieśli czuwający nad jego krokami, pędził chwile bardzo wesoło w blizkiem Vevey. Z gotówką musiał już być przy końcu, gdyż powoli już zaczął zbywać kosztowności hrabianki; Barberini jednak czuwał nad tém, by ze wszystkich tych kosztowności, które dla Rooswala miały wartość familijną, nie zagięła ani jedna sztuka, bowiem te znowu z trzeciej ręki za dobrą zapłatą wracały do rąk Fryderyki, czem się szlachetna istota nadzwyczaj cieszyła.

Jeziro Genewskie zasługuje, żebyśmy się nim trochę bliżej zajęli.

Ren, ta wspaniała wprawdziwie rzeka, spada między dwoma wysokimi łańcuchami gór, które ciągną się ku zachodowi i południo-zachodowi, do doliny Wallis, gdzie zbiega się przeszło 80 strumyków. Następnie za-

gina się prawie zupełnie ku północy do Waadtland i szumi, wązko ściśnięta przez olbrzymią bramę skalną, którą tworzy *Dent des Mordes* z leżącym na przeciwko *Dent du Midi*. Płaszczyzna, jaką Ren teraz od wallijskiej granicy, aż do swego ujścia w morze przebiega, jest na sześć godzin długa i bardzo szeroka. Podług wiatrów z gór już to płaszczyna posuwa się naprzód, już cofa się w tył, i tu natrafia na skały marmurowe, tam na winnice i lasy kasztanowe. Na środkowej wzniosłości góry ukazują się i znikają liczne wioski; nad temi wznoszą się ciemne lasy, potem zielone pastwiska i pojedyncze liczne chatki! Od Wallijskiej strony oko nie może się dość nasycić pięknnością formy, i wspaniałością gór, wdziękami ich zakrętów i żywnością ich najpiękniejszymi drzewami zacienionych wzgórków; cudowna nas zewsząd uderza piękność kolorów. Zdaje się jakby Alpy po to stworzone zostały, by godne zapewnić łożysko majestatycznej rzece, i przy jój zbliżeniu się do morza przyozdabiają się, by uczcić jój przybycie nową wielkością i nowym blaskiem. Na dwie odnogi podzielony, toczy się dalej Ren przez szeroką płaszczynę i wlewa nakoniec swoje szumiące i zamulone fale do Lemanu, jak go zwykli nazywać mieszkańcy z nad jeziora Genewskiego według nazwiska starożytnych Rzymian. *Lacus Lemanus*.

Jeśli pieniały się brudno-szarawy potok, i ciemno błękitne, krystaliczne fale jeziora, walczą przeciwko sobie, a jeszcze dołączy się do tego wiatr północny z Lemanu, wtedy podnoszą się bałwany i uderzają

o siebie z przodu i z boków tak, że zdaje się że walczą ze sobą dwa nieprzyjacielskie wojska. Jeśli się zdarzy że łódka płynie po wzburzonej przestrzeni, wtedy doznaje od silnych uderzeń gniewu bałwanów. Już na kwadrans od brzegu daje się czuć wzburzenie. Nakoniec spływa gwałtowna rzeka w błękitne odmęty, i potem dalej płynie przeszło przez 20 godzin wśród czystej i pięknej wody.

Morze obmywa stopy gór Jura i Alp, Sabaudyi i Szwajcarskiego kantonu Waadt; — pod Genewą rozszerza się znacznie między Evian i St. Sulpice. Objętość płaszczyzny wynosi  $11\frac{1}{2}$  geograficznych mil kw., a więc 2 mile kw. więcej jak na jeziorze Bodeńskim, które położone jest na 1225 stóp nad morzem, podczas gdy jezioro Lemańskie dosięga tylko 1154 stóp. Głębokość jeziora Genewskiego zmienia się między 500 i 1,000 stopami, z tą jednak prawidłowością, że podstawa tworzy wielki lejek, który w swoim z góry na dół zmniejszającym się obwodzie z węża się do  $1\frac{1}{2}$  godzin. Dno tego lejka leży nie o wiele niżej od powierzchni morza.

Stopień ciepła jeziora Lemańskiego, wynosi wysokości 150 stóp  $4\frac{1}{2}$  R<sup>o</sup>., jak to ma miejsce we wszystkich Szwajcarskich jeziorach, i ten stopień ciepła pozostaje ciągle jednakowy, latem i zimą. W latach 762 i 805 jezioro genewskie miało zamarznąć, który to wypadek od tego czasu się nie powtórzył.

Stan wysokości wody jeziora jest w każdej porze roku, a nawet z dnia na dzień rozmaity. Obrachowa-

no, że płaszczyzna wody w lecie wynosi o 56 milionów stóp kubicznych więcej jak w zimie. Czas najwyższej wody przypada pospolicie w środku Sierpnia; przyływ zależy prawie zupełnie od Renu i od roztopu śniegów w Alpach. Niekiedy zdarza się, iż w jednym dniu kilka razy podnosi się i obniża.

Często tu powstają także trąby morskie; przy gorącym powietrzu ukazuje się nagle na jednym punkcie jeziora chmurka, która się lejkowato zniża na powierzchnię wody, i w szybkim silnym obrocie wzlatuje w górę. Dalej powstają na jeziorze genewskim prądy wody (Ladieres), które czasami są tak silne, że sternicy napróżno przeciwko nim walczą, idąc zupełnie w innych kierunkach. Powstają one z podziemnych przyływów wody, które jeziorowi letnią porą trzecią część zimową połowę masy wody sprowadzają, którą on znów w swoim odpływie traci.

Jakkolwiek jezioro Lemańskie jest daleko mniej obfite w ryby jak wszystkie inne szwajcarskie jeziora, posiada jednak 21 gatunków ryb, z pomiędzy których szczególnie się wyróżniają łosoś dziki (*Salmoera*) i pstrągi morskie (*Salmo lacustris*). Z pomiędzy ptaków, zamieszkujących brzegi morskie, spotyka się rozmaite rodzaje mew, nurków i kaczek. W zimie, dają się widzieć także masy łabędzi, a co do przelotnych dzikich gęsi, to tych pewnie żaden kraj tyle nie widzi co ich jest tutaj.

Rozmaitym wiatrom, które na jeziorze panują, marynarze dali szczególne nazwy. *Bize* lub wiatr półno-



eno-wschodni huczy głośno powstając we wschodniej, a nigdy zachodniej części Lemanu. *Baudaire*, który pochodzi z Wallis, nie daje się czuć na wodach małych. Ten silny wiatr podnosi często bałwany do bardzo znacznej wysokości, i często nawet obala domy. Najstraszniejszym ze wszystkich jednak jest *Bornand*, który zrywa się nagle i niespodzianie, z Sabaudzkich wąwozów. *Joran* wieje z gór Jura. Wiatr genewski (od południa), sprowadza deszcz. *Rebat* jest wiatr łagodny, który w letniej porze wieje w południe. Jeszcze inny wiatr z południa, *Sechard* — wysuszacz — który objaśnia się już samém swoim nazwiskiem. Wszystkie te wiatry panują często jednocześnie na jeziorze, i tworzą burzę. 1 Lipca 1841 r. fale były tak gwałtowne, że 6,000 funtów wazący pień kamienny z miejsca podniosły, i przerzuciły o sążen dalej. Zwykle jednak burze trwają nie długo na Lemańskim jeziorze.

Mnóstwo łódek i małych statków ożywia powierzchnię wody. Od czasu zaprowadzenia parowców, pomiędzy głównymi miejscami jeziora jest codzienna regularna komunikacya w r. 1823 wybudował amerykanin, nazwiskiem *Church*, pierwszy statek parowy „*Wilhelm Tell*“; również całe jezioro obwiedzione jest koleją żelazną jak przepaską.

Genewa, licząca przeszło 40,000 mieszkańców, jest magnetycznym punktem atrakcyi, właściwym punktem środkowym dla całego życia podróznego, handlowego i przemysłowego, jakie się nad jeziorem Lemańskim porusza, a także dla sztuk i umiejętności, południo-

wo-zachodniej Szwajcaryi. Genewa jest niezaprzeczenie, pierwszym i najbogatszym miastem w Szwajcaryi, i pomimo swój skromnej rozciągłości, nosi charakter prawdziwej stolicy. Jój wspaniałe położenie na obydwóch brzegach Renu, z widokami, jakie mało europejskich stolic przedstawia, wygoda i elegancya przy wszelkich nadto duchowych środkach dla podróżnych, sprawiają, że corocznie ściąga w jój mury 20 do 25 tysięcy cudzoziemców. Jako plac handlowy i przemysłowy, Genewa jest miastem europejskiem, a głównie słynna ze swoich fabryk zegarków, i biżuteryi. Jak zamarłe wskazuje się przeciwnie małe miasteczko Konstancya, które kiedyś jako miasto wolne, państwa, liczyło do 40,000 mieszkańców, gdy teraz ma ich tylko 7,500.

Często, a szczególnie w najnowszych czasach opiewano i przedstawiano w poezyi obraz jeziora genewskiego, jego brzegów i jego amfiteatra. „Ocean“, powiada *Bouffler*, odwiedził pewnego razu tę dolinę, i tak się wniej zakochał, że zostawił jój swój obraz. „Jest coś pięknego w kraju, powiada *Pezay*, gdzie nie ma wcale ogrodów, gdyż on sam jest jednym wielkim ogrodem“. I rzeczywiście jezioro genewskie łączy w sobie wielkość szerokiej płaszczyzny wody, z pięknymi pejzażami brzegów jezior włoskich, i bogatą kulturą brzegów jeziora Zurich, gdyż leży wśród najpiękniejszych obrazów gór alpejskich, i walczy o lepsze z jeziorem Vier w Aldstädter.

Byron, Lamartine i Wiktor Hugo spiewali na pochwałę cudownego Lemanu, ale któż zdołał by przed-

stawić całą potęgę obrazu? Kto przedstawi czysty koloryt morza, piękność jego załamek, śmiałość, wielkość i harmonię jego brzegów? Kto odda słowami wrażenie, jakie wywoła w nim widok Alp Sabaudzkich z wierzchołkiem Montblanc? A potem ta niezmiernie uderzająca różnica między obydwojma brzegami! Na jednym, mianowicie od strony Szwajcaryi, spokój, na drugim, od strony francuzkiej, hałaśliwe wrzące życie; tu protestantyzm i państwo wolne, tam katolicki obskurantyzm; w Szwajcaryi bogactwo, przemysł, postęp, przeciwnie w Sabaudyi ubóstwo duchowe i moralne zacofanie.

Głęboko poetyczna dusza Fryderyki wciągała w siebie pełnemi, chciwemi piersiami piękności téj natury. Dotychczasowy ból konwulsyjny jój tyle razy doświadczonego serca rozchodził się coraz to bardziej w łagodny, ekstatyczny niemal smutek, który całą cierpkość odrzuciwszy, oszlifował wszystkie ostre kandy goryczy. Jeździła łódką wieczorami po falach przecznej wody, nucąc sobie żalosne pieśni, które były dla biedaczki śpiewem łabędzia, pożegnaniem jeziora Genewskiego, którego widokiem później już mogła się tylko cieszyć z okna swego pokoju. Jój osłabienie tak dalece się powiększyło, że już nie mogła nawet znieść przeniesienia do łódki i jój ruchu kołyszącego.

Z upragnieniem wyglądała teraz Fryderyka przybycia swego drogiego ojca. Świadoma swego stanu, obawiała się, że śmierć może ją zaskoczyć zanim ujrzy po raz ostatni szlachetne rysy godnego pożałowania

hrabiego Roosvala i zapewni wiarołomnemu Izydorowi przebaczenie swoje, jako prawdziwa chrześciana. — Jedynie w najgorszym razie chciała przyzwać swego jedynego kochanka z Vevey do Genewy przed przybyciem swego ojca; stanowczo była zdecydowana zrobić z siebie dobrowolną ofiarę, w razie gdyby ojciec jęj chciał się temu sprzeciwić.

Nakoniec siedmnastego dnia pobytu hrabianki w Genewie, przybył telegram z Monachium, którym Roosval zapowiadał zamierzone przybycie swoje do Genewy. Barberini udał się zaraz do Zürichu, dokąd go wzywał Roosval, by już podczas podróży dowiedzieć się tak o stanie zdrowia Fryderyki, jak i o niektórych niejasnych ustępach w Barberiniego dotychczasowych listach.

Zacny hrabia wybuchnął głośnym jękiem boleści i łkaniami, kiedy się zwolna z własnych ust Barberiniego dowiedział o doniosłości niebezpieczeństwa, jakie groziło jego jedynemu, nad wszystko ukochanemu dziecku. Dotychczas wiedział tylko, że Fryderyka zblądziła, że porodziła nieżywe dziecko, i że powstała choroba wymagać będzie pewno dłużej i niebezpiecznej kuracji; dalej znalazł on po wszystkim co zaszło, projekt Barberiniego piśmiennie mu objawiony, bardzo naturalnym, to jest, by zaraz po swoim przybyciu do Genewy zaślubić hrabiankę z Izydorem, przyczem jednak musimy zauważyć, że Barberini przezornie zamilczał o haniebnęj niewdzięczności młodego Goldsterna, gdyż Roosval, gdyby się był dowiedział o przygodzie w Tortonie, w słu-

sznem oburzeniu pewnie byłby go własnoręcznie zamordował.

Hrabia zgodził się więc na propozycję Barberiniego, by zajechać do Vevey i znieścacka zaskoczywszy tam czujnie pilnowanego młodego Goldsterna, skłonić w dobry sposób lub przemocą do wspólnej podróży do Genewy.

Piękny Izydor uczuł się blizkim omdlenia, kiedy zupełnie niespodzianie ujrzał przed sobą hrabiego Roosvala. Barberini, który się wraz z hrabią znajdował, był mu osobiście nieznany. — W swoim przestrachu uważał go za jakiegoś agenta z policyi bezpieczeństwa publicznego. — Owładnięty więc tą myślą, wyjąkał zgodzenie się, że pojedzie z dwoma panami do Genewy. Sądził, że opór na nic się nie przyda, gdy przeciwnie uległość złagodzić może los jego. — Podczas całej, jakkolwiek dość krótkiej podróży z Vevey do Genewy, nie zamieniono ani jednego słowa. Hrabia zajął cały oddzielny *coupé*. Wystraszony i blady jak chusta wcisnął się w sam kąt młody Goldstern. Spodziewał się, że za przybyciem do Genewy będzie oddany w ręce żandarmów i odprowadzony do więzienia, by usprawiedliwić się z niecnego postępku z hrabianką Roosval. Czy Fryderyka żyje i jesli tak, co się z nią stało, o tem nic nie wiedział niegodny chłopak. W swój szalonej lekkomyślności nie zadał sobie ani razu trudu, by się o tem dowiedzieć, zawsze będąc pewnym, że Fryderyka znaleźć musiała śmierć w katakumbach Tertony.

Młody więc Goldstern zadziwił się niepomalu, gdy hrabia sam wysiadł z najętego powozu, który zawiózł trzech mężczyzn z banhofu w Genewie do hotelu „*des Bergues*“ i zostawił go w ekwipażu pod strażą Barberiniego. Upłynęła prawie cała godzina, zanim hrabia Roosval powrócił. Jego mocno zaczerwienione oczy dowodziły, że musiał wylać wiele łez. Na pozór jednak zdawał się być spokojny i poważny jak zawsze. W kilku krótkich słowach poprosił młodego Goldsterna, by za nim poszedł.

Drżący wysiadł piękny Izydor z powozu, gdyż jeszcze nic nie przeczuwał, co hrabia z nim chce zrobić.

Roosval ujął silnie młodego Goldsterna pod lewe ramię, i zaprowadził go na pierwsze piętro. Służący otworzył kłaniając się drzwi pokoju, którego jedno okno wychodziło na jezioro, drugie na aleję spacerową. Niedaleko ostatniego stało posłanie obciążone oslepiająco białym płótnem; było to śmiertelne łożo biednej Fryderyki.

Młody Goldstern czuł, iż odchodzi od zmysłów, kiedy zobaczył nieszczęśliwą ofiarę swojego uwiedzenia i swego nieludzkiego obejścia się. — Tchórzliwy chłopak chciał się zwrócić w bok i czekać. Ale Roosval uchwycił go silnie żelazną dłonią, wskazał ręką na umierającą i rzekł:

— Spójrz, to jest twoje dzieło!

— Przebaczam ci z całego serca! wymówiła Fryderyka zaledwie dosłyszonym głosem.

— Zawdzięczaj prośbom mego drogiego dziecka!

ciągnął dalej hrabia Roosval drżącym głosem, że nie spełniam na tobie niegodziwcze strasznej kary. Fryderyka wszystko, wszystko mi powiedziała. Do tej chwili miałem zamiar ratować honor mego dziecka w oczach świata, przez ślub na łożu śmiertelnem, ale dla *własnego* honoru muszę teraz, kiedy znam całą twoją niegodziwość, odkryć ci całą zwierzęcość twego nیکczemnego charakteru, i jakkolwiek ciężko mi to przychodzi, odmówić muszę memu ukochanemu dziecku *ostatniego* życzenia. Idź, idź! Jesteś wolny, i nigdy nie staraj się mi naprzykrzać, kiedy będziesz w mojej bliskości. Idź, idź!

Piękny Lzydor nie kazał sobie tego dwa razy powtórzyć. Wybiegł z pokoju, nie spojrzawszy nawet na Fryderykę, cóż dopiero, żeby miał słowo pożegnania wymówić, do swojej umierającej ofiary.

W niewypowiedzianie ciężkiej boleści wykrzywiły się biednej hrabiance już niebieskiej barwy usta. Ten ostatni dowód nieczułości mężczyzny, którego aż do tej chwili chowała w swoim sercu, dobił ją do ostatka.

— Ojcie — ojcie — dyszała, wpadając w konwulsyjne drżenia, ojcie — pomocy, pomocy; powietrza, powietrza — duszę się.

Hrabia rzucił się do niej, i podniósł jej głowę nieco w górę, co zdawało się przyniosło cierpiącej pewną ulgę.

— Ojcie! wymówiła Fryderyka coraz bardziej omalającym głosem — miałaś słuszność, iż odmówiłaś memu ostatniemu — życzeniu — jego nieobchodził..... honor

Roosvala — dziękuję ci za to — pozdrów odemnie — matkę — jeszcze jeden — jeden pocałunek dla — niej, dobra — ona mi przebaczy — jak ty, ty mi przebaczasz, i Bóg, wielki Bóg — on także mnie łaskawie osądzi — bywaj zdrów, mój koniec blizki — do prędkiego, bardzo prędkiego zobaczenia tam — w górze — w górze — ah, jak mi dobrze — jakie piękne światło — światło — światło — wieczność jak śliczna, śliczna. ... śliczna....

Fryderyka opuściła swą głowę na prawe ramię hrabiego, który klęczał przy jej łóżku, i z niewypowiedzianym, lecz niemym bólem w sercu poznawał znaczenie téj chwili.

— Ona umarła, zawołał nagle odskakując, głosem pełnej rozpacz, tak ona, ona, moje jedyne, moje ukochane dziecko, ona umarła, umarła, umarła!

Następnie okrył tysiącem pocałunków uśmiechając się twarz Fryderyki, która tylko słodko marzyć się zdawała, aż dopiero głośnie łkanie kilku osób znowu go nieco przywróciły do przytomności. Barberini, jego siostra i służba dawno już byli weszli, i klęcząc, odmawiali z cicha modlitwy.

Roosval udał się teraz do swego pokoju, by sam na sam spokojnie pozostać ze swoją ciężką boleścią. Czuł on, że jego dziecko wypowiedziało prorocze słowa, kiedy żegnało go prędkim zobaczeniem się znowu.

Co do nieżywo urodzonego dziecka, życzenie Fryderyki, sumiennie zostało dopełnione. W trzy dni później odjeżdżał hrabia z Genewy do Szwecji z dwoma trupami, by takowe pochować w grobie familijnym Ro-



oswała, obok tego miejsca, gdzie już matka Fryderyki spoczywała, i gdzie on sam, ostatni potomek swego rodu, bardzo prędko spodziewał się spocząć snem sprawiedliwego, o co się serdecznie modlił, jak o największą łaskę.

## VIII.

### Uczta braterska.

Nowicyat starego Goldsterna dosięgnął swego końca. Bankier na zaręczenie Garibaldego w najlepszej formie został przyjęty na członka związku do prawdziwej loży wolno-mularskiej we Florencyi. Do chwili kiedy się znowu zajmiemy starym znajomym, mianowicie do większej połowy lata 1860 r. zaliczała go mała wyspa Kaprera ciągle do swoich mieszkańców. Sara i Paulina, podobnie dwom różom cudownym, coraz bardziej rozkwitając, rozplywały się w morzu rozkoszy, kiedy bowiem ich ukochany ojciec powrócił ze swjej krótkiej wycieczki do Florencyi do gościnnego przytułku *nieukoronowanego Króla Włoszech*, jakkolwiek nie bez ciężkiej wewnętrznej walki, objawił wszystkim obecnym na skromnej uczcie braterskiej wolno-mularskiego związku, jaką wyprawił Garibaldi na uroczystość przybycia jego na półwysep, iż udziela obecnie przyzwolenie swoje, na małżeństwo kuzynów Cerotti z jego córkami.

Garibaldi powitał wesołym toastem to postanowienie bankiera, powitał je jako jedno z najpiękniejszych zwycięstw wolno-mularstwa nad rozpowszechnionymi przesadami.

Przeciągle oklaski, jakie wywołała powyższa mowa i toast Garibaldegogo, zniewoliły generała, raz jeszcze wrócić do słowa, by bliżej nieco zastanowić się nad *pożytkiem wolno-mularskiego związku*.

Wśród głębokiej ciszy obecnych zaczął mówić następnie Garibaldi swoim dźwięcznym, możnaby powiedzieć melodyjnym głosem:

— Prawdziwe korzyści, jakie my wolno-mularze odnosimy z naszego związku, nie są materyalne; są one właśnie raczej duchowej natury, gdyż i pojęcie wolno-mularstwa jest przeważnie duchowe. Nasze istotne korzyści jako wolno-mularzy, członków wielkiego związku świata są: spokojne sumienie, wewnętrzne zadowolenie i słodkie przekonanie, iż spełniliśmy nasz obowiązek.— Dalszą korzyścią są węzły przyjaźni, jakimi łączą się z sobą szlachetni wolno-mularze i jakie obejmują całą zamieszkaną ziemię. Wolno-mularzowi, gdy tego potrzebuje, brat jego wszędzie przyjdzie z pomocą, a udzielać tę pomoc jest naszym obowiązkiem braterskim, o ile to naszych sił nie przechodzi.

Nie mogę tu przemilczeć o jednym zarzucie, jaki wolno-mularzowi tak chętnie robią ich nieprzyjaciele; mianowicie, że żyjemy szumnie i pieniądze nasze marnujemy ze szkodą naszych rodzin. Ale ten zarzut jest bezzasadny. Uczty, jakie my wolno-mularze wypra-

wiamy w chwilach uroczystych, nie są ani wystawniejsze ani kosztowniejsze jak te, jakie mewają miejsce w innych towarzystwach i u ludzi prywatnych, tém więcej, gdy żaden wolno-mularz nie jest obowiązany czy to w zwykłych okolicznościach, czy na uczty, więcej ofiarować, jak jego środki na to pozwalają.

Nakoniec jest mniemanie, że związek wolno-mularski jest bezpożyteczny i nie na czasie, że należy do przeszłości i jego zasady tak są wspólną własnością wszystkich ludzi, że towarzystwo jest zbyteczne do ich krzewienia i wykonywania. To czeze zdanie łatwo się jednak daje odeprzeć — każda idea, moi bracia, potrzebuje do swego przeprowadzenia połączenia się ludzi, podobnież i *idea wolno-mularstwa*, lub co na jedno wychodzi *ludzkości*. Chociażby te idee istniały, nawet gdyby nasz związek nie dopomagał do ich rozwoju, to one jednak by zawsze istniały, ale nie przeprowadzone, nie rozszerzone. Jest wprawdzie dużo związków i instytucyj, które również krzewią cele humanitarne, ale one *dążą tylko do jednego*, nie ogólnego całą ludzkość obejmującego celu; cele ich są tylko *powierzchowne* i nie dotyczą wnętrza współdziałających członków i ich *wzajemnych* czysto ludzkich stosunków. Mają one właśnie tylko *pojedyncze* ludzkie, ale nie *ogólne* cele ludzkości. Tylko *związek wolno-mularski* obejmuje *całą* ludzkość bez względu na wiarę i pochodzenie, tylko on *wykształca* jego członków do ludzkości, tylko on spaja węzły braterskie między obywatelami ziemi rozmaitych sfer ukształcenia. — Gdyby nasz związek był zbyteczny, to

nieprzyszedłby do takiego rozkwitu, i nie stanąłby na takim stopniu, na jakim obecnie stoi, nie liczyłby dawniej i teraz najznakomitszych uczonych, nie wydałby literatury, czego żaden inny związek nie posiada, nie pocieszyłby tak wielkich kół nieszczęśliwych, nie założyłby tak wielkiej massy instytucyj dobroczynnych; i niezrobiłby tak widocznego postępu w cywilizacji ludzkości; nie powstałyby dalej w każdym kraju, gdzie wolno-mularstwo po ucisku znowu odżyło, natychmiast łoże massami. Gdyby, jak często utrzymują, czas świetności związku wolno-mularskiego minął rzeczywiście, to by ten naturalnie upadał, podczas gdy jak statystyka może przekonać, uderzająco się powiększa. Tak, wypowiedzmy to z dumą, z zadowoleniem, że związek wolno-mularski poprawia coraz bardziej swoje dawniejsze błędy, nigdzie nie wpada w nowe, które by jego przyszłości zagrozić mogły, i jego duchowe siły wzrastają, gdyż ciągle mają w nim udział ludzie ukształceni i szlachetni. Tak, powiedzmy śmiało, związek wolno-mularski ma wielką przyszłość przed sobą i już dla tego samego nie może być zbyteczny, bezpożyteczny.

I w istocie, moi bracia, ciągnął dalej mówca coraz bardziej podniesionym głosem, do téj chwili już wolno-mularstwo w swéj obecnej uduchowionej postaci, z powodu swego ogólnego celu całej ludzkości, znalazło grunt i echo we wszystkich warstwach ludności, wszystkich cywilizowanych krajów. Czyż może to jednak nas dziwić? Czyż to nie idea ludzkości, która czasy dzisiejsze coraz potężniej owładać zaczyna?

Idea ludzkości, która w najodleglejszych czasach, gdzie się tylko ludzie sami o siebie troszczyli, była wcale nieznaną, jest dopiero słabym światłem u najwykształceńszych, najzacniejszego ludu starożytności, Helenów, gdzie mianowicie filozofowie tacy jak Sokrates ją przeczuwali. Ta idea nie mogła jednak przeniknąć w życie narodu, gdyż dla niego nie była jeszcze dojrzałą, ponieważ w ogóle Grecya nie znała jeszcze ludzi, tylko Greków i barbarzyńców, i obojczyli się z niewolnikami, którzy większą część zaludnienia stanowili, nadzwyczaj surowo. I Rzymianie, z bardzo małym wyjątkiem, nie znali ludzi, a tylko obywateli i poddanych Rzymu. Dopiero chrześcijaństwo, które prawdziwej demokracji ducha, i przez to indywidualnej wolności człowieka bez różnicy stanu i urodzenia nauczyło, wyrobiło ideę ludzkości; dopiero odtąd zaczynają ludzie jako ludzie się cenić, i granicę między pojedynczymi narodami znosić. Ale prawdziwa idea chrześcijaństwa przy nieukształconym stanie mas narodu, długo jeszcze się w zupełności nieureczywistniła. Dopiero w nowszych czasach, dopiero kiedy ludzie w skutek nowych wynalazków i odkryć, przedtem nieznanych dróg morskich, krajów i ziem, ze sobą się zbliżyli, wystąpiła możebność ureczywistnienia idei ludzkości i stanowienia związków ludzkości.

Ze wszystkiego tego wypływa, że związek wolnoludzi jest i musi być dzieckiem nowszych czasów, i że jego obowiązkiem jest, te nasze czasy godnie ucz-

cić, *ich dążeniami kierować*, a nie cofać się do owych czasów, *gdzie jeszcze żadnej ludzkości nieznano*.

Z powyż powiedzianego wypływa tedy, że wolno-mularstwo, jako *ogólny związek ludzkości*, jest nawet koniecznym. Pomędzy wszystkimi szlachetnymi, zdolnymi do zaparcia się siebie i życzącymi dobrze ludźmi, powstaje wewnętrzne powinowactwo; opierają się oni wszelkiej wyłączości, i chcieliby z każdym wstąpić *w związek miłości*, kto do tego skłonność czuje, podczas gdy wszystkie *ciasne* węzły profanów polegają na różności powołania, stanu, politycznych przekonań, narodowości i religii, i ztąd są *wyłącznemi*. Przeciwno wszystkim murom granicznym potrzebny jest związek, który *o ile można ma jednolitą formę*, który stoi po nad wszystkie te związki pojedyncze, szkodliwe z nich usuwa i łagodzi, co w nich jest przyczyną do nienawiści, pogardy i prześladowania. I taki związek związków, który *wszystkich dobrych ludzi* w imię równości i miłości braterskiej, to jest *ludzkości*, i w celu moralnego oddziaływania na innych, łączy w jedną rodzinę, jest — *związek wolno-mularski*. Zna on tylko jedność dla związkowej miłości. Pełne miłości uczucie i do dobrego dążąca wola są wybitnym charakterem wolno-mularstwa, silną neutralną podstawą, na której wszystkie stany i różnice znikają w dążności do poznania prawdy i wykonywania dobrego, i dla tego, moi bracia, dopiero przez ten wszystkich poróżnionych jednający związek wolno-mularstwa, ludzkość może speł-

nić swój obowiązek względem wszystkich religij, względem wszystkich narodów.

Kiedy się uspokoiły oklaski, jakie wywołała Garibaldegowa obrona wolno-mularstwa, prosił o głos jeden niemiecko-katolicki duchowny, który uniknął prześladowania od swego biskupa przez ucieczkę. Ojciec Schönbauer, tak się nazywał ksiądz, dawno już znienawidzony został przez swego duchownego zwierzchnika, za swobodne kazania i stanowczość, z jaką występował otwarcie w swojej parafji przeciwko działaniom jezuickich misjonarzy. Na nieszczęście doszło do wiadomości biskupa, że ojciec Schönbauer jest wolno-mularzem. Wieczne zamknięcie czekało kacerskiego kapłana, który się ośmielił, pomimo klątwy papieżkiej, przystąpić do „*wyklętego* związku wolno-mularzy.“ Schönbauer został jednak w porę ostrzeżony. Zamiast do Paderbornu pojechać, gdzie go najuprzejmiej powoływano, by go tam wsadzić bez śladu do jezuickiego klasztoru, uciekł do Rotterdamu, i przybył nakoniec po wielu przygodach na morzu na Kaprerę, gdzie mu Garibaldi ofiarował przytułek, dopóki się nie znajdzie jakiś pewny punkt oparcia dla tej ofiary klerykalnego despotyzmu.

Skoro kapłan skończył swe światłe może jednak nieco nazbyt abstrakcyjne wywody, syn Garibaldegowa, Menotti, prosił o zabranie głosu.

— Ja sędzę, zaczął skromnie młody człowiek, sędzę, że do tego światła, o którem mówił tylko co mój szanowny poprzednik, należy także trochę cienia, skoro się zdania przeciwne wzajemnie uzupełniają. Pozwalam

więc sobie zastanowió się w krótkości nad nauką i praktyką. Jezuitów przeciwstawiam prawdziwej nauce Jezusa, z góry zaznaczając, że księża przeszkodzili urzeczywistnieniu się pięknego, idealnego celu Jezusa, mianowicie sprowadzenia królestwa Bożego na ziemi.

— Zakon Jezuitów, bracia moi, według całej jego istoty i wszystkich jego dążeń, jest najzaciętszą reakcją przeciwko duchowi protestantyzmu. Ta zosadnicza dążność zakonu jezuitów, od czasu swego powitania, aż do dziś dnia, koniecznie miała za skutek, że największa jezuitów waga spoczywała właśnie na tych naukach, które protestantyzm odrzucał. W najgłębszej zasadzie, różnicą między odpadłym kościołem i katolicyzmem spoczywa na różnicy między Boskiem i ludzkim. Protestantyzm wyrabia sobie ideę Boskości, katolicyzm i jego poprzedni zapaśnicy ideę ludzkości. „Kiedy Protestantyzm do Boga jedyne go się zwraca, gdyż tam jest droga, prawda i życie, to jezuici nie znali i nie znają innego szczęścia nad to, jakie naucza duchowienstwo; kiedy protestantyzm naucza ogólnego kapłaństwa i wolności sumienia, to jezuici starają się przez naukę i dyscyplinę utrwalić na nowo dawną niewolę; kiedy nakoniec protestantyzm zaszczepia nowego ducha w ludy i z czystego źródła rozlewa pokrzepienie i zasiłek, gdy ludy skierowywa na nowe drogi i w życiu do postępu i do nieznanых dóbr prowadzi, to jezuici przywracają to co stare, zużyte i przeżyłe. Podobnie nową niebezpieczną doktrynę, która także z duchem protestantyzmu stoi w najzupełniejszej sprzeczności, zawdzięczamy jezui-



tom, mianowicie naukę o nieograniczonej doczesnej i wiecznej wszechwładzy katolickiego kościoła. Logika ich jest tu następująca: Między władzą papieżką i państwowemi rządami zachodzi wielka różnica. *Chry-stus* kościół (?) założył, i sam, póki żył, *monarchicznie* (!) rządził (?); kiedy zaś świat opuścił, powołał na swoich namiestników świętego Piotra i jego *następców* (?) i ich opatrzył taką samą nieograniczoną władzą jaką sam miał nad kościołem i każdą świecką zwierzchnością (?). *Lainez*, bezpośredni następca *Lojoli* i właściwy organizator zakonu jezuitów, z chytrym jezuitckim sofizmem wyyskał słowa Jezusa: Ty jesteś Piotrem i na téj opecie zbuduję kościół“, gdyż z tego wywodził absolutną władzę zwierzchnika kościoła, podobnież ze słów: *pas owce moje*, zbyt śmiało wywnioskował, że o udziale w rządzie, za *nierozsądne zwierzęta* uważanych, wiernych mowy byó nie może!— Dalej wyprowadzają jezuitci nawet władzę biskupią od papieżkiej stolicy, utrzymując, że biskupi bezpośrednio żadnej władzy od *Chry-stusa* nie odziedziczyli. Podług téj teoryi w katolickim kościele istnieje tylko powaga i władza papieża; rzymski biskup jest więc ustanowiony jedynie i bezpośrednio od Boga (!); on jest jeden nieomylny i jest jedynem źródłem prawowierności, on rozstrzyga nietylko o wierze, ale także o dyscyplinie, i o czynach; jego rozkazów, *nawet gdyby były niesprawiedliwe, winno się nieograniczone posłuszeństwo*; on nie może popaść w ka-cerstwo; jego zwierzchnia władza rozciąga się ponad wszelką władzą świecką i duchowną.

„Przez te systematycznie zebrane nauki i przez wszelkiego rodzaju usługi, umieli się jezuita zawsze przypodobać papieżstwu a nawet uczynić niezbędnie potrzebnymi, tak, że kościół katolicki istotnie do dziś dnia nie może się obejść bez jezuickiego zakonu.

„Nigdy żaden zakon, nigdy żadna religijna instytucja nie opanowała bardziej ludzi, jak zakon jezuitów; ale możliwem to się stało tylko przez opanowanie sumienia. W szkołach wychowywali jezuita nowe pokolenie, przez kazania oddziaływali na masy a przy *konfesyonalnie* traktowali zbyt zbliżka pojedyncze indywidualum, zaszczipiając swój wpływ i swą władzę w sercach ludzi. Jezuita zdobywali sobie w szkołach głęboką znajomość serca człowieka i wyzyskiwali ją sumienie w interesie swego zakonu. A jakie niewypowiedziane złe zgotowali jezuita przez konfesyonały! Wzbudzić w najohydniejszy sposób strach, obawę djabła, złych duchów i sił natury, to jest cel główny jezuitów. Ale w jak luźnym związku stoi to wszystko z grzechem i poprawą? Mechanicznie wzbudzają obawę i przestrasz i przez zewnętrzne środki pokuta może być załatwioną. Znają więc i używają kuglarstwa w całym swoim obejściu się i im mniej baczą na prawdziwy żal, na wewnętrzne nawrócenie, na szczerą poprawę, tem większą przywiązują wagę do postów, modłów, umartwień, jałmużny, a szczególnie do podarunków kościołowi i zakonowi, który tym sposobem doszedł do niesłychanych bogactw. Sztuki kuglarzkie wprowadzone zostały przez jezuitów, które przypominają najodleglejsze czasy wie-

ków średnich, ba, nawet pogaństwa. Im mniej jezuita na ducha i wolę działają, im mniej zadają sobie trudu, by lepsze i szlachetniejsze siły duszy *w naturalny sposób* rozwinąć i wykształcić, tém więcej działają na serce i siłę twórczą. Ale przez to otwierają wrota przesądom i sprowadzają wszystkie dawne nieszczęścia. *Handel listami odpustowemi* do dziś dnia jest tak silnie rozpowszechniony, jak niegdyś, kiedy Luter przeciwko niemu powstawał; *pielgrzymki do miejsc świętych* na nowo ustanowione i do nowego znaczenia podniesione; *cześć świętych* i *handel relikwiami* doznały na nowo przyjęcia, a w wynajdywaniu nowych nabożeństw i cudownych obrazów, jezuita dzisiejsi są równie niewyczerpani jak ich poprzednicy. Siła ciężkości ich całego nabożeństwa spoczywa nadto nie w hołdowaniu Bogu, ale w nabożeństwach do Matki Bożkiej, prócz tego rozszerzają na wszelki możliwy sposób *wiarę w cuda*; najpospolitsze, najnaturalniejsze rzeczy z upodobaniem mianują cudami. Równie złe duchy piekła, których wpływ i potęgę w najjaskrawszych barwach zawsze słabym głowom przedstawiać umieją, jak aniołów i świętych, których liczbę coraz bardziej, nawet egzemplarzami wątpliwéj wartości, jak np. „klątwa obciążonego rzeźnika“, jak „Piotr Arbuez“, powiększają,—odgrywają tu swoją rolę. Tak, niepodobna jest *wszystkie* środki wyliczyć, jakimi starają się rozszerzać przesady i krzewić fanatyzm. Kołyski Dzieciątka Jezusa, pot krwawy, jakim się Chrystus pocił na górze Oliwnéj, gwoździe, którym był do krzyża przybity, kawałek zasłony i sukni Dzie-

wicy Maryi, części ubrania i kropli krwi świętych jezuitów wystawiono ku uwielbieniu w kościołach. Posiłkowali się także jezuita amuletami przeciw czarownicom i widmom, płatkami z czarnego sukna z ubrania świętego Ignacego dla kołowatych, proszkiem i groszem świętego Ignacego przeciwko wszelkim chorobom, nawet przeciwko szarańczy i pożarom lasów (!!!); wszystkie te sposoby wprawdzie rozbudzały wyobraźnię niedoświadczonych mass, ale też przytłumiały światło ducha. Taki jednak sposób wiary wielce był pożyteczny dla władzy kościoła i zakonu jezuitów. Kto silnie wierzy w czarta, czarownice, czary i magię, jest w rękach tych, którzy wzniecić w nim umieli tę wiarę i obawę i potrzebuje ciągle nowój pomocy. Aby zaś podobne usiłowania, przesady rozpowszechnić w szerszych kołach, dla tem dzielniejszego skutku, potrzebną jest *nieświadomość*. Jezuita więc zawsze tylko jednostronnie i bardzo powierzchownie uprawiali nauczanie ludu. Z celami zakonu również jest w ścisłym związku silne odmawianie krzewienia nauki przez nauki przyrodnicze i nowożytne języki. Ale gorszemi jeszcze jak wstręt jezuitów przeciwko zadowoleniu potrzeb czasu, są inne także wady szkół jezuitickich, tyczące obyczajowój strony wychowania. Te spoczywają na owój systematycznój *powierzchowności*, jaka charakteryzuje zakon we wszystkich jego postępkach. Od dawien dawna w jezuitickich szkołach nie tyle patrzano na gruntowność, jak na wprawne kierowanie nauką i od dawna pobożni ojcowie mieli zwyczaj, wszystko zaraz światu pokazać. Ztąd blask

urządzenia szkół jezuickich, ztąd wspaniałe uroczystości szkolne, rozdawanie nagród, teatralne przedstawienia, konna jazda, fechtunki, tańce, muzyka, podniety rozgłosu i sławy.

W interesie swój władzy troszczyli się jezuici o wszystko, co ludzkość myśli i robi; nie tylko przy spowiedzi, ale także na każdym kroku niemal starali się oni ludzi we wszystkich stosunkach, ich przeszłość i stan obecny, ich los i tajemnice, ich nadzieje i obawy, życzenia i namiętności badać, i wszędzie umieli dotrzeć do celu. Cóż może ująć ich badawczemu wzrokowi? Nie masz tajemnicy tak świętej, by przez nich nietkniętą została, stosunku, którego by nie zbadali. W obejściu się i obludzie dobrze wyćwiczeni, ze wszystkimi formami życia dokładnie obeznani; widzimy ich już to pod maską pobożności, już to jako przyjaciół domu; już jako dzikich fanatyków, już jako ludzi światowych goniących do *jednego* celu. Gdzie im się nie uda jednym sposobem, zwracają się do drugiego. To spostrzega się najlepiej po rozmaitych sposobach postępowania jakich używali z rozmaitemi klasami społeczeństwa. Jasna rzecz, że środki jakich się z ludem prostym używa, muszą być zastąpione innymi, skoro się ma do czynienia z wykształconemi klasami, które nie wierzą w czarownice, djabły, krople i grosze Ś-go Ignacego, którzy nawet jasnym okiem widzą, jakiego niegodziwego oszustwa dopuszczają się z ciemnym ludem. Jakże postępują teraz jezuici z temi wykształconemi klasami? W obec tych odgrywają oni wolno-wierców, filozofów,

przy czem popisują się wtedy z całą wystawą swej ka-  
zuistycznej logiki, i zepsutej moralności. Uległość  
względem bogactw i możnych ziemi, rodzaj, w jaki  
schlebiają ich życzeniom i namiętnościom, jak ich zach-  
ciankom nie tylko potakują, ale nawet je podniecają,  
czego historia jezuitów liczne autentyczne fakta zawiera  
— odgrywają wtedy główną rolę. I takie sposoby  
postępowania „pobożnych ojców“ dotąd zawsze poka-  
zywały niesłychane skutki powodzenia dla zakonu. Ja-  
kie były jednak, owoce zbierane wszędzie na zaszcze-  
pionem przez jezuitów drzewie? Przesady, niedowiar-  
stwo, fanatyzm, ciemnota i kuglarstwo, któremu nie  
znajdzie równego. Że to nie jest żadne niesłuszne  
oszczerstwo, dowodzi opłakany stan katolickich krajów,  
gdzie jezuita od kilku wieków prawie wyłącznie pano-  
wali.“

Kiedy młody wolno-myślicą Menotti zakończył  
swoją filippikę, ojciec Schönbauer znowu przyszedł do  
słowa.

„Zdaje mi się, zaczął niemiecki filozof, iż poruszona  
przez poprzednika kwestya różnicy między prote-  
stantyzmem i jezuityzmem, i wiary w cuda, którą pobożni  
ojcowie w tak niegodziwy sposób umieli dla siebie  
spożytkować, wymaga jeszcze krótkiego wyjaśnienia.

Musimy przedewszystkiem zaznaczyć niezbity  
i ważny fakt, że protestantyzm uważa ludzi za cel, jezui-  
tyzm zaś tylko jako *narzędzie*. Protestantyzm wyradza  
pod kierunkiem Boskiego ducha przez ludzi w ludziach,  
życie miłości i sprawiedliwości; jezuityzm przeciwnie

chce ludziom być użytecznym w tym celu, który tylko częścią Boskim i zarazem czysto jest ziemskim, mianowicie posługuje on materialnym interesom jezuickiego zakonu. Jezuickie poglądy są w sprzeczności z dziejami, porządkiem świata, i dla tego także jest nieprzejednany spór jezuityzmu z wolnością, wiedzą i ludzkością po wszystkie czasy.

Te rozdwojenie między jezuityzmem, i duchem nowego czasu, musi zresztą wzrastać z każdą godziną przez ciągly postęp nauk przyrodniczych, i przez coraz większe rozszerzanie się tych nauk. Ztąd stało się już w naszych czasach niepodobnem, żeby religja swoje na szacunku zakładająca obyczajowe posłannictwo między ludźmi wypełnić mogła, o ile nie jest w zupełnej harmonii z rezultatami nauki, szczególnież nauk przyrodniczych. Przytoczmy przykładowo dwie następne godziny, naszych szkół. Pomyślmy sobie że w pierwszej, nauce naturze poświęconej, uczniowie dowiadują się o uniwersum, mianowicie o ruchu i naturze ciał niebieskich. Nauczyciel trzodzi się by uczniom swoim dać pojęcie o odległości słońca, planet między sobą, i od ziemi; powiada jak daleka nad kulą ziemską roztacza się atmosfera, że ztamtéj strony żadne organiczne stworzenie, nie może oddychać, a więc także nie może żyć, że ztąd żeglarzowi naznaczona jest niezbyt oddalona granica wzniesienia się. Ten nauczyciel odchodzi, a w następnej godzinie wstępuje na katedrę katecheta. Ten stara się uczniom bez ogródki wytłómaczyć, że słońce obraca się około ziemi, że prorok Eliasz wśród burzy

wzięty do nieba został, że Jonasz żył przez dni kilka we wnętrzościach ryby, że z ciosowego kamienia mury, miasta Jerycho zdmuchnięte zostały trąbami i t. d. i t. d. same *domniemane* fakta, które ze wszystkimi podanymi zasadami poprzedniej godziny o naturze stoją w sprzeczności i przez słuchaczy z pewnością za niedorzeczne i śmieszne uważane być muszą. Czy podobne sprzeczności dobre mogą wydać owoce w sercach młodzieży? Jestże choć na chwilę wątpliwem, czy uczniowie w duszy przyznać mają rację nauczycielowi fizyki czy nauczycielowi religii? Czyż należy się dziwić, że religja coraz bardziej dąży do upadku, że kościoły stoją próżne, że moralność kuleje, że sprzeczne rozdwojenie między dopuszczeniem ślepej wiary i ścisłą nauką natury rodzi *niedowiarków* i *szyderców*, a tak moralność cierpi od samego zarodka?

Te moralne wrzody mogą jedynie być wyleczone, kiedy przy wychowaniu rodu ludzkiego od kolebki utrwaloną będzie jako podstawa wszelkiej wiedzy i wszelkiej wiadomości niezaprzeczona prawda, że: żaden śmiertelnik nie jest ani nie był nigdy wstanie zdziałać cośkolwiek wbrew istniejącym prawom natury wszelkie więc cuda i czary, podobnie skutkom przedstawionym na scenach przez kuglarzy i zonglerów, są *szaleństwem*, które dla dziecięcej prostoty ludów i duchowo upadłych ludzi naszego czasu przebaczone być może, nigdy jednak ludziom nauki i znajomości rzeczy. Wypowiedzmy krótko, — religijne wyobrażenia muszą się



nakoniec z kosmicznemi połączyć; prawa natury muszą odzyskać swoją ważną rolę.

Przez piętnaście wieków przed narodzeniem Chrystusa była tylko izraelitów historia świata, a więc tylko „wybranego ludu“. Od czasu wszakże jak przez umiejętność natury ziemia przywróciła wieczną, wszystko obejmującą harmonję sfer, powinny także i ludy i wyznania wiary, jako historycznie uprawnione członki, być przyjęte do wielkiego organizmu ludzkości. Tylko w połączeniu i jedności dwóch światów, materjalnego i duchowego, pochodzący od Boga duch znaleźć może prawdziwy pokój.

I do tego wzniosłego pokoju dąży wolno-mularstwo, jako do swego najwyższego celu. Opiera się ono nie na przestarzałem prawie narodów, ale na prawie *całej* ludzkości. Walka i wojna nie są rozwiązaniem zadania, do którego dążymy; gdyż prześladowanie wszelkie jest napiętnowane w oczach naszych jako zbrodnia. Nasze hasło brzmi: *pokój* jednak nie przez nie męskie znoszenie wszystkiego pozyskamy pokój, ale taki, który każdemu, nawet niesprawiedliwość czyniącemu, swoje prawo użycza, przy tem jednak umie utrzymać zagrożoną harmonję, a naruszoną przywrócić. A więc prawdziwy pokój dla prawa, dla wszystko zaspakajającego porządku!

I o takim wyższym pokoju wytworzyły się pojęcia dopiero w czasach nowszych, który każdemu człowiekowi jako takiemu, każdemu ludowi, i każdemu wyznaniu sprawiedliwość oddaje.

— A więc, moi bracia, zakończył zacny kapłan podniesionym głosem, pracujmy czynnie wolno-mularze dla towarzyskiego i pokojowego skierowania ludzkości do dobrego, stańmy się jednak zawczasu sami godni wysokiego powołania, do jakiego Bóg ludzkość nazna- czył. Pojęcie o porządku i prawie wcieliło się już w lu- dy i stało się niezbędnym żywiołem ich bytu. — A więc niech żyje wolno-mularstwo, trzy razy niech żyje!

Na tym toaście, który naturalnie w sposób wolno- mularski spełniony został, skończyła się uczta bra- terska.

Przez to krótkie przedstawienie nabrał zarazem czytelnik pojęcia o rodzaju, w jaki się prawdziwi wol- no-mularze zwykli zabawiać przy swoich ucztach bra- terskich, tak okrzyczanych przez zaciętych przeciwni- ków jako bezwstydné orgie, które jednak są tylko przy- jemną pogawędką, kształcącą ducha i serce.

## IX.

### Kompromis.

W dwa dni po uczcie braterskiej, jaka miała miej- sce na wyspie Kaprerze dla uczczenia przyjęcia bankie- ra Goldsterna do wolno-mularskiego związku, cała ma- la kolonia zwabioną została na brzeg doniesieniem, że ukazał się jakiś jacht, na którego maszcie powiewa fla- ga wolno-mularska. Flaga wolno-mularska jest błęki- tnego koloru z cyrklem i węgelnicą białej barwy. Każ-

dy kapitan, który jest wolno-mularzem, ma prawo używać téj flagi.

Jeśli się spotykają podczas podróży dwa przez „braci“ dowodzone statki, to się flagi wolno-mularskie trzy razy na dół i w górę obniżają, i następnie, jeśli zbyteczny pośpiech nieprzeszkadza lub nie ma przeciwnego wiatru, statki nieco przystają, by z jakie pół godziny po bratersku porozmawiać. Jeden podróżny opowiada, że kiedy był niedawno w Honolulu na wyspach Sandwichskich, tam przeszło 300 statków, po większej części łowiących wieloryby, stało na kotwicy; wtedy pewnego dnia jeden amerykański dowódzca pokazał swoją wolno-mularską flagę; przeszło stu innych mu odpowiedziało, odwiedzali się wzajemnie, i obchodzili uroczystie bez względu, iż należeli do wszelkich możliwych narodów ziemi, szczęśliwe, wesołe godziny. Jako znak niebezpieczeństwa na morzu podnosi się flaga wolno-mularska do góry.

Jacht przybył z blizkiego Livorno i przywoził kilka listów i depesz z Rzymu, które częścią nosiły adresy do Garibaldeggo częścią do bankiera. Załoga statku składała się z kuzynów Cerotti i trzech starych marynarzy, kuzyni wczoraj dopiero powrócili do Livorno z pierwszej dalszej podróży, jaką przedsięwzięli do Konstantynopola jako kapitan i właściciele pięknego trzymasztowca podarowanego im przez starego Goldsterna.

Ze smutnemi minami wysiedli dwaj dzielni młodzi ludzie w Livorno na pokład jachtu „*speranza*“, należącego do jednego z przyjaciół Garibaldeggo, gdyż przy-

Jaciółki ich Sara i Paulina napisały im do Konstantynopola, że papa ciągle jeszcze zachowuje tajemnicze milczenie względem upragnionego przyzwolenia na ślub, że jego wewnętrzna walka między dotychczasowymi, ortodoksyjnymi poglądami i tolerancyjnymi ideami wolno-mularstwa, jeszcze się nie musiała skończyć należyście, i dla tego czy *tak* czy *nie* drżało na jego zamkniętych ustach, nie umiał nawet stanowczo odpowiedzieć najlepszy jego przyjaciel, generał.

Od dwóch dni naturalnie położenie się zmieniło zupełnie podług życzenia młodych ludzi, o czem jednak nie wiedziały ani panny, ani kuzyni Cerotti.

Z bardzo więc nieszczęśliwymi minami zeszli na ląd dwaj nowo mianowani dowódcy i zbliżali się z tęsknotą i zwieszoną głową do starego Goldsterna, który dziwnie uśmiechając się spoglądał na zakłopotane miny młodych ludzi.

Sara i Paulina, które tuż stały za swoim ojcem drżały z radośnego wzruszenia, ale ponieważ stary jegomość kazał im być przy sobie dopóki sam się nie rozmówi, przytłumiły ze zwykłym posłuszeństwem popędy pałającego miłością serca, by nie wybuchnąć głośnym okrzykiem radości, i nie rzucić się swoim narzeczonym na szyję.

— No i cóż wy tak stoicie, głupie chłopcy, zaśmiały się nakoniec bankier z całego serca, gdyż postawa i mina obydwóch Cerotti, była istotnie komiczną; zdaje mi się jednak, że pobrać się niemniej pilno moim córkom, jak wam moi przyszli zięciowie.

Jednocześnie z czterech ust wydobywający się okrzyk, towarzyszył tym słowom starego Goldsterna; obiedwie szczęśliwe pary rzuciły się w objęcia. — Emanuel upuścił na ziemię pakiet listów, który miał oddać bankierowi.

Stary Goldstern śmiejąc się podniósł depesze i listy z ziemi, i udał się do domu, pozostawiając młodych narzeczonych sobie samym, i ich niewymownemu szczęściu.

Garibaldi, jako przyjacielski ojciec domu i gospodarz, wziął na siebie zadanie towarzyszenia czworgu młodym ludziom do ogrodu, gdzie przygotowana była dla dzielnych marynarzy, mała skromna przekąska.

Onofrio odważył się teraz nieśmiało zapytać generała, jaki termin wyznaczył pan Goldstern na ślub?

— Moi kochani, rzekł śmiejąc się Garibaldi, wy wiecie, że mój drogi przyjaciel i brat jest człowiekiem powolnego postanowienia, ale prędkiego czynu. O ile wiem, chce z wami już jutro wyjechać do Livorno, by dopełnić w tamtejszej władzy akta ślubu cywilnego, gdyż przy znanej uporczywości i jednostronności tak katolickich jak i żydowskich kapłanów, nie można nawet myśleć, by wasze związki przez kościół zostały pobłogosławione.

Jeszcze kiedy Garibaldi mówił ostatnie wyrazy, z niezwykłym pośpiechem i bardzo poważną miną wyszedł z domu bankier i zdążył prosto do towarzystwa, do al-tany. Trzymał on dwa otwarte listy w ręku.

— Emanuelu i Onofrio! zapytał spieszenie, czy jest mo-

zliwem, by natychmiast wyjechać do Livorno? kiedy możemy tam się znajdować?

Wszyscy obecni spoglądali na to z zadziwieniem, tak skwapliwym, tak niespokojnym, jeszcze się bankier nigdy nie okazał.

— Jacht, odrzekł Emanuel bez namysłu, inoże zaraz wypłynąć na morze. Wiatr jest pomyślny, i gdyby nie przypływ lub odpływ morza, „*speranza*“ najdalej w 4 godziny dojechałaby do Livorno.

— Bardzo dobrze! skłonił się przyzwalająco stary Goldstern, i następnie obracając się do Sary i Pauliny dodał: przygotowujcie się prędko do podróży; za pół godziny zobaczą się z wami na pokładzie Jachtu. Idźcie przyspieszajcie.

Obiedwie panienki, przyzwyczajone zawsze słuchać rozkazu rodziców a szczególnie ojca, szybko pobiegły do domu, by jak najprędzej być gotowemi do podróży i jeszcze na 5 minut przed upłynionym terminem wstąpiły nogą na pokład wysmukłego statku „*Speranza*“.

— Aj, cóż się to dzieje? zapytał zdziwiony Garibaldi, kiedy się oddaliły Sara i Paulina.

— Niebo osądził! odrzekł bankier bardzo poważnym tonem. Zuzanna jest bliską śmierci. Tu w tych kilku wierszach błaga o moje przebaczenie i o łaskę, by przed swą śmiercią uściskać mogła Sarę i Paulinę. Czy mam jej tego odmówić? Nie; jakkolwiek mi ciężko przychodzi nędzną kobietę jeszcze oglądać, muszę jednak szanować w niej matkę moich córek; jednak nie chcę za-

wczasu zasmucać Sary i Pauliny, i dopiero kiedy wjedziemy do Rzymu, powiem im rzeczywiście przyczynę naszej podróży. Dla tego też, moi kochani, proszę o sekret. Wy Emanuelu i Onofrio, możecie mi towarzyszyć, a pan, przyjacielu Garibaldi, raczysz mi łaskawie dać ważny list rekomendacyjny, do komitetu akcyjnego w Rzymie. Nawet gdyby moja żona nie uniknęła była nieszczęścia spadnięcia z terassu, musiałbym w skutek tego drugiego listu, który pisze do mnie osobiście mi nie znany książę Ryszard von Falkstein Rothburg, nad Tyber pospieszyć.

Garibaldi wziął kawałek papieru do ręki na który cyframi ołówkiem rzucił kilka wyrazów.

— To wystarczy, rzekł oddając papier bankierowi, to wystarczy, by panu przystępnemi uczynić najtajemniejsze kryjówki „młodych Włoszech“ na całym Apenińskim półwyspie, zatem i w Rzymie. Wejdz pan w Rzymie do pierwszej lepszej kawiarni i uchyl pan trzy razy swój kapelusz tak... zaraz ktoś z gości zbliży się do pana i zapyta: *Caldo, no, no?* (ciepło nieprawdaż) pan odpowiesz: *Caldo, si, si,* (ciepło tak, tak). — Na to obcy kładąc rękę na piersi powie: *signore, la parola se Le piace* (słowo mój panie. jeżeli łaska), na co pan odpowie: *Qui no, fuori, fuori* (tu nie, na zewnątrz). Następnie zaraz się pan oddalisz; obcy wyjdzie po chwili na przywitanie, pokażesz mu pan karteczkę którą panu dają i w godzinę później będą przed panem otwarte wszystkie duchowe i materialne środki pomocy „młodych Włoszech.“ Jednak jeszcze

jedno! Jak to się stało, że pani Goldstern, w której oczach uchodzisz pan już za umarłego, nagle dowiedziała się o pańskim pobycie?

— Tego nie wiem, ale jak panu wiadomo, od kilku miesięcy nie zachowywałem tak ścisłego incognito, jak dawniej, gdyż od chwili jak się zbliżało coraz bardziej wykonanie postanowienia, by zostać wolno-mularzem, znikła moja dawna obawa Jezuitów. Teraz, kiedy jestem członkiem naszego wzniosłego i potężnego związku świata, teraz kiedy używam jego opieki, teraz śmiało zajrzeć mogę w oczy wszelkim niebezpieczeństwom burzliwego życia. Zresztą, muszę to powiedzieć z boleścią, zostałem zwolniony na zawsze od świętego obowiązku opieki nad memi córkami. Teraz kolej przychodzi na mężów ich opiekować się i czuwać nad nimi; co do mnie samego, cóż mi w końcu zależy, że wbrew wszelkiemu oczekiwaniu uda się drugi zamach?! To mogłoby być tylko czynem zemsty. Owoców by to jednak zadnych „*braciom nocty*“ nie przyniosło. O tem pomyślał mój testament. — Teraz zaś do widzenia, drogi przyjacielu i bracie! Serdeczne dzięki za piękne dni, jakie spędziłem na pańskiej skalistej wyspie, dziękuję za pańską miłość, która mnie nakoniec doprowadziła do drogi światła i oczyszczonemu z przesądów duchowi ukazała wiecznie pogodny firmament zacnego wolno-mularstwa.

Obydwaj panowie uścisnęli się po wolno-mularsku, pocałowali się jak bracia i wzięwszy się następnie pod rękę przystąpili do brzegu.



Podróż do Livorno i ztamtąd do Rzymu odbyła się bez szczególnych przypadków.

Przybywszy do wiecznego miasta, udał się bankier bezzwłocznie do szpitala, gdzie w oddzielnym pokoju leżała pani Goldstern w stanie nie dającym żadnej nadziei. — Piekielny zamiar „*brata Liguoryanina*“ i jego bezecnego współnika Ferguzona, udał się tylko w części, jakkolwiek taras leży przeszło siedm sążni wyżej, od znajdujących się na dole winnic. Przy znacznej otyłości pani Goldstern należało się przy takiej wysokości istotnie spodziewać, że w czasie upadku boleśnie się potłucze i nakoniec, w ścisłym słowa znaczeniu, okropnie się przebijie na ziemi o korzenie winnej macicy. Łaskawa jednak Opatrzność inaczej chciała. W murze może o dwa sążnie niżej od poziomu tarasu, wystawał długi, gruby, żelazny drąg, na który obaj zabójcy zupełnie nie zwrócili uwagi. O ten drąg zaczepiła się w swoim upadku szeroką suknią pani Goldstern, tak, że zawisała w powietrzu. Niemniej jednak straciła przytomność, ponieważ w upadku uderzyła silnie czołem o mur. Wydała więc jeden tylko krzyk, z którego Ferguzon uważał, że jego figiel udał się zupełnie. Jak już dawniej zaznaczyliśmy, tenże zaraz ratował się ucieczką, jak tylko widział, że ofiara jego wpadła w przepaść.

Dwaj stróże polni, którzy odbywali straż nocną w leżących w dole tarasu winnicach, zauważyli panią Goldstern zawieszoną za suknię na stromiej ścianie w powietrzu, i nie bez trudu udało im się, za pomo-

cą szybko przygotowanych drabin, bez uszkodzenia sprowadzić ją na ziemię.

Upłynęło kilka tygodni, zanim pani Goldstern przyszła cokolwiek do przytomności. Doktorzy uznali doznane przez nią wstrząśnięcie mózgu jako nieuleczalne, i dla tego stan jej był tak niebezpiecznym, iż niepodobna było przenieść ją ze szpitala; tem więcój, iż z powodu niewiadomości jej nazwiska i miejsca zamieszkania, trudno ją było przenieść z miejsca nieszczęśliwego przypadku do zajmowanego przez nią lokalu.

Naturalnie zdarzenie to wywołało w Rzymie wielki popłoch, i dzienniki zamieściły o nim liczne wiadomości. Nikt jednak nie odgadywał prawdziwego stanu rzeczy. Ferguzon wśród tych okoliczności uważał odkrycie za nieprawdopodobne, w każdym razie starał się przyspieszyć swoją podróż, zamierzoną do Ameryki z rozporządzenia wyższej władzy. Jego misya w interesie zakonu, była zresztą bardzo ważną; miał on bowiem poleconem, pobudzić w stanach południowych działalność przeciwko Unii, i wszelki kompromis znieweczyć, którymby jezuici z powodu wojny domowej rzeczypospolitej północno-amerykańskiej, widzieli dla siebie korzyści. Jakaśmy się już dowiedzieli, w owym czasie nadzieja ostatecznego zwycięstwa niewolników barona nad północą, nie była próżnem urojeniem, tem więcój że ten duchowy związek przeciwko wolności narodów stał w ścisłym związku z francuzką interwencją w Meksyku.

Przez tę zmianę placu swojej niegodziwej działal-

ności, zapewnił sobie w każdym razie Ferguzon bezkarność, gdyż w Ameryce występował on pod zupełnie inną postacią, a w najgorszym razie, mianowicie gdyby jego zamiar orderczy odkryty został, był on zabezpieczonym przed wydaniem. — Odjechał więc zupełnie w dobrej myśli, do nowego Orleanu, i my tego zacnego człowieka spotkamy znowu w swoim czasie, z tamtej strony oceanu.

Co się tyczy niegodziwego Scheuchenstejna, to ten również zniknął z przed naszego wzroku. Musimy tu zrobić wzmiankę, iż tenże szczęśliwie spieniężył trzy fałszywe weksle i następnie starał się o dalsze. I on również nie uważał się dosyć bezpiecznym w starym świecie i skierował swe kroki do nowego. Pieniędzy posiadał teraz dosyć i postanowił takowe dobrze spożytkować jako dostawca wojska. Gdzież mógł podobny jemu łotr, bez sumienia, lepszy do tego znaleźć kraj jak Amerykę? Szczęście zdawało się mu sprzyjać jak najzupełniej. W przeciągu jednego roku zebrał miliony, i również nim zajmiemy się jeszcze w swoim czasie.

Tymczasem musimy znowu powrócić do łóża boleści pani Goldstern.

Od dwóch tygodni, a więc już prawie od dwóch miesięcy po dokonany zamachu, powracała jęj od czasu do czasu przytomność, ale tylko na jęj męczarnię, gdyż wtedy cierpiała niewypowiedziane boleści. Liścik nieznaną ręką do nięj napisany, udzielił jęj krótką wiadomość, że tak bankier jak Sara i Paulina, których ona

dotychczas istotnie za umarłych uważała, są jeszcze przy życiu i znajdują się na Kaprerze. Ta wiadomość przyszła, jakieśmy powinni domysleć się, od sławnego Del-Lucca, który we wszystkim co robił, ukrywał dobrze obmyślony zamiar.

Bardzobyśmy się omylili, gdybyśmy postanowienie chorój, by wezwać swego małżonka i córki do Rzymu, uważać chcieli za serdeczną konieczność do pojednania, za prawdziwy głęboko odczuty żal. — Jój głównym celem był Izydor. Z jednej strony ludziła się ona nadzieją, że bankier na jój prośby znowu marnotrawnego syna przyjmie do swój łaski, zniweczy jego wydziedziczenie, i w skutek tego także przedsięwzięcie odpowiednie środki, celem odszukania znikłego. Dla tego to chciała ona wszystkie warunki wypełnić, jakie jój bankier postawił, jeden warunek naturalnie wyjąwszy, mianowicie wiadomość, że Izydor nie jest synem Goldsterna, ale Fergusonona.

Co się tyczy ostatniego, to pani Goldstern, wcale nie wiedziała na pewno, czy była ofiarą umyślnego zamiaru, czy też w skutek popędliwości, z jaką ją Ferguson ostatnią razą przyjmował, zrobiła fałszywy krok, i z tego powodu w przepaść wtrąconą została. — Odwracała się stanowczo od ostatniej myśli, gdyż jój się zdało niepodobnem, iżby swego dawnego kochanka miała posądzać o tak nikczemny postępek.

Pani Goldstern rachując na nieskończoną dobroć i łagodność swego małżonka, wcale się nie myliła. Bankier płakał jak dziecko, kiedy kobietę, którą kie-

dyś kochał tak serdecznie, zobaczył w tak okropnym stanie; Sara i Paulina, które przed śmiertelnem lożem swęj matki na kolanach klęczały, ułatwiły zwycięstwo nad słabem i zawsze do pojednania skłonnem sercem bankiera. Dobre panienki tak gorąco błagały o łaskę i przebaczenie dla swego brata, że stary Goldstern nakoniec podał rękę swojęj małżonce na to, iż młodemu, lekkomyślnemu człowiekowi, będzie znowu ojcem w całym znaczeniu tego wyrazu.

Tryumfujący uśmiech zaigrał na ustach pani Goldstern. Tak łatwo nie spodziewała się ona zmienić sposób myślenia swego zbyt stałego w swoich postanowieniach małżonka. Nie wiedziała jednak, że stary Goldstern został wolno-mularzem, *prawdziwym* wolno-mularzem, że jako taki przedewszystkiem musi postępować w duchu miłości, cierpliwości, pojednania, nawet względem największych swoich nieprzyjaciół, okazywać, że nienawiść jest obcą jego sercu, i że on przed wielkim Stwórcą Wszech-świata nigdy nieośmieli się wdzierać w prawa przebaczenia, nigdy jednak również nieprzywłaszczy sobie roli gniewu żydowskiego Boga, którego surowość uważa za nierozdzielną z dobrocią i miłosierdziem Najwyższej Istoty.

Podług uznania lekarzy, mogły jeszcze tygodnie upłynąć, do zupełnego skończenia się cierpień pani Goldstern. Jej blizka śmierć zdawała się jednak niewstrzymaną, gdyż coraz wyraźniej okazywały się symptomy wyschnienia mlecza pacyerzowego. Ona, kiedyś zbyt nawet otyła kobieta, zaczęła w okropny

sposób chudnąć i coraz częściej podlegała atakom delirium. — Wszakże nie będziemy uprzedzać naturalnego biegu naszego opowiadania, ale zajmiemy się drugą przyczyną, jaka spowodowała podróż starego Goldsterna do Rzymu.

Kiedy bankier opuścił szpital ze swemi córkami, rozkazał woźnicy, jechać do *Piazza di Spagna*, w którym wysiedli książę Ryszard z księżniczką Adelgundą *w hotelu garni*.

Podróż księcia była w celu odszukania księcia Cozency, o którym od wielu miesięcy żadne niedoszły wiadomości do Falksteinu. Przy pomocy pruskiego posła w Rzymie, dowiedział się tylko książę, że Flodoardo znowu wpadł w ręce świętego Officjum, jednak w czasie malej zamieszki wojska, znikł z Zamku Anioła i nikt nie wiedział dokąd się udał, i gdzie w tej chwili przehywać może.

Dobry książę postanowił tedy pojechać ze swoją córką do Rzymu, chociaż jak już wiemy, bardzo ciężko mu to przychodziło przy bardzo wycieńczonych środkach jego prywatnej szkatuły. — Książę był blizkim zrobienia kroku, na który niemógł się jeszcze zdecydować dotąd nigdy, nawet w największych finansowych kłopotach; chciał mianowicie *à conto* swojej skromnej listy cywilnej wziąć forszus, chociaż i ta już była przez wierzycieli obłożona w części aresztem; kiedy jego zacna siostra Ulryka przysłała z radą. Posłała ona swego starego przyjaciela pana von Strickwitz, ze wszystkimi swemi

klejnotami tajemnie do Berlina, i otrzymała na to pożyczkę 8000 talarów, sumę jakiej kochany brat co najmniej potrzebował, by mniej więcej odpowiednio do stanowiska swego towarzyszyć mógł Adelgundzie do Rzymu.

Wiadomo nam, że książę Cozenca już od dawna nosił się z myślą, w dyskretny jaki sposób zaspokojenia długów księcia, dotąd jednak okoliczności stały na przeszkodzie, do spełnienia tak pięknego zamiaru. Po jego pierwszej ucieczce z Rzymu, znalazł papieżki trybunał, przed którym toczył się jego proces cywilny, dziesięć pozorów zamiast jednego, by wykonanie wyroku, mocą którego przeciwnicy ze sweni zmyślonemi albo raczej oszukańskimi pretensjami odrzuconemi zostali, uczynić zupełnie zwoźniczem; chciano ażeby przyznany mu majątek nie jego pełnomocnikowi był wypłacony, ale domagano się, by on sam osobiście przybył do Rzymu dla objęcia własności; śmieszny warunek, któremu gdyby zadość uczynił, zaraz by go papieżkie sądy i policja wtrąciły do więzienia. — Flodoardo więc w czasie, kiedy po raz drugi dostał się do więzienia przez nikczemną zdradę Wawerki, stał w pieniężnych stosunkach daleko gorzej jak kiedykolwiek, tem więcej że szelmoski szpieg ograbił go ze wszystkich banknotów w czasie podróży ze Sieny do Rzymu, tak że istotnie dysponował tylko kilkoma tysiącami talarów, które wziął jeszcze od jednego z bankierów w Hamburgu.

Książę Ryszard przyjął starego Goldsterna, z otwartemi rękami. — Po pierwszych przywitaniach, książę dał swemu gościowi do przeczytania, dość lakonicznie zredagowany list następującej treści:

„ Królewska Wysokości!

Książę Flodoardo di Cozenca, oswobodzony po raz drugi z pazurów papieżkiej sprawiedliwości niemniej jednak znajduje się w bardzo przykrem położeniu, co do którego wszakże nie jest mi wolno wdawać się w bliższe szczegóły; przedewszystkiem wypada mieć zręcznego, odpowiedniemi środkami rozporządzającego pośrednika. Do tego byłaby najodpowiedniejszą osobistość owego pana Aarona Samuela Goldsterna, bankiera z Wiednia, który od kilku miesięcy znajduje się, jako Garibaldeggo przyjaciel, na Kaprerze i w tej chwili kiedy Wasza Królewska Wysokość otrzymujesz ten list, należeć już musi do związku wolnych mularzy. Wypróbowana uczciwość tego bankiera, znaczne kapitały jakimi rozporządza, i jego serdeczne stosunki z Garibaldim, pozwolą mu przyczynić się do oswobodzenia zacnego księcia Cozeny, jeśli będzie miał do tego ochotę. — Poproś więc pan pana bankiera Goldsterna, by raczył przybyć do Rzymu, gdzie mu ze strony Komitetu działającego, przedstawione będą dalsze wskazówki postępowania w tej nadzwyczaj delikatnej kwestyi.

Rzym, 13 Sierpnia 1860 r. D. L.“

— Co? zawołał mimowolnie bankier, po przeczytaniu



listu, czyż nie widzę jasno z téj całej historii, że mam dać pieniędzy!

— Mój panie! odrzekł książę nieco urażony, zdaje się, że popełniłem omyłkę, idąc za daną w tym liście radą.

Bankier, przez którego w pierwszej chwili przemawiał człowiek pieniędzy, gniewał się sam na popełnioną nietaktowność. Pospieszył więc odpowiedzieć:

— Przebacz Wasza Wysokość, Aaron Samuel Goldstern jest jeszcze za młodym wolno-mularzem, by w nim zapomnieć można zupełnie starego bankiera, — zobaczysz pan, żeś nie popełnił żadnej omyłki. Pójdę zaraz zrobić w kawiarni *Hocus-Pocus*, jakich mnie nauczył zacny Garibaldi, i następnie pójdzie już dobrze wszystko dalsze.

Książę wyciągnął śmiejąc się do urażonego brata rękę i rzekł: jeśli pan nic nie masz przeciwko temu, będę szedł za panem z daleka. Nie ciekawość pobudza mnie do tego, ale tylko żywe pragnienie, by jak najprędzej dowiedzieć się coś o Flodoardzie. Zresztą nic to nie może szkodzić, jeśli będę blisko pana; niebezpieczni są to ludzie ci karbonarzyści; policya papieżka mogła by bardzo łatwo zwęszyć o co chodzi i panu zrobić nieprzyjemność. W każdym razie będzie daleko roztropiej sprawą tak pokierować, jak byś pan tylko z mego powodu zetknął się z temi niebezpiecznemi ludźmi, gdyż w obec mnie nie pozwolą sobie ani udręczeń, ani jednego z owych gwałtów, jakimi organa rzymskiej policyi, zaraz posługiwać się zwykli.

Przezorny stary Goldstern podziękował z całego serca poczciwemu księciu za tę dobrą radę.

Po czem książę przedstawił bankierowi swoją córkę, która nadzwyczaj uprzejmie wyraziła gorące życzenie, zrobienia jak najprędzej znajomości z Sarą i Pauliną, co naturalnie w wysokim stopniu pochlebiło staremu Goldsternowi. By uniknąć wszelkich formalności, Adelgunda wyraźnie prosiła, by z dwoma pannami i ich narzeczonymi dziś wieczór na spacerze w parku Villa Borghese niby przypadkiem spotkać się mogła.

Piers starego Goldsterna z dumą się podnosiła na myśl, że prawdziwa jaśnie wielmożna księżniczka pragnęła zrobić bliższą znajomość z jego kochanymi córkami, i w téjże chwili stanowczo postanowił, nieszczędzić swojej kassy, gdyby nawet i wielkiej ofiary wymagało oswobodzenie narzeczonego miłej Adelgundy.

Książę i bankier opuścili razem hotel. Pierwszy przechadzał się tam i napowrót po *Piazza di Spagna*, podczas gdy ostatni wszedł do najbliższej dużej kawiarni, i tam obstalowawszy sobie szklankę limoniady, wywinął trzy razy kapeluszem na sposób jak go nauczył Garibaldi.

Sygnal ten miał wkrótce swój skutek. W chwilę później zbliżył się do stolika Goldsterna elegancko ubrany młody człowiek, który bardzo grzecznie poprosił o jedną z leżących w pobliżu gazet, i następnie wyszeptał do siebie: „*La parola, se Le piase*“ — (słowo jeżeli wolno), na co bankier również cicho odpowie-

dział: „*Qui non, fuori, fuori*“ (tu nie, na zewnątrz, na zewnątrz)“.

Młody włos cofnął się na te słowa na swoje dawne miejsce. Stary Goldstern wypróżnił teraz najspokojniej swoją filiżankę, po czym zapłacił i oddalił się.

Jak Garibaldi przepowiedział, wkrótce został odwiedzony przez człowieka, z którym rozmawiał. Kiedy zamieniono kilka dalszych znaków, pokazał na koniec bankier otrzymane od generała zlecenie.

— Uważam się za szczęśliwego, że mogę panu służyć, rzekł nieznamy, zwracając z nieudaniem uszanowaniem, karteczkę Garibaldeggo bankierowi; niepotrzebujemy iść daleko, by dostać się pod właściwy adres.

— Do kogo mnie pan prowadzisz? zapytał bankier, którego ciekawość w wysokim stopniu podrażnioną została.

— Do pana Merlotti w Lateranie, odrzekł spokojnie zapytany.

— Co—co—co? zapytał bankier zadziwiony a nawet przestraszony, „Merlotti? Lateran? Hm! czy to nie będzie jeden z powierników kardynała Antonelli“.

— Ten sam, odrzekł przewodnik Goldsterna śmiejąc się, ale signore Merlotti jest zarazem także *naszym* powiernikiem.

Bankier uczuł wielką ochotę drapnąć, gdyż lękał się wpaść w jaką szkaradną łapkę. Ów Merlotti, o którym była mowa, pospolicie uchodził za jednego z najzawziętszych papistów i największych nieprzyjaciół *młodych Włochów*. Minister Stanu Antonelli,

w którego tajemnym gabinecie pracował Merlotti, wiele zakładał sobie na tym człowieku.

— Chodź pan bez obawy, rzekł flegmatycznie po chwili młody człowiek, krótka rozmowa z panem Merlotti, nauczy pana czego innego.

Stary Goldstern pokonał po krótkiej rozprawie swój pierwszy przestrah.

Nie noszę przy sobie, pomyślał, oprócz tych wierszy Garibaldeggo, zupełnie niezrozumiałych dla nie wtajemniczonych, żadnego kompromitującego papieru, a za cny książę dotrzyma słowa, mianowicie że będzie blisko za nami.

Poszedł więc milczący za swoim towarzyszem, do Lateranu, w którym kardynał Antonelli mieszkał ze szczególnym upodobaniem, podczas gdy w Watykanie o tyle tylko przebywał, o ile wymagały służbowe jego obowiązki jako ministra stanu.

Lateran, leżący blisko, po krótko już przez nas opisanego Watykanu i Kościoła Ś-go Piotra jedną z głównych osobliwości Rzymu, otrzymał swoje nazwisko od starożytniej Rzymskiej familii *Lateranus*, która aż do czasu Cesarza Nerona była w posiadaniu miejscowej okolicy, i wybudowanego na niej pałacu. Neron, który miał ochotę posiąść dla siebie ten pyszny budynek, łatwym sposobem został jej właścicielem; kazał ściąć ostatniego właściciela Paulusa Lateranusa, i ogłosił Lateranejski pałac jako cesarską własność. Konstantyn, nazwany Wielkim, podarował ten pałac papieżom, którzy tutaj rezydowali, dopóki nie przenieśli

swój stolicy do Avignonu. — Po powrocie do Rzymu wybrali sobie papieża Watykan na mieszkanie i stolicę rządu. Lateran nazywa się także zbudowany przez wspomnianego cesarza Konstantyna — obok palacu, kościół Ś-go Jana Lateranejskiego, który jest głównym kościołem Rzymu, i z powodu odległej starożytności, rodzaju swej budowy, bogactwa, rzadkich relikwii, i znajdujących się tam od r. 1122 zbiorów kościelnych, wyróżnia się z pomiędzy innych. Jeszcze teraz każdy nowo wybrany papież przez tak zwaną *kawalkadę*, processją konną, obejmuje uroczyście w posiadanie ten kościół. Przy jego portyku znajduje się balkon, z którego papież udziela ludowi błogosławieństwo.

Signore Merlotti przyjął bankiera z uderzającą sztywną grzecznością, i rzucił mu z kilkanaście pytań zupełnie obojętnej natury, zanim okazał minę, iż nakoniec słucha celu jego odwiedzin. Młody człowiek, który wprowadził starego Goldsterna, znikł już cddawna.

Bankier zauważył zaraz, że ma do czynienia z nadzwyczaj przezornym i przebiegłym intrygantem.

— Pan długi czas przebywał na Kaprerze? zapytał Signore Merlotti, kiedy już Goldsterna wy badał o jego podróż.

Na potwierdzającą odpowiedź dodał Merllotti:

— Jest zbyteczną rzeczą, pytać się pana, czy pan bliżej znasz generała Giuseppe Garibaldi?

— Dopiero teraz, odrzekł bankier uśmiechając się, być może byłoby również niepożyteczną stratą czasu do pana, panie radco, skierować toż samo pytanie, tak,

przewiduję nawet, że i pismo tego pana, nie jest panu nieznane.

Mówiąc te słowa Goldstern podał liścik Garibaldegogo.

Merlotti zimno wziął papier do ręki, rozwinął go, i kiedy go potrzymał przez chwilę i oglądał na wszystkie strony kiwając głową, rzekł z odegranem po mistrzowsku zdziwieniem:

— Doprawdy! niepojmuję, co mam z tem począć? te cyfry są mi zupełnie niezrozumiałe, i gdybyś pan wyraźnie nie powiedział, że ta bazgranina pochodzi od okrzyczanego Garibaldegogo, nigdybym nie był w stanie odgadnąć jego podpisu. Weź więc pan napowrót tę karteczkę; dla jakiego zapalonego zbieracza autografów, może ona w każdym razie mieć jakąś wartość; dla mnie mogłaby co najwyżej przydać się na fidibus.

Bankier zaczął się bardzo niepokoić. Podniósł się ze swego siedzenia i sięgnął po kapelusz.

— Żałuję, żem panu przeszkodził, rzekł, przygryzając wargi.

— I ja także żałuję, że panu w niczem nie mogę służyć odnośnie do księcia Cozency, odrzekł Signore Merlotti, również wstając z krzesła i robiąc ceremonialny ukłon.

Stary Goldstern wyszedł nadzwyczaj rozgniewany powyższą rozmową,

Przy wychodzie z Lateranu, spotkał młodego człowieka, który mu z kawiarni na *Piazza di Spagna* aż tutaj służył za przewodnika.

— Mój panie! zaczął bankier dosyć uniesionym tonem, mój panie, zapewne nie rościsz sobie żadnej pretensyi do podziękowania z mojej strony?

Obcy roześmiał się przez chwilę na całe gardło, następnie rzekł:

— Uspokój się pan, mój przyjacielu i bracie! ta mała komedyjka była koniecznie potrzebna. Signore Merlotti chciał pana koniecznie poznać osobiście, gdyż wie już o wszystkim dokładnie z listu od Garibaldeggo. Ponieważ zaś Merlotti wie, że tak on jak i wszyscy urzędnicy tajemnego gabinetu, nawet w swoich pokojach są podsłuchiwani, nie mógł tak mówić, jak z pewnością pragnął. Tymczasem przez trzecią osobę pokierował on już tak wszystkim, by stało się zadość pańskiemu życzeniu. Jeśli się panu podoba, możemy jeszcze dzisiaj wyjechać do Abruzów.

— Do Abruzów? zawołał bankier zdziwiony.

— Tak, do Abruzów, ponieważ tam książę Cozenca przez nas został zatrzymany, odrzekł obcy spokojnie.

Stary Goldstern został tą wiadomością tak mocno zdziwiony, że zmienił kierunek drogi i pospieszył prosto do księcia Ryszarda, który był oddalony może o 20 kroków. Opowiedział mu nadzwyczajną nowinę, o jakiej się dowiedział od swego cicerone.

— Więc tedy jedźmy jeszcze dzisiaj, odrzekł książę spokojnie—naturalnie bez naszych córek, gdyż w Abruzach niebardzo jest bezpiecznie.

— Pańska obawa, *Eccellenzo*, zauważył młody człowiek skromnie, w tym razie jest zupełnie nieuzasadnio-

na. Rozbójnicy nietylko pana i jego orszak przepuszczą spokojnie, ale nawet jeszcze panu tam i napowrót dadzą eskortę. Nawet w tym względzie są już wszystkie potrzebne rozkazy wydane.

— Mielibyśmy się więc odważyć i damy zabrać ze sobą? rzekł książę z namysłem.

— Co do tego, pozwól pan się księżniczce saméj zdecydować, zauważył bankier; będzie się chciała narazić, to i moje córki wezmą także udział; w każdym razie kuzyni Cerotti będą nam także towarzyszyć.

— Jeżeli tylko chodzi o Gundi, to w razie potrzeby ona by nawet do piekła pojechała, by zobaczyć Flodarda, odrzekł śmiejąc się książę.

— A więc możemy rzecz za załatwioną uważać, rzekł bankier z zadowoleniem kiwając głową i za dwie godziny jestem gotów do podróży z moim orszakiem.

— I ja także, rzekł książę, i podawszy rękę bankierowi, wszedł do pierwszej lepszej dorożki, by pojechać do swego hotelu.

Uprzejmy Cicerone, któregośmy dali poznać jako Conte Benvista, również się pożegnał, gdyż miał jeszcze porobić niektóre przygotowania, on bowiem miał być przewodnikiem małej karawany do Abruzów.



X.

W Abruzzach.

By wyjaśnić szczególne zwrócenie uwagi hrabiego Benvista, że książę Cozenca ze strony *czzerwonych*, którzy do jego uwolnienia już dwa razy robili prawdziwie olbrzymie usiłowania, a teraz znajdował się zatrzymany w Abruzzach, musimy rzucić jeszcze raz okiem w tył do katakumb Rzymu, gdzieśmy zostawili Del Lucca, Flodoarda i Ajgnera w tajemnym skarbcu „młodych włoszech.”

Śmiertelny przestрах zawsze tak odważnego a nawet junackiego agitatora, kiedy zobaczył tamże zebranych trzech członków wysokiej rady związku, nie był rzeczywiście wcale udanym. Uroczystą bowiem przysięgą, że nikt obcy nie wejdzie do tych sklepień, które tylko niektórym ze związku najwyższego stopnia znane być mogły, lekkomyślnie dla przyjaźni dla swoich pupilów złamał. Według zasad tajemnego związku, które właśnie dla zwierzchników jego zawierały prawdziwie drakońskie przepisy, nietylko on na śmierć zasłużył, ale i dwaj goście nieproszeni. Musimy tu przypomnieć na pochwałę Del Lucca, że niebezpieczeństwo, jakie jego własnej osobie groziło, daleko go mniej obchodziło, jak myśl — że wraz z nim zginąć muszą także dwaj niewinni. Miał on dla księcia istotnie szczerą szacunek, a nawet przyjaźń, tak, że podczas gdy pierwszy raz czynnym był przy uwolnieniu Flodoarda z En-

gelsburga wprost tylko z celów związku, drugiego figla śmiałego dokonał już więcej z własnego popędu. Ta życzliwość naklaniała także Del Lucca, by księcia niewystawiać na niebezpieczeństwo, na jaką się zbiegli prawdopodobnie narażali przy ich ukazaniu się „w świecie górnym“, ale przez tajemny skarbiec i długi podziemny korytarz przedsięwziąć pewne zupełnie wyjście, do jednego domu znajdującego się w środku miasta Rzymu.

Zadziwienie i oburzenie malowało się na twarzach trzech sprzysiężonych, którym niespodziana obecność naszych zbiegów tak bardzo przypadła nie w porę. Jedną z tych trzech osób był papieżki tajny radca Merlotti, któregośmy pobieżnie poznali już w poprzednim rozdziale.

Merlotti przystąpił do Del Lucca i wskazując na księcia i Ajgnera, zapytał ze straszną powagą:

— Kto są ci dwaj?

— To są ludzie honoru, mój bracie, odrzekł Del Lucca, który tymczasem nieco ochłonął ze swego zdumienia.

— Kto im tutaj pokazał drogę do najskrytszego zakątka naszego związku? badał dalej ostro Merlotti.

— Ja, zacny bracie! odrzekł agitator, odzyskując zwykłą swoją śmiałość i tylko na mnie ciąży wszelka odpowiedzialność.

— Doprawdy ciężka odpowiedzialność, rzekł wstrząsając głową Merlotti i strasznym głosem: pan, nasz mistrz, dopuściłeś się krzywoprzysięstwa?!

— Wiem, że bardzo zbłądziłem, odpowiedział Del

Lucca spokojnie, i nie będę szemrać, jeśli dotknie mnie cała surowość naszego prawa. Zasłużyłem na śmierć.

— Wy nieszczęśliwi! ciągnął dalej Merlotti zwrócony do księcia i Ajgnera, wyście także pcdpadli smutnemu losowi! biada, trzy razy biada wam, jeśli nie masz jakiego środka, by wysoką radę na waszą korzyść usposobić!

— Mój panie! zaczął Flodoardo pewnym głosem, mój panie! nie w tajemnicząc się w żadne bliższe okoliczności, pozwalam sobie wszakże uważać obawy pańskie za zupełnie nieuzasadnione. Ja i mój wierny towarzysz będziemy umieli zachować tajemnicę; to przyrzekam panu jako człowiek honorowy i wolno-mularz.

— Pan jesteś wolno-mularzem? zawołał Merlotti nagle poruszony.

— Próbój mnie pan, mój bracie! odrzekł książę spokojnie.

— Jest nim! potwierdził Del Lucca.

— Ale drugi? zapytał niespokojnie Merlotti.

— Wprawdzie nie jest wolno-mularzem, ale jest człowiekiem honoru, za którego milczenie ja poręczam, pośpieszył dorzucić Flodoardo.

Merlotti spoglądał pytająco na dwóch innych członków wysokiej rady. Obydwaj ci panowie również jak i Merlotti, należeli do pierwszych rodzin Rzymu, i nikt się nie domyślał, że oni się zaliczali do tajemnych przywódców „młodych włoszech.“ Obawy tych trzech panów były więc do pewnego stopnia bardzo uzasadnione. Najmniejsza niedyskrecja mogła ich nie tylko oso-

biście wystawić na wielkie niebezpieczeństwo, ale nawet doprowadzić do odkrycia tajemnego skarbu, w którym zachowane były znaczne summy i najważniejsze papiery tajemnego związku.

Na szczęście Merlotti osobiście był wielokrotnie obowiązany do wdzięczności naszemu agitatorowi Del Lucca, a wpływ pierwszego na dwóch innych członków wysokiej rady był bardzo znaczny.

Del Lucca, spostrzegając dobre usposobienie Merlotti'ego nabrał nowej odwagi; przedstawił teraz formalnie Flodoarda. Nazwisko księcia i jego w Rzymie powszechnie znane przygody, wywarły bardzo dobry skutek na dwóch innych członków rady.

Merlotti i jego dwaj towarzysze, cofnęli się w róg wielkiej podziemnej sali, i naradzali się z cicha z dobre pół godziny. — Nakoniec przystąpił Merlotti do Del Lucca i Flodoarda, którzy z milczącą rezygnacją, oczekiwali rezultatu wspomnianej rozmowy.

— Dobrze, zaczął Merlotti z namysłem, ja i moi dwaj przyjaciele, postanowiliśmy skutki kary godnej nieogłędności naszego dawniej tak zasłużonego mistrza Del Lucca, uważać za nie byle, o ile to jest w naszych siłach. Na to nie ma teraz innego środka, jak o obecności owych dwóch nieznanomych zupełnie zapomnieć, to jest nie wiedzieć, a raczej zaniechać wszelkiego doniesienia wysokiej radzie. Jest to wielkie przekroczenie obowiązku z naszej strony, którego możliwe skutki mogą być bardzo smutne, tak dla nas samych, jak i dla

całego związku. Jesteśmy tedy zmuszeni—postawić pewne warunki.

Del Lucca i książę wysoce ucieszeni z takiego obrotu rzeczy, ukłonili się na znak, że są bardzo chętnie gotowi wysłuchać dalszego. Dobry Ajgner trzymał się flegmatycznie z daleka, wszakże w każdej chwili gotowy, silnemi pięściami swemu panu w razie potrzeby przyjść z pomocą; jego prosty tyrolski rozum nie pojmował dobrze przyczyny tego długiego parlamentowania; podług jego widzenia rzeczy, wypadło po prostu trzech mężczyzn, których napotkano w skarbcu, pokonać i następnie wydobyć się na wolność.

— Jakkolwiek, mówił po pewnej pauzie Merlotti, jakkolwiek nie mamy żadnej wątpliwości, co do dyskrecyi, i honorowości księcia, jak również i jego służącego, czujemy się wszakże w obowiązku, żądać na to pewnej gwarancyi, przynajmniej na jakiś czas. Stawiamy więc warunek, że książę i jego służący, przynajmniej przez ciąg sześciu miesięcy zostaną ukryci dla całego świata, że przez ten czas zrzekną się wszelkich stosunków z zewnątrz światem i dobrowolnie zgodzą się na pobyt w miejscu, które my naznaczymy. Po upływie tego terminu nie będzie żadnej przeszkody do zniesienia internowania, gdyż jak ci wiadomo bracie Del Lucca, do tego czasu, dawno już postanowione przeniesienie zawartych tu skarbów i dokumentów do Turynu lub Genui,—będzie faktem spełnionym.

— Sześć miesięcy! mruknął Flodoardo przygnębiony, biedna Adelgunda!

— Zgadzaś się pan, zgadzaś się pan! nalegał Del Lucca niespokojnie.

— A jeżeli się nie zgodzę, cóż w tedy? zapytał z cicha książe agitatora.

— Cóż wtedy? do wszystkich djabłów, wtedy w ciągu trzech dni byłbym nieżywym człowiekiem, a co się tycze pana i pańskiego sługi, to wysoka rada, która w podobnych razach bardzo zwykła energicznie postępować, będzie musiała zapewnić sobie wasze milczenie.

— A gdybyśmy też sobie sami przemocą utworowali drogę do wolności? rzekł z cicha Flodoardo.

— Szalony? odrzekł Del Lucca pewny siebie, z trzema podeszłymi mężczyznami zapewne krótko byśmy się bawili, ale pan pewnie nie wiesz, że od stojącego tam stoliczka idą druty telegraficzne do wszystkich, zawsze dobrze strzeżonych wejść. Jedyne naciśnięcie, a stu dobrze uzbrojonych ludzi, z dziesięciu stron rzucą się na ten punkt katakumb. O, Merlotti jest przebiegły lis; spojrzysz pan tylko jak on się trzyma blisko stoliczka; już on wietrzy zdradę, i z pewnością się zaskoczyć nie pozwoli.

— Dobrze więc, odrzekł książe zdecydowany, nie zwracam na to uwagi, czybym ja i Ajgner istotnie popadł w niebezpieczeństwo, niezgadzając się na warunek; wystarcza mi wiadomość, że pan, któryś mi już dwa razy wyświadczył tak ważne usługi, przez mój upór naraziłbyś życie, gdyż jestem istotnie przekonany, że wysoka rada „młodych włoszech“ surowo by się z panem

obeszła, tem więcej skoro pan, jak mi to już sam kiedyś mówiliś, liczysz w niej kilku silnych nieprzyjaciół.

— Tak jest istotnie, przytwardził Del Lucca, i mogę się nazwać prawdziwie szczęśliwym, żeśmy tu właśnie spotkali Merlotti'ego i jego dwóch przyjaciół, którzy mi również są życzliwi.

Flodoardo zbliżył się teraz do Merlotti'ego i złożył w swoim i Ajgnera imieniu uroczystą obietnicę, iż jakkolwiek z trudnością to będzie dla niego, jak i dla księżniczki Adelgundy, poddaje się jednak bezwarunkowo stawianym warunkom, bez żadnej ukrytej myśli.

— Rachuję na pańskie słowo człowieka i wolno-mularza! rzekł Merlotti, odpowiadając na uściśnięcie ręki księcia; niezapominaj pan jednak, że od tej godziny spoczywa na naszych językach śmierć i życie nas wszystkich. — Chodź pan.

Merlotti otworzył tajemne drzwi, które prowadziły w kierunku miasta, więc leżały na przeciwko tych, przez które wszedł Del Lucca ze swemi dwoma towarzyszami.

Jakieśmy zauważyli, odległość od tajemnego skarbcza aż do miejsca, gdzie podziemny korytarz prowadził do Merlotti'ego domu, wewnątrz miasta wynosiła dobre pół godziny. Kiedy nasi awanturnicy zaledwie z połowę tej drogi odbyli, nagle się zatrzymano. Merlotti w jednym miejscu korytarza wprowadził w ruch zupełnie podobny mechanizm, jakieśmy już poznali przy zamknięciu tajemnego skarbcza, w skutek czego wielka płyta kamienna odwróciła się ze zgrzytem na zawiasach i zro-

bił się wprawdzie niewygodny, ale jednak dość obszerny wchód, do bocznego korytarza, — Merlotti i jego dwaj przyjaciele pożegnali teraz księcia, ex-sierżanta i agitatora, któremu to ostatniemu wypadło towarzyszyć dwóm swoim pupilom do miejsca ich przeznaczenia.

Bez żadnego przypadku wywiązał się Del Lucca z tego zadania. Może w 30 godzin od niemiłego spotkania się z Merlottim w katakumbach Rzymu, znajdował, się Flodoardo i jego wierny towarzysz wśród Abruzzów w oddalonym o dwie godziny od głównego traktu starym, na pół rozwalonym zamku, który z całym pośpiechem o ile można było uczyniono mieszkalnym dla niespodziewanych gości.

Zamek ten, kiedyś zdawna straszne gniazdo rozbójnicze, od dwóch już wieków wymarłych książąt *Solmona*, został już może od 50-ciu lat przez węglarzy przy ich pierwszej organizacyi kupiony za bardzo lichą cenę, i przechodził od tego czasu przez pozorne sprzedaże zawsze w ręce zaufanych sprzymierzeńców włoskiej partyi działania, jak skoro tylko przez śmierć lub inne ważne przyczyny, następowała zmiana posiadacza. — Do owego obecnego nazwiska *Nido di falconi* (Falckenhorst), przyszedł w mowie stojący zamek dopiero od czasu jak przestał być siedliskiem rodziny książąt *Solmona*, pod których tyrańskim rządem, to gniazdo rozbójnicze, z powodu niezliczonych tam praktykowanych okrucieństw, pospolicie było tylko zwane *górami westchnień* (*Monte dei sospiri*).



Falckenhorst liczył obecnie tylko trzy właściwie mieszkalne pokoje na pierwszym piętrze. Mocno sklezione dolne pokoje, służyły za stajnie dla kilkuset owiec, 12-u krów, i kilku osłów, nad którymi miało dozór kilku chłopców i stary tetryczny klucznik. Ów klucznik nazwiskiem Girolamo, zastępował zarazem miejsce murgrabiego. Ten człowiek w młodszych latach miał być strasznym rabusiem i miał na swoim sumieniu liczne zbrodnie.—Powszechnie rozszerzone było zdanie, że signor Girolamo przechowywał ukryte w piwnicach Falckenhorstu olbrzymie skarby, które przeznaczone były, by za nie na miejscu, gdzie on ostatnią krew przelał, po jego śmierci pod wezwaniem Ś-go Januarjusza wzniesiony został klasztor.

O ile samotne, a nawet złowrogie były pokoje w których książę przez pół roku przynajmniej miał mieszkać w zupełnym odosobieniu od świata, o tyle cudownem, czarującym było położenie Falckenhorstu. Nawet Ajgnerowi, który przyzwyczajony był w swojej ojczyźnie Tyrolu do wspaniałych widoków górskich, wymknęło się nie jedno słówko podziwu, kiedy ze swoim panem i z panem Del Lucca wstąpił na wpół rozwalony taras burgu.

Trudno pomyśleć o bardziej dziko romantycznej okolicy, jaką ją mają Abruzzy w pobliżu Solmony. — Góry te, które w najwyższej swjej części tworzą łańcuch gór apenińskich, składają się z długo wyciągniętych wysokich kotlin po przeplatanych wzgórkami, nadzwyczaj malowniczych kształtów. Wszędzie przecho-

dzi okolica górzysta stromo na wszystkie strony, mianowicie obniża się ku Adryatyckiemu morzu. Bystre wody gór pienią się w głębokich parowach. Od Października do Kwietnia śnieg na stopę wysoki, pokrywa wierzchołki góry, a na 8,882 stóp wysoka *Grau Sasso d'Italia*, zarazem najwyższa góra na całym półwyspie apenińskim, przez cały rok pokryta jest lodem. Klimat Abruzzów jest z tego powodu bardzo ostry; gęste lasy uwieńczają wyżyny; doliny jednak są bardzo urodzajne. Migdałowe, orzechowe i inne owocowe drzewa prosperują wszędzie; oliwkowe jednak drzewo, udaje się tylko w okolicach najniżej położonych.

Abruzzy, które na 15 mil ku północo-wschodowi zachodzą w państwo kościelne, są przez swoją właściwość gruntu przy jakiej takiej obronie niewyciężonym punktem strategicznym, tem więcej gdy do nich tylko jedna wszakże dla armii bardzo ciężka prowadzi droga w głąb królestwa i nie ma drugiej podobnej przez góry, od brzegów morza Śródziemnego do Adryatyckiego. Dla napadu na Neapol, jest więc posiadanie Abruzzów niezbędnie koniecznem; przemocą je jednak zdobyć, jest zarówno ciężko, jak niebezpiecznie, a gęste lasy i strome ściany gór, z przepaścistemi parowami, wybornie się nadają do wojny gerylasówką zwanej. — Ale mieszkańcy Abruzzów nie mają prawdziwej odwagi, chociaż fizycznie bardzo silnej budowy ciała, i w wojennym rzemiośle są co najwyżej — rozbójnikami. Starożytni Samnitowie, Marsowie i Sabinowie, którzy kiedyś tak straszni byli dla Rzymian, nie dadzą się już

poznać w dzisiejszych mieszkańcach Abruzzów. Naczelnym pasterz i szafarz Girolamo był prawdziwym synem Abruzzów, to jest zbywało mu na owych przyzwyczajonych formach w mowie i obejściu, które w miastach zwykle są nawet ostatniemu włoskiemu Fachino, był on przy tem ograniczony, zabobonny, bigot i bardzo muzykalny. Grał na flecie i na waltorni, jak wirtuoz — jakkolwiek nie posiadał żadnych nauk i nie znał ani jednej nuty. Przy tem posiadał znakomity talent zmieniania ary i melodyi i harmonijnego układania z nich coś nowego.

Dla Del Lucca miał Girolamo nadzwyczajny szacunek; agitator bowiem kiedyś go wybawił z więzienia wojennego w Caserta, kiedy dziki Abruzzyjczyk za ranienie swego dowódcy miał być według prawa rozstrzelany. Od tego czasu znajdował się Girolamo w Falckenhorst, odosobniony od świata, gdyż nawet wieśniacy unikali okolicy góry westchnień, na której wedle powszechnego podania ludu, nocną porą przeszkadzały złe duchy. To mniemanie, które węglarze we własnym interesie rozpuścili, było zresztą jeszcze wzmożone okolicznością, że nigdy nie było słyhać o chorobie pomiędzy stadami powierzonymi Girolamowi, co naturalnie przypisywano tylko jego stosunkom, z nieczystymi duchami.

Del Lucca, jak zawsze bardzo czynny, opuścił Falckenhorst jeszcze tego samego dnia, kiedy ulokował swoich dwóch pupillów; kilka słów wystarczyło, by usposobić życzliwie starego grzesznika Girolamo, dla

nowych gości, i Agitator opuścił Falckenhorst z przekonaniem, że książę i Ajgner będą tam tak dobrze podejmowani jak tylko na to okoliczności pozwalały, Agitator, którego przyjazne usposobienie dla księcia istotnie nie miało granic, udał się drogą do leżącego o 4 godziny od Falckenhorstu miasteczka Solmona. Wziął dwóch pastuszków i wszystkie znajdujące się tam jeszcze zwierzęta, by swoich pupillów na górze westchnień o ile można wygodnie urządzić, ponieważ zamek na górze nie miał innych środków żywności jak tylko mleko, cielećcinę, kilka gatunków owoców, kury, jaja, kartofle i kukurydzę.

Ośm osłów z powrotem wlokły się ciężko obładowane zakupami, którymi je Del Lucca w Solmonie obładował. Przeworna staranność Agitatora dostarczyła cukier, kawę, ryż, oliwki, korzenie, wino, nakrycia stołowe, naczynia, sztuczce, ubrania, a nawet książki, atrament, pióra, i papier i to wszystko w dobrym gatunku, i odpowiedniej ilości.

Ajgner uderzył w ręce z radości, i zaśpiewał wesoło prawdziwego tyrola, kiedy obejrzał wszystkie niezliczone skarby dla domu kuchni i piwnicy, jakie przywlokły na sobie biedne, prawdziwie przeciążone osły, z Solmony do Falckenhorstu. Dobry Ajgner widział się teraz w uniwersalnym charakterze kucharza, stolnika, fryzjera, chłopca do butów, sekretarza i krawca księcia, we wszystkich troskach uspokojonym, gdyż nawet szuwaks, nici i igły, grzebienie i pomada znajdowała się w massie towarów, na których obejrzenie tylko

potrzebował kilku godzin czasu, pomimo że mu w miarę możności pomagał do tego Flodoardo, wszakże bez podziękowania za to wiernego sługi, gdyż Ajgner uważał się za tę nieproszoną pomoc obrażonym w swoich prawach, i mruczał ciągle pod nosem, że podobnemi rzeczami nie przystoi zajmować się tak wielkiemu panu, że się w swoim czasie poskarży o to przed księżniczką Adelgundą i t. p.

Flodoardo, który dotąd śmiał się tylko z dobrej duszy i prawdziwie dumnym był z tego, iż perłę taką jak Ajgner mógł swoją nazwać, wydał głębokie westchnienie, kiedy usłyszał imię swojej ukochanej narzeczonej. W jakimże niepokoju i trosce musieli znajdować się Adelgunda i jej zacny ojciec, kiedy od tak dawna nie o nim niesłyszeli?! Ale Flodoardo mocno był zdecydowany, wiernie dotrzymać danego słowa jako mężczyzna i wolno mularz, jakkolwiek ciężko mu to przychodziło i utudnie uśmiechały się do niego czyste arkusze białego papieru listowego, i zachęcały go do złamania słowa.

By oddalić od siebie i zapanować nad smutnemi myślami, zabrał się Flodoardo do pakietu książek, które staraniem Del Lucca przysłane zostały dla duchowego posiłku internowanego.

Książę był bardzo ciekawy poznać w tym względzie smak Del Lucca. Jego oczekiwanie nie zostało zawiedzione. — Znalazł w pakiecie słusznie cenioną Cezara Cantu: „*Storia universale*“ największe dzieło histo-

ryczne, jakie wydała włoska literatura, i kilka matematycznych książek.

Del Lucca w tym względzie zrobił wybór doskonały, gdyż istotnie historia i matematyka, były to ulubione przedmioty księcia, który w obydwóch tych działach ludzkiej wiedzy posiadał zarówno gruntowne, jak obszerne wiadomości.

Tryb życia księcia w Falckenhorście przechodził dosyć jednostajnie. — Jak zawsze równo ze wschodem słońca opuszczał łóżko, przechadzał się małą godzinę po okolicy, zjadał następnie przygotowane przez Ajgnera śniadanie, po czym aż do drugiej po południu zagłębiał się w swoich naukach. Około téj godziny Ajgner podawał skromny obiad przy pomocy małego chłopca, którego sobie powoli przygotował z pastuszka na pazia i kuchcika, przy czym naturalnie gęste czarne włosy młodego abruzzeńczyka silnie były wysmarowane i gładko wyczesane, ponieważ Ajgner jako stary podoficer kierował się surową wojskową dyscypliną, tem więcej skoro jako prawdziwy tyrol już z domu nieodzynał się zbyt delikatnem obejściem.

Godziny po południowe przepędzał Flodoardo po większej części w towarzystwie Ajgnera na wycieczkach z fuzyą, przy czem mniej zważał na korzyść z polowania jak na strzelanie o zakład, gdzie tyrolczyk prawie zawsze zdobywał nagrodę. Właściwe polowania były jednak zabronione naszemu internowanemu, ponieważ Flodoardo zobowiązał się, nie oddalać się dalej w okolice zamku, jak tylko w obręb półmilowy.

Po powrocie z tych krótkich wycieczek, podawano zawsze kolacyą z pozostałych potraw z obiadu, a następnie przy cygarze i butelce wina przysłuchiwał się książę artystycznym utworom Girolama. Stary ten towarzysz mordu, jak skoro tylko słońce zaszło, zwykł był zajmować miejsce na wązkim i małym wysoku skały nie daleko od zamku. Książę uczuwał zawsze przykrą obawę, kiedy spoglądał na wirtuoza natury na jego niebezpiecznem stanowisku, gdyż Girolamo zasiadał zawsze na najbardziej wystającym skraju skały, która wznosiła się po nad 50 sążni wysoką stromo zniżającą się ścianą granitową. Jedyne fałszywe poruszenie, a stary grzesznik musiałby zlecieć w straszną przepaść. I im bardziej Girolamo wpadał w zapal muzykalny, tem niebezpieczniej zaczynał się poruszać całym ciałem, tak, że każdej chwili lękano się, iż zniknie w strasnej przepaści.

Często dopiero o północy powracał Girolamo do zamku. Tak Flodoardo jak Ajgner skwapliwie go wtedy unikali. Jedyne raz spotkali wracającego z owój muzyki dzikiego abruzzeńczyka, i nigdy obydwaj nie zapomną błyszczącego szaleństwem i żądzą mordu wzroku, jakim Girolamo na nich spoglądał. Stary rozbójnik, jak mu się to często trafiało, miał owój nocy widzenie; złe sumienie odmalowywało mu krwawe postacie jego ofiar i napępniało obawą i przerażeniem całą jego istotę.

Upłynęło już przeszło 2 miesiące od czasu jak nasi dwaj przyjaciele znajdowali się na Falckenhorście

kiedy pewnego dnia jeden z pastuszków, którego stado znajdowało się na pastwisku o małą godzinę od zamku ukazał się zadyszany z wiadomością, że na drodze od Solmony, zbliża się grupa podróżnych, między którymi także kilka dam.

— Ho, ho, rzekł książę śmiejąc się do Ajgnera, któż się to mógł zabłąkać w tej dziczynie. Od czasu jak się tu znajdujemy, niewidzieliśmy jeszcze jednej twarzy obcego człowieka. Prawdopodobnie są to dziwacznicy anglicy, którzy koniecznie swoje sakiewki i zbywające im pakunki chcą zostawić w Abruzzach.

— Możemy wszakże zobaczyć co to za ludzie, pomyślał Ajgner obojętnie.

— Mój kochany przyjacielu, rzekł Flodoardo kiwając głową, my sami nic nie zobaczymy gdyż wprost z mojego przyrzeczenia rozumie się, że się skryjemy przed przybywającymi. Lecz było to rzeczą Girolama pomyśleć, jakimby się sposobem można przyjrzeć, nie będąc widzianym przez nowych przybyszów. Chodź, chodź ze mną mój kochany do owego pokoju na wieży. Tam skorzystamy z wybornego teleskopu, który również zawdzięczamy wspaniałomyślności, i troskliwości dobrego Del Lucca.

Mrucząc jak zwykle, lecz także posłusznym jak zawsze, poszedł Ajgner za życzeniem księcia. Dostał się do tak zwanego pokoju na wieży, który się znajdował na nawpół rozwalonem drugim piętrze, i jak tylko najwyższy punkt zamku dawał swobodny widok ustawił teleskop, i skierował wyborny instrument ku owój stro-



nie doliny, gdzie jego orle oko już dostrzegło zbliżającą się małą, konną karawanę, jakkolwiek z powodu znacznej jeszcze odległości, ludzie i zwierzęta, wydawali się nadzwyczaj małeńcy.

— Wprost do nas idą ci goście, rzekł Ajgner, opróżniając księciu miejsce przy teleskopie.

Flodoardo przyłożył perspektywę do swego oka, daleko słabszego od oka tyrolczyka, który ze swój strony nie mógł pojąć, że człowiek nie może jak on w odległości godziny odróżnić kozła dzikiego. Podług jego zdania, krótki wzrok był tylko śmiesznem udawaniem bogatych ludzi, by osobliwiej wyglądali. Ze skrzyżowaniem na krzyżu rękami spoglądał Ajgner z po za księcia w głąb doliny, i rachował z cicha podróźnych, których fizyognomię zaczynał już nawet rozpoznawać.

— Jeden jest żyd! szepnął do siebie i splunął potem mimowolnie, następnie dodał: Sapperlot, to jest zabawna rzecz z tym starym drugim panem, siedzi przecież na koniu jak przyrośnięty! Inne dwie panny po za nami byłyby weale nie brzydkie, gdyby, Boże mnie skarż, nie były żydówkami

Dalsze uwagi zacnego tyrola, który nie mógł nigdy powściągnąć swojej wrodzonej antypatyki ku żydom, przerwane zostały przez głośny okrzyk księcia, który nagle jak szalony zaczął biegać tam i na powrót i groziło mu nawet niebezpieczeństwo, iż może sobie połać ręce i nogi.

— Do diabła! zawołał Ajgner na wpół zdziwiony,

na wpeł przestraszony, zdaje mi się, że mój pan zwaryował.

Następnie pobiegł ku księciu, który już znacznie się oddalił od niego, i jak szalony zbiegał po spadzistój górze.

— No teraz on zaczyna mruczyć, rzekł Ajgner, istotnie zakłopotany, muszę zobaczyć co to takiego, za nim się stanie jakie nieszczęście.

Zacny służący, który był przekonany, że pan jego nagle zwaryował, zaczął z krzykiem biedz ku stromiej przepaści, by Flodoardowi zastąpić drogę na wązkiej ścieżce krańcowej, przy jej najbliższym zakręcie. — Szczęście nadbiegł na parę sekund przedtem i schwytał niespodzianie z tyłu księcia w swe olbrzymie objęcia.

— Puść mnie, puść! wołał Flodoardo zadyszany, puść mnie! tutaj jest Gundi, moja Gundi!

Ajgner obejrzał się milcząco i roztworzył ramiona. Zaczął domyslać się, że piękna, mloda, jeszcze o jakie siedmset kroków oddalona dama, która teraz zdawała się dostrzegać księcia i swego konia nielitościwie nakłaniała do pośpiechu, okazując przytem głośnie oznaki radości, jest oblubienicą jego pana.

— Mógł o tem przecież wcześniej powiedzieć! mruzczał poczciwy Ajgner na wpeł zmartwiony, na wpeł uśmiechający się i tarł sobie prawe kolano, które stłukł dość mocno podczas biegu.

Jako gorliwy marszałek liczył przedewszystkiem powoli głowy mających być na Falckenhorście przyjmowanych gości.

„Pięciu mężczyzn, trzy damy, sześciu służących dwie pokojówki, dwunastu Abruzzyjczyków jako eskorta, czyni razem dwadzieścia ośm głów. Brr! wszyscy muszą być przy dobrym apetycie. Na Boga — do jutra wyjedzą mi całe zapasy.“

Prozaiczny Ajgner nadzwyczaj zakłopotany, czy i w jaki sposób zadowolnić zdoła tak niespodzianie spadłe na niego wymagania gościnności, przedsięwziął najkrótszą drogę do Falckenhorstu, nie troszcząc się o serdeczną i budującą scenę powitania, jaka się odgrywała nieskończenie długo u stóp góry westchnień, między księciem Flodoardem di Cozenca i jego ukochaną Adelgundą.

## XI.

### Figiel jezuitów.

Nie powinno nas wcale zadziwiać, że dość długiego potrzeba było czasu, zanim reszta głównych członków małej karawany, mianowicie książę Ryszard, bankier Goldstern, jego córki i przyszli zięciowie, jak również marszałek podróży hrabia Benvista, powitani zostali przez księcia di Cozenca. Uszczęśliwiony Flodoardo czuł to sam wprawdzie, że zbyt wielka radość z niespodzianego zobaczenia doprowadzi go do przekroczenia prawideł grzeczności, a to przez zbyt długie

zajmowanie się tylko Adelgundą, jednak wszyscy przebaczyli mu tę usterkę z całego serca.

Ponieważ Flodoardo ostatecznie chciał naprawić wedle wszelkich prawideł etykiety to uchybienie, książę Ryszard przerwał stanowczo dalsze ceremonie oświadczeniem, że on jak prawdopodobnie i jego towarzysze, są głodni „na śmierć“ i dla tego serdecznie pragnie, by w Falckenhorście jak najprędzej choćby mlekiem i chlebem nakarmić żołądek.

Książę, w duchu staremu jegomości mocno za taką mowę obowiązany, ujął teraz za cugle czworonoga Adelgundy i szedł naprzód jako przewodnik, przyczem w słodkim rozmarzeniu swego zachwycenia, bąbał bez związku o tylu rzeczach, że biedna księżniczka o mało nie zaczęła powątpiewać o zdrowym umyśle swego drogiego ulubieńca.

Nakoniec dostano się do zamku na górze. Podróżni, którzy blisko od pięciu godzin z siodła nie schodzili, istotnie byli nadzwyczaj strudzeni i wygłodniali. — Aj-gner jednak skorzystał doskonale z zyskanego kwadransa czasu. Mleko, masło, owoce, jaja i chleb stały już przygotowane na długim stole i nie tylko mężczyźni, ale także i damy zabrali się dez żadnych ceremonij z pośpiechem, który dawał wyborne świadectwo o wielkości ich apetytu.

Stary książę był nadzwyczaj uszczęśliwiony; kilka razy zbliżał się niby dla napawania się wspaniałym widokiem do okna, a istotnie by obetrzeć szczerę łzy radości. Z dniem dzisiejszym zdawało się, że pokonane

zostały wszystkie przeszkody, jakie dotąd tamowały związek jego drogiego dziecka ze szlachetnym księciem, gdyż stary książę przynosił nawet wiadomość że Trybunał Cywilny w Rzymie zgodził się nakoniec na wydanie spadku księcia jego umocowanym.

Ze względu na szczupłość miejsca, trzy damy, mianowicie Adelgunda i córki Goldsterna, wraz z ich pokojówkami, dostały tylko jeden pokój do rozporządzenia.

Mężczyźni również zadowolnić się musieli jednym pokojem i nadto rozkoszować się na trzech zaimprowizowanych na prędcie z siana posłaniach, gdyż dwa właściwe łóżka zarezerwowano dla trzech dam.

Hrabia Benvista, kiedy wesołe towarzystwo wróciło nieco do porządku, oznajmił księciu uroczyście o rozwiązaniu swego ślubu; *tajemny skarbiec*, „młodych Włoszech“ został już z katakumb Rzymu na zewnątrz papieżkiego terytorjum w bezpieczne miejsce przeniesiony, i Del Lucca tymczasem swemu stronnictwu w zwykły sobie zarówno genialny jak śmiały sposób, wyświadczył tak ważną usługę, że jego przyjaciel Merlotti mógł się odważyć, wyznać przed wysoką radą o wiadomym nam przekroczeniu obowiązku i uzyskaniu dla niego zupełnego ulaskawienia.

Ta ostatnia wiadomość mocno uspokoiła księcia Cozenca, gdyż przy znanej surowości, z jaką członkowie stronnictwa ruchu przeprowadzają u siebie karność, dotąd najzasadniej obawiał się, że jego wybawca narażać się może na wielkie nieprzyjemności.

Zanim jeszcze dwie godziny upłynęło od czasu przybycia niespodziewanych gości do Falckenhorstu, nie bez dumy dobry Ajgner zameldował, że „obiad“ na stole. Ajgner istotnie w tak krótkim czasie cudu dokazał, choćby nawet skromny posiłek za zbyt szumnie ochrzczony został nazwą „obiadu.“

Podano najprzód zupę, następnie gotowaną baraninę z sosem, polentę (czysto włoską potrawę), kurczętą i wreszcie delikatną pieczeń z jagnięcia z sałatą. — Księżciu staremu i bankierowi, jako najstarszym przy stole, podał książę własnoręcznie dwa jedyne pstrągi, które dopiero z rana w pobliskim strumyku w lesie przez pastuszkę złapane zostały. Obydwaj panowie wymawiali się wprawdzie od tego pierwszeństwa i chcieli przynajmniej podzielić się z trzema damami, te jednak z uśmiechem odmówiły, widziały bowiem, jak ich ojcom już ślinka napływała do ust na widok wysmukłych, jasno żółtych rybek.

— Tak, zmusić was nie możemy, moje kochane dzieci! rzekł nakoniec książę wzruszając ramionami; nie pozostaje więc jak żebyśmy z pośpiechem sami te przysmaki pozjadali. A więc do rzeczy, bracie Goldstern, gdybyś jednak był tak uprzejmym i zadowolnił się mniejszym pstrągiem, byłbym ci nieskończenie obowiązany.

Zresztą dwaj starzy panowie i hrabia Benvista musieli podtrzymywać całą rozmowę podczas obiadu, który trwał przeszło dwie godziny, gdyż tak Flodoardo jak i kuzyni Cerotti mieli ważniejsze i bardziej intere-

sujące rzeczy do powiedzenia swoim narzeczonym, jak słuchać wesołego księcia Ryszarda, który dziś rozwinął całkowicie cugle swemu dobremu humorowi.

Obydwaj starzy panowie, którzy nietylko bardzo wiele jedli, ale nadto dosyć wypili doskonałego Apac-lejskiego wina, wstali nakoniec od stołu około godziny piątej po południu, kiedy Ajgner podał kawę i przy tej sposobności odbierał ze wszystkich stron dobrze zasłużone pochwały; książę wziął pod rękę bankiera, którego podczas podróży z Rzymu prawdziwie polubił i udali się na mały spacer do bardzo porządnie od czasu pobytu na Falckenhorście utrzymanego zamkowego ogrodu.

Po długiej luźnej rozmowie przy stole uczuł teraz uczony książę nadzwyczajną ochotę, zawiązać przy cygarze pogawędkę na jaki naukowy lub polityczny temat. — Jak zawsze w podobnych razach, zostawiono przypadkowi, by dostarczył przedmiotu rozmowy. — Tą razą był on bardzo blisko, gdyż obaj przyjaciele — tak musimy bowiem nazywać dwóch tych ludzi pomimo ich różnego stanowiska społecznego — zaczęli mówić o bliskim małżeństwie ich dzieci, co skłoniło starego Goldsterna do wynurzenia cichego żalu nad wyznaniem różnicą między kuzynami Cerotti i jego córkami.

Teraz ujrzał się nagle książę w swoim żywiole. —

Przy indywidualności i sposobie myślenia bankiera, który pomimo zaszczeplonych wolno-mularskich zasad, nie rozstał się jeszcze ze swojemi żydowskiemi przekonaniami, poznał bystry książę Ryszard, że jego młody „brat“ nie pojmował wysokiego historycznego

znaczenia chrześcijaństwa i jego wewnętrznego związku z ludzkością, ale smutne wybryki i wady chrześcijańskiego kościoła, które w tak wielu względach nie wspólnego nie mają z prawdziwym duchem nauki Jezusa, zwykł był brać za miarę sądu o chrześcijaństwie.

— Nie myślę bynajmniej, zaczął książe, kiedy już bankier stanowczo oświadczył się ze swoim wstrętem, że Sara i Paulina mogą kiedyś przyjąć chrześcijańską religję, niemyslę bynajmniej, w tym lub innym wypadku gorliwego nawracania na inną wiarę wypowiadać swoje zdanie. Ale nawet na przypadek, gdybym ci mój bracie coś nieprzyjemnego powiedział, muszę sobie wszakże pozwolić zrobić uwagę, że dla judaizmu, biorąc ze ściśle filozoficznego punktu widzenia, w rzeczywistości jest tylko jedna droga postępu, mianowicie droga do — *chrześcijaństwa*, mówię do chrześcijaństwa wprost, t. j. do chrześcijańskich *idei*, nie myśląc o chęci protegowania istniejących chrześcijańskich kościołów, które wszystkie jeszcze są bardzo daleko, by mogły sprowadzić zupełne zawarcie pokoju między *wiarą* i *rozumem*. Zgoda więc w tym znaczeniu jest jeszcze może na długie czasy ideałem, którą my nawet wolno-mularze zaledwie przeczuwać możemy, ale nie jesteśmy w stanie przedstawiać ją sobie w oznaczonych formach.

Zechęcimy jednak w tym kierunku i do tego celu żwawo dążyć naprzód, do najwyższego poznania, to musimy przede wszystkim starać się wniknąć w ducha, w tak nazwane tajemnice chrześcijaństwa, a przede wszystkim w symboliczne pojęcie „odkupienia“! — Co?



Pan śmiejesz się niedowierzająco, uważasz pan podobne przedsięwzięcie za bezowocne, za bez celowe? — Pozwól mi Pan półgodzinki cierpliwości, a ja się postaram rozwiązać kwestję o której ja sam naturalnie nieco zuchwale pozwolę sobie wydać stanowczy sąd.

Obadwaj starzy panowie zajęli teraz miejsce w cienie altanie, poczem książę znów mówić zaczął, jak następuje.

„Nikt nie może temu zaprzeczyć, że w działalności życiowej organicznych tworów, w chemicznej przemianie materji i w poruszaniu się gwiazd jest mądre prawo. Wiara w jednego Boga, lub co na jedno wyjdzie, świadomość jego istnienia, była ztąd też zawsze i wszędzie odznaką owych ludów, które się wzbiły z pierwiastkowego stanu dzieciństwa na stanowisko dojrzałej istoty człowieka. — Nie potrzeba żadnego dowodu, że aż do okresu, kiedy człowiek z ostatnim aktem stworzenia w licznych *pierwiastkowych parach* wstępuje w towarzystwo organicznych istot, ani jedno z istniejących przed nim pierwiastkowego świata stworzeń *rozumem* obdarzone nie było, ale ich cała działalność poruszała się jedynie w ograniczonym najbliższym kole zmysłowego wyobrażenia, ztąd też wyłącznie skierowaną była do zaspokojenia popędu wyżywienia się, rozmnażania i usuwania się od niebezpieczeństwa. — Człowiek przeciwnie wstępuje w świat zjawisk w postaci jak żadno jeszcze dotąd istniejące stworzenie, które posiada nieograniczone zarodki zdolności myślenia i już w pierwszych studjach swego wzrostu okazuje przymioty

w pewnym względzie identyczne z temi, jakie wymagane są w kształtowaniu się organicznej natury i świata. Człowiek może mianowicie wykonywać zasadnicze prawo stworzenia, związek pierwiastku z nowemi kształtami, gdyż działa *świadomie*, t. j.: podobne przekształcenia podług *wolnej* woli robić może, co się zupełnie nie stosuje do zwierzęcia. — Stworzenie człowieka jest więc produktem zastanowienia, wynalazku, często też nawet *naśladowaniem* Stwórcy, w skutek czego on rzeczy wydawać może, które natura sama nigdy sama przez się nie wydawała. Nazwijmy płody ludzi *sztuką* w przeciwstawieniu do zjawisk, jakie pierwiastkowa istota — *naturą* zwana, — wydaje, to mamy zaraz pod ręką łatwe wyjaśnienie, co jest *cud*.

Jeżeli przez *cud* pojmujemy perjodyczne uchylanie prawa natury, to ze *sztuką* następuje szereg najrozmaitszych cudów, których skończenie się nastąpić może z zaginieniem ludzi na ziemi. Natura w swoim *prawidłowym* biegu nie może tego wydać, co sztuka rodzi. Tak np. bezpośrednio wedle praw natury na pniu śliwkowym nie rosną wiśnie, podczas gdy przez sztukę stać się to może. Natura nie pozwala człowiekowi latać po powietrzu lub chodzić po wodzie, co może sztuka. Natura nie dozwala żadnemu ciału toczyć się po pochyłej płaszczyźnie pod górę, gdy sztuka za pomocą pary całe tysiące centnarów popycha nawet przez góry. Natura nie pozwala czworonożnym, podobnie człowiekowi, żyć pod wodą, podczas gdy nurek za pomocą sztuki całe godziny wytrzyma na dnie morza i t. d. Te produkta wymy-

ślu ludzkiego, które tylko za pomocą pokonania jednego prawa natury przez *drugie*, a więc zawsze tylko w *prawkidlowym zakresie praw* wywołane być mogą, zwyczaj językowy oznacza jako „*cudowne*“, ponieważ wedle zdrowego rozumu ludzkiego, nigdy nie może być mowy o chwilowem zniesieniu *prawkidlowych wiecznych, a więc i niezmiennych praw natury*, lecz tylko o nowym pobudzeniu i ujarzmieniu tych praw do *nowych celów* i do nowych wytworów, których *bezpośrednio* natura sama nigdy nie wydaje.

„Najstarożytniejsi myśliciele już uznali, że ze stworzeniem człowieka na ziemi pierwiastkowy rozum wszechświata który dotąd był wyłącznym i bezpośrednim kierownikiem wszystkich istniejących rzeczy, stawał naprzeciw samoistnych istot rozumnych i wskazywał mi właściwe pole działalności, mianowicie: swobodną sztukę, jak ją już dałem poznać w przeciwstawieniu do pozbawionej woli natury.

„Zupełnie więc jest właściwe wyrażenie księgi *genezis*: „Bóg stworzył człowieka na obraz i podobienstwo swoje,“ co św. Jan Ewangelista rozszerzył w zdaniu: „Na początku (pierwiastkowo) było słowo (*logos*), (rozum) a słowo było u Boga a Bogiem było słowo, a słowo stało się ciałem.“ W tej ostatniej formule, która wielu ludziom może brzmieć bardzo tajemniczo, [nawet niezrozumiale, jest wszakże po prostu i jasno wypowiedziana wieczna i niezmienna prawda natury. Znaczy ona innemi słowy: pierwiastkowo, po wszystkie czasy i przestrzenie, ukazywał się rozum powszechny,

mianowicie Bóg i ta *mysląca istota Boga*, co jeszcze nigdy przedtem się nie stało, na ziemi, wcielona została w ciało, mianowicie w ciało — człowieka. Czyste pojęcie rozumu (albo „słowa“ ewangelisty Jana) przedstawiało się wszakże w rodzaju *człowieka* w pierwszych wiekach po większej części bardzo nędzne; dopiero w osobie *Chrystusa* jako *czystego ideału pojęcia rozumu* znajdujemy uniwersalnego przedstawiciela boskiej pierwiastkowej idei człowieka i w tym charakterze musimy go, jako pochodzącego od Boga, rodzica i ojca, nazywać *przenośnie* synem pierwiastkowego rozumu i podług Jana *jednorodnym* synem. Kiedy wspomniony ewangelista Messyasza w innym miejscu na pozór sprzecznie „synem ludzkim“ zowie, to i to także określenie jest filozoficznie słuszne z podobnych już wyłuszczonych powodów, gdyż ludzkość przy swoim wstąpieniu w ziemskie koło zjawisk istniała już wiele tysięcy lat, zanim wydała te idealne kwiaty i owoce, które odpowiadały ideałowi idei ludzkości i *jako takie* nazwane być mogły *przenośnie* *synem całej* ludzkości.

Pełne bezwarunkowe posiłkowanie się rozumem, swobodne dociekanie jest więc nie tylko prawem ale nawet świętym obowiązkiem ludzi. Utrzymywanie żeśmy te boskie dary otrzymali aby ich nie używać, wydaje się tak sprzeczne samo w sobie, że nie może nawet zasługiwać na żadną poważną odpowiedź; — gdyż rzadkie zdarzenia, gdzie się człowiek uskarżać może, nie są zdarzeniami złośliwego losu i ciemność, w której jego rozum błądzi, nie jest ciemnością Boga: źródło jego do-

legliwości nie zaczyna się w niebie; bierze ono swój początek na ziemi; nie jest ono ukryte w łonie bóstwa lecz mieszka w ludziach samych; noszą je oni w swoich sercach!

„Tylko obłudna pobożność może mówić o ślepej przeczności, o niegodnym bóstwa gniewie, o stojącym w sprzeczności z dobrocią i sprawiedliwością najwyższej istoty przekleństwie nieba! — Nigdy mądry Stwórca nie złamał trwałego porządku, jaki sam naturze naznaczył. Tylko kłamliwe nierozsądkiem owładnięte plemię może więc bóstwo i los oskarżać. — Jeśli całe kraje opustoszone, miasta zniszczone i wyludnione, czyż Bóg spowodował ich upadek? — Co za głupota oskarżać o to Najwyższą Istotę, skoro ludzkość jest trapiąca przez własne tysiączne namiętności, — gdyż namiętność nieuznaje i zaprzecza wiecznego prawa rozumu. — Ale prędkiej słońce bieg swój zmieni, zanim głupota i złość odniesie zwycięstwo nad prawdą, mądrością i uznaniem!

Kiedy książę Ryszard skończył, spojrział bankier długo milcząc przed siebie, poczem rzekł:

„Ten rodzaj i sposób pojmowania chrześcijaństwa i szczególnie *odkupienia* przez nie rodzaju ludzkiego, jest mi, wyznaję otwarcie, zupełnie nowy; niemniej nietaję silnego wrażenia, jakie wywarły na mnie wiążące się z tym skutki; jednym słowem — całe moje wyznaniowe przekonanie jako prawowiernego żyda, od tej chwili jest zupełnie zachwiane w swoich podstawach i czuję jakiś rodzący się nowy proces wzburzenia,

w moim sercu, które od roku już doświadczyć musiało tak wiele istotnych przemian.“

Dalszy ciąg rozmowy obu panów przerwany został ukazaniem się hrabiego Benvista.

— Ważna nowość! zawołał prędko młody kawaler i podniósł w górę arkusz papieru.

— Ten bilet właśnie oddany został przez umyślnego posłańca z Solmony, ciągnął dalej hrabia, co może znaczyć jego treść zagadkowa?

Ciekawie przebiegł oczami tak książe jak i stary Soldstern podany rozpieczętowany papier, który następnie kilka wierszy zawierał:

„Mój Panie!

Księżna wdowa Marja di Cozenca życzy sobie w bardzo nagłym, niecierpiącym zwłoki interesie familijnym, jak można najprędzej pomówić w Solmonie z Jego królewsko Wysokością księciem Ryszardem von Rothburg-Falckstejn-Stikxenhausem. Uprasza się o udzielenie oddawcy stanowczej i wyraźnej odpowiedzi, czy jutro zaraz można oczekiwać na zadośćuczynienie wyrażonej prośbie.

Załącza wyrazy wysokiego szacunku.  
Golmona, 14 Sierpnia 1860 r. *Padre Ignazio.*

— Znam tego padre Ignazio osobiście, zauważył hrabia Benvista, jest on jezuitą i od roku spowiednikiem księżny. Uważany jest on w swoim zakonie za jednego z największych filutów i intrygantów. Możemy więc być pewni, że obecność tego człowieka i jego pobożnej penitentki w Solmonie, ma znaczenie jakiegoś nadzwyczajnego przypadku.

— Tegoż i ja się lękam, rzekł książę kiwając głową i z zachmurzonym czołem, jednak zobaczymy, nie mogę odmówić matce mego przyszłego zięcia żądanego widzenia się i dla tego proszę pana, kochany hrabio, dać w moim imieniu kilka słów posłańcowi, w których objawisz nasze przybycie na jutrzejsze południe.

Benvista oddalił się. Stary Goldstern z założonymi na krzyż rękami, myśląc, przechadzał się tam i napowrót, podczas gdy książę widocznie bardzo nieprzyjemnymi myślami trapiiony, wsparł głowę na obu rękach.

— Wasza księżęca mościł zaczął nakoniec poważnym tonem bankier, nie przestając chodzić: obawiam się, czy z jednej części naszego projektu nic nie będzie.

— Mów pan, mój bracie! odrzekł ponuro książę, lepiej że my, albo właściwie ja i biedna Gundi, przygotowujemy się na najgorsze.

— Ja sędzę, ciągnął dalej Goldstern, że nasz piękny plan, zaprowadzenia od razu trzech par do urzędu mera spełźnie na niczem. Mógłbym pójść o każdy zakład, że obecność księżnej di Cozenca w Solmonie nie ma nic innego na celu, jak jeszcze w ostatniej chwili niedopuszczyć tak blisko zamierzonego małżeństwa z księżniczką Adalgundą.

— Kochany mój bracie, odrzekł książę, ciężko wdychając, daj Boże, żebyś się mylił, jednak — otwarcie mówiąc — ja sam obawiam się teraz „jezuickiego figla“, którego doniosłość może nasze obawy daleko przechodzi. Pan wiesz, że w Rzymie chciałem się księż-

nie przedstawić, że ona jednak trzy razy się uchyliła. Dla czegoż biegnie nagle za nami?

— Cóż tedy; myślał bankier, którego bystrość istotnie często była zadziwiająca, w tym względzie zdaje mi się, iż teraz bardzo jasno widzę. Odpowiedź Trybunału Cywilnego w Rzymie, przez którą księciu Flodoardowi di Cozenca nakoniec dozwolono, przystąpić do spornego dziedzictwa przez pełnomocnika, nastąpiła dopiero w chwili naszego odjazdu. Jak panu wiadomo, dotąd nikt nie wierzył tej zmianie, a najmniej Jezuitci, gdyż ci zostali zwiedzeni przez zręczny manewr pruskiego posła, który się sprawą zajął i od papieża wprost umiał wystarać się o rozkaz, że przeciwko całkowitemu zwolnieniu jego syna chrzestnego, księcia Flodoarda, z papieżkiego związku poddanych i uznania jego za pruskiego obywatela żadna dalsza przeszkoda na drodze stać nie miała. Przez to wszystkie wybiegi i starania jezuitów, by wydanie kwestyjnego spadku jeszcze dłużej przetrzymać, teraz zostały wprost przecięte i „pobożni ojcowie“ musieli być bardzo rozgniewani z takiego figla, jaki im bezwiednie *Pio nono* wyprawił w swoim niepospolitem usposobieniu łagodności i sprawiedliwości. Wśród tych okoliczności nie mogę więc wyrzec się wypowiedzianego już zdania, że jezuitci sprobowali ostatniego rozpaczliwego zamachu, by zostać panami wielu pięknych milionów, jakie stanowiły bogaty spadek księcia Flodoarda.

— Dobrze tedy, rzekł książę Ryszard zdecydowany, dobrze tedy; choćby Flodoardo ani grosza nie miał,



będzie jednak moim zięciem. Od czasu jak pan, bracie Goldstern, tak bezinteresownie zająłeś się uregulowaniem moich długów, nie troszczę się więcej o przyszłość. W każdym razie dałbym młodym ludziom kilka tysięcy talarów renty, gdyż tak Flodoardo jak Gundi są przyzwyczajeni do oszczędności i dobrze się utrzymają nawet z małego.

— W tem przyświadczam zupełnie Waszej Wysokości, rzekł Goldstern tonem przekonania, zresztą nie ma potrzeby rozpaczać o zbyt skromny stan książęcej kassy, jeśli Wasza Wysokość lepiej spożytkujesz swoje dominia a szczególnie zwrócisz uwagę na prawie wcale nie urządzone kopalnie węgla kamiennego.

— Mój Boże, na co mi się zdały dotąd moje ogromne skarby czarnych dyamentów, zawołał książę. Nikt się nie znalazł, ktoby chciał mi być pożyczyć pół miliona talarów przy umiarkowanym procencie na rozszerzenie przemysłu. Teraz jednak podajesz mi pan z prawdziwą wspaniałomyślnością zbawczą rękę i teraz mogę się spodziewać, że za lat parę wydobędę się choć z większych kłopotów.

— Z pewnością, potwierdził Goldstern, i ja sam przytem nie robię złego interesu, chociaż przejmuję całe rezyko i zrzekam się przez pierwsze trzy lata wszystkich korzyści z pół miliona.

— Takim układem w każdym razie wyrządzamy drugiego smutnego figla jezuitom, rzekł śmiejąc się książę, w ten sposób uwalniam się nakoniec od gniotącego jarzma, jaki ciążył na mnie jako dłużnika księżny di Cozenca.

— Bracia Cerotti w Neapolu w ciągu tygodnia odbiorą na mój rachunek całą tę drobnostkę, zauważył bankier nie bez uczucia godności własnej.

— Lecz bardzo przyzwoitą drobnostkę, rzekł uśmiechając się książę, jeżeli się nie mylę, winienem fide komisaryuszowi familii Cozenca nie mniej jak miljon i trzysta siedemnaście tysięcy talarów w kapitale, zaległych procentach i procentach od procentów. Jednak, kochany bracie, obejrzmy no się za młodemi ludźmi. Musimy starać się uspokoić Flodoarda i Gundi, gdyż z pewnością już się dowiedzieli o szczególnem poselstwie.

Książę i księżniczka dalecy jednak byli od tego, by do w mowie będącego wezwania do Solmony złe przywiązywać skutki. Radość z zobaczenia się i nadzieja niedługo już może należenia na zawsze do siebie, zaabsorbowała zupełnie piękną parę i dobrze usposobiła, tak, że wiadomość Benvisty o szczególnem zaproszeniu uważała za dobry znak. Młodzi ci ludzie pewni prawie byli, że życzenie księżnej porozmawiania nie miało żadnego innego celu, jak żeby uściskać przyszłą synowę, pojednać się ze swym synem i nakoniec raz poczuć się do obowiązków matki.

Ani książę, ani bankier nie mieli najmniejszej ochoty, zmącić te różowe zapatrywania się uszczęśliwionej pary. — Rozumowali oni tak: albo nasze przypuszczenia są słuszne, albo też młodych ludzi z ich pełną słodkiej otuchy naiwnością. W pierwszym przypadku złe i tak dość prędko nastąpi, w drugim zakłóci-libyśmy tylko lekkomyślnie i niepotrzebnie szczęście

Flodoarda i Adelgundy — a więc czekajmy, co się istotnie stanie w Solmonie.

Swobodna i serdeczna wesołość, jaką przejęte były trzy młode pary i hrabia Benvista aż do skromnej kolacji, silnie podziałała na księcia i bankiera, tak że ci dwaj panowie zupełnie zapomnieli swych smutnych myśli i w końcu przyzwolili nawet na małe tańce, podczas których Girolamo przygrywał na flecie a Ajgner na gitarze.

Około godziny jedenastej wezwali jednak obadwaj ojcowie do spoczynku, gdyż z pierwszym brzaskiem dziennym chcieli wyjechać do o dobre cztery godziny odległej Solmony, by jeszcze w godzinie południowej zadość uczynić wezwaniu księżnej di Cozenca. Nie bez pewnego smutku opuścili następnego rana księżę i jego wierny służący zamek Falckenhorst, który im istotnie bardzo był przyjemnym, i nadzwyczaj cieszyło pierwszego, że Adelgunda objawiła życzenie, później kiedyś odwiedzić powtórnie ten tak wspaniale położony zamek na górze.

Punkt o dziesiątej z rana przybyła cała karawana do Solmony, gdzie znajdowały się tylko dwie bardzo skromne gospody, z których jedna, lepsza, tuż obok wspaniałego, portretami wielu papieży zdobnego ratusza, zajęta była całkowicie przez księżną di Cozenca, ztąd też nasi goście musieli się zadowolnić gorszą.

Solmona, starożytne miasto Sulmo, godną jest uwagi jako miejsce urodzenia Owidjusza. Piewca metamorfoz przywiązany jest bardzo do swojej, jak ją

nazywa „chłodnej, obfitej w wody ojczyzny.“ W samej rzeczy Solmona jest nadzwyczaj pięknie położona, po obu stronach otoczona górami i posiada z wieków średnich liczne architektoniczne godne uwagi budynki, jak wzmiankowany ratusz, lub szkoda tylko że na bocznej ulicy położony pałac barona *Tabassi* albo frontony kościołów *S. Francesco d' Asisi* i *S. Maria di Tomba*, jakkolwiek straszne trzęsienie ziemi w r. 1803 bardzo wiele szkody przyczyniło.

Już około jedenastej godziny, po zmienieniu z pośpiechem zakurzonej podróżnej toalety, udali się książę, Adelgunda i Flodoardo do mieszkania matki ostatniego.

Na ich zdziwienie nie zostali jednak zaraz księżnej przedstawieni, lecz przyjęci przez jej spowiednika przyczem jezuita okazywał prawie z psią uległością graniczącą grzesznością.

Po całym potopie frazesów bez znaczenia, w których jezuita wynurzył radość swoją z tak szybkiego spełnienia jego prośby, zniknął *padre Ignazio* w gabinecie księżnej wdowy

Zaledwie w godzinę ukazał się znowu.

— Jej królewska Wysokość, wyszeptał pobożny człowiek słodkim, pokornym głosikiem, gotowa jest przyjąć księcia Ryszarda z Falkenstejnu i dostojnego swego syna,

Książę, Flodoardo i Adelgunda spojrzeli wzajemnie po sobie mocno uderzeni.

— Łaskawi państwo, rzekł książę Ryszard znaczącym głosem, zdaje się nie spostrzegli obecności mojej córki

— Bynajmniej, mości książe, odrzekł jezuita z całą uległością, i niskim ukłonem, bynajmniej, księżnej wdowie meldowałem również i księżniczkę, szanowna moja spowiednica życzy sobie tylko przyjąć obu panów.

— Należy nam zapytać, dla czego? zawołał wybuchając książe. Flodaordo i Adelgunda zbledli jak chusty spadli naraz niby ze szczytu swoich marzeń. Wylączenie księżniczki od przedstawienia musiało widocznie mieć ważną, wcale nie pocieszającą przyczynę.

— Czuję wielką ochotę, ciągnął dalej książe Ryszard wzruszonym od gniewu głosem, skwitować z zaszczytu robienia osobistej znajomości z Jej królewską Wysockością, księżną wdową Marią di Cozenca.

— Jak się podoba! odrzekł bez namysłu jezuita i nadzwyczaj szyderyczy uśmiech zaigrał jak piorun na jego delikatnych, wązko wykrojonych wargach, jak się podoba, książej mości! Co się jednak tycze syna księżnej pani, zmuszony jestem na wszystko go prosić, by zadość uczynił życzeniu jego dostojnej mamy.

— A jeśli ja przełożę pójść za przykładem mego ojcowskiego przyjaciela, księcia Ryszarda? rzekł dumnie Flodoardo, rzucając na obłudnego mnicha upokarzające spojrzenie.

— Wtedy, wtedy mój panie! odrzekł padre *Ignazio*, nie tracąc wcale przytomności, wtedy zmusisz pan najdostojniejszą panię, że piśmienne zrobi wyjaśnienia o pańskim urodzeniu, które w interesie honoru rodziny daleko lepiej ustnie objawione być mogą.

— Ha! zawołali jednogłośnie nadwyczaj przerażeni książę i Flodoardo.

Książę Ryszard odzyskał jednak zaraz przez chwilę mocno zachwianą przytomność, przystąpił do Adelgundy, której oczy pełne były łez, i rzekł:

— Moje kochane dziecię! Wróć się ze swoją damą do towarzystwa i służącym, którzy w przedpokoju czekają, do naszego mieszkania.

Księżniczka skłoniła się na znak posłuszeństwa, i podawszy spiesznie tak swemu ojcu jak i narzeczonemu drżącą rękę na pożegnanie, oddaliła się prędko z domu, którego atmosfera groziła jej uduszeniem.

Skoro Adelgunda się oddaliła, otworzył prędko padre Ignazio drzwi do przyległego pokoju i zameldował donośnym głosem obu panów.

Księżna wdowa siedziała niedbale na wielkim fotelu. Była cała czarno ubrana, ale daleko skromniej jak wówczas, kiedyśmy ją czytelnikom w Wiedniu po raz pierwszy przedstawili. Już dawno zaprzestała ona pysznić się swemi kosztownymi klejnotami, które od kilku miesięcy przeszły na własność cudownego obrazu Marji, w jednym z klasztorów sióstr Serca Jezusa, rodzaju *żeńskich jezuitów*.

Księżna podobną była, nieco zdała uważana, raczej do ubranej postaci z marmuru, jak do istoty z ciała i krwi.

Na pełen szacunku ukłon starego księcia i swego syna, odpowiedziała zaledwie dojrzanym skinieniem głowy, następnie powstała z prawdziwie hiszpańską powagą z fotela i zbliżyła się do dwóch panów na trzy

krótko odmierzone kroki. Widocznie chciała uwolnić się od konieczności wskazania krzesel, skoro gości swoich stojąc przyjęła. Dla swego syna, którego ju tak dawno nie widziała, a o którym jednak wiedziała, ile w tym czasie wycierpiał, nie znalazła jednego spojrzenia miłości i przywiązania, że już nie powiem słowa któreby znamionowało radość serca macierzyńskiego z tego zobaczenia.

Skoro książę Ryszard napróżno kilka sekund wy-czekiwał, by wedle praw grzeczności zostawić księżnej wdowie rozpoczęcie rozmowy, dama ta jednak nie zdawała się chcieć korzystać z tego, zaczął nakoniec:

— Pani! tylko z powodu jej życzenia<sup>7</sup> pospieszyłem tutaj, nie zaś z własnego popędu. Raczysz pani zapewne dać mi poznać powody, jakim zawdzięczyć mam nadzwyczajny zaszczyt tego zaproszenia?

— W krótkich słowach się ograniczę, mój panie! odrzekła księżna wdowa bardzo sucho, w nadzwyczaj krótkich, już choćby z powodu zbyt przykrego przedmiotu, o którym mówić mamy. Zaczynam tedy wprost krótkim oznajmieniem, że małżeństwo księżniczki Adelgundy z moim synem z powodów wewnętrznej natury niemożliwe, absolutnie jest niemożliwe, tak jak przekonana jestem, iż zupełnie jest w sprzeczności z honorem Flodoarda, żeby przystąpić mógł do przyznanego mu nakoniec martwemi literami prawa spadku.

— Pani mówisz zagadkowo! rzekł książę Ryszard, któremu również mimowolnie imponował lodowy chłód i spokój matki Flodoarda.

— Nie myślałam nigdy, ażeby postępowanie mego syna zmusiło mnie kiedy do wyznania, jakie drży na wargach moich i którebym tak chętnie jako tajemnicę rodziny Cozenca ze sobą poniosła do grobu. Ale Flodoarda upór, jego bezbożny związek z wolno mularzami, jego bezwstydną wyparcie się świętego, jedynie uszczęśliwiającego rzymsko-katolickiego kościoła, stawiają mnie w obowiązku pozbycia się wszelkich względów osobistych, by ratować wieczne szczęście mojej duszy. Nigdy w życiu nie mogę na to pozwolić, aby liczne miliony, których spadkobiercą z woli prawa stał się Flodoardo, miały być obrócone na szkodę mego kościoła, nigdy w życiu nie ścierpię, żeby wstąpił na tron, choćby nawet tak małeńki jak pański, mości książe, by rozpoczynając z zaciekłością nienawistną walkę zniszczenia przeciw pobożnemu, poświęconemu od Boga towarzystwu i jak niestety możnaby się spodziewać, każąc zapomnieć, że w owym kraiku kiedyś zapuściła korzenie prawdziwa, uszczęśliwiająca nauka katolicka. Powtarzam tedy, że Flodoardo wyrzeknie się nie tylko spadku, ale także i ręki księżniczki Adalgundy.

— Ostatnie nigdy! zawołał Flodoardo nadzwyczaj uniesiony i zostawiając na boku wszelką etykietę.

— A ja, rzekł książe Ryszard silnym głosem i ze spokojną postawą, a ja oświadczam przytem, że ten młody człowiek będzie moim zięciem, czy będzie posiadał miliony czy nie. Pani! Wyznaję otwarcie, że spodziewałem się z ust pani usłyszeć coś ważniejszego, jak owe bezpożyteczne, tyrady jakie pani zawsze rozwodzisz nad nami wolno mularzami, protestantami i jezuitami.



— O, jeszcze do końca nie powiedziałam, mój kochany książe, brzmiała szybka odpowiedź i w oczach dostojnej wdowy zajaśniała błyskawica szatańsko złośliwej radości, wszakże pan mnie nie masz za tak nierozsądną, żebym pana do siebie po to tylko zaprosiła, by robić próby nawrócenia; do tego naturalnie nieraz zmierzałam względem mego kochanego syna, zamilczę tedy przy waszej królewskiej Mości. Jest to pozytywnie praktyczny powód, który mnie kazał starać się widzieć z panem, i dla tego powtarzam tylko, że Flodoardo ani księżniczki Adelgundy nie zaślubi, ani nie odziedziczy spadku rodziny Cozenca, gdyż *honor*, słuchaj mnie pan dobrze, honor zabrania mu obojga.

— Honor? powtórzyli razem książe Ryszard i Flodoardo.

— Tak, honor! gdyż — Flodoardo nie jest prawym potomkiem księcia Cozenca, mojego zmarłego małżonka. I cóż, mój panie, jesteś może jeszcze zdecydowany oddać córkę swą *podsunietemu bękartowi*?

Flodoardo wydał okrzyk zgrozy i najgłębszego oburzenia; książe Ryszard wpatrywał się w straszną kobietę zupełnie przygnębiony. Nie był zdolny wymówić jednego słowa.

— Stan rzeczy po prostu jest taki, ciągnęła dalej wyrodna matka, już pierwszy potomek jakiego wydałam, był dzieckiem grzechu. Mój małżonek mógł dobrze o tem wiedzieć, ale wyszedł z tego wspaniałomyślnie, gdyż chodziło mu przede wszystkim o to, żeby

jego gałęź nie wymarła i żeby śmiertelnie znienawidzona przez niego linia boczna, kiedyś nie odziedziczyła ogromnego majątku rodziny Cozenca. Mój małżonek udał się wkrótce po urodzeniu się formalnie przez niego uznanego dziedzica jego nazwiska, w daleką podróż która mnie z księciem przez całe dwa lata rozłączyła. Wkrótce po wyjeździe mego małżonka udałam się z małym Flodoardem do Szwajcarji. Niestety zanadto opanowana grzesznemi skłonnościami świata, zapomniałam się powtórnie w skutek ulotnej znajomości. Uwodziciel mój nie wiedział kto ja jestem, gdyż zachowywałam incognito i jak się zdaje, on także mnie zwiódł co do swego nazwiska i stanowiska. Stosunek nasz trwał zresztą tylko kilka tygodni, ale miał skutki. — W dziewięć miesięcy później porodziłam zdrowego, nadzwyczaj silnego chłopaczka. Około tegoż samego czasu umarł, uważałam to jako karę Boską, mój pierworodny. Wpadłam tedy na bardzo blisko nasuwającą się myśl, by drugi owoc mego grzechu ogłosić za dziecko uznane za prawe przez mego małżonka; oszustwo, które zupełnie się udało. I tem podsuniętem dziecięciem, ciągnęła dalej powoli księżna wdowa zwrócona ku Flodoardowi, jesteś ty!

— Dowodów, dowodów! wołał Flodoardo załamując ręce; czuł się blizkim szaleństwa. Tego okropnego ciosu się nie spodziewał. Jezuici istotnie wykonali genialny pomyśl, skoro skłonili księżnę wdowę do otwartego wyznania jej błędów, z jakimi niestety zupełnie tak się miało, jak je stara grzesznica opowiedziała.

— Te dowody będziesz miał zaraz, mój wyrodny synu! rzekła księżna, będziesz je miał, jeśli się zobowiąziesz słowem honoru, że żadnego z tych papierów, jakie ci chcę pokazać, nie zniszczysz lub sobie nie przywłaszczysz.

Na wpół zagasłym głosem udzielił nieszczęśliwy Flodoardo tę obietnicę. On i książę przeglądali liczne listy i dokumenty, które niestety najmniejszej wątpliwości nie pozwalały dopuszczać, że rzecz nie inaczej się miała, jak ją księżna wdowa przedstawiła. — Książę Ryszard łudził się nadzieją, że może Jezuici tylko bardzo zręczny środek wymyśleć chcieli, by ostatnie odnieść zwycięstwo, lecz musiał wkrótce po przejrzeniu papierów przyjść do przekonania, że gdyby księżna wdowa z nich sądowy użytek zrobiła, każdy Trybunał w świecie musiałby uznać mniemanego księcia Cozenca za *podsuniętego bękarta*, jak to jego własna wyrodna matka uczyniła. — Przy absolutnej zależności, w jakiej księżna wdowa w obec jezuitów się znajdowała, przy wielkim interesie, jaki mieli przy tem pobożni ojcowie, należało stanowczo przypuścić, że ta głupio pobożna kobieta w najgorszym razie nie lękałaby się skandalu publicznego procesu *dla większej chwały Boga*.

Książę Ryszard złożył papiery na stole, sięgnął po kapelusz, schwytał Flodoarda za ramię i szybko kłaniając się księżnie, rzekł:

— Pani! podziwiam geniusz pani sprzymierzeńców, którzy nawet matkę przeciw jej dziecięciu w hyenę przemienić zdołali. Jednak nie ciesz się pani zbyt

pośpiesznie ze swego szczęścia. Miljony, naturalnie, te należą teraz do pani, lub powiem raczej „*do braci nocy*.“ Ale jedyne swoje dziecię straciłaś pani dla tego na zawsze. W moje ramiona Flodoardo, mój synu, którym ty jesteś i powinieneś zostać. Wolno-mularz nigdy nie cofa swego słowa. Adelgunda będzie twoją żoną i zamiast wyrodnej matki, znalazłeś dobrego, kochającego ojca.

Biedny Flodoardo był tak okropnie wzruszony, że się zupełnie bez woli jak automat przez dobrego księcia Ryszarda do gospody zaprowadzić pozwolił gdzie Adelgunda z gorączkowym natężeniem oczekiwała powrotu swego ojca i narzeczonego. Książę zręcznie jednak zapobiegł, żeby oboje młodzi ludzie nie spotkali się w tej chwili. Zaprowadził Flodoarda do swego pokoju, schwytał w objęcia młodego człowieka z pełnemi łez oczami i rzekł:

— Mój synu! Proszę cię nie opuszczać tego pokoju dopóki ja nie powrócę. — Gundi dowie się wszystkiego odemnie, przez co tobie oszczędzi się przykrości wynurzań nieco delikatnej natury. Uspokój się — zastanów się jak człowiek, a potem powiesz mi o swem postanowieniu. Przytem bądź przekonany, że owe fatalne odkrycia, jakie doszły nas dzisiaj, w niczem nie zmieniły mojej dla ciebie przyjaźni, szacunku i miłości. Znieś mężnie stratę milionów; daleko większy skarb przecież cię czeka, mianowicie Adelgunda, która pokochała w tobie od dawna szlachetnego człowieka, zazdroszczonego od świata księcia Cozenca. — Tak z pewnością,

droga istota zniesie odważnie próbę losu i dowiedzie, że godną jest być córką wolno-mularza!

— Zacny, kochany przyjacielu i bracie! odrzekł Floardo, którego silny duch tymczasem wymagał nieco opamiętania się, ja już stanowczo się zdecydowałem i spodziewam się, że pozyskam twoje uznanie. Przewszystkiem nie chcę aby księżniczka doznała smutku, a z pewnością dotkniętą by była w wysokim stopniu. Nawet jestem przekonany, że ona mnie nie odrzuci, nie odwróci się odemnie z pogardą, ponieważ ja — jak własna moja matka szorstkimi słowami oświadczyła — jestem *podsuniętym bękartem*, owocem nikczemnej hańby, dzieckiem cudzołóstwa, któremu nawet nazwisko ojca jego nieznanne być powinno. Nie unos się jednak, szlachetny mój przyjacielu i dobroczyńco przedwcześnie, nad zbyt wspaniałomyślnym oburzeniem się jej serca; pomyśl pan, czego wymaga w interesie honoru powstała od tej godziny towarzyska przepaść pomiędzy nami! Byłbym nikczemnym egoistą, gdybym dozwolił pana i pańskie dziecię przed światem wystawić na fałszywym stanowisku, pana, wyznaję to otwarcie, na zawsze skompromitować w obec publicznej opinii. — Los mój jest ciężki, niezasłużony, bez nadziei i nader rozpaczliwy, ale to nie daje mi żadnego prawa, bym właśnie tę istotę, którą tak nieskończenie ukochałem, pograżył ze sobą w kale ochydy. — Pozwól mi więc niepostrzeżenie i bez śladu zstąpić z widowni mego dotychczasowego świetnego stanowiska. Adelgunda może sobie uważać mnie w imię Boga za niewiernego i niekochającego, ale

zaklinam pana na wszystko co panu drogie, zaklinam pana na popioły pańskiej tak ciężko przez pana opłakanej małżonki, zamilcz pan przed księżniczką, nie odkrywaj przed nią nigdy okropnej tajemnicy mego urodzenia. — Niezależnie od tego chcę uciec przed hańbą mego urodzenia za ocean; tam w wolnej Ameryce będę znowu swobodniej oddychać i stworzę sobie pożyteczne życie dla ogółu. Przecież znajdę tam serce, serce, które mi ciepłem i wiernością odpowie, znajdę tam tak ciężko od losu doświadczonego Schancenaua; tak, człowiek ten mnie zrozumie, on, który sam tak wiele przeszedł i wycierpiał. A teraz drogi przyjacielu i bracie, pożegnajmy się tu zaraz na miejscu, w tej chwili. Postanowienia moje ścisnięte żelazną pięścią losu, muszą być szybko wykonane. Nie powinienem Adelgundy już widzieć; moja obecność nie powinna nigdy już zaciemnić promiennej atmosfery tego anioła światła; moje serce krwawi się na tę myśl samą, ale obowiązek, honor wymaga tej strasznej ofiary.

— Flodoardo! zawołał książę łkającym głosem, Flodoardo, ty jesteś większy, jak kiedykolwiek myślałem! Tak, dla spokoju mego dziecka, przyjmuję twoją ofiarę; ale mój chłopcze, nie rozpaczaj; jeszcze nie tracę nadziei, że cię powitam jeszcze jako mego zięcia. Masz słusność! Bolesć z odkryć o jakich się dziś dowiedziałeś, potrzebuje do złagodzenia jej czasu, a czas pozwoli nam także ze spokojem zastanowić się nad skutkami owego nikczemnego *figla jezuickiego*, który spadł na nas jak piorun z pogodnego nieba. Jeszcze jedno; czy

masz co przeciwko temu, aby przypuścić do tej tajemnicy zacnego Goldsterna, naturalnie jego tylko samego?

— Zupełnie nic; przeciwnie, chciałem nawet pana prosić o tę łaskę. Potrzebuję nadto bankiera, aby mi zaliczył trochę pieniędzy na te jakie mam jeszcze w Hamburgu. Z pewnością nie odmówi mi grzeczności, by mi przekazał wypłacić tamtejsze należności dziś jeszcze w jednym z domów bankowych w New-Yorku.

— Za godzinę będę u ciebie z Goldsternem mój drogi Flodoardo, odrzekł książę zmierzając ku wyjściu. Przygotuję Adelgundę co do twego bliskiego odjazdu, przyczem zrobię jej nadzieję, iż cię w krótkim czasie zobaczy.

— Zwodnicza nadzieja! szepnął Flodoardo do siebie i rzucił się na łóżko, by zapłakać jak dziecię nad swoim bezpowrotnie zburzonym szczęściem.

Z zapadnięciem nocy opuścił nieszczęśliwy, prawdziwie godny politowania Flodoardo miasteczko Solmona, by się udać najprzód do Neapolu; poczciwy Goldstern zaopatrzył go obficie w ważne listy rekomendacyjne i otworzył mu nieograniczony kredyt.

## XII.

### Bellona.

Musimy teraz z biegiem naszej powieści zrobić znowu mały skok naprzód, mianowicie znowu zająć się

wypadkami wojny w Ameryce, ponieważ te znajdują się w blizkim, ścisłym stosunku z kilkoma głównymi osobami, jak np. Schancenauem, Howardem, dalej, panną Eichenstamm, Marją i jej trojgiem dziećmi i t. d.

Bellona, dzika, sroga bogini wojny starożytnych Rzymian, coraz bardziej zbliżała się do schronienia, jakie zacny Howard wynalazł nad rzeką Ohio dla swoich pupilów.

Zbliżała się tedy potrzeba przeniesienia Marji i jej dzieci w inne bezpieczne miejsce. Za najodpowiedniejsze uznał Howard wybrać w tym celu „*Backwoods*” albo lasy zachodnie, które Gerstäcker tak naturalnie i powabnie zarazem odmalował w swoich zarysach i obrazkach myśliwskich.

Ponieważ Howard raz stanowczo postanowił nie dopuszczać przed skończeniem się wojny do połączenia się Schancenaua ze swą rodziną, samo się przez się rozumie, iż musiał unikać przeniesienia swoich pupilów do którego ze wschodnich stanów, wiernych Związkowi, gdyż tam bardzo łatwo by mogło przypadkiem nastąpić spotkanie się Marji ze swoim małżonkiem.

Przy olbrzymich pod każdym względem środkach, jakie wielki mistrz amerykańskich wolno-mularzy miał do rozporządzenia, nie trudno było znaleźć inną piękną miejscowość niedaleko granicy Texas w północno zachodnim kierunku, gdzie mała rodzina spokojnie i zdala od wrzawy wojennej, jaka wschodnie i południowe stany alarmowała, niby rozhułkany ocean, pędzić mogła dalej swój cichy żywot, przedewszystkiem wychowaniu dzieci poświęcony.



Nie będzie wcale od rzeczy przedstawić w tem miejscu krótki obrazek życia owych „Backwoods“ tem więcej skoro tym sposobem zyskamy zdrowy pogląd na ciężką i niebezpieczną rolę, jaka przeznaczona jest wiernym towarzyszkom życia rozkolonizowanych Amerykanów w tych rozbudzających się dopiero do życia okolicach.

Tak dużo i tyle rozmaitych rzeczy opowiadano o mężczyznach zachodnich lasów a z drugiej strony tak mało o kobietach, które z nimi dzielą samotność lasów a jednak one właśnie są wystawione na cięższe przykrości i większe niedostatki jak mężczyźni, którym natura już sama użyczyła wrodzone przymioty siły i wytrwałości. — Mieszkańcy tych lasów przyzwyczajeni do burzy i niepogody, udają się z fuzją i siekierą w gęstwiny i zarośla i zakładają sobie ojczyznę, na miejscach, których jeszcze stopa ludzka nie dotknęła: dobry ogień i wełniana kołdra są dla nich obroną przeciw kaprysom powietrza; słaba jednak, delikatna kobieta, która może jeszcze całe swoje starania poświęcić musi niemowlęciu przy piersi, małym dzieciom, ona, która żyła dotąd w ciepłym, bezpiecznym domu, otoczona przyjaciółmi i krewnemi, jest tutaj doświadczona, choć odwagi i siły ucha dosyć posiada, choć swego męża prawdziwie i serdecznie kocha, by bez szemrania i z radosnem sercem zmierzać przeciw działaniu, które jej na długie, długie lata nie zapewnią żadnej radości, żadnej rozrywki a tylko potrzebę ciągłą i niebezpieczeństwo.

W prostej, z nieociosanych pni drzewnych zbud-

wanej zagrodzie, zabezpieczonej tylko z trzech stron przeciwko wiatrowi i deszczom, przeżyć musi żona mieszkanka lasów nie dnie i tygodnie, nie, ale miesiące i lata całe na jednym miejscu, któreby najzdrowsze ciało europejczyka zmarnować musiało

Wilgotna, zimna ziemia służy jej za podłogę, rozległy, samotny las za miejsce pobytu. Żaden sąsiad ją nie odwiedzi, z których najbliższy mieszka może odlegle o pół dnia drogi; żaden doktor nie udzieli jej pomocy, jeśli choroba ją lub jej dzieci na łożę rzuci, co zaś do apteki, to o tej naturalnie nie może nawet być mowy w owej dzikiej, niezabudowanej okolicy. — Zdarzy się pewnego dnia, wyczerpnie się w domu wszelka żywność, kukurydza jeszcze nie sprzątnięta, fermer bierze więc flintę na ramię, by zastrzelić cokolwiek zdziczyzny i tym sposobem zaspokoić trapiący głód rodziny. Obozuje on jednak także wśród lasu, widzi nawet przechadzki niedźwiedzi zaledwie na sto kroków od wystrzału, a jednak bardzo często żaden nie zbliży się na odległość strzału i często dzień cały nabiegać się musi za rączym jeleniem po błotach i dolinach, górach i rzekach.

Samotna i bezbronna kładzie się tymczasem biedna kobieta na twardem posłaniu, i przysłuchuje się przez noc całą strasznemu wyciu wilków, krzykom i przeraźliwemu skowyczeniu samotnej pantery, która wietrząc za łupem, okrąża chaty, wszakże za zbyt jest lękliwa, by nazbyt się do nich przybliżyć. Jednak zarówno jak człowiek, kiedy zawsze kierowany jest przez drugich, nigdy nie będzie samodzielny, tak oczekuje podobnie

tylko sposobności natura słabej kobiety, by zbudzić drżące siły ducha, i tam czynnie i dzielnie wystąpić, gdzie dotąd sama opierała się na opiece silniejszego mężczyzny. Bez obawy opiekuje się matka swemi bojaźnią przygnębionemi dziećmi, pociesza sama potrzebując pociechy strwożonych, i przedsięwzię z mężką odwagą wszelkie środki do obrony, skoro bliżej i coraz bliżej napierające zwierzęta drapieżne istotnie ośmielają się zrobić napad. Flintę zabrał mąż ze sobą, ale ciężka siekiera spoczywa w kącie, tę więc stawia podedrzwiami, silny ogień podsyca na ognisko, i z radością wita nakoniec zbliżający się poranek, przed którego dobroczynnem światłem zwierzęta nocne lękliwie uciekają.

Teraz wraca także małżonek, obficie obładowany łupem; żwawo rozpoczyna wiejskie roboty; olbrzymie pnie padają pod silnemi, zręcznemi ciosami jego siekiery i każdego dnia staje się cicha ojczyzna lasów bezpieczniejszą, bardziej zaludnioną i przyjemną.

Tymczasem żona krząta się około swoich codziennych domowych zajęć. Już z dnia rozświetem przygotowuje przedewszystkiem śniadanie, zagniata grubą mąkę z kukurydzy w drewnianem naczyniu z wodą i solą, tak, że tworzy się silne ciasto, które następnie na żelaznej pokrywce płasko wyklepuje i stawia ukośnie na palających węglach. Zbывa na młynku do kawy, ale kobieta umie sobie zaradzić: spalone ziarna rozbija rączką topora w blaszanym kubku myśliwskim swego męża a następnie wrzuca je we wrzącą wodę w wielkie naczynie blaszane, by się w niej zagotowały. Skoro

się zarumieni papka z kukurydzy, kraje cienkie plasterki słoniny do żelaznej patelni, do czego dołącza podobne kawałki mięsa jeleniego i teraz zwołuje rodzinę do prędko przygotowanej uczty.

Naczynia domowe, jeśli tem mianem można nazwać łyche statki kuchenne, zaraz napowrót wymywa, i teraz występuje na scenę wielki bawełniany kołowrotek i zaczyna się przedzenie nici pracowitą ręką. Jeśli fermer ma plugi w porządku i pole już urządzone, nadchodzą długie wieczory zimowe, wtedy pracuje i on chętnie przy krośnach, przy których czynna gospodyni domu zaraz zabiera miejsce, kiedy dnie znowu ciepłe nastaną mąż zaczyna pracować na zewnątrz. Nici, które wyprzedła w roku zeszłym, tka teraz dla siebie i dzieci na ubranie, które też sama szyje. Przytem nie zapomina jednak o małym ogródku warzywnym, o nakarmieniu kur i prosiąt, o naprawie bielizny, wydojeniu krów i z pozostałego mleka wybiciu masła.

Synowie i córki z wolna podrastają, dom się powiększa, uprawne grunta się rozszerzają, i dostatek zastępuje miejsce zeszłorocznego niedostatku.— W kilkogodzinnem oddaleniu widać teraz także dym wychodzący z sąsiedniej chaty i już krzyżuje się kilka urządzonych dróg w lesie, które ułatwiają wzajemne odwiedziny. Teraz stają się także i roboty lżejszemi, gdyż sąsiedzi po przyjacielsku sobie ręce podają; i skoro nadszedł już czas, kiedy kukurydza szybko ścięta być powinna, nie zaniedbał tego dokonać; zdarzy się nowy dom do zbudowania, do czego silnych rąk potrze-

ba, to na wezwanie zbierają się wszyscy sąsiedzi, mężczyźni i kobiety i nikt się nie cofa. Kiedy już robota skończona, wówczas kobiety zabierają się do gotowania, przyczem zawsze główną rolę odgrywa tak zwany „Stew“ napój złożony z wódki, wody, cukru, korzeni i masła, i teraz mężczyźni i kobiety łączą się do wesołego tańca, który niekiedy przerwany bywa grą w fanty.

Musi to już być bardzo biedna dziewczyna, która by się przy podobnym balu, ze dwa razy przebrać nie mogła; zamożne czynią to 5 do 6-u razy, nie zmieniając nic jednak w ubraniu włosów, które zawsze jest bardzo skromne. Amerykańskim dziewicom lasów tak rzadko się zdarza sposobność, pokazać stroje swoje przed młodzieżą, że jeśli się im takowa zdarzy, to z niej skrupulatnie korzystają. Zresztą nie sadzą się bynajmniej na kosztowne materye; piękny perkalik zaspakaja wykwinne marzenie; za to krój sukni musi być elegancki i w tym względzie nie ustępują wcale „damom z miasta“.

W Ameryce różnicy między chłopem i mieszczaninem, która tak uderzającą jest na starym lądzie, nie ma prawie zupełnie. Napróżno podróżny szuka w tamtejszym wieśniaku śladu nieokrzesej niezaradnej istoty, co się tak często w naszych kmiotkach spotyka, i z jakiego to powodu oni tak mało zbliżają się do klas wyżej stanowiskiem położonych. Wieśniak amerykański przeciwnie nie zna żadnej wyższej klasy i uczucie jego niezależności i wolności daje mu ową stanowczość, co w naszych kołach człowieka światowego zdradza. Toż samo ma się i co do kobiet.

teres zaleca im przestrzegać wdzięk naturalny, z jakim te „*córy lasu*“, które może nigdy nie opuszczają dzikiej pustyni, ukazują się we wszystkich stosunkach życia. Mają one ową pewność siebie, a przyczyna tego może w tem leżeć, że w Ameryce „białe kobiety“ wszędzie spotykane bywają z wielkim szacunkiem, tak że żaden mężczyzna nie osmieli się, choćby najuboższą, słowem lub czynem obrazić. Dla tego też często można widzieć młode panienki i kobiety udające się w dalekie podróże bez towarzystwa, gdyż znajdują w każdym pierwszym lepszym, towarzyszu podróży obrońcę i przyjaciela. Młodzi ludzie zaślubiają się w Stanach Zjednoczonych bardzo wczesnie, i nie rzadko spotka się matki po 14 i 15 lat. Starania o byt nikt tam nie potrzebuje robić, wieśniak zachodu nie zna żadnych zbytkowych potrzeb, a łatwo zdobywa środki do zadowolenia koniecznych. Godnym poznania jest sposób, w jaki amerykańczycy według niemiecko-angielskiego wyrażenia „robi zabieg“ tj. stara się o pannę. Przytoczymy tu autentyczny wypadek, gdzie jeden młody człowiek niemieckiego pochodzenia — Henryk imieniem — pojął żonę na sposób prawdziwie amerykański:

Henryk z niezmierną pilnością użył sobie kawał gruntu, wybudował małą strażnicę, przygotował parę tysięcy żerdzi, aby mógł drugie jeszcze pole otoczyć płotem, wychodził mały brzoskwiowy ogródek, z takim upodobaniem zabrał się do hodowli kur i prosił, jak nigdy dotąd nie widziano w Arkanzas. Naturalnym tego skutkiem było, iż wszyscy sąsiedzi najpew-

niejsi byli, iż Henryk znudził się stanem kawalerskim i chce się ożenić. Pomimo wszelkich przycinków sąsiadów przeczył on jednak temu jak najmocniej, i myślał sobie, że ma czas jeszcze pomyśleć o małżeństwie. Rzecz jednak nie miała się tak bardzo prosto, gdyż pewnego rana zaczął on z nadzwyczajnym zapałem szuwać swoje niedzielne buty i czyścić swój bawełniany tużurek z błyszczącymi guzikami.

— Henryk, rzekł stary ojciec zdziwiony, który z nim wspólnie dom zamieszkiwał; Henryku, co myślisz robić, że we czwartek nadziewasz swoje świąteczne ubranie? Czy nie idziesz czasem w konkury?

— Szaleństwo! rzekł Henryk, czyścił jednak jeszcze gorliwiej zakurzony kołnierz; idę do nowego sąsiada żeby mi parę krów pokazał, które chciałbym kupić.

— Eh! rzekł stary, wstrząsnął jednak bardzo znacząco głową, gdy syn jego wziął z siodła stary kawał niedzwiedziej skóry i pięknie wyprawioną skórę jagnięcą na niem rozciągnął, która używaną była jedynie w uroczystych okolicznościach. Domysł jego zamienił się jednak w pewność, kiedy syn jego wśród tygodnia włożył czystą koszulę przed małym kawałkiem lustra, którego on nieraz używał do golenia, włosy uporządkował, wkrótce potem opatrzywszy jeszcze swoją toaletę z wielką starannością, wyjechał szybko, gwizdząc.

Podjęcie starego człowieka było aż nadto uzasadnione. Henryk nie udał się wcale do nowego sąsiada, lecz przedsięwziął prostą drogę w dół rzeki, gdzie po trzygodzinnym jeździe przybył do sąsiada, który po-

siadał dwie piękne córki i nadto dosyć znaczny majątek. Ponieważ jednak nie był jeszcze zdecydowany stanowczo, o którą z dwóch panien ma się starać, zostawił więc to przypadkowi. Nieco zamyślony zsiadł z konia który spokojnie zaczął skubać trawę, i wszedł do domu.

Było to jeszcze wczesnie z rana i znalazł obie panny pracowicie zajęte domowymi robotami; starsza wybijała masło, młodsza przędła, podczas gdy matka siedząc przy krośnach czółenkiem pilnie tam i napowrót przebiegała.— Henryk, czyniąc zadość uprzejmemu zaproszeniu, przysunął krzesło do komina i zaczął obracać w koło kapelusz między kolanami.

— Czyś już zasiał swoje zboże tego roku, panie Henryku? zapytała matka.

— Właśnie zacznę, pani, odpowiedział Henryk.

— Czy suchą mamy wiosnę!

— Bardzo.

— Jakże tam ojcu pańskiemu?

— Dziękuję — uwija się jak może.

— Czy sądzisz pan, że dziś deszcz będzie padać.

— Nie!

Tu urwała się rozmowa i Henryk kręcił swój kapelusz między kolanami prawdziwie w nieludzki sposób. Starsza córka starała się wprowadzić jeszcze kilka razy rozmowę zawiązać, było to jednak na próżno. Henryk odpowiadał na wszystko krótko jak tylko można i wpadł napowrót w swoje poprzednie milczenie. Nakoniec zbliżyła się godzina obiadu; nakryto stół, zastawiono potrawy; gość wstał teraz głaskał swój kapelusz i rzekł:



— Bądźcie państwo wszyscy zdrowi!

— Pan nie chcesz zjeść z nami panie Henryku?

— Nic nie mam przeciwko temu, odrzekł tenże spokojnie wracając, postawił kapelusz pod krzesło i zagłębił się w krótkce między wysmarzoną słoninkę i talerz pełen kartofli.

Jedzenie zostało usunięte, panie znowu zabrały się do swoich zajęć, wieczór już dobrze zapadł, domysłny frajer siedział jeszcze ciągle na swoim krześle i przyglądał się badawczo z boku już to młodszej już starszej siostrze, tak że dziewczęta, które już dawno zamiar jego odwiedzin zauważyły, zaledwie śmiech powstrzymać mogły. Nakoniec nadszedł ojciec z lasu i przypędził parę krów, wszedł następnie do pokoju i powitał gościa, zabierając przy nim miejsce. Henryk rozmiękł teraz trochę i stał się rozmowniejszy, nie występując jednak pierwszy z rozmową i pozwolił się dopiero na kolację zaprosić kiedy dodał, że jego koń jest osiodłany i najedzony, gdyż ciągle utrzymywał, że musi zaraz jechać do domu. Zapadająca ciemność i nadciągająca burza umożliwiły jednak wszelkie pośpiechy: Henryk wniósł teraz sam paradne siodło do domu i przywiązał konia do koryta pod stodołą.

Jak skoro burza przeszła, wszyscy udali się na spoczynek i nasz znajomy wyciągał się także pod wełnianą kołdrą. Nazajutrz, zanim się jeszcze zupełnie widno zrobiło, podniosły się obie panienki, przygotowały kawę, wydoiły krowy i zastawiły śniadanie złożone z kawy słoniny i chleba z kukurydzy. Teraz jednak

był już i Henryk niespokojny, i zapytanie o jedną z córek leżało mu na języku. Zauważył to stary, które mu już swoje domysły matka udzieliła; aby więc biedakowi oszczędzić kłopotu, wziął go za głowę, wyprowadził przede drzwi i tu mu opowiedział, że jego obiedwie córki mają już narzeczonych i w przyszłą niedzielę jednocześnie wezmą ślub.

Henryk wymówił tylko słowo: „szczególnie!“ wcisnął następnie kapelusz silniej na czoło, wstrząsnął starym rękę, poprosił go, żeby mu siodło wyniósł z domu i wdziesięć minut później znajdował się na drodze powrotnej do domu. Cały dzień zmarnował i to jeszcze w czasie zasiewów, niemógł więc w żadnym razie, bez osiągnięcia swego celu, wracać do domu. Kiedy więc koło innej chaty przejeżdżał, w której również młoda, jakkolwiek bardzo biedna dziewczyna mieszkała, zsiadł z konia, wszedł wewnątrz i w półtorej godziny skończył interes, otrzymawszy prędko przyzwolenie tak ze strony panny jak rodziców, którzy go wszyscy znali jako pracowitego chłopca. We cztery godziny później szedł on już znowu w koszuli po swoim gruncie za pługiem robił bruzdy do zasiewu kukurydzy. W tydzień później jechał ze swoją narzeczoną do sędziego pokoju i opuścił tegoż jako żonaty człowiek.

Jakkolwiek biedny jest ów mieszkaniiec lasów, nie pozwoli on jednak żeby żona jego zbyt ciężką pracą się zajmowała; jej zajęcia ograniczają się na gotowaniu, praniu, przedzeniu i tkaniu.

Przyjemności, wyjąwszy tańca przy zdarzonej

okazji, kobiety te naturalnie nie znają żadnych; miasta znają tylko z nazwiska; nie pragną one jednak nic więcej, jak, by poświęcić się własnej rodzinie, by widzieć z każdym rokiem powiększone ognisko domowe. W niedzielę jedzie ona przy boku swego męża na pięknem damskim siodle, które sobie nabyła, i kiedy dla tego najlepszą swą krowę sprzedać musiała, na nabożeństwo, jaki to pozór zwykle przybierany bywa, a w istocie—by odwiedzić tę lub ową niezbyt odlegle mieszkającą sąsiadkę.

Jaka siła jednak w piersi takiej kobiety często przebywa, dowiedzie tego następujący przykład:

W Kwietniu 1840 roku pewien młody Missuryczyk, na polowaniu, jakie wyprawiał sobie z kilkoma towarzyszami, odkrył na pozór bardzo bogatą kopalnię ołowiu, która zaledwie o 50 mil angielskich od jego własnego i tyleż prawie od innych folwarków odległą była. Ponieważ jego towarzysze przypadkowo od niego się oddalili, postanowił przeto, żadnemu ani słowa o swoim odkryciu nie mówić, ale z żoną i dzieckiem tam wyjechać i na owem miejscu tak zwaną „próbę“ dokonać t. j. tam się osiedlić, gdzie spodziewać się mógł, z dochodu z kopalni, bogate zyski osiągnąć. Jak pomyślał, tak zrobił. Już na trzeci dzień rano powrócił do swoich, opuścił, ponieważ nie zaraz znalazł kupca, swoją małą posiadłość, zapakował najniezbędniejsze narzędzia na konia, żonę swoją i dwoje małych dzieci usadowił na drugiego, włożył na ramię broń, i przedsięwziął, pełen wesołej nadziei, podróż do nowej ojczyzny. Ponieważ jednak młodsze z dzieci, niemowlę ma-

jące trzy kwartały, niezdrowe było, nie mógł więc całej przestrzeni w jednym dniu przebyć, ale skierował kroki nad wieczorem, ponieważ niebo bardzo się zachmurzyło, — nad brzeg małego strumyka, gdzie już dawnej kiedyś widział starą, opuszczoną chatę. Zaledwie dosięgli upragnionego schronienia, kiedy deszcz polał się strumieniami, jasne błyskawice przerzynały firmament i pioruny za nimi rozlegały się silnymi uderzeniami.

Wkrótce mała rodzina urządziła się na noc; pościel złożono w jeden kąt, wydobyto naczynia kuchenne i rozpalono tęgi ogień, do czego mężczyzna kilka suchych desek ze ściany oderwał, potem jednak, kiedy się burza nieco uspokoiła, przyniósł z zewnątrz drzewa opałowego.

Domek ten był jedną z owych grubo wybudowanych chat, w których pionierowie Zachodu całe swoje życie przepędzają i opuszczają je tylko wtedy, by je na o ile można skromniejsze jeszcze, byle bardziej na zachód położone zamienić. Dach pokryty był rozszczipionemi tarcicami, które znowu ciężkimi żerdziami do swoich miejsc przymocowane były, odprowadzał zresztą deszcz dosyć dobrze, i tylko tu i owdzie robiły sobie pojedyncze krople drogę przez zgniłe miejsca. Ściany były od strony północnej i zachodniej blankami obite a dyle składały się z grubo obciosanych bali, w których znaczne wywiercone dziury dowodzą, że należały kiedyś do tratwy i prawdopodobnie z niezbyt odległej rzeki Missouri tu sprowadzone zostały. Obalony komin nadawał naturalnie całości smutny, dziki widok, jednak

odpowiadał on, częściowo przynajmniej, swemu celowi i gdy nawet nieco więcej dymu w izbie zostało, jak się właściwie ze zdrowiem zamieszkujących ją zgadzało, to służył wtedy znowu jako środek ochronny przeciwko ogromnej massie moskitów, które po wilgotnej zimie w niezliczonych rojach z sąsiednich błót się mnożyły.

Podróźni, wysileniami dnia zmęczeni położyli się spać i przez kilka godzin panowała jedynie cisza przerywana regularnemi oddechami śpiących, gdy nagle niemowle ocuciło się, zaczęło krzyczeć i nie dało się uspokoić.

— Chciałabym, żebyś przyniósł kubek wody! rzekła nakoniec żona do męża; dziecko chce pić i mnie samej przysycha język do podniebienia.

— Dobrze—zatrzymaj się tylko, aż ogień trochę rozdmucham i parę wiórów zapalę; inaczej źródła w ciemności nie znajdę.

Teraz wstał i macając zbliżył się do komina, gdy nagle wydał rozpaczliwy krzyk i skoczył w przeciwległy róg pokoju.

— Na miłość Boską, co ci się stało? zawołała żona przestraszona, co ci jest?

— Nic! wyjęczał mąż, głęboko wzdychając.

Nic—nastąpiłem tylko na coś.

Ja wstanę i ogień rozpalę! rzekła żona i podniosła się z posłania.

— Stój! Na zbawienie duszy—stój! zawołał prędko i silnie jej małżonek; nie ruszaj się z miejsca, gdzie leżysz, dopóki się widno nie zrobi!

— Co się tobie stało? Wiljamie—mów — zaklinam cię! błagała żona w strachu śmiertelnym.

— Tu są węże i na jednego nastąpiłem.

— Czy jesteś ukąszony? zapytała przerażona kobieta.

— Sądzę że nie—jeden skoczył na mnie ale mnie chybił; leż tylko spokojnie, nie ruszaj się i trzymaj dzieci cicho!

— O, mój Boże! jęczała biedna kobieta — gdyby to już dzień był!

Rozpacz mnie zadusi; zostań tylko tam, gdzie jesteś, aby ci się jakie nieszczęście nie stało!

— Tak, tak, rzekł mąż poważnym głosem; ja się nie ruszam; daj tylko na dzieci baczenie!

Długo jeszcze czuwała kobieta i trwożliwie podsłuchiwała najmniejsze poruszenie w pokoju, ale nakoniec znużenie upomniało się o swe prawa i ponieważ się także dziecko uspokoiło, zasnęła napowrót. Jednak smutne sny ją dręczyły i z okrzykiem strachu zerwała się nagle.

Był już jasny dzień. Słońce przyświecało przez szerokie szpary do wnętrza chaty; dzieci spały jeszcze przy jej boku mąż leżał pod przeciwległą ścianą bez ruchu; żadnego już niebezpiecznego zwierzęcia nie było; poranek je rozproszył. Teraz odwróciła się kobieta prędko, zarzuciła na siebie suknię i zbliżyła do ojca dzieci, by go także obudzić. Załedwie jednak jego ramienia dotknęła, kiedy od skoczyła w tył ze strasznym krzykiem, który dzieci wystraszył i okropnie się w budynku odbijał.

Trup leżał przed nią, zimny i sztywny, z szeroko otwartymi szklannymi oczami i napuchłymi członkami. Jęcząc upadła na bezduszne ciało i próbowała wszystkiego co tylko w jej mocy było, by go do życia powrócić. Jednak było to napróżno, i łkając rzuciła się na ziemię, by puścić wodze szalonej boleści. Dzieci, głośnie narzekaniami dotąd tak kochającej matki przestraszone, uwiesiły się krzycząc, swojej opiekunki.

To dodało jej nowej siły, całej mocy duszy i obudziło w niej nową odwagę, do której się dotąd nawet sama nie poczuwała. Ze spokojem rozpaczy przemawiała przyjaźnie do dzieci, dała im śniadanie i następnie robiła przygotowania, do pochowania swego męża. Po między sprowadzonymi narzędziami były liczne rydle i haki, i w małej odległości od chaty, obok mruczącego strumyka, wykopała grób dla kochanego męża. Z zaledwie do uwierzenia siłą zaniosiła następnie ciężkie ciało na miejsce ostatniego przeznaczenia, spuściła je w głąb, złożyła w cichej modlitwie ręce nad grobem, i chciała teraz sama umrzeć, gdy jej starsza dziewczynka dziecko czteroletnie na ręce jej upadła i prosiła jej „by ziemi nie rzucać na kochanego ojca!“ Teraz opuściła ją raz jeszcze odwaga; głośno łkając przycisnęła dziecię do piersi, i padła w niewypowiedzianej boleści. Następnie jednak prędko porwała się, pieszcząc się odniosła dziecko na stronę i bochatersko dokończyła swoją bolesną pracę.

Teraz należy wykazać całą jej energię. Na tem

miejscu zostać nie mogła, gdyby nawet środki żywności na kilka dni jej jeszcze wystarczyły. Tu przyjęła ją niewyciężona okropność, i prędko uporządkowała wszystko, by natychmiast znowu mogła wyruszyć. Wszystkie rzeczy, których nie uważała za konieczne, złożyła we wnętrzu chaty i zabiła gwoździami drzwi; resztę wyniosła na zewnątrz; zapakowała środki żywności, pozostawiła na kilka minut młodsze dziecię pod opieką starszego, by o jakie sto kroków pasące się konie sprowadzić, włożyła na nie siodła, przywiesiła potem fuzyę swego męża, rożek z kulami i nóż myśliwski i przedsięwzięła następnie swój pochód przez samotną pustynię.

Jedną nową trudność była teraz jeszcze do zwyciężenia. Jak miała dokładny kierunek przyjąć, kiedy sama na drogę prawie nie zwracała uwagi a od swego męża zaledwie wiedziała, że ich nowe miejsce pobytu leży na północo-zachodzie? Pod tym względem musiała zaufać zmyślności konia, i spodziewała się, że ten sam drogę wynajdzie. Ten zdawał się zresztą być zmianą miejsca paszy bardzo niezadowolniony i wcale nie było mu spieszo mniej obfitą trawę rodzinnego ogniska tak prędko znowu odszukać; ztąd też zaczął za każdą razą, kiedy cugle czuł wolniejsze, skubać trawę i nie zwracał uwagi ani na groźby ani wołania; młoda, opuszczona kobieta spostrzegła tedy że i tu musi liczyć na własną siłę i skierowała teraz niechętnie postępujące zwierzę w południowo wschodnim kierunku, o ile sama będzie w stanie takowy utrzymać.



Okolo południa zachmurzyło się aż dotąd jasne niebo, i nieszczęśliwa straciła teraz swego jedyne go przewodnika, słońce, ponieważ nieumiała oznaczyć sobie kierunku podług drzew. Skoro wieczór nadszedł, zrobiła przystanek przy źródle u stóp pagórka, by tu noc przepędzić. Dzieci przestraszały się w ciemności wyciem wilków i przerażającymi głosami sów, które nad nimi się rozlegały. Matka sama z bijącym ze strachu sercem, uspakajała jednak płaczące sieroty, nabiła broń i czuwała nad najmniejszym szelestem, jaki dawał się słyszeć w suchych liściach.

Następnego rana przygotowała się znowu do drogi, ale niebo jeszcze było zasępione, i coraz bojaźliwiej biło serce biednej matce, kiedy myślała o rozpostartej przed nią, bezdrożnej dziczyźnie, w której się teraz zabłąkała. Drugiego wieczora, zjadła, nakarmiwszy przedewszystkiem dzieci, ostatni kawałek chleba i przerażający głód trzeciego dnia przyłączył się jeszcze do jej cierpień. Wprawdzie spotkała w drodze kilku jeleni i to na odległość strzału, ale obawa, by nie przestraszyć nieco lęklivego konia, i nie wystawić dzieci swoich na niebezpieczeństwo, wstrzymywała ją za każdą razą, od użycia fuzyi. Teraz jednak, trzeciego dnia, kiedy już zapadł ponury wieczór, ujrzała przelatujące między drzewami stado indyczek. Przymierzyła się szybko i udało jej się szczęśliwie zabić jednego z tych ptaków.

Niespokojna noc stała jednak przed nią; niemo wle krzyczało ciągle, a wilki zwabione głosem podobnym do jelonka, okręzały ogień, tak że wystraszona

kobieta nic innego poradzić sobie nie umiała, jak tylko że kilkokrotnie strzelała z fuzji, by przestraszyć coraz bardziej napierające bestye. Któż opisze uczucie, jakie jej piers napelniło, kiedy w niewielkiem oddaleniu głośne *holla!* na jęj ostatni strzał odpowiedziało. O! jakże radośnie odzywała się do wybawcy, który nakoniec, głosem jej kierowany, do niej się zbliżył.

Można sobie wyobrazić zadziwienie tego człowieka, kiedy wybladłą, kobietę samą z dwojgiem małych dzieci znalazł w pustyni; bez długich zapytań zabrał on szybko wszystkich do swego nie bardzo oddalonego mieszkania, gdzie jego żona z życzliwym współczuciem nieszczęśliwych gości przyjęła i pielęgnowała.

Dom gościnnego fermera znajdował się dobrze o dwadzieścia mil angielskich na południe od zamierzonej drogi biednej wdowy. Następnego dnia odwiózł zacy człowiek wdowę i jęj dzieci na małym wózku do ich rodzinnego domu.

Aż dotąd siła bochaterskiej kobiety wystarczyła podtrzymać silnego ducha, miłość macierzyńską. Teraz jednak wystąpiła natura o swoje prawa; febra nerwowa rzuciła ją na łóżko.

Tymczasem wybrało się kilku młodych ludzi do wskazanej chaty, którą jeden z nich znał, przynieść pozostawione rzeczy. Postanowili oni, o ile będzie możliwem, węże wytępić. Przy dobrze podtrzymywanym ogniu z łuczywa zaledwie oczekiwali godzinę po zachodzie słońca, kiedy dwa wielkie węże grzechotniki poruszając językami przyczółgały się i zbliżyły się do

trzeszczącego płomienia. Cztery kule w jednej chwili położyły koniec ich bytowi i jako znak zwycięstwa zostały zawieszzone nad grobem biednego mieszkańca lasów, który swoją missyę jako pionier Zachodu, jak wielu jemu podobnych, życiem przypieczętował.

Pani Schancenau, kiedy stary Howard jej i jej trojgu dzieciom niezmierzone lasy Zachodu na miejsce pobytu przeznaczył, nie bardzo chciała walczyć z temi niesłychanemi trudnościami i niebezpieczeństwami, jakie słaba kobieta znosić musi, jeśli chce zamieszkać w tych najbardziej zewnętrznych forpocztach cywilizacji.

Co tylko jednak bogactwo i przemysłna pieczołowitość zdoła zapewnić, o tem wszystkim Howard pomyślał, by drugie schronienie swoich pupilów z komfortem wszelkiego rodzaju urządzić.

Małe kółko służby obojej płci było na rozkazy pięknej słomianej wdowy i z zadziwiającą szybkością w przeciągu jednego tygodnia zostały wybudowane potrzebne domy mieszkalne, las w około obwiedziony parkiem, dobra droga wyprostowana i kilka wybornych źródeł w drewnianych rurach pod samo mieszkanie doprowadzonych. Przez krótki czas, acz jednopiętrowy ale bardzo obszerny dom mieszkalny urządzony być mógł, pani Schancenau z dziećmi obozowała pod pod różnym namiotem, który już podczas długiego marszu z „Klarwasser“ aż tutaj codziennie podczas stacji mocnych lub gwałtownych nawet podczas dnia szybko był rozbijany i swoim zarówno trwałem jak praktycznem urządzeniem wszelką dawał obronę przeciwko niestałości pogody.

Alfred i Mina, którzy całą podróż na małych konikach przebyli, podczas gdy ich mama na okazałym rumaku jechała i przytem ciągle oko miała zwrócone na strzeżone przez dwóch murzynów bydlę juczne, na którego grzbiecie mały Oskar w wielkim koszu wygodnie sobie leżał, — znajdowały tak wielką przyjemność w tego rodzaju podróży, że prawie smutni byli, kiedy się dowiedzieli, że nakoniec po trzytygodniowym marszu osiągnięto zapragnionego celu. Do kochanych dziatki daleko lepiej przemawiało to cygańskie życie, jak nadzieja, że teraz znowu codziennie przez pięć do sześciu godzin przy nauce będą zatrzymane, — na co tak Howard jak i pani Schancenau zwracali ścisłą uwagę. Stary zacny ochmistrz i dwie guwernantki jechały też dla tego do lasów zachodu, i aby plan nauki niczem nie został zakłócony, znajdowało się także w opakowaniu, ciągnięte przez sześćdziesiąt bydląt jucznych, składane pianino, które Howard właśnie z New-Yorku sprowadzić kazał; które 1,000 dolarów gotówką w złocie kosztowało.

Dobra Marya znalazła się w kótcie w nowem otoczeniu swego zmienionego miejsca pobytu, nawet jej początkowo wielka obawa przed węzami uspokoiła się powoli. Można było z pewnością prawie przyjąć, że na dwie mile angielskie w obwodzie tych tu w istocie niebezpiecznych płazów, te już po kilku tygodniach zupełnie wytępione były, gdyż dwunastu młodych i starych negrów ciągle było na nogach, by szukać po lasach i bagnach za gniazdami węzów i ci śmiałkowie brali się

do tego z wielkim zapałem, gdyż im za każdy zabity egzemplarz, stosownie do wielkości płaciła pani Schancenau od jednego do dziesięciu dolarów w złocie. Wakutek tego środka poszukiwacze węzów musieli już w drugim miesiącu daleko przekraczać za pierwiastkowy promień, by zarobić wzmiankowaną nagrodę; dowód, że nawet ci śmiertelni nieprzyjaciele ludzi przez zrzeczność i wytrwałość wytepieni być mogą.

Tak upłynęło naszym osadnikom blisko rok w zupełnie niezakłóconym spokoju. Zacny Howard posyłał prawie co miesiąc wiadomości o swoim i Schancenaua zdrowiu, który naturalnie ciągle niewiadomy pod jego opieką się znajdował, co jednak, jak już wiemy, bynajmniej nie przeszkadzało, że biednego człowieka z Richmond o mały włos nie spotkała śmierć, hańbiąca, przed którą tylko uchronił się przez potężną władzę wolnomularskiej miłości braterskiej.

Listy nadsyłane stanowiły zarazem jedyne źródło, z których nasi osadnicy samotni w lasach zachodu czerpali najświeższe wiadomości o najważniejszych wiadomościach ciekawych wypadków na przeszło 300 mil angielskich odległym placu wojny. Pani Schancenau częścią pobudzona Howarda inponującą powagą, częścią kierowana nieprzepartą logiką faktów powoli przejęła się fatalistyczną wiarą że jej mąż rzeczywiście jest nietykalny i że tegoż żadne ważne nieszczęście spotkać nie może. Zaczęła ona teraz sama wierzyć temu cudownemu darowi wieszczemu, który w niej dawniej rozwinął w magnetycznych snach sam Howard, jakkol-

wiek sama ani posiadała zdolności przenoszenia się w ten niezwykły stan zagadkowy, ani też nic jej nie zostawało w pamięci, co o swoim drogim małżonku z apodyktyczną pewnością przepowiedziała.

Wystarczało jej teraz dane kiedyś przez Howarda słowo honoru, że w każdym razie ostateczne szczęśliwe połączenie się napowrót z Schancenauem bądź co bądź nastąpić musi jako fakt nieunikniony.

Aby szlachetnej istoty bez potrzeby nie niepokoić, lub nawet co do przyszłości w błąd nie wprowadzać, Howard umyślnie unikał donosić Marji w swoich listach o zajściu pod Richmond, i sam teraz chwalił się z tego, że swoich pupilów do tych lasów nakłonił, że zaniechał peryodycznego przesyłania gazet, a za to przyobiecał, że jej listownie donosić będzie, o najważniejszych wypadkach.

Tymczasem furja wojenna Bellona szalała z okrutną zaciętością. Staczano bitwy po bitwach a straszne zniszczenie pozostawało dla obydwóch stron bez żadnego rezultatu. Z końcem 1864 r. nie mógł nikt jeszcze stanowczo powiedzieć, czy północ czy południe górę weźmie. Gdyby się napoleoński zamach w Meksyku udał tylko w połowie, a Anglja i Francja zaraz biorą stronę południa; w jakim wypadku unija tych mocarstw wojnę wyjaśnić by musiała, i z góry na pewno możnaby powiedzieć, że północ będzie pobitą i prosić o pokój.

Na szczęście jednak zaczęła się mścić już w łonie Francji na Napoleonie III meksykańska usterka, tak że

nowożytny Cesarz nie mógł się odważyć wprowadzić w wykonanie swego programu, by także i z tamtej strony oceanu zapewnić wolność ludów i ogólne prawo ludzkości podług chimery despotyzmu. Dopiero z upadkiem Charlestonu i Wilmingtonu w lutym 1865 roku zaczęło się zwycięstwo stanowcze na stronę unji przechylać.

Jednak jeszcze na długo zanim to nastąpiło, mała; wszakże pod każdym względem kwitnąca kolonia naszych mieszkańców lasów, została nawiedzona przez straszną katastrofę, która najzupełniej niespodzianie i niszcząco wybuchnęła, podobnie dziko wrzącemu Tyfonowi chińskich wód.

Było to podczas pięknego, ciepłego a przytem jednak wcale nie parnego jesiennego wieczora 1862 roku, kiedy kilku murzynów, którzy za poszukiwaniem węzów na kilka mil angielskich w południowo-wschodnim kierunku od osady się oddalili, przybyło z doniesieniem, że nadchodzi oddział złożony z blisko stu kawalerji. Jakkolwiek nadzwyczajną rzeczą obecność wojska w tej okolicy wydać się musiała, Marya się jednak wcale nie przestraszyła, ponieważ murzyni jednozgodnie oświadczyli, że zbliżający się, znaki wojskowe związkowych nosili. Przeciwnie wydała polecenie, aby w całym pośpiechu dla koni i jeźdźców przygotować, czego tylko stodoła, kuchnia i piwnica dostarczyć mogły. Wiedziała ona, że w tym wypadku gościnnem przyjęciem zadość tylko odpowie życzeniu nieobecnego Howarda, który jej na podobne przypadki nieograniczoną dał władzę działania.

Pomimo że pani Schancenau wcale nie należała do bojaźliwych swojej płci, przeszło ją jednak szczególne uczucie obawy i niepokoju, kiedy miała sposobność zbliżyć się przyjrzeć temu przeszło sto głów liczącemu oddziałowi żołnierzy. Były to nadzwyczaj dzikie, podejrzane postacie, prawdziwi szubienicznicy, tak że się w milczeniu mocno dziwiła, jak rząd związkowy takich ludzi, którzy w uderzający sposób ubraniem i zachowaniem nosili na sobie charakter morskich rozbójników, dla swej zacnej, szanownej sprawy jako najemników mógł zwerbować.

Cały oddział dowodzony był przez dwóch tylko oficerów. To się znaczyło, że drugi oddział z pułkownikiem ochotników dopiero jutro lub pojutrze nadciągnie.

Zdawało się że koniec—i jeźdźcy przebyli nadzwyczaj forsowne marsze, gdyż konie tak były znużone i zmordowane, że początkowo wcale nie zwracały uwagi na podawany im obrok, lecz przez kilka godzin ze zwieszonemi uszami, na wpół zamkniętymi oczami i spuszczonei głowami stały, zanim powoli wonne siano probować zaczęły.

Podobnie i jeźdźcy byli bardzo pomordowani. Im spoczynek zdawał się być większą potrzebą jak pożywienie i napój. Po kilku godzinach, kiedy już nastąpił zmrok wieczorny, było także jednak w małym obozie dosyć ruchu. Tymczasem jagnięta i kozy, które zaraz po przybyciu niespodziewanych gości zabito, zostały upieczone i żołnierze oddali wszelkie należne honory tej



skromnej, ale posilnej i wystarczającej uczcie. Co do picia, do którego zdawali się okazywać więcej jeszcze zdolności jak do jedzenia, trzymani byli jednak na wodzy przez swego własnego dowódcę, który widocznie nadzwyczaj surową karność nad nimi wykonywał. Tak np. jeden z kawalerzystów, który się w nieco napitym stanie dopuścił względem dowódcy lekkiego ubliżenia subordynacji, został natychmiast przez oficera rozstrzelany; fakt ten szybki krwawej sprawiedliwości nie wzbudził w innych najmniejszej sensacji; zaledwie ten lub ów spojrział na drgającego trupa, który prawdopodobnie byłby pozostał niepocruszony w swojej krwawej kałuży gdyby murzyni osady na rozkaz tym wypadkiem śmiertelnie przestraszonej pani Schancenau nie spełnili natychmiast obrzędu pogrzebowego.

Za nadejściem nocy zostały ustawione liczne forpoczty, jakby się obawiano niedaleko nieprzyjaciela, podczas gdy jednak pewnem było, że najbliższe oddziały skonfederowanych przynajmniej na trzysta mil angielskich (60 niemieckich) od tego punktu lasów oddalone były, a nadto znaczny oddział związkowych wojsk obozował zaledwie o trzydzieści mil na północ nad odnogą r. Missisipi, aby przeciąć na tej drodze mogące przechodzić dowozy dla południa. O ile mało pani Schancenau podejrzliwą dotąd być zwykła, o ile mało się też na służbie wojennej знаła, coraz bardziej ją jednak uderzało to postępowanie jej nieproszonych gości, na pełniło ją taką obawą, że już powzięła zamiar, następnego rana dom zupełnie opuścić i udać się na mieszka-

nie do o dziesięć mil na północo-wschód odległej znajomej rodziny farmerów, aż dopóki podejrzany oddział kawalerzystów, który jak odzywał się oficer miał chęć przez dni kilka pozostać w osadzie, nie pociągnie dalej. Najgorzej było z murzynami; żołnierzom podobało się biednych czarnych przy każdej okazji knutować i nielitościwie szarpać. Oficerowie, którzy zresztą tak ściśle karności przestrzegali w tym kierunku wcale nie powstrzymywali surowości swych ludzi, przeciwnie śmieli się zawsze na całe gardło, kiedy jeŕen lub drugi z nieszczęśliwych boleśnie się kurczył jak robak pod nielitościwymi pięściami oprawców.

Pani Schancenau, która tym okrucieństwowm z okna swego pokoju przyglądać się musiała, wzięła sprawę do serca i prosiła osobiście dowódców o zaradzenie złemu.

Ale jak kiedyś srogi Tilly owym ze swoich ludzkich oficerów, którego o ostateczne zaprzestanie scen okrucieństwa prosili, wruszając ramionami odpowiedział: „Żołnierz musi także coś mieć za swoje trudy!“ tak też dowódzca konnych z szyderczą miną wruszył ramionami: „I cóż! należy wytępić te całe czarne plemię!“

Ze łzami w oczach cofnęła się dobra kobieta znowu do swego pokoju. Jej obawa wzrastała coraz bardziej; odpowiedź, jaką usłyszała, nie dopuszczała żadnej wątpliwości, że jej goście są zamaskowani konfederaci, że więc znaki wojskowe północy były użyte przez podstęp wojenny. Jej postanowienie, żeby uciekać, przez tę pewność naturalnie jeszcze się bardziej wzmocniło.

Byłaby swoje dzieci zabrała i jeszcze w nocy się oddalila, gdyby wszystkie budynki nie były obstawione strażami. Serce jej ścisnęło się konwulsyjnie na myśl, że może ją już teraz jako więźnia uważają, i dla tego następnego rana jej oddaleniu się przeszkody w drodze postawią.

Myśl, że jej i jej dzieciom wolność zagrożoną być może, myśl, że jej dzicy towarzysze, którzy o sto kroków przed domem na wielkiej łące formalny obóz rozbili i ogniska zapalili, może następnie zbeszczeszczą nawet jej honor kobiecy, do jakiego to wniosku upoważniały wstrętne czyny, jakich już dopuścili się z bezwstydną zwierzęcością na czarnych sługach, dodały słabej kobiecie odwagi i zastanowienia.

Przywołała ona cichym głosem na wewnętrzne podwórko domu murzyna Menelansa, którego, jak sobie może jeszcze czytelnik przypomina, na prośby Maryi w osadzie „Klarwasser“ ominęła dobrze zasłużona kara. Od tego czasu poprawił się murzyn rzeczywiście a młoda kobieta czczoną była przez niego jak anioł. Na jego usługę mogła więc pani Schancenau rachować nieograniczenie.

— Menelansie, rzekła Marya do murzyna, który drżąco przypelzał, gdyż i z nim także kilka razy nie-ludzcy najeźdźnicy surowo się obeszli,—Menelansie, czy chcesz mnie i moje dzieci ratować? Zastanów się jednak dobrze, gdyż może to cię życie kosztować!

— Ach! Misses! zawołał murzyn ożywiony; przyczem prawą rękę podniósł do przysięgi, — ach Misses! Mene-

lans będzie uszczęśliwiony, jeżeli będzie mógł umrzeć za swoją dobrą panią!

— Musisz starać się by się wydobyć cichaczem z osady i mały unistowski obóz nad Old-Kider zawiadomić o ile można najprędzej o obecności tych zamaskowanych nieprzyjaciół. Musisz sobie jednak drogę tam znaleźć?

— O, Menelans bardzo dobrze zna tę drogę; pożyczysz konia na folwarku od naszego sąsiada mastera, Williama, i w Old-Kider będzie z brzaskiem dziennym— hi, hi, hi!

— Oto, mój dobry, ciągnęła dalej pani Schancenau, są dwa listy; ten należy do mastera Williama, któremu moje ostrzeżenie bardzo będzie pożądane — drugi, większy, jest pisany do nieznanego mi dowódcy wojsk związkowych nad Old-Kider. A teraz idź z Bogiem. Tylko ostrożnie, ostrożnie, Menelans!

Murzyn ucałował skraj sukni Maryi, skrzyżował w milczeniu ręce na piersiach na znak swego posłuszeństwa i wysunął się następnie pocichu niby cien wzdłuż muru domu aż dostał się do samego brzegu werendy, w której cieniu chwilę ukryty, zastanawiał się, w jaki sposób niepostrzeżony na zewnątrz wydostać się może.

Wykonanie tego zamiaru nie było bynajmniej łatwym zadaniem, gdyż dom był, jakeśmy już zauważyli, dwunastoma strażami obstawiony. Jedna z placówek odległą była od Menelansa zaledwie o dziesięć kroków, nie przeczuwała jednak bliskości murzyna.

Plan murzyna wkrótce był ułożony. Wydobył on nóż i podsuwał się w ciemnych cieniach, jakie zewnętrzna werenda rzucała, coraz bliżej ku szyldwa-

chowi, przytem starannie się ciągle ukrywając za filarami, podpierającemi dach werendy. Kiedy już był od żołnierza nie więcej oddalony jak o trzy kroki, który ponury i śpiący powoli wzdłuż się przechadzał, zwinął się do skoku jak jaguar. Naraz napadł Menelans jak błyskawica i w tej samej chwili wpakował aż po rękojeść nóż w pierś żołnierzowi. Cios był tak pewnie wymierzony, że trafiony, bez wydania żadnego głosu, padł na ziemię.

W dwie minuty później murzyn dosięgnął bliskiego lasu. Trup zabitego został dopiero w dwie godziny później przy zmianie znaleziony. Gdyby pani Schancenau była wiedziała, że Menelans w ten sposób, na któryby się zresztą nigdy nie zgodziła, drogę sobie na zewnątrz torował, to nie byłaby żadna stanęła przeszkoda do ucieczki w tym czasie jej i reszty z mieszkańców osady. Sądziła ona, że jej postaniec jedynie ośmielił się przesunąć przez strażę, nie myślała nigdy, że łagodny Menelans zdobędzie się na tak energiczny, krwawy postępek.

Skoro zameldowano dowódcy o tem zdarzeniu, powstało w obozie niesłychane wzburzenie. Straszne przekleństwa i groźby były zewsząd głośne; wszyscy w obłąkaniu krzyczeli o krew i zemstę za podstępem zamordowanego towarzysza.

Pani Schancenau wybiła się przestraszona ze snu, jaki ją około północy ogarnął przy łóżeczku jej dzieci. Nie odważyła się ona, udać do swego sypialnego pokoju, ale zupełnie ubrana ukryła się do przylegającego do dworu dzieciennego pokoju.

W tej chwili dały się słyszeć ciężkie kroki i wkrótce potem mocno silną pięścią kolatano do drzwi.

— Gdzie jest pani domu — grzmiał wściekły głos dowódcy, gdzie ona jest, ona musi odpowiedzieć za zabójstwo biednego Henryka Wolverton.

Maryja pospieszyła otworzyć.

Mocno wzburzony, z błyszczącymi oczyma, zgrzytając zębami, trzymając jedną rękę na pałaszu, drugą na rewolwerze za pasem, wszedł dowódca do pokoju.

— Który z pani ludzi popełnił morderstwo? Wydać go! Przy trupie powinna być bestya w kawałki poszarpana! Wydać go, powiadam, albo w zamian zamorduję panią, i jej małe dzieci własnymi rękami!

Jakkolwiek wzburzony był dowódca przekonał się jednak z jej nieudanego zadziwienia, że młoda kobieta o zamordowaniu żołnierza nic nie wiedziała, ale również jasnym było, że morderstwo tylko przez jednego z mieszkańców osady popełnione być mogło. Chodziło mu więc, aby przedewszystkiem dowiedzieć się, z jakich powodów nastąpił zamach.

Wziął więc młodą damę na ścisły examina. Maryja która w całym swoim życiu nieraz kłamstwa w żartach sobie pozwałała, uznała za najlepsze, wyznać całą prawdę, by straszego człowieka stojącego przed nią bardziej nie jętrzyć.

— Piekło i diabli! syczał dowódca i tupał przytem nogami o podłogę tak że drżały ściany wąskiego budynku. Pani! przygotowałaś nam i sobie brzydkiego figla. Nie wątpię, że czarny pies dostał się szczęśliwie do Old-Kider i nam w przeciągu dwudziestu czterech go-

dzin unioniści wpadną na kark. Nie możemy oczekiwać tego przybycia. Myśleliśmy tu wraz z końmi naszymi przez dni kilka wypocząć, a teraz, wyplatałaś nam pani takiego figla, jednak, jak powiedziałem, i dla pani nie uśmiechnie się to różami; jeszcze w tej godzinie pani i jej dzieci wyjedziecie z nami na południe. Musiemy o ile można najprędzej spotkać się z naszą *panią*, która postanowi dalej jak działać w tej zabawnej sprawie. Naprzód, pani, naprzód! obudź swoje dzieci! Za kwandrans oczekuję pani tam na łące, później byłoby pani może za gorąco!

— Jak pan to rozumiesz, panie kapitanie, zapytała biedna dama drżąc na całym ciele.

— Jak ja to rozumię? odrzekł zapytany, wybuchając dzikim, cynicznym śmiechem,—jak ja to rozumię? Ha! ha! ha! czerwonego koguta zasadzę na szczycie tego unionistowskiego gniazda węzów; kamień nie zostanie na kamieniu. Przyszykuj się więc pani; za kwandrans dom będzie splondrowany a w pięć minut później zrobi się malenki fajerwerk.

Pani Schancenau rzuciła się z głośnym krzykiem do łóżeczek swoich dzieci. Nie wiedziała, czy będzie wstanie w naznaczonym jej krótkim czasie troje małych obudzić i ubrać, gdyż jej służące częścią się pochowały, częścią dawno już pouciekały.

— Cóż, pani! rzekł flibustjer flegmatycznie, postępując do łóżeczek dzieci, widzę już, że pani pomódz muszę.

Mówiąc te słowa, objął dosyć szorstko małego Oskara, porwał chłopca bez ceremonii z łóżeczka i wy-

szedł z dzieckiem, które mocno krzyczeć zaczęło, szybkim krokiem z pokoju, zarazem jednak wpuszczając ukradkowo do swoich obszernych kieszeni kilka szkatulek z kosztownościami, które pani Schancenau przy zamierzonej ucieczce z sobą zabrać zamierzała i które na stoliku otwarte leżały.

Marya, śmiertelnym strachem przejęta, kiedy małego Oskara w tak strasznych rękach zobaczyła, wybiegła za dowódcą na zewnątrz.

— Oddaj mi pan moje dziecię, moje dziecię! błagała pani Schancenau.

— Co pani przyszło do głowy! odrzekł dowódzca wzruszając ramionami; mam rozkaz, panią i jej dzieci w zdrowym stanie naszej półkownikowej dostawić, hm! a ja bynajmniej nie chcę się pozbawić nagrody, jaka na wasze głowy jest nałożona. Hej Poruczniku Stannton, zajmij się dwoma drugimi dziećmi i czynń następnie, jak rozkazałem.

Marya przez chwilę była niezdecydowana, czy ma bronić małego Oskara, czy też ma patrzeć za Alfredem i Minną. Zanim jednak jeszcze w swoim oblędzie i strachu zdobyła się na postanowienie, usłyszała już krzyk dwojga starszych dzieci, z których każde przez jednego z napastników na ręku z domu uniesione zostało. Nieludzki człowiek dał kilka szturchańców śmiertelnie wystraszoným dzieciom, by ich jęki przytłumić. Kiedy Alfred i Minna zobaczyły swoją matkę i ta na nich wołała, żeby się cicho zachowały, powstrzymały swoje płacze i krzyki z prawdziwie bohaterskim



wysiłkiem na dzieci tak młodego wieku; pojęły one, że to tylko powiększy rozpacz ich kochanej matki i że mały nad wszystko ukochany Oskar również może być narażony na złe z nim obejście się.

Dziki hałas i okrzyki dawały się słyszeć z domu na którym łupieżcy teraz wesoło plądrowali i wszystko, co nie łatwo zabrane być mogło, z wandalizmem burzyli. Rabowanie zresztą miało się już ku końcowi i nie odpowiedziało oczekiwaniom bandytów. Najkosztowniejsze rzeczy, mianowicie klejnoty, zabrał już dowódca a gotówką znajdowało się tylko kilka tysięcy dollarów, gdyż znalezione weksle i bilety kredytowe były dla łupieżców bez żadnej wartości i ztąd natychmiast uległy zniszczeniu.

Jeszcze kiedy kilku z korsarzy okropnie przeklinając ukrytych skarbów wewnątrz domu szukali, inni, szczęśliwsi, gdyż przywłaszczyli sobie przynajmniej niektóre rzeczy możliwe do zabrania, podłożyli może w dziesięciu miejscach ogień, które w przeciągu kilku minut zniszczyły bardzo prędko powiększej części z drzewa wzniesioną budowlę.

Tymczasem dzień zaczął się już zbliżać ku wieczorowi i oddział jezdnych zabierał się do odjazdu.

Nagle ukazał się jeden z posterunków, które w nocy przebiegały przyległe lasy, z groźnym zawiadomieniem, że nadciąga silny oddział unionistowskiej piechoty.

Wiadomość ta rozszerzyła wielki postrach pomiędzy bandytami. Wszyscy rzucili się do swoich koni.

W oczach pani Schancenau zabłysnął promień nadziei i widocznie z radością krzyknęła.

Dowódzca, któremu w mowie będące doniesienie bynajmniej nie było przyjemne, wpadł w wielką wściekłość, kiedy spostrzegł nieco rozradowaną postawę Maryi.

— Nie ciesz się pani zawcześnie! zaryczał strasznie zaczerwieniony na twarzy i wydobywając sztylet groził dziki bandyta, że zamorduje małego Oskara, którego ciągle jeszcze trzymał na rękę.

Pani Schancenau padła na kolana i ze złożonymi rękami błagała o życie swego najmłodszego dziecięcia.

— Żywi wy czworo mi ujść nie możecie! ciągnął dalej tym samym tonem dowódzca, przysięgam na mój honor! A więc prędko na konie, lub życie pani i jej dzieci niebędzie warte papierowego dolara!

Na dany znak przez niego jeden z jeźdźców wziął przed siebie na konia małego Oskara, co dwaj inni już z Alfredem i Minną uczynili. Dla pani Schancenau sprowadzony był jeden z dwóch silnych małych kucyków, które kiedyś dzieciom dla rozrywki służyły.

Paniczny przestрах bandytów był zresztą, o ile się obawiali, że zbliżający się oddział piechoty już w skutek poselstwa przekłętego murzyna ukaże się zupełnie nieuzasadniony. Ten mały oddział wyruszył tylko z obozu Old-Kider, by jedną z band przemytników rozpuścić, która w południowo-wschodnim kierunku nad boczną rzeczką wpadającą do Missisipi skonfederowanym środki żywności sprowadzać zaczęła

a ztąd bynajmniej nie miał zamiaru, udawać się ku schronieniu pupillów Howarda. Z drugiej strony jednak wcale nie było dogodnem zamaskowanemu za unionistów oddziałowi jezdnych, narażać się na spotkanie z nieprzyjacielem, nawet gdyby przewidywał, że odniesie zwycięstwo. Musieli mianowicie być pewni w takim wypadku, czy z obozu Old-Kider większy, kawaleryą wzmocniony oddział wyrusza za nimi, i wątpliwem było przy względzie jeszcze na zmęczenie ich koni, czy nie zostaną doścignięci i przez przemagającą siłę do stanowczego spotkania zmuszeni. Szybka więc ucieczka w kierunku, zktąd przybyli, była dla nich nieodzowną koniecznością.

W mowie tedy będący oddział wojska oddalił się jak mógł najprędzej z miejsca, do szczętu już teraz zburzonej osady w południowo-wschodnim kierunku, tak że kilka koni im w drodze padło.

Z licznych wskazówek dowódcy dowiedziała się pani Schancenau, że przystanek miał dopiero nastąpić, kiedy się zetkną z oddziałem osobiście dowodzonym przez pólkownikowę.

Okoliczność, że dowódzca jezdnych i jego porucznik ciągle między sobą tylko o pólkownikowej mówili wzbudziła naturalnie nie pomalą ciekawość Maryi. Na jej nieśmiałe zapytania, jak się owa amazonka nazywa, której z tak złych żywiołów zebrany oddział nieograniczenie być posłusznym się zdawał, krótko jej tylko odpowiadano, że pani pólkownikowa po swoim zmarłym

mężu zowie się panią Belville, że jest bardzo bogata i już ze sto razy była w ogniu, tak waleczna i nieustraszona, jak najdzielniejszy żołnierz, że więc wcale nie było wstydem, słuchać podobnej kobiety.

Pani Schancenau nabrała odwagi. Od kobiety jako kobieta nie mogła doznać nic szczególnie złego; ludziła się nadzieją, że dowódzca może tylko na własną rękę działał, i jej osobą jak również jej dziećmi zawładnął wprost jako zakładnikami dla wielkiego okupu.

Ta nadzieja biednej Maryi miała się już jednak na trzeci dzień po oddaleniu od jej zburzonego schronienia jako zwodnicza okazać, kiedy uciekający oddział dostał się do centrum swego własnego korpusu.

Któż opisze pani Schancenau zadziwienie i zgrozę, kiedy w pani półkownikowej Belville swoją kuzynkę, „dumną Junonę“, a w jej adjutantcie byłego urzędnika Wenela Cichulkę poznała.

### XIII.

## Furya.

Byłoby niemożliwą rzeczą, ową zazwiewaną nienawiść należycie przedstawić, jaka się dała widzieć w całej istocie „dumnej Junony“, kiedy ujrzała przed sobą biedną panią Schancenau. Cichulka przeciwnie z szyderym uśmiechem był zachwycony, jednocześnie pochłaniając piękną młodą kobietę pożądliwym wzrokiem bezwstydnego cynizmu.

Marya, powiadomiona przez Howarda o burzliwej scenie, jaka towarzyszyła rozłączeniu Schancenaua i panny Eichenstamm, śmiertelnie się przestraszyła, kiedy się ujrzała w rękach swej zaciętej, pragnącej zemsty nieprzyjaciółki. Instynktownie rozciągnęła prawą rękę nad Alfredem i Minną, którzy się bojaźliwie do swej matki przytulili i konwulsyjnie jednocześnie przyciskała do serca znajdującego się na jej lewym ramieniu Oskara.

— Chodź pani! rozkazała nakoniec Alwina, kiedy się już z okrutną rozkoszą trwogą nieszczęśliwej młodej kobiety dostatecznie nasyciła.

„Dumna Junona“ postąpiła do jedyne go namiotu, jaki oddział wojska z sobą prowadził i który wyłącznie przeznaczony był dla pani „półkownikowej.“

Tam poszła Marya ze swemi dziećmi za fantastycznie ale nie odpowiednio ubraną amazonką. Cichulka cofnął się kilka kroków w głąb. Nie ośmielił się jednak wejść do namiotu, ponieważ Alwina, która widocznie bardzo ściśle karność utrzymać umiała, wyraźnie go do tego nie upoważniła. Ustawił się tedy w pobliżu wejścia i nadstawił uszy, by nic mu nie uszło z rozmowy, która także i dla niego zapowiadała się bardzo interesującą.

Alwina zajęła miejsce na polowem krześle, wskazując krótkim poruszeniem ręki swojej kuzynce, by ze swemi dziećmi w rogu usiadła na nagromadzonych tam siodłach. Pani Schancenau, nadzwyczaj zmęczona orsownym trzydniowym marszem, w którym brzępyto

przeszło ośmdziesiąt mil angielskich, poszła za stojącym w mowie zaproszeniem, przyczem taką obawą i niespokojnością była przejętą, że jej kolana drżały i czuła się blizką omdlenia.

— Pani! zaczęła następnie „dumna Junona“ wyniosłym tonem, jest zupełnie zbytecznem, abym długo pani opowiadała o naszym położeniu. Pani i jej dzieci jesteście mojemu więźniami, i możesz pani być pewną, że z mojego prawa wojennego zrobię zupełny użytek.

Maryja otarła sobie pot z czoła i wyszeptala prawie zagasłym głosem:

— Że na rozkaz pani pozbawioną zostałam wolności, o tem nabrałam strasznej pewności, niewiem jednak co pani zamýślasz dalej zrobić zemną i z memi dziećmi.

— *O, ma chère cousine!* zaśmiała się ironicznie Alwina, ja nie chcę się wcale ukrywać, i spodziewam się, że moje rozporządzenia nie pozostawią do żywienia we względzie jasności i związłości.

A więc słuchaj pani — pełnomocnictwo, jakie mi pani kiedyś dałaś w Wiedniu co do opiekowania się i wychowania Alfreda i Minny, uważam wcale jako nieustale — biorę więc dwoje dzieci zaraz pod moją opiekę. Co się zaś tycze małego, którego pani trzymasz na ręku, jest mi obojętną rzeczą, jak pani mąż nim rozporządzić umyślił.

Mój małżonek! odrzekła Maryja szybko i z zapalem, — mój małżonek obmyślał z pewnością najlepiej dla swegodziecka; w jego i moim imieniu muszę jednak

uroczyście zaprotestować, żebyś pani nam Alfreda i Minnę zabrać chciała!

— Jeżeli się jednak pani małżonek na to zgodzi? odrzekła szyderczo amazonka.

— Nigdy! zawołała pani Schancenau stanowczym tonem, i z energią, jakiej sama się nie domyślała w swoim osłabieniu i rozpaczy; miłość macierzyńska użyczyła jej znowu zupełnej siły ciała i ducha.

— Z czego pani wnosisz, podobną zgodność jej własnych zamiarów z zamiarami jej męża? zapytała sucho Alwina.

— Oskar, rzekła uroczyście Marya, podnosząc się ze swego siedzenia i unosząc wysoko rękę po nad swą głowę, — Oskar nigdy, nigdy się nie zgodzi, by Alfred i Minna zostały powierzone w ręce jakiegś Alwiny Eichenstamm.

— Ach, moja kochana kuzynko! odrzekła „dumna Junona“ udając wielką flegmę, podczas gdy zaledwie była wstanie opanować swoją okrutną radość złośliwą, jak widzę pani jesteś co do swego męża w ogromnym błędzie. Pani nie mówisz przecież o tym Schancenau, który będąc karany zdołał zbiedz i podczas ucieczki pochłonięty został przez bałwany Dunaju.

— Alwino! zawołała głęboko oburzona Marya, i pozabawiając dotychczasowej z bojaźliwością graniczącej łagodności, zbliżyła się na trzy kroki z groźną postawą, do amazonki.

— Pomiarkuj się pani! rozkazała „dumna Junona“ i z pogardliwą obojętnością; nie zapominaj się pani, że

się w mojej władzy znajdujesz i że w razie potrzeby posiadam środki, jej zuchwałość złagodzić i ukarać. Jednak, nie traćmy dla pani zapalczywości, głównej nici naszej rozmowy. Pani się mylisz bardzo, jeśli myślisz, że ja mówiłam o owym zaginionym panu Schancenau, skoro wspomniałam o pani małżonku.

— Śmieszne! rzekła Marya wstrząsając głową; zmuszona jestem w tej chwili właśnie powątpiewać o zdrowym pani rozsądku.

— Jednak tak nie jest, moja kochana kuzyno! odrzekła szybko Alwina z sarkastyczną radością, — mówię przecież nie o pani *pierwszym* małżonku, ale — o *drugim*!

— Teraz jesteś pani dla mnie zupełnie niezrozumiałą! odrzekła Marya zdziwiona, i wlepiła bystro oczy w swoją nieprzyjaciółkę, której władze myślenia uważała teraz istotnie za nadwerężone.

— Zaraz zrozumiesz pani, mój aniołku! ciągnęła dalej Alwina z najzupełniejszym spokojem. Jak pani sama wiesz, moja kochana Maryo, Oskar Schancenau nie tylko moralnie ale także i prawnie jest umarłym dla tego świata i ja jestem tak szczęśliwą, że posiadam jego legalne zaświadczenie o śmierci. Powtórnemu zamąż pójściu wdowy Schancenau nie stanie tedy na przeszkodzie najmniejsza przeszkoda, do tego w tym kraju, gdzie nawet w pewnym stopniu i bigamia istnieje. Bądź więc gotowa, moja kochana kuzyno, przed najpierwszym Sędzią pokoju, na jakiego w naszym marszu na południe natrafimy, mojemu wiernemu adjutantowi



Wencłowi Cichulka oddać swą rękę według form prawnych, *Parbleu!* Już od lat kilku mu przyrzekłam, że panią zrobię jego, a Alwina Eichenstamm jest przyzwyczajona, każdą obietnicę dotrzymać.

Biedna pani Schancenau padła znękana na kolana i wyciągnęła błagająco ręce do „dumnej Junony.“

— Łaski, miłosierdzia; zawołała Marya rozpaczliwie.

Poznała ona, że Alwina bynajmniej nie żartuje, ale że swoją pogroźkę zupełnie na seryo obmyślała.

Rzeczywiście zemsta „dumnej Junony“ godną była, iżby powiedzieć że obmyślaną została przez szatana we własnej osobie. Mogłaż ona Schnacenu śmiertelniej dotknąć, jak wrywając mu na zawsze jego drogą żonę? Na cóż się zdał piękny plan Howarda, by Marya przez swego zacnego małżonka nakoniec po ciężkim doświadczeniu odnaleziona została, kiedy ukochana istota *zbeszczeszczona* do niego wracała?

— Alwino! łkała pani Schancenau, — Alwino, na miłość Boską kieruj się ludzkim więcej uczuciem w twoim łonie; zabij mnie pani, zabij mnie i moje dzieci, ale nie żądaj rzeczy okropnej, nie żądaj pani abym mu została niewierną, jemu, którego kocham z całym zapalem mojej duszy.

— Śmieszne czułości! szydziła „Dumna Junona,“ podnosząc się z krzesła, — od dziś za dni trzy będziemy prawie bezpieczni, mianowicie już na gruncie skonfederowanych, w dwadzieścia cztery godziny później nastąpi związek pani z moim adjutantem; na to pani przysięgam

na cienie Belville'a, którego krew także pomścić muszę na owym siedm razy przeklętym Oskarze Schancenau, który mnie nogą od siebie odepchnął i niszczył dotąd wszystkie moje śmiałe plany. Tak, ja stałam się furyą, straszną furyą przez wzgardzoną miłość; ale moja zemsta będzie straszna! Isądzisz pani, że się tem zadowolnię, że panią, znenawidzoną współzawodniczkę, ujrzę w hańbie poniżoną? Nie, nawet i dzieci nie oszczędzę.

Każę je wychować na wstyd i zmartwienie ich rodziców, każę je wykarmić we wszelkich występkach i zbrodniach, tak że kiedyś nazwisko Schancenau potomków wymawiane będzie z pogardą przez świat cały!

— Nędzna istoto! zawołała Marya uniesiona, kto może mnie zmusić, bym temu nikczemnemu zdrajcy; owe mu mężowi, moją czystą rękę w występny podwójnym związku podała. Zawezwę opieki prawa i nawet w nieprzyjacielskim kraju musi być takowe zapewnione w obec podobnie niesłychanej niegodziwości.

— Nie tak dumnie, moja laleczko! żartowała szyderczo Alwina, postępując ku wyjściu z namiotu, — albo odłaz pani dobrowolnie od dziś za cztery dni w Everton rękę mojemu adjutantowi, albo — on panią przemocą zrobi swoją metressą.

Amazonka opuściła namiot. Biedna Marya oglądała się rozpaczliwie w około siebie. Konwulsyjnie przyciskała swoje troje dzieci do siebie, które już dawno zaczęły głośno płakać i krzyczeć, kiedy zobaczyły swoją kochaną, dotąd tak wesołą matkę przejętą niewypowiedzianą boleścią.

Biedna kobieta nie umiała sobie wcale poradzić. O ucieczce nie podobna było myśleć. „*Dumna Junona*“ przeznaczyła jej i jej dzieciom miejsce we własnym namiocie, ale wcale nie z pobudek większej wygody, ale tylko, by nad ofiarami swemi własnemi czuwać oczami i żeby się nasycać ich rozpaczą. Między kuzynkami prawie żadnej nie było więcej rozmowy, Pani Schancenau ośmieliła się dwa razy bojaźliwie odezwać do serca wyrodnęj furyi, ale zawsze tak gorzko i okrutnie wysmianą została, że godna politowania niewolnica wkrótce wszelką nadzieję straciła, by mogła zmiękczyć błaganiami i prośbami łaknące krwi tygrysie serce swęj nieprzyjaciółki.

Z przerażeniem wyglądała Marya chwili, kiedy przybędą do Everton, gdyż nie tylko, że miała być tam zupełnie oddana natarczywościom Cichulki, ale iż wiedziała że musi się patrzeć jak jej bez litości odebrane będą Alfred i Minna. Na szczęście konie całego oddziału tak były pomęczzone, że według wszelkiego prawdopodobieństwa potrzeba było sześć do siedmiu dni, by dostać się do wzmiankowanego miejsca, gdyż po trzydniowym marszu od spotkania się z przednią strażą, która zburzyła i splądrowała schronienie pupillów Howarda, z posuwającym się, przez samą półkownikową csobiście dowodzonym korpusem, wojska nie przebyły jeszcze nawet połowy drogi.—Nadto między wojskiem zapanował ciężki smutek, gdyż codziennie padało wiele koni, których nie było czém zastąpić i brak żywności w pośród niezmiernęj pustyni, przez którą droga prowa-

dziła, coraz nieznosniejszym się stawał. Liczne też wskazówki kazały wnosić, że w pobliżu włóczy się znaczna horda dzikich Apachów i prawdopodobnie tylko przyjaznej sposobności upatrywała, by zrobić napad wśród mgły i nocy. Obawa ta była rzeczywiście aż nadto usprawiedliwiona, skoro przez „*dumną Junonę*“ dowodzone wojsko przed kilkoma miesiącami z prostej swawoli, bez żadnego powodu dokonało nieopisanych okrucieństw na wielu żonach i dzieciach tych skór czerwonych.

Czwartego dnia podróży ogarnęła wojsko wielka trwoga. Naraz wśród nocy powstała między końmi tak zwana nosacizna. Z czterystu koni, jakie wojsko jeszcze liczyło, musiano przeszło trzy czwarte na miejscu zabić, by uratować resztę, o ile to jeszcze było możliwem. Jeźdźcy teraz bez koni wahali się, czy mają swoje mniej więcej kosztowne pakunki na los szczęścia zostawić, lub też podobnie jucznym zwierzętom sami je dalej dźwigać.

Położenie półkownikowej i jej oficerów było teraz bardzo krytyczne. Ani obietnice ani groźby nie mogły wskórać, by buntownicze usposobienie w zarodku przytłumić.

Żołnierze i bez tego już dawno z cicha szemrali, że jak im się zdawało musieli przedsięwziąć daremny i istotnie bardzo niebezpieczny zamiar uwięzienia kobiety i trojga dzieci. Przynajmniej spodziewali się bogatego łupu i wesołego życia podczas marszu.

„*Dumna Junona*“ widziała się tedy zmuszoną do układów, by nie dopuścić jawnego powstania.—Żołnierze

rze bez koni mieli niedaleko miejsca, gdzie tak wiele koni stracili, rozbić obóz ze swemi pakunkami i czekać na zaprzęgi z wołów, po które zaraz wysłano konnych do Everton.

Bardzo niezadowolniona przedsięwzięła Alwina zaraz dalszą drogę do Everton. Całe jój wojsko składało się tylko coś z czterdziestu ludzi po większej części na haniebnie zajeżdżonych szkapach. — Większa część oficerów musiała pozostać w obozie, by karność utrzymać między dzikimi towarzyszami i przeszkodzić dezercyi. Dopuszcza więc tylko do swego orszaku Cichulkę i dwóch innych oficerów. Samo się przez się rozumie że zabrała z sobą swoich więźniów do Everton, gdyż najzupełniej pewną była, że tam niezwłocznie wprowadzi w wykonanie swoje podwójne groźby.

Biedna Marya złożyła teraz swoją jedyną nadzieję w Bogu i — czerwonych skórach. Okropniejszy los jaki ją czekał w Evertonie, nie mógłby ją spotkać gdyby z niewoli swojej nielitościwej nieprzyjaciółki wpadła w ręce dzikich. — Ci z pewnością o tyle by uszanowali przynajmniej węzły natury, iżby nie odłączali jej od dzieci.

Z wielką radością dowiedziała się tedy pani Schanzenau, że kiedy mały ich oddział zaledwie na pięć mil angielskich oddalił się od miejsca, gdzie zrana rozłączył się z pozostałym bez koni korpusem wojska, spostrzegł zdaleka liczną hordę Apachów.

„Dumna Junona“ zwołała radę wojenną. Chodziło o zdecydowanie, czy śmiało postępować dalej w kierunku Evertonu czy też póki czas zawrócić.

Pułkownikowa i Cichulka, oboje pałeni żądzą by w Evertonie osiągnąć celu swych życzeń, zdecydowali się na pierwsze, pomimo poważnych ostróg obydwóch pozostałych oficerów.

Dopóki trwał dzień, nie było wcale obawy o jawny napad Apachów; za obóz nocny zaś chciano wybrać zaledwie o kilka mil angielskich odległy krabed po wygasłym wulkanie, gdzie istotnie wszystkie przedstawiały się ze strony natury warunki skutecznej obrony nawet znacznej nieprzyjacielskiej przewadze.

#### XIV.

### Lignoryanin i Jezuita.

Zanim się znowu we właściwem miejscu zajmiemy „dumną Junoną“ i jej więźniami, musimy tym czasem parę słów pomówić o starych, choć niekoniecznie miłych nam znajomych.

Prawie w tym samym czasie, kiedy pupille Howarda doznały w lasach znanej nam tak niespodzianej i dla tego tem straszniejszej katastrofy, spotykamy pana Scheuchensteina w położonem nad zbiegiem rzek Ohio i Mississipi błotnistém mieście Kairze, które jeszcze przed dwoma dziesiątkami lat obiecywało stać się olbrzymiem centrum handlowém. Prywatna spekulacja wydała tu paręset milionów dolarów, by usadowić się na miejscu tak korzystnie położonem pod względem handlu. Za-

rażliwe jednak błota, rozciągające się na kilka mil wokoło, wytepiły wszystkich osadników. Wieloliczne wsporniałe ginachy, wybudowane tu przed dwudziestu laty z istic amerykańskim pośpiechem i przepychem, a które miały być kamieniem węgielnym przyszłego miasta świata, wszystkie już prawie leżą w ruinach, tak że z całego tak zbytkownie rozpoczętego przedsięwzięcia, w tej chwili pozostało jedynie kilka lichych chat i nędzna gospoda „szarą oberżą“ zwana.

Podróźni jadący w dół rzeki Ohio zatrzymywali się więc nie dłużej w tej smutnej okolicy, nad chwilę jaka niezbędnie konieczną była by przesiąść się na kursujące parowce między St. Louis i Nowym Orleanem.

Nasz stary znajomy Scheuchenstein zdawał się także z innych jeszcze ważnych powodów bardzo spieszyc, by wsiąść dalej na statek w dół rzeki Mississipi. Wypadki „brata Lignoryonina“, od czasu jak w Rzymie splatał szkaradnego figla pani Goldstein krótko opowiemy i one nas objaśnią, dla czego ten zacny człowiek nagle tak bardzo zapragnął, zamienić powietrze północy na buntownicze południowe stany.

Jak to już dawniej wzmiankowaliśmy, pan Scheuchenstein po swoim przybyciu do Nowego Yorku został dostawcą wojska, przyczem, zawdzięczając wielkiemu szczęściu, w krótkim czasie zebrał znaczny majątek. Chciwość jego nie zadowolniła się tem jednak. Hojnie obdarzony od natury zdolnościami na wielkiego łotra, porozumiał się z kilkoma podobnymi mu celem sformowania olbrzymiego związku oszustów, wskutek czego wojenna kassa

Unii najbezwstydniej zrabowaną została. Takie postęпки Scheuchensteina i jego sprzymierzeńców nie mogły trwać zbyt długo, bez zwrócenia na siebie uwagi rządu, jakkolwiek w kolosalnym oszustwie brało również udział kilku wyższych administracyjnych urzędników.

Scheuchenstein został jednak w czas ostrzeżony i udało mu się, bezzwłocznie umknąć z New-Yorku, jeszcze na dwa dni nim wydany został formalny rozkaz aresztowania. Przebiegły frant przewidział jednak już dawno potrzebę zmiany miejsca i dla tego od dawna umieścił bezpiecznie swoje pieniądze, mianowicie zamienił je na weksle w bankach angielskich. — W takich papierach, które w całym świecie bez żadnej straty łatwo mógł zrealizować: mieścił pugilares jego wartość przeszło dwa miliony naszych pieniędzy.

„Brat Lignoryanin“ umyślił przedewszystkiem udać się do stanów południowych i tam albo wyczekiwać w spokojnem odosobnieniu biegu wypadków, albo, w razie gdyby okoliczności tego wymagały udać się dalej do Brazylii, gdzie mógł się spodziewać pod przybranem nazwiskiem pozostać zupełnie ukryty przed owemi szkaradnymi czynami, jakich dopuścił się w Europie i Unii.

Wesoło oddechając wdrapał się tedy na pokład parowca, który dążąc z St. Louis, po półgodzinnym za ledwie przystanku z Kairu popłynął dalej z wodą.

Parowiec ten był owej zupełnie odrębnej budowy, jakie spotyka się na rzece Mississipi i jej pobocznych. Parowce te są mianowicie w ten sposób zbudowane, by nawet przy niskim stanie wody prędko i ze



znacznym ładunkiem mogły iść naprzód. Dla tego nie mają wcale tramów, lecz są pod spodem zupełnie płaskie i zakończone są z przodu ostrym szpicem. Najniższa część w większych statkach tego rodzaju jest za ledwie sześć stóp głęboka; maszyny i kotły znajdują się na dolnej przestrzeni a więc nie na pomoście jak gdzie indziej.

Z tyłu pomostu jest miejsce dla tych, którzy chcą tanio podróżować i za to pracować. Opalenie maszyn na statkach rzeki Mississipi odbywa się nie kamiennymi węglami, lecz drzewem, którego niewyczerpana obfitość dotąd się tu znajduje. Przy zbieraniu drzewa muszą pasażerowie z tylnej części pomostu dokładać czynnej pomocy, za co jednak bardzo tanio jadą, gdyż za przestrzeń od Nowego Orleanu aż do St. Louis, 1,200 mil angielskich (240 niemieckich) obejmującą płacą nie całe trzy dolary.

Ponad niższym pokładem wznosi się salon, który zajmuje całą długość statku. Po obu jego stronach znajdują się wspaniałe pokoje, każdy na dwóch pasażerów, nadzwyczaj wykwintnie urządzone. Każdy z tych pokoi ma dwoje drzwi, któremi z jednej strony łączy się z salonem, z drugiej zaś z wychodzącą na łódź galerią. W piękne dni i pogodne wieczory może więc passażer z wszelką wygodą przyglądać się ze swego pokoju zawsze interesującym widokom krajobrazu. Na żadnych parowcach świata nie pędzi się życia tak przyjemnie, jak na statkach rzeki Mississipi, bez względu że opłata pomimo wybornego urządzenia jest nadzwyczaj

nizka. Opłaca się mianowicie na wyż wzmiankowanej przestrzeni z Nowego Orleanu do St. Louis tylko piętnaście dolarów (36 guldenów reńskich); za to dostaje się piękny pokój, dziennie trzy razy dania, usługę bez tryngeldu, gdyż uciążliwy zwyczaj albo raczej nadużycie tryngeldu, jest zniesione na wszystkich amerykańskich statkach i w hotelach.

Górny pokład jest wspólnem miejscem zebrania dla passażerów salonu. Wysoki domek, na nim po za kominami jest miejsce dla sternika; musi on zawsze stać wysoko i na *przedniej części* statku, by znajdujący się tam majtek łatwo mógł widzieć przestrzeń, gdyż spotykają się na drodze ławy piaskowe lub pnie drzew, które to ostatnie często w ściśniętych massach na szerokości stu i więcej nawet sążni w dół rzeki pędzą i więznąc w szlamie lub w odmętach, grożą statkom wielkim niebezpieczeństwem.

Przy dobrym stanie wody przepływa się w czterech do pięciu dni z Nowego Orleanu do St. Louis; dalej za St. Louis nie mogą kursować olbrzymie statki w zasadzie przeszło 300 stóp długie. Parowce rzeki Missisipi są zresztą zaopatrzone nadzwyczajną siłą pary, tak że przepływają *przeciw* pędowi wody prawie trzy niemieckie mile na godzinę. Maszyny huczą, skrzypią, syczą i świszczą w obec siły potężnie pracującego statku i nie rzadko się zdarza, że kocioł parowy wyskoczy; lecz szybko musi się Amerykanin poruszać inaczej przyplącilby życiem!

Skoro „brat Lignoryanin“ wszedł na górny pokład statku, spotkała go mała, ale wcale nieprzyjemna niespodzianka. Całkowicie zajęty, by pakunki swoje przez tłum passażerów w wielkim salonie ściągnąć do jednego ze wzmiankowanych wspaniałych pokoi i żeby nie stracić z oczu wyprzedzającego go zawiadowcę statku, zwracał mało uwagi na fizyognomie ludzi wszelkich narodowości i stanów, których ściśnięte szeregi przechodził. W chwili, kiedy wesoło oddychając nakoniec chciał wejść do otwartego mu przez zawiadowcę oddzielnego gabinetu, uczuł się z tyłu schwytanym za ramię.

— Oho! zawołał dobrze mu znany głos: „pan tutaj, kochany panie v. Scheuchenstejn?“

„Brat Lignoryanin“ wzdrygnął się przestraszony, uspokoił się jednak nieco, kiedy w człowieku, który do niego przemówił, poznał jezuitę Johna Ferguzona, *alias* ojca Honoryusza.

„Pst! na miłość Boską nie nazywaj mnie pan tak; ja nazywam się teraz Albert Fromm!“ szepnął pan Scheuchenstejn bojaźliwie się oglądając.

— Dobrze, dobrze! rzekł master Ferguzon, kiwając głową i pospieszył wejść do eleganckiego gabinetu. Scheuchenstejn wszedł za nim i zamknął drzwi. Obadwaj zacni ludzie wyciągnęli się wygodnie na wspnianym dywanie i zapalili papierosy.

„Brat Lignoryanin“ opowiedział w krótkości przy czynę, dla czego uważał za rzecz pożyteczną wybrać na

teraz grunt powstańców jako swoje zamieszkanie i zmienić swoje nazwisko. Jakkolwiek Scheuchenstejn przemlezał o wysokości summy, jaką nosił przy sobie, zważał jednakże chytry jezuita, że jego przyjaciel musi być bardzo bogaty. To przekonanie zrodziło niedługo w przebiegłym mózgu Ferguzona szatański plan.

— Scheuchenstejn, kalkulował sobie z cicha jezuita, jest dla mnie nietylko osobistością niebezpieczną, gdyż wie o moim zamachu na panią Goldstern i różnych innych podobnych rzeczach, lecz nawet z powodu swego majątku bardzo interesującą osobą. Gdybym jego pieniądze posiadał, łatwo by mi przyszło, zadowolnić najśmielsze życzenia mojej ambicyi. Mógłbym dla większej chwały Boga tu na południu nową stolicę biskupią ustanowić i moi zwierzchnicy wciśnęli by mi chętnie za taką usługę, pastorał w rękę. Scheuchenstejna ogromny majątek, przecież on się nawet sam zdradził, że przeszło milion posiada przyczyniłby błogosławieństwa mnie i naszemu zakonowi, podczas gdy ten głupiec i birbant z pewnością roztrwoni je tylko na złe lub przynajmniej bezpożyteczne rzeczy. Raz się zastanowię nad rzeczą i mam nadzieję, że już jutro będę miał stanowcze postanowienie. Tymczasem Ferguzon, jakkolwiek w sercu jego już jako rzecz załatwiona stało by „ku większej chwale Boga“ w jaki dowcipny sposób wejść w posiadanie majątku swego przyjaciela, choćby się miała nawet spełnić i zbrodnia, udawał taką serdeczność i że tak powiemy kocią przyjaźń, że „brat Lignoryanin“ którego z razu spotkanie z jezuitą nie bardzo

przyjemnie usposobiło, w końcu nawet wieszował sobie szczęścia z tego spotkania, gdyż Ferguzon mu wszystkie swoje stosunki oddał do dyspozycji i nadto przedstawił mu ułudne widoki odegrania w południowych stanach ważnej i świetnej roli. Ferguzon, dokładnie znając cynizm „brata Lignoryanina“ umiał wreszcie przedstawić swemu przyjacielowi powaby i pewne maniere namiętnych kreolek południa z taką werwą i znajomością rzeczy, że Scheuchenstejnowi żyły na czole nabrzmiewać zaczęły. Od tej chwili trzepotał się pobożny komar całkowicie w zarzuconej z mądrym obrachowaniem grzesznej sieci jezuitów.

Już na drugi dzień po spotkaniu odrzucił Scheuchenstejnu wszelkie dalsze względy na stronę i przyklaszczył Ferguzonowi we wszystkich jego łotrowstwach, które mu do jego szybkiego wzbogacenia się dopomóżniały.

Jeszcze zanim dostano się do położonego na lewym brzegu Missisipi miasta Memphis, gdzie się łączą liczne ważne sieci dróg żelaznych, jezuita był już zupełnie gotów ze swym tajemnym planem.

Namówił on „brata Lignoryanina“ by w Memphis opuścił statek parowy i udał się koleją żelazną do Jackson, gdzie Ferguzon rzeczywiście spieszenie na korzyść skonfederowanych miał do załatwienia ważny interes.

W Jackson ułożył intrygant Ferguzon spotkanie się Scheuchenstejna z nadzwyczaj ponętą kreolką, która znajdowała się całkowicie pod wpływem jezuitów

i często była już użyteczną, dla pobożnych ojców, by znakomitego ptaszka, któremu chciano pierze oskubać ku większej chwale Boga, złapać na lep. Donna Elvira, rodem kreolka hiszpańskiego pochodzenia, mogła się też istotnie szczycić, żeby się jej nie udał kiedy jaki podbój, który z góry sobie obmyśliła. Jej piękna postawa, cudowna kibić, czarne pałające oko, malenkie purpurowe usta, zęby bez zarzutu, białe jak kość słoniowa, przypominały żywo osławioną Lolę *Montez* w epoce jej kwitnienia.

Nic więc dziwnego, że się Scheuchenstejn do szaleństwa zakochał w tej syrenie, która umiała go zwabić całą sztuką najzręczniejszej zalotności i bezwstydnie produkowała swe wdzięki. Jakkolwiek był chciwy i skąpy „brat Lignoryanin“ chętnie byłby tą razą w razie potrzeby okupił posiadanie Elviry 100,000 dollarów, jednak Elvira, dostała od Fergusonona, w którego rękach była bezwiednym narzędziem, surowy rozkaz, by nie dozwalała oszałomionemu Seladonowi żadnych na serwo awansów, i gotów on już był nawet milion ofiarować. Plan jezuitę sięgał bowiem dalej, chciał on nie tylko zawładnąć pieniędzmi swego towarzysza, ale też i osobę jego na zawsze nieszkodliwą uczynić.

Scheuchenstejn i Ferguson z tydzień już może przebywali w Jackson, gdy pewnego poranku pierwszy wpadł bez tchu do pokoju swego powiernika.

— Oto czytaj pan, drogi przyjacielu! zawołał „brat Lignoryanin“ bezprzytomnie, czytaj pan i radź, pomagaj mi.

— Ach! ach! cóż to się stało? odrzekł Ferguzon ze współczuciem i udając zdziwienie.

— Czytaj pan tylko rzekł Scheuchenstejn, szarpiąc sobie w rozpaczy rzadkie włosy i podając list jezuicie.

Ferguzon wziął ostrożnie pismo do ręki i czytał półgłosem co następuje.

„*Mój drogi kochany przyjacielu!*“

Tylko co, o dziewiątej wieczorem, otrzymałam z New-Jorku telegram, z którego dowiaduję się o ciężkiej, bez nadziei chorobie mojej najukochańszej matki. Jeszcze nocnym pociągami opuszczam Jackson, by, jak tego nie tylko obowiązek dziecka, ale też i serce moje wymaga pospieszyć do śmiertelnego łoża tej, która mi życie dała. Czy i kiedy w skutek tego głęboko mnie dotykającego wypadku będę mogła do Jackson powrócić, wie Bóg jedyny, tem więcej, że śmierć mojej drogiej matki prawdopodobnie zapłącze mnie w proces z innemi spadkobiercami jej znacznego majątku. Spodziewam się wszakże na pewno, że pan drogi mój przyjacielu, który możesz się szczycić nieograniczonym posiadaniem méj zupełnej skłonności, nie odmówisz mi swej rady i pomocy w tem tak krytycznym położeniu. Liczę więc na pańskie szybkie przybycie do Nowego Orleanu, gdzie będę miała przyjemność, przyjmować pana jako gościa w palacu mojej biednej matki. Teraz bywaj pan zdrów i bądź serdecznie pozdrowiony od twej wiernej, od przywiązanej przyjaciółki

„*Elviry de Almejda*“.

— Cóż, rzekł Ferguzon, odkładając z flegmą list na stronę, cóż, nie ma się nad czem długo zastanawiać, co zrobić należy. Piękniej rzecz się złożyć nie mogła. Kiedy tak drożąca się Elvira, zaprasza pana, byś zamięszkał z nią pod jednym dachem, he? Czy to nie jest dosyć zrozumiałe?

— Do wszystkich szatanów! szepnął z niechęcią brat Lignoryanin, jest rzeczą nie tylko zrozumiałą, ale i aż nadto widoczną, że Elvira chciałaby mi się oddać. Jednak na co mi się przyda to zaproszenie? Nowy Orlean obsadzony jest przecie przez unionistów, i gdyby mnie złapali, byłoby źle ze mną.

— Nie uważałem pana nigdy za takiego tchórza, odrzekł Ferguzon litościwie wzruszając ramionami, według mnie możesz pan udać się do Nowego Orleanu i tam zbytkować w objęciach Elviry, lub ustąpić innemu, by pocieszył zasmuconą Circe; mnie na honor wszystko to obojętne. Tylko muszę się dziwić nad śmieszoną pańską obawą udania się do Nowego Orleanu. Nikt tam pana nie zna, pasport pański brzmi także na kogo innego i skoro pan zarost zapuścisz, zakładam się o tyśiąc przeciw jednemu, że nikt w panu Albercie Fromm nie będzie szukać dawnego listami gończemi ściganego dostawcy dla wojska Scheuchenstejna.

— Masz pan zawsze słuszność, przytwierdził brat Lignoryanin, byłoby głupotą nie do przebaczenia z mojej strony, gdybym Elvirę przez tchórzostwo utracił; jadę jeszcze tej godziny do Nowego Orleanu. Czy byłbyś



pan łaskaw, jednak kochany bracie w Chrystusie, na wszelki przypadek dać mi kilka listów polecających.

— Więcej jeszcze, więcej dla ciebie zrobię mój kochany, drogi przyjacielu, rzekł Ferguzon, ściskając brata Lignoryanina, mianowicie osobiście będę tam panu towarzyszyć. Traf szczęśliwy nadarza, że mam tam do załatwienia interes naszego zakonu, a więc bez zaniebdania obowiązków mogę zadość uczynić popędowi mego serca, by dopomódz panu. Jestem gotów, wyjechać z panem około południa. W moim towarzystwie nadto nie napotkasz pan żadnych trudności w dostaniu się do miasta zajętego przez unionistów, gdyż jak wszędzie, posiadamy i tam także potężnych przyjaciół i wpływowych opiekunów. A więc do widzenia za dwie godziny na stacyi kolei. Czas jaki zostaje możesz pan spożytkować na to, by między innemi przyprawić sobie fałszywą brodę.

— Do widzenia, powtórzył brat Lignoryanin uradowany i owładnięty spodziewaną nadzieją, że już pojutrze cieszyć się będzie gościnnością pięknej Elviry.

## XV.

### W pułapce.

Jak John Ferguzon przepowiedział, usunięte zostały dla niego i jego pupilla Scheuchenstejnja wszelkie

trudności by dostać się do obleżonego już w r. 1862 przez Unionistów Nowego Orleanu.

Ponieważ dwaj nasi 'pocziwcy późnym wieczorem przybyli do tego miasta, nie mógł więc brat Lignoryaniu udać się zaraz do mieszkania Elviry, by skorzystać z przyrzeczonej mu listownie gościnności. Ferguzon i Scheuchenstejn stanęli więc w hotelu, gdzie na nich ku wielkiemu zdziwieniu ostatniego, oczekiwał młody Goldstern.

— Mała ta niespodzianka, zaczął pierwszy Ferguzon po zwykłych wzajemnych powitaniach, — mała ta niespodzianka, nie będzie z pewnością dla pana nieprzyjemną kochany panie Scheuchenstejn. Biedny Izydor wie teraz, w jakim blizkim *naturalnym* stosunku ze mną się znajduje i sądzę, że nawet on zawdzięczać będzie szczęśliwemu zdarzeniu, jakie go tu w Ameryce w moje objęcia sprowadza.

-- To prawda, potwierdził młody Goldstern, który z powodu występkiem napiętnowanego oblicza, bynajmniej teraz nie mógł stosować do siebie nazwy „pięknego Izydora,“ chorego i opuszczonego, pozbawionego, wszelkich środków, spotkał mnie master Ferguzon przed kilkoma miesiącami w szpitalu w Nowym-Orleanie. Byłem już przez doktorów opuszczony i w takim stanie bez żadnej nadziei odkrył mi się zacny pater Honorjusz jako mój ojciec. Większe starania, jakimi mnie zaraz otoczono, postawiły mnie wkrótce na nogi, jakkolwiek ciągle jeszcze czułem się bardzo cierpiący i zaledwie kiedyś będę zupełnem cieszyć się zdrowiem.

Trzej panowie kazali sobie w oddzielnym gabinecie podać kolację. Z niesłychaną wystawnością poczytywał sobie Scheuchenstejn za zaszczyt, że będzie mógł dziś wieczór мастера Johna Ferguzona i jego syna naturalnego jako gości uraczyć. I istotnie brat Lignoryanin wcale nie szczędził kieszeni. Najprzedniejsze wina reńskie, najlepszy szampan płynęły strumieniami. Nim upłynęło parę godzin, wszyscy trzej panowie znajdowali się w jak można najbardziej różowych humorach, przede wszystkim Scheuchenstejn, który ciągle marzył o pięknej Elvirze i przysięgał się, że oka nie zmruży, dopóki nie zobaczy uludnej istoty.

Ferguzon i Izydor zamienili kilkakrotnie spojrzenia co do tego miłosnego delirium ich towarzysza i *jezuity* ciągle zdawał się zwracać uwagę swemu naturalnemu synowi by trzymał język za zębami.

Nieumiarkowanie, z jakim zresztą Scheuchenstejn nadużył wybornego napoju, spowodowało naturalnie za sobą konieczne następstwa. Zamiast, jak zaklinał się, czuwać aż do rozświtu, około godziny drugiej nad ranem opadła mu nagle głowa na stół i zaczął chrapać jak koń.

Ferguzon i Izydor, którzy wprawdzie również pilnie do kieliszków zaglądali, tyle jednak że czuwali nad sobą, żeby nie stracić przytomności, podnieśli się teraz, jakkolwiek nieco chwiejnie, ze swoich siedzeń.

Ojciec i syn mieli teraz po raz pierwszy sposobność od czasu ostatniego widzenia się w Nowym-Orleanie, pomówienia ze sobą bez świadków.

— Wszakże jeszcze onegdaj otrzymałeś ode mnie list i wszystko urządziłeś podług zawartych w nim wskazówek? zapytał z cicha Ferguzon, gdyż jako chytry, przezorny lis dopuszczał możliwość, że Scheuchenstejn tylko sen udaje.

— Sądzę, że zupełnie dobrze odpowiedziałem wszystkim pańskim życzeniom i że sumiennie zarobiłem przyrzeczoną mi nagrodę odrzekł również z cicha Izydor; oto są zamówione papiery.

Mówiąc te słowa Izydor podał jezuicie kilka listów które mieściły w sobie zdradziecką korespondencję, między rządem skonfederowanych w Richmondzie i jego sprzymierzeńcami w Nowym-Orleanie. Z korespondencji tej niewątpliwie płynęło, że w ostatniem tem mieście istniał rozgałęziony i dobrze zorganizowany spisek, by unionistowskiej załodze w Nowym-Orleanie wyprawić drugie nieszpory sycylijskie.

— To wystarczy, zachychotał Ferguzon jak szatan;— dobry Scheuchenstejn może z zupełném zaufaniem rachować na dożywotnie hojne opatrzenie ze strony rządu związkowego. W każdym razie skuteczną byłoby rzeczą, pomyśleć o tych wypróbowanych lekarstwach, gdyż wskazać go tylko za jego oszustwa jako dostawcy dla wojska, byłoby tylko prawdopodobnie ściąganiem nań chwilowych nieprzyjemności. On sam widzi rzeczy zbyt czarno. Od czasu jak odkrył mi wszystkich swoich współwinnych, trudno przypuścić, by rząd w Waszyngtonie na seryo proces przeprowadził. Z drugiej strony jednak tajemni jego współnicy winy, doznają

wielkiej radości, skoro Scheuchenstejn z innego powodu wpadnie w pułapkę i na zawsze niemym zostanie. A więc żwawo do roboty, Izydorze. Twoja i moja przyszłość świetnie są od tej chwili zapewnione.

— I kiedyż dostanę moją część? zapytał Izydor z iskrzącymi się od chciwości oczami.

— Natychmiast, odrzekł Ferguzon, dopomóż mi przede wszystkim tę upojoną świnię do swego obozu sprowadzić; następnie zajmujemy się jego pugilaresem i dowiadujemy o naszym udziale.

Jak powiedziano, tak zrobiono. Scheuchenstejn był rzeczywiście zupełnie bezprzytomny; nie bez wysiłenia zaciągnęli Ferguzon i Izydor na wpółżywego, ogromnego i kościstego brata Lignoryanina do łóżka. Po czem wyciągnął mu jezuita ciężki pugilares z kieszeni na piersiach i zbliżył się z nim do stołu.

Przejrzenie wnętrza szybko zostało dokonane, gdyż Scheuchenstejn całe swoje mienie zamienił na ośm weksli. Nominalna wartość tych papierów wynosiła około pięciu milionów franków. Ferguzon i Izydor, których najśmielsze nawet oczekiwania nie przypuszczały takiej wysokiej wartości łupu, mimowolnie wydali okrzyk dzikiego zachwycenia i ręce Ferguzonowi drżały, kiedy rozdzielał ośm weksli, by wyliczyć swemu synowi część przyrzeczoną. Podał on Izydorowi dwa z weksli, które wynosiły coś przeszło czwartą część ogólnej summy.

— Półtora miliona franków! szepnął do siebie Izydor i zachował starannie obadwa papiery do pugilaresu.

Tą razą, rzekł dalej głośno do Ferguzona, będę się nieco ostrożniej obchodzić z pieniędzmi i nie będę tak nierozsądnie trwonić jak dotąd.

— Bardzo dobrze zrobisz, mój synu odrzekł pełen namaszczenia Ferguzon, jednocześnie chowając do pugilaresu Scheuchenstajna wręczone mu przez Izydora niebezpieczne listy, teraz jednak szybko do ostatniego punktu naszego programu. Konstable z pewnością oczekują już na mój znak, rzekł Izydor i sięgnął po swój kapelusz. Uwiadomiłem osobiście dowódcę załogi związkowej, że niebezpieczny agent skonfederowanych przybędzie dziś wieczór z ważnymi papierami do Nowego-Orleanu i w tym hotelu zajmje mieszkanie. Czy mam sprowadzić siepaczy?

— Dobrze, zrób tak, dzielny młodzieńcze, rzekł jezuita ze słodziutkim uśmiechem, ja tymczasem się oddalę. Jak ci już napisałem, moja osoba ze słusznych powodów powinna tu zupełnie zostać na boku, przynajmniej do czasu.

Cichym krokiem wyszedł przez boczne drzwi Ferguzon, podczas gdy Izydor przez wielki korytarz pospieszył na dół do gościnnego pokoju, gdzie pięciu konstablów z profosem unionistowskiej załogi już przeszło od pięciu godzin oczekiwali na znak, by aresztować denuncyowanego szpiega związkowych.

— *Goddam!* zawołał oficer prawie z niechęcią do wchodzącego, sądziłem już, że napróżno czekamy i nawet miałem już zamiar posłać do komendantury, by odebrać dalsze rozkazy.

— Nie powinniście żałować, żeście długo czekali, moi panowie rzekł Izydor uderzając się w piersi, zabijecie dwie muchy za jednym uderzeniem, to jest zarobicie odrazu dwie nagrody; ów mniemany pan *Fromm*, którego panowie macie aresztować jako szpiega, jest zarazem jako oszust z New-Yorku ścigany dostawca wojsk Scheuchenstejn, za którego schwytanieznaczono nagrody 5,000 dolarów.

Twarze profosa i konstablów rozpromieniły się z radości.

— Czy jednak nie doznamy przykrego zawodu? zapytał naczelnik ślepaczy po pewnej chwili z zamysłą miną.

— Bądź pan spokojny! reflektował Izydor wątpiącego, który podczas długoletniej praktyki w podobnych wypadkach doświadczył już różnych zawodów, zabierz mu pan tylko zaraz jego pugilares i sprawdź jego wartość w obec swoich towarzyszy, gdyż jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że zatrzymany nie będzie się chciał przyznać przed sądem wojennym do znalezionej przy nim korespondencji.

— Ba! szepnął profos z pogardliwym wzruszeniem ramion na takich wybiegach się znamy; jeżeli istotnie znajdziemy listy przy tym człowieku, to już po nim; wielki to rzeczywiście czas, zdobyć podobny egzemplarz; położenie naszej załogi w Nowym-Orleanie z każdym dniem staje się nieprzyjemniejsze i niebezpieczniejsze. Musi spaść kilka głów, by podstępna halastrę tego miasta skłonić nieco do poszanowania sztandaru. Po tych

słowach udał się żądny krwi profos na wyższe piętro. Izydor pospieszył do swego mieszkania, jakie zajmował w dość znacznej odległości od będącego w mowie hotelu.

Następnego dnia, kiedy słońce wysoko już zaszło na niebie, obudził się pan Scheuchenstejn w wojennem więzieniu Nowego-Orleanu. Zdawało mu się, że jest pod wpływem jakiegoś okropnego marzenia, kiedy uczuł iż ma okute ręce i nogi. Szklannemi, bojaźliwemi oczami rozglądał się długą chwilę po nagich ścianach więzienia; umysł jego był tak bardzo jeszcze zamroczony trunkiem, że w błędnym swoim marzeniu za ledwie po dość znacznym przeciągu czasu przyszedł nieco do samopoznania.

Owładnęła nim teraz okropna zgroza. Na równe nogi skoczył z twardego barłogu, na którym leżał, wydając dziki krzyk rozpaczny.

— Zdradzony! Okradziony! jęczał od wściekłości na wpół przytłumionym głosem, i jak rozjuszona pantera zaczął biegać wzdłuż i wszerz po wązkim więzieniu.

Skoro pierwszy szal nieco się uspokoił, padł jak długi zupełnie wyczerpany na podłogę i teraz dopiero zaczął się nieco zastanawiać, jak to się wszystko stało. Zrodziło się w nim podejrzenie, że jego fałszywy przyjaciel, jezuita Ferguzon, przyłożył rękę do tego, nie widział jednak rzeczy dość jasno, by złe przeczucie podnieść do pewności.

Po południu został Scheuchenstejn ze swej ciemnej, złowrogiej celi przeprowadzony do pierwszego badania. Zaraz na początku tegoż poznał, że z nim



jest bardzo źle. Przedewszystkiem sędzia śledczy zeznanie jego, że nazywa się Albert Fromm, przyjął z niedowierzającym śmiechem, zwracając mu przytem uwagę, że dobrze jest znane prawdziwe nazwisko inkwizyta i na jutro wezwanych będzie kilku świadków, których zeznania stwierdzą, czy aresztowany z New-Yorku za oszustwo listami gończemi ścigany, jest Emil Scheuchenstejn czy nie.

Tym krótkim wstępem zakończyło się pierwsze badanie, które jedynie miało za cel, zadość uczynić ściśle przestrzeganemu w Ameryce postanowieniu: że każdy zatrzymany przed upływem dwudziestu czterech godzin po przyaresztowaniu powinien być przedstawiony sędziemu śledczemu.

Z mniemania, że zapewne Ferguzon i Izydor byli świadkami, którzy mieli dowieść tożsamości jego osoby, został wszakże wyprowadzony Scheuchenstejn przy drugim badaniu, na które naturalnie oczekiwał z wielkim niepokojem. Został on skonfrontowany z dwoma oficerami stojącej na kotwicy pod Nowym-Orleanem unionistowskiej fregaty i przez tychże istotnie uznany za dawnego dostawcę dla wojska Scheuchenstejna. W tym względzie na nic się bratu Lignoryanowi nie przydało żadne dalsze kłamstwo, i musiał być przygotowanym, przepędzić może z kilka miesięcy w ciemnicy w Nowym-Orleanie, dopóki nie wydane zostaną z Waszyngtonu dalsze rozkazy co do postępu jego sprawy.

— Jednak myślał Scheuchenstejn w duchu, na czasie wszystko się wygrywa. W mojej osobie zbyt wielu

i zbyt wielkich panów się skompromituje i właśnie w Waszyngtonie dołożą wszelkich usiłowań by mnie ratować, gdyż inaczej wygadam i zapłacze w ten interes przynajmniej pięćdziesiąt osób. Ani nawet mój majątek nie mógłby mi być na końcu zatrzymany.

Jak ostatnie słowa monologu Scheuchenstejna dowodziły, był on nawet zdania, że jego portfel wraz z pieniędzmi został zabrany przez sąd na zachowanie. Jednak i z tego złudzenia wkrótce się musiał w bardzo nieprzyjemny sposób otrząsać. Sędzia bowiem, skoro brat Lignoryanin, w skutek odbytej konfrontacyi zmuszony był wyznać prawdziwą swoją osobistość, postawił pytania, gdzie inkwizyt schował owoce swego występnego postępku, skoro przy nim znaleziono jedynie mało znaczną gotówkę.

Scheuchenstejn słuchał z uwagą; chciał on nie wierzyć swoim uszom.

— Mój panie! zawołał wzruszonym głosem i drżąc na całym ciele, portfel jaki miałem przy sobie, znajduje się zapewne w rękach pańskich.

— Tak istotnie! odrzekł asystujący oficer, który ze strony komendanta unionistowskich wojsk w Nowym-Orleanie wydalegowany był do tego śledztwa, oto jest właśnie, i sąd wojenny, w którego imieniu ja pana przejmuję, jak tylko sędzia cywilny dokończy co do niego należy, dalsze sam rozsądzi.

— Sąd wojenny?! powtórzył Scheuchenstejn przestraszony, co może obchodzić sąd wojenny zawartość mego pugilaresu?

— O bardzo wiele, mój panie! rzekł ironicznie oficer — pan istotnie tylko szczególnej okoliczności winienesz zawdzięczać, że już do tej chwili jako szpieg nie jesteś skazany i osądzony.

— Ja jestem szpieg wojenny? zawołał Scheuchenstejn, tracąc odwagę, w tym względzie zająć musiała straszna pomyłka!

— Bynajmniej! rzekł oficer z uderzającym spokojem, dowody, żeś się pan weisnął do Nowego-Orleanu jako szpieg buntowników, płyną aż nadto dostatecznie z korespondencyi, jaka znajdowała się w pańskim portfelu. Według praw wojennych, jak już zauważyłem, przeprowadzono by z panem krótki proces, gdyby sąd cywilny nie sprzeciwił się temu, gdyż z natychmiastowem straceniem pana, przeciętą by została wszelka możliwość powetowania szalbierstw, jakich dopuściłeś się pan jako dostawca dla wojska.

— Jaktóż! zawołał brat Lignoryanin, blady jak trup, w portfelu nie znaleziono żadnych weksli?

— Ani jednego! zapewnił sędzia cywilny, — profesor Steffenson i pięciu godnych szacunku konstabli, którzy obecni byli aresztowaniu pana, przeszukali jeszcze w hotelu pański portfel i sformowali o tem co w środku było mały protokół!

— Okropne, okropne! srożył się Scheuchenstejn rwąc sobie włosy i zachowując się w stanie tak zrozpaczo-nym, iż blisko było włożenia mu kaftana za karę, gdyż panowie sędziowie nic nie wiedzieli o słusznej

przyczynie, jaka więźnia doprowadziła do takiego stopnia wzburzenia. Ponieważ inkwizyt coraz więcej zaczął szaleć i wiłocznie nie było rzeczą możliwą otrzymać od niego jaką rozsądną odpowiedź, sędzia wydał więc rozkaz, by Scheuchenstejn odprowadzono do jego więzienia i tam tajemnie go obserwowano.

Rzeczywiście brat Lignoryanin blizkim był oszalenia, i nadzorca więzienia posłał po doktora, który za właściwe uznał, zastosować jego rodzaju środek uspakajający, że Scheuchenstejn nagle wpadł w drugą ostateczność, mianowicie przeszedł w stan zupełnej apatii, która trwała przeszło dwa tygodnie.

Tymczasem powoli wróciła Scheuchenstejnowi władza myślenia, ale odtąd stał się powolnym i spokojnym. W duszy wszakże tail zemstę i niewypowiedzianą nienawiść. Jasno mu się teraz przedstawiło, że Ferguson i Izidor pułapkę na niego zastawili, zdradzili go i zrabowali. Zrozumiał jednak zarazem, że mu odjęto wszelkie środki zemszczenia się na tych fałszywych przyjaciolach, jeśli nie użyje podstępu na podstęp; do tego podwójna jego sprawa w każdym razie groziła przybraniem bardzo złego obrotu. Puśczone by w zarzucie oszustwa, to niezawodnie wpadnie ze Scylli w Charybdę, mianowicie dostanie się z rąk sądu cywilnego w ręce sądu wojennego, który to ostatni rzeczywiście, jak już profos oświadczył, upatrywał sposobności, by raz na jakim szpiegu dać przykład. W każdym zaś razie to jedno było rzeczą pewną, że został żebrakiem i myśl ta dręczyła go daleko więcej, jak perspektywa

przymusowego zapoznania się z kulą lub stryczkiem. Ponura myśl samobójstwa opanowywała więc coraz częściej brata Lignoryanina w jego samotnej celi, i byłby może już dawno koniec położył swemu nędznemu bytowi, gdyby go nie utrzymywała paląca chęć zemścić się na Ferguzonie i Izydorze.

Nakoniec Scheuchenstejn ułożył sobie plan, który nietylko dawał mu może sposobność, zgubienia swoich fałszywych przyjaciół, ale także i ratowania siebie. Postanowił on udać bardzo chorego i zażądać spowiednika.

Jak wszędzie, gdzie tylko można, i w Nowym-Orleanie jezuici umieli zawładnąć nad opieką dusz w domach więziennych. Scheuchenstejn mógł więc z pewnością na to rachować, że któryś z bardzo licznych pobożnych ojców towarzystwa Jezusowego w Nowym-Orleanie u niego się ukaże, jak to się też wkrótce i stało.

Brat Lignoryanin udał nadzwyczaj skruszonego i żalującego za swoje grzechy, i sam uznał za właściwe je wyznać tak, że pobożny ojciec szczerą jego chęcią pokuty nadzwyczaj zdawał się być zadowolonym. Scheuchenstejn przebiegle w swojej spowiedzi pozwolił sobie wiele napomknąć o swoich dawnych stosunkach z ojcem Honoryuszem, tak że ostatecznie bardzo naturalną ukazała się kwestya, że może ten zacny mąż jeszcze się w Nowym Orleanie znajduje.

Scheuchenstejn musiał sobie zadać wiele trudu, by okazywać się spokojnym i śmiertelnie zmęczonym, kiedy mu jego spowiednik udzielił wiadomość, że ojciec

Honoryusz, jego tak zacny brat w Chrystusie, nie tylko się znajduje w Nowym Orleanie, ale nawet z łaski Boga i Najświętszej Panny do wielkich godności został powołany, skoro mu pewien przyjaciel świętego katolickiego kościoła dał do rozporządzenia parę milionów franków, by w oddalonym Texas założył nową stolicę biskupią. Stary jezuita mówił dalej:

„Wskutek piśmiennych rozporządzeń szlachetnego dawcy, który na zawsze chce pozostać niezanym, ma nasz drogi brat Honoryusz w nowo-założonej diecezyi jako pierwszy arcypasterz nosić pastorał. List nadzorca, o ile mi wiadomo, został już odesłany przez prowincyała do najprzewielebniejszego generała zakonu do Rzymu i Jego Świętobliwość Papież nie będzie miał żadnego powodu, by nie powołać ojca Honoryusza na biskupa do Texas“.

Jak już możemy wnosić z tego wywnętrzenia się nieco gadatliwego ojca, doszedł tedy już istotnie ambitny John Ferguzon do wykonania swego planu, mianowicie do wyniesienia się za pomocą swego łupu na księcia kościoła. Samo się przez się rozumie, że tak mniemany spadkodawca jak i jego testament, którym uposażył założenie nowej stolicy biskupiej dla Texas, zasadzały się jedynie na zmysleniu. Ze strony pobożnego towarzystwa nie przyszło jednak nikomu do głowy na seryo szukać źródła z kąd wpłynąć mogły przez Fergusona *ad hoc* złożone trzy miliony franków. Prowincyał w Nowym-Orleanie zwąchał wprawdzie lisim nasem, że ojciec Honoryusz zrobił gdzieś *zręczny figiel*

„dla większej chwały Boga,“ ale byłoby rzeczą wprost przeciwną interesom zakonu, żeby przez jakąś niewczesną ciekawość, odkrywać rzeczy, których prawne dochodzenie nie tylko uczyniłoby niemożliwym założenie dawno już przez jezuitów upragnionej stolicy biskupiej w Texas, lecz nadto może zakon sam mocnoby się skompromitował w publicznej opinii.

Prowincyał więc jezuitów w Nowym-Orleanie całą osnutą przez Ferguzona bajkę przyjął z najpoważniejszą miną w świecie nietylko za prawdę, lecz złożył nadto sprawozdanie generałowi zakonu w Rzymie jakoby osobiście przekonał się o słuszności sprawy. Kiedy Scheuchenstejn dowiedział się od swego spowiednika, że ojciec Honoryusz złożył trzy miliony franków w banku angielskim na założenie tyle razy wzmiankowanej stolicy biskupiej w Texas, musiała w nim zniknąć ostatnia wątpliwość co do sposobu, w jaki zdrajca przyszedł do tych pieniędzy.

Lecz jeszcze inne bardziej interesujące odkrycie zrobił, brat Lignoryanin. Stary jezuita, który nazywa się ojciec Hilaryusz, okazał swoją gotowość, złagodzić więźniowi los jego wedle możliwości i przy pierwszej swej wizycie przynieść mu niektóre przedmioty, jak np. grzebień, tabaki, świeżej wody i t. p. Ponieważ zaś ojciec Hilaryusz cierpiał nieco na brak pamięci, zwykł był więc wszystko sobie notować.

Scheuchenstejn przetańił sobie kilka razy oczy i zbliżył się bardzo blisko do jezuita, kiedy spostrzegł

portfejl z czerwonej marokańskiej skóry, w którym Hilaryusz drżącą od starości ręką robił sobie notatki.

— Żadnej wątpliwości szeptał Scheuchenstejn do siebie jest to ten sam portfel, jaki skradziono mi w Wiedniu wraz z memi stoma tysiącami. Tak, tak na zewnętrznej stronie stoją nawet jeszcze pierwsze litery mego nazwiska, *E. v S.*, małym gotyckim charakterem.

— Jaki to piękny, elegancko wykonany portfel rzekł głośno nakoniec, kiedy ojciec Hilaryusz dokończył robić zapiski, czy już dawno pan posiada ten portfel?

— Około pięciu miesięcy, odrzekł najspokojniej ojciec Hilaryusz, otrzymałem go na pamiątkę od niejakiego Izydora Goldsterna, który tu w szpitalu ciężką chorobą był złożony. Młody ten człowiek jest także z Wiednia; może pan go znasz?

— Tak, znam go! odrzekł Scheuchenstejn, mimowolnie unosząc się, gdyż teraz jasną było rzeczą, że „piękny Izydor“ nie kto inny okradł go w Wiedniu.

Ojciec Hilaryusz chciał się oddalić. Scheuchenstejn, który zmusił się by udać spokojnego, zatrzymał go.

— Wielebny Ojczel! rzekł on w znanym mu jeszcze z dawniejszych czasów pobożnym tonie, czy mogę ośmielić się o jedną prośbę? Pańska dobroć względem mnie jest tak wielka, iż uważam wprost za niemzoliwą odmowną odpowiedź?

— Masz zupełną słusność mój synu, odrzekł Ojciec Hilaryusz z życzliwością, rachuj pan na mnie, i ile słabe moje siły pozwolą, tyle chcę zrobić dla pana.



— Jak już nadmienilem ci wielebny Ojcze, ciągnął dalej Scheuchenstejn, zacnego ojca Honoryusza znam już od wielu lat. Byłoby to wielką pociechą dla mej biednej duszy, gdyby ten kochany człowiek, który był tak bliskim moim przyjacielem, i z którego ręki tak wiele ku większej chwale Boga zrobiłem, odwiedził mnie tu w mej samotnej celi.

— O, on z pewnością przybędzie! rzekł z przekonaniem ojciec Hilaryusz; mówił on do mnie o panu tonem szczerego żalu, kiedy przed kilkoma dniami wyjeżdżać musiał. Ale czekamy na jego powrót każdej godziny, i będzie dla mnie przyjemnością, powiadomić go o pańskim życzeniu.

Ojciec Hilaryusz, który był rzeczywiście *dobrym człowiekiem*, gdyby właśnie nie musiał być jezuitą, teraz oddalił się. Brat Lignoryanin rzucił się na barłóg i zatopił w ponure rozmyślenia, przerywane od czasu do czasu palającymi straszną zemstą przekleństwami przeciwko Ferguzonowi i Izydorowi.

Ferguzon posiadał istotnie wytarte czoło, ukazując się na oczy zdradzonemu przez niego, i okradzionemu współnikowi winy. Naturalnie wybadał przedtem dokładnie nieco prostego i gadatliwego Hilaryusza, nie tylko co do wewnętrznej treści odbytej spowiedzi, ale nawet co do wszelkich dawnych wynurzeń odnoszących się do jego osoby.

Ponieważ „brat Lignoryanin,“ jak wiemy, unikał starannie wszelkich nieżyczliwych szczegółów o swoim „starym kochanym przyjacielem“ Ferguzonie, owszem

w obec Hilaryusza przedstawiał go jako wzór i ozdobę towarzystwa Jezusowego, ojciec Honaryusz istotnie nabrał przekonania, że ofiara jego zdrady nie rzuca nań żadnego podejrzenia.

Zresztą, rozumował sobie bardzo słusznie Ferguzon, niech się robi co chce, muszę się we wszystkim okazywać względem Scheuchenstejna uprzejmym i życzliwym. Jakkolwiek jest on już tak dobrze jakby umarłym człowiekiem, gdyż sąd wojenny każe go w każdym razie rozstrzelać; nie mogę go przecież drażnić, gdyż przez zemstę mógłby jeszcze w ostatniej chwili wiele rzeczy wypaplać, któreby przyszedłemu biskupa Texas bardzo mocno skompromitowały, jeżeli nawet wszelkich zabiegów nie uczyniły niemożliwymi.

Ferguzon udał się więc do więzienia, do którego jako kapłan towarzystwa Jezusowego miał wstęp w każdym czasie, gdyż jak wzmiankowaliśmy, do tego zakonu należała w Nowym Orleanie duchowna pociecha więźni.

Scheuchenstejn, od czasu jak oczekiwał wizyty Ferguzona, udawał słabszego jak kiedykolwiek, a ponieważ również bardzo mu dokuczyły jego wściekłość wewnętrzna, rozpacz i szalona nienawiść, jak ścieśnione powietrze więzienia i ścisła dyeta, której poddał się dobrowolnie, by rolę swoją należycie odegrać, wyglądał więc w samej rzeczy bardzo mizernie.

Kiedy Ferguzon wszedł do niego, wyjąkał słabym, prawie umierającym głosem przeproszenie, iż wielkie jego osłabienie nie pozwala mu podnieść się z posłania.

Promień radości wystrzelił z oczu Ferguzona, kiedy znalazł „brata Lignoryanina“ chorego i do tego stopnia fizycznie upadłego; cieszył się nadzieją, że śmierć człowieka, który mu jeszcze w ostatniej chwili mógł być niebezpiecznym, nastąpi najdalej w przeciągu paru dni. Nadto Scheuchenstejn, by swego gościa zupełnie w błąd wprowadzić, udał zupełne zobojętnienie do życia, co jezuitę prawdziwie zachwyciło. „Brat Lignoryanin“ zdawał się, sądząc potem co mówił, istotnie żywić w sobie najgorętsze życzenie, by jak najprędzej zamienić grzeszne i pełne udręczeń życie na ziemi, na spokój życia pozaziemskiego. Wreszcie Scheuchenstejn do tego stopnia się rozczulił, iż stłumionym prawie od lez głosem prosił Ferguzona, by go uściskał poraz ostatni, na ostatnie pożegnanie.

Ferguzon pędził zadość uczynić tej prośbie Scheuchenstejna, gdyż wielką miał ochotę, opuścić jak najprędzej to złowrogie miejsce. Przyklęknął tedy na kolano, gdyż Scheuchenstejn udał że brak mu siły podnieść się, lecz wyciągnął ku niemu drżące ramiona.

Nagle zmieniła się jednak scena. Scheuchenstejn z szybkością błyskawicy okręcił długi łańcuch, którym miał związane obie ręce, w około szyi Ferguzona, którego teraz z całej siły zaczął dusić.

Między jezuitą i „bratem Lignoryaninem“ powstała śmiertelna walka.

Ferguzon, niezdolny z powodu zaciśniętego mu łańcucha na szyi wydać jednego krzyku na pomoc, w śmiertelnej trwodze wy dobył lewą ręką krótki szty-

let, jaki zawsze zwykł był nosić przy sobie pod kapturem. Lecz Scheuchenstejn miał się na baczności i otrzymał tylko bardzo lekkie obrażenie ciała.

Opór jezuitę nie trwał długo. Scheuchenstejn zadał mu śmiertelny cios w skroń kajdanami. Ferguzon upadł na podłogę. Teraz odkręcił napowrót brat Lignoryanin pęta z szyi jezuitę i zaczął przeglądać jego kieszenie.

— Brawo! uśmiechnął się szyderczo brat Lignoryanin i splondrował wewnątrz pugilaresu, jaki Ferguzon miał przy sobie. Ten łotr zatrzymał sobie ładną sumkę ze skradzionych mu pieniędzy; opuszczę więc to więzienie nie jako żebrak, i zemsta moja nawet ochłodnie względem Izydora współnika tego zdrajcy.

Podczas tego monologu Scheuchenstejn ściągnął z uduszonego jego ubranie, które włożył na siebie, zrzucawszy przedtem z siebie od dawna już przepiłowane pęta. W naciśniętym głęboko na twarz szerokim kapeluszu, oddalił się następnie tak przebrany z więziennego domu.

## XVI.

### Handel zamienny.

Znaki, że czerwonoskórni zaplanowali stanowczy napad na dowodzony przez „dumną Junonę“ mały oddział wzrastały z każdą chwilą. Musiano się pospie-

szac, by dosięgnąć do wzmiankowanego już wyłomu w skałach, gdzie podczas nocy z łatwością można było się bronić przeciwko wszelkiej przewadze siły. Lecz jaki zawód!—obsadzenie tego bulwarku uprzedzili już białych jeźdźców indyanie.

Trzej jeźdźcy z awangardy którzy wyprzedzili mały oddział o jakie sto kroków ujrzeni się nagle między skałami, jakie otwór wałem otoczyły, przyjęci żywym ogniem ze strzelb, od którego zaraz padły dwa ich konie.

Trwoga, jaka w skutek tego opanowała filibustyerów była niezmierna i nawet „dumna Junona“ żalowała teraz nieprzezorności, że się tak lekkomyślnie odłączyła od korpusu swego wojska. Oprócz dwóch koni, jakie zostały zabite od strzałów okazała się teraz przeszło połowa z pozostałych jeszcze zupełnie do niczego niezdatnemi, i niebezpieczna choroba, która już od dwóch dni tak wiele koni powaliła, okazała się także u większej części uważanych dotąd za zdrowe.

Alwina dodad tak odważna, wzdrygała się na myśl, że ma stać się więźniem czerwono-skórych, jaki to los zdawał się być nieuniknionym. Po strasznych i godnych pogardy czynach, jakich jej wojsko dopuściło się na żonach i dzieciach dzikich Apachów z prostej swawoli, musieli być pewni biali więźniowie bardzo surowego obejścia, ba, nawet z wyszukanemi męczarniami połączonej śmierci.

Taką pewnością przejęci, oznajmili więc wszyscy filibustierowie, iż są gotowi, drogo sprzedać życie swoje

i walczyć do ostatniego człowieka, gdyż szczęśliwym mógł się każdy poczytać, któryby w spodziewanej rzezi szybką śmierć znalazł.

Tymczasem początkowo szerokie koło, jakim Apachowie mały oddział dotąd otaczali, coraz bardziej się zacieśniało za nadejściem nocy, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, czerwonoskórzy szykowali się do napadu. Już słońce mocno zaczęło się skłaniać ku zachodowi. Ze szczególnem uczuciem przyglądał się każdy z poświęconych na śmierć coraz bardziej matowemu blaskowi kuli słonecznej, której wejścia nikt dożyć się nie spodziewał. Ponura, niema rozpacz odbijała się na twarzach flibustierów, z których każdy z obciążonym sumieniem miał do zdania ciężki rachunek, i nawet najzatwardziały z pomiędzy niech grzesznik rzucał chwilowe spojrzenie na swoje życie i czuł się przygnębionym na myśl owego życia przyszłego, którego istnienia zaprzeczyć w tej chwili ani jeden nie miał odwagi. „Dumna Junona“ nic nie mówiąc postanowiła już co do siebie. Ostatnia kula rewolweru, jaki nosiła za pasem, miała położyć kres jej życiu, zanim dostałaby się w moc dzikich. Nawet i ona w tej uroczystej godzinie wzburzona była wspomnieniami wszelkiego rodzaju, które wzbudziły w niej nieco żalu wszystkich niezliczonych niegodziwości, które pierwiastkowo tylko dla osiągnięcia swego najgorętszego życzenia, by Schancenaua nazwać swoim małżonkiem, później zaś przez zemstę i nienawiść z zimną krwią spełniła. Serce jej jednak tak zarażone było trucizną egoizmu i prawdziwie sofistycznym

poglądem na życie, że chwilowe lepsze usposobienie w mgnieniu oka ustąpiło miejsca uczuciu złośliwej radości i piekielnego zadowolenia, skoro spostrzegła rozpacz biednej Maryi, swej śmiertelnej nieprzyjaciółki, która zalewając się łzami, cisnęła do piersi swe troje dzieci. Miłość macierzyńska zaczęła kobiety zapomniała teraz o niebezpieczeństwach, jakie jej samej grozić mogły, gdyby wpadła w ręce dzikich; lękała się tylko o los swych dzieci. Alfred i Minna ukłękli i modlili się z podniesionymi rączkami o opiekę i łaskę dla mamy i braciszka. Modlitwa małych tak była dziecinnie naiwna, tak pełna ufności w Boga i tak podniosła, że nawet srodzy filibusterowie milcząc spoglądali na grupę, której wesołość małego Oskara, igrającego z naszyjnikiem swojej matki, i żwawo chrupiącego kromkę chleba, dodawała tem więcej wzruszającego charakteru.

Tylko Alwina krzywiła szyderczo wargi. Chętnie pisała ona, że przez całe swe życie nigdy się jeszcze nie modliła i według jej poglądu wprost było niedorzecznością wchodzić w duchowny stosunek z kimś, który wcale nie istniał.

Zaczęło się już robić dosyć ciemno, kiedy jeden stary Apache nadjechał powoli, trzymając wysoko nad sobą na lancy białą szmatę. Kiedy się zbliżył na strzał do białych, wywinął trzy razy lancą i rzucił tak flintę jak i maczugę na ziemię.

„Dumna Junona“ i jej drużyna blizcy byli, na tak niespodziany znak przyjacielski ze strony dzikich, wybuchnąć okrzykiem radości, jednak instynktownie za-

trzymali się, dobrze wiedząc, że czerwonoskóry musi postąpić z powagą i godnością.

Alwina wystąpiła naprzód z pomiędzy ustawionego w kwadrat swego wojska i również wionęła białą chustką. Apache przybliżył się na to i jeden z filibustyrów, który znał dosyć dobrze mowę dzikich, wystąpił z szeregu, by ofiarować półkownikowej swoje usługi jako tłumacz. Ku zdziwieniu ogólnemu wszakże, dziki dostatecznie rozumiał angielski język, by rozpocząć układy.

— Czerwony człowiek, zaczął Apache który wnosząc po jego oznakach mógł być dowódcą swego plemienia, — czerwony człowiek jest gotów, na dziś i trzy następne dni pogrzebać broń, jeśli pani zgodzisz się na nasze warunki.

— Myśmy nie szukali z czerwonym człowiekiem żadnej walki, odrzekła Alwina, wchodząc w ów patetyczny i ustępujący ton mowy, jakie indyanin przy wszystkich układach przybierać lubi.

Oko Apache błysnęło dziko i nieco szybciej, jak to może było jego zamiarem, wymówił teraz słowa:

— Dla czegoż, ty biała twarzy, dla czegoż więc twoi ludzie nasze żony i nasze dzieci, które naprzeciw was wyszły z zaufaniem, zbeszcześcili i pomordowali?

— O tem ja nic nie wiem, odrzekła dumna Junona, przybierając pewną postawę, podczas gdy w samej rzeczy ogarnęła ją wielka obawa, kiedy dziki dotknął tego dobrze jej znanego szkaradnego postępkę jej ludzi.



— Biała twarz kłamię, ile razy usta otworzy, rzekł Apache, ponurym, złowrogim spojrzeniem przenikając Alwinę, jednak dodał przymuszając się, jednak dziś nie przybywam domagać się krwi za krew, to nastąpi z pewnością, kiedy „duch wielki“ raz jeszcze ścieszkę twoją z naszą skrzyżuje.

— A więc, cóż chcesz ode mnie? zapytała Alwina.

— Żądam, odrzekł Apache wskazując palcem na Maryę, żebyś mi wydała ową tam kobietę wraz z jej dziećmi.

— Co chcesz z niemi zrobić? zawołała zdziwiona Dumna Junona.

— Dziki nie raczył na to pytanie dać żadnej odpowiedzi, ale powiedział.

— Spełnij moje życzenie, a ty i twoi ludzie pójdziecie swobodnie w swoją drogę w ciągu najdalej dni trzech.

— Bierz ją sobie! rzekła Alwina po krótkim namyśle.

Dziki zesiadł teraz z konia, który stał spokojnie i postąpił pełnym godności i miarowym krokiem w środek kwadratu, który się przed nim otworzył na skinienie dumnej Junony. Zbliżył się do Maryi, która słyszała całą głośno przeprowadzoną rozmowę i nie mogła pojąć, że ona i jej dzieci przyczyną i ostatecznym celem takowej były.

— Chodź, chodź, rzekł Apache, ujawszy Maryę za rękę, a głos jego brzmiał ani szorstko i dumnie jak przedtem, lecz miękko i życzliwie.

— Chodź, powiadam ci, nalegał z cicha dziki, z lekka ciągnąć za sobą młodą kobietę, — chodź, *siostra* nie powinna się *brata* obawiać!

Przy tych słowach zrobił Apacha jedynie przez Maryę dostrzeżony znak, który młodą kobietę uderzył w wysokim stopniu, ale zarazem w jednej chwili rozproszył wszystkie jej troski. Zauważyła ona bardzo często, że znak ten wymieniony był między Howardem i innymi ludźmi, którzy składali wizyty w „*Clarwasser*“ Marya, idąc pod rękę z Apachą z kwadratu, poprzedzona przez Alfreda i Minnę, raczyła rzucić na swą kuzynkę jedno tylko spojrzenie, ale spojrzenie to zawierało w sobie tyle upakarzającej pogardy, że dumna Junona zupełnie odeszła od przytomności.

Cichulka, stojący za swoją panią, zgrzytał ze złości zębami, skoro widział zabraną sobie Maryę, którą już uważał za pewną zdobycz swego nikczemnego podstęp.

— Pani! wołał on, zapominając zupełnie o wszelkich względach i niebezpiecznem położeniu, — Pani! To jest przeciwne naszej umowie; Marya należy do mnie. Jak pani możesz czemś rozporządzać, do czego nie masz żadnego prawa!

— Szalony głupcze! odrzekła Alwina, która napowrót odzyskała całą swoją dumę, interes wielu, wyższym jest nad interes pojedynczego. Przykro mi jest, że panu piękną gołąbkę zabrano, ale zważywszy na konieczność takiej zamiany, która czterdziestu ludziom zapewnia wolność i życie, to w każdym razie cel mój jest osiągnięty. Kto Maryę posiada czy pan, panie Ci-

chulka, lub czerwonoskóry, to dla mnie jest zupełnie obojętnem. Zresztą za zaowiedzioną pana nadzieję; wynagrodzę piękną sumką złota. Sądzę, że 50,000 dollarów w złocie będzie dostatecznem wynagrodzeniem za pańskie usługi, które od tej chwili licząc za niezbędne poczytuję.

Do wszystkich djabłów! krzyknął Cichulka onieprzytomniały ze wściekłości, mnie, mnie, to?

I po tych słowach wyciągnął Cichulka szablę z pochwy.

— Nauczcie mores tego zuchwalca! zawołała dumna Junona, zwracając się do swych żołnierzy.

Stojący najbliżej ze wzgardą odepchniętego adjutanta filibustyer, podniósł kolbę od strzelby. Cichulka, śmiertelnym ciosem uderzony w głowę, upadł nie wydawszy jednego głosu na ziemię.

— Dobrze za 50,000 dollarów! zaśmiała się szyderczo Alwina i dała znak do odjazdu. Tymczasem stary Apacha posadził Maryę i jej troje dzieci na swęgo konia i postępując obok ruszył napowrót. Około trzy mile odległy ogień obozowy wskazywał kierunek, gdzie dzicy obóz swój rozbili. Alwina i jej ludzie spieszyli się, by opuścić miejsce, gdzie nastąpiła szczególna zamiana. Nikt, nawet dumna Junona nie domyślała się właściwej przyczyny pokojowego usposobienia dzikich, którym jednak dała tak uzasadniony powód i tak dobrą sposobność do zemsty. Wszyscy zgadzali się na jedno że dzicy nie mieli dosyć odwagi, do wywołania rozpaczliwej walki, w której w każdym razie i ich własne

szeregi znacznie by mogły ucierpieć, że się więc zadowolnić chcieli tymczasowem wynagrodzeniem za zabitych im przez filibusterów towarzyszy, Maryą, i jej dziećmi.

Ponieważ jednak ciągle się jeszcze obawiano zasadzki dzikich, postanowiono więc przez całą noc pochód odbywać, pomimo wielkiego znużenia koni i ludzi. Nigdzie jednak nie dało się dojrzeć nic podejrzanego. O Cichulkę nikt się nie troszczył; pozostawiono go jako umarłego na miejscu gdzie padł, a jeśliby nawet i nie był umarłym to prawdopodobnie wilki i dzicy ludzie wkrótce dokonaliby reszty.

Ale nawet i w tem przewidywaniu gorzko zawiedzioną być miała Alwina, której gwiazda widocznie zniknęła z choryzontu.

## XVII.

### N. Z. C. L.

Nie powinno nas wcale dziwić, że od kilku dni znowu tak ciężko doświadczona pani Schancenau z obawą wyglądała dalszego przebiegu rzeczy. Po aż nadto niestety autentycznych wiadomościach, jakie zasięgnęła Marya od czasu pobytu swego w Ameryce o smutnym losie jaki czeka popadłe w ręce dzikich białe kobiety, wzdrygała się na samą myśl, że może zostać niewolnicą dzikiego, a jej dzieci wychowane będą w dzikich obyczajach Apachów.

Z zalzawionemi oczyma cisnęła pani Schancenau do serca małego Oskara, który znów bardzo zadowol-

niony był z tego, że znajdował się na łonie swojej matki wysoko na koniu. Pocieszny malec kląskał ciągle językiem, jakby chciał przez to przyspieszyć wydający mu się zbyt powolnym chód konia. Nawet Alfred i Minna w swej młodzieńczej szczęśliwej lekkomyślności, szczęśliwemi się czuli w swem nowem położeniu, i oboje się szczerze cieszyli, że złej kobiety, myśleli przez to o Alwinie, która zawsze na nie tak nieprzyjaźnie spoglądała i dobrej mamie tak wiele ostrych słów powiedziała, nie mają już w bliskości siebie. Minna siedziała przed swoją matką, która z boku jechała i trzymała się mocno za grzywę konia, podczas gdy Alfred śmiało na tyle chwiał się na obie strony, tak, że pani Schancenau lękała się, iż co chwila żywego i odważnego chłopca ujrzy spadłego na ziemię. Ale Alfred był już wprawnym jeźdźcem i jego stary kuc od dawna mu się już wydawał jako zbyt spokojny. Już na plantacyach wzdychał on za dzikim, upornym biegunem, którego mu niekiedy dawano, i jeśli się zdarzyło, że posługujący w stajni Menelaus czasami po za oczami zbyt troskliwej matki pozwolił mu wsiąść na za nadto swawolne źrebię, to czuł się zawsze bardzo szczęśliwym przynajmniej przez dwa dni.

Gdyby Marya lepiej była obeznana ze zwyczajami Apachów, to już jedna okoliczność, że stary dowódca, który skutecznie zamianę, jej i dzieciom jej, swego konia ustąpił i przy tymże szedł pieszo, byłaby ją bardzo uspokoiła. Żaden Apacha przy więźniu, choćby to nawet była najpiękniejsza kobieta, kiedy sam może

jechać, nigdy nie idzie pieszo; wyróżnienie, więc to musiało na szczególnej i ważnej przyczynie spoczywać, które tylko na jej korzyść porachowane być mogło.

Z obejścia się zresztą i powierzchowności starego Apacha tak wiele uderzyło panią Schancenau, że ze wszystkiego, co dotąd o tym dzikim i chciwym krwi pokoleniu indyjskim czytała i co na własne oczy widziała, nie umiała sobie dobrze zdać sprawy.

Przedewszystkiem ją uderzyło, że dziki przy kaftanie ze skóry bawolej miał czerwony kołnierz, że około lędźmi miał przymocowany mały czerwony fartuch z zieloną obszywką, na którym nadto były w oczy pręgi czarnego i niebieskiego koloru. Czerwony jego kołnierz był nadto ozdobiony, parą skrzyżowanych rewolwerów łukiem i strzałą. Na torbie myśliwskiej nakoniec znajdowały się wyhaftowane litery N. Z. C. L., jakimi rozdział ten zatytułowany został.

Wszystkie te przedmiota niedorzecznie zdawała się uważać za łup wojenny starego Apacha, gdyż pod względem materji i formy nosiły na sobie prawdziwie indyjski charakter i odpowiadały zupełnie powierzchowności Apacha.

Nakoniec dostano się do obozu czerwonoskórych. Któż opisać zdoła radość dobrej Maryi, kiedy tu wyskoczył naprzeciw niej czarny *Menelaus* i z radości jak szalony zaczął płakać i wyć. Więcej jak dziesięć razy upadł wierny, wdzięczny murzyn przed swoją panią na ziemię i całował ciągle ze czcią fanatyczną brzegi jej ubrania, gdyż dotknąć ręki białej

kobiety było uważanem za występki dla biednego, jako istotę nieczystą uważanego niewolnika. Następnie zaczął Menelaus z Alfredem i Minną prawdziwy taniec czarownic i ostatecznie mały nawet Oskar nie był bezpieczny przed jego nieskończonemi pieściami. Chłopczek ten, którego Menelaus podobnie jak jego rodzeństwo nadzwyczaj kochał, śnił się z całego serca, kiedy murzyn wziął go na ramiona i zaczął się z nim kręcić wkoło jak kołowrotek.

Obecność murzyna w każdym razie stanowiła dobrą wróżbę i pani Schancenau nabrała teraz nieco więcej odwagi,—do tego Apachowie, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, wprowadzili blisko się cisnąć zaczęli, by pogapić się na „bladą twarz,“ jednakże nie dał się dostrzedzani jeden gróźny głos lub mina. Przeciwnie na dany znak przez starego Apacha, który ich tu sprowadził, kilka kobiet zniosło z pośpiechem wodę, miód i placki z kukurydzy i złożyły te przedmioty pod nogi pani Schancenau na grubo splecionej trzciniowej macie. Troje dzieci nie kazało się długo zmuszać, by zabrać się do jedzenia, a Menelaus, który jako prawdziwy murzyn jeść i spać umiał, kiedy tylko zechciał, dotrzymywał im rzetelnie towarzystwa, tak, że kiedy pani Schancenau również nakoniec uczuła potrzebę przyjęcia nieco posiłku i napoju, musiano sprowadzić nowe zapasy.

Pieczolowitość przewodcy Apachów rozciągnęła się jednak jeszcze dalej. Kazał on przygotować znaczną liczbę skór wileczych i bawolich, z których urządzone zostały bardzo miękkie i wygodne posłania dla

Maryi i jej dzieci, i kiedy się podniósł dosyć ostry wiatr północny, rozkazał on nawet, na żerdziach, które umocowano w ziemi i między którymi było rozciągniętych kilka skór, wzniesć ścianę ochronną. Bardzo przyjemnie dotknęło nakoniec Maryę, że prawie wszystkie żony Apachów położyły się w około miejsca, które ona ze swemi dziećmi zajęła, z czego teraz z całą pewnością wnosić mogła, że ze strony przedtem tak wyuzdanych dzikich, żadna ją krzywda nie spotka.

W samej rzeczy noc cała upłynęła zupełnie spokojnie. Marya spała jednak mało i to zawsze tylko krótkimi chwilami. Ile razy, wystraszona nieprzyjemnymi snami, rozbudzała się z drzemania, zauważyła zawsze, że przewódca, który ją z rąk Alwiny wydobył, albo przechadzał się powolnym krokiem wzdłuż obozu, lub też na ziemi rozciągnięty kopał swoją fajeczkę, przyczem zawsze jednak spojrzenie miał skierowane na Maryę, jak gdyby sobie osobiście postawił za zadanie, czuwać nad niezakłóconym spokojem jej i jej dzieci.

Ze wschodem słońca niez mordowany przewódca odbył ze swemi ludźmi rodzaj przeglądu wojska, który jednak nie zdawał się mieć żadnego wojennego celu, gdyż dżicy nie ustawiali się w szeregu i nie byli uzbrojeni.

Stary przewódca stanął w ten sposób, że grzbiet jego był oświecony wschodzącym słońcem. Zajął tedy miejsce na wschodzie, a przed nim na prawo i lewo jak również i naprzeciw niego, ustawili się krajowcy w prostych liniach, przez co utworzyli czworobok, którego



trzy boki od północy, południa i zachodu zupełnie były zamknięte.

Marya podniosła się ciekawie ze swego posłania. Dzieci jej spały jeszcze spokojnie, mogła więc całą uwagę swoją zwrócić na to, co się działo przed jej oczami.

W tym rodzaju wystawy Apachów zdawało się, iż prócz wyż wzmiankowanej geometrycznej figury przewodniczy jeszcze inna stała zasada, gdyż pani Schancenau zauważyła, że wszyscy, którzy na północy stali, mieli czerwone kołnierze, i czerwone fartuchy z czarnymi brzegami, podczas gdy owi, którzy tworzyli południowe szeregi, mieli ozdobione czerwone kołnierze i fartuchy niebieską opaską i czarnymi pasami. Wreszcie ci, którzy stali naprzeciw dowódcy, a więc na stronie zachodniej, byli zupełnie tak ubrani jak tenże, to jest mieli czerwone kołnierze i także fartuchy z zielonym brzegiem, lecz brakło im na kołnierzu pary skrzyżowanych rewolwerów, a także strzały i łuku, które to trzy rzeczy zdawały się być oznakami najwyższej godności.

Przewódca, który, jak to Marya nakoniec po długiej migowej rozmowie z jedną kobietą Apachów doba dała się, miał się nazywać Huacho-Kuachi, rozpoczął, kiedy dzicy na rozkaz szczególnymi poruszeniami rąk dany, właściwą postawę ciała przyjęli, dosyć długą mowę, z której naturalnie pani Schancenau ani słowa nie rozumiała. Nie mniej jednak zdawało jej się po zapa le, powadze i wytrwałości, z jaką Huacho-Kuachi dobrze z godzinę mówił, przyczem często ku niebu i czę-  
rem częściami świata wskazywał i ręce rozszerzał,

jak gdyby chciał kogo uściskać, jak niemniej bacząc na skupienie, pobożność prawie, z jaką jej ci ludzie słuchali że była interessująca i godna uwagi.

Nakoniec nastąpiły ostatnie ceremonie i dowódca rozpuścił swoich ludzi, którzy poważni i zamysleni nad tem co słyszeli, rozproszyli się po obozie, by zabrać się do zajęć swoich, mianowicie do upakowania ładunków na juczne zwierzęta, po czem wzięli swą broń do ręki i wsiadłszy na konie przygotowani byli do podróży. Huacho-kuachi kazał przygotować dla Maryi i jej dzieci dwa dobre konie; Alfred i Minna mieli razem na jednym, a pani Schancenau z małym Oskarem na drugim jechać. Alfred nie mało był dumny, iż przewodca indyjski powierzył mu samodzielny kierunek konia i czuwanie nad siostrą, która go się w pasie trzymała, i dla tego mocno się niecierpliwił, kiedy troskliwa matka chciała rozkazać murzynowi Menelausowi by konia jego za uzdę prowadził.

Pochód przedsięwzięty był w kierunku północno-zachodnim, a więc w tym, gdzie się znajdowało zburzone schronienie pupilów Howarda. Huacho-Kauchi jechał obok pani Schancenau i nakoniec dotąd tak poważny i milczący, dziki rozpoczął nawet rozmowę. Marya ośmieliła się zrobić zapytanie dokąd ją i jej dzieci prowadzą?

— Nim słońce trzy razy się na wschodzie ukáže, odda cię „biały prorok“ czerwonym ludziom pod ich opiekę, brzmiała odpowiedź przewodcy.

— Któż to jest ten „*biały prorok*“? zapytała pani Schancenau, naturalnie palając życzeniem, by się bliżej coś dowiedzieć o tej zagadkowej osobie.

Huacho-Kuachi spojrział przez chwilę dumnie na pytającą, następnie rzekł potrząsając głową.

— Jakto? nie miałabyś słyszeć jeszcze o „*białym proroku*“, którego „*wielki duch*“ nam zsyła, by nas ratować przed zupełną zagubą, o „*białym proroku*“, który nas uczył „*wolność! wspaniałomyślność! miłość braterską!*“ zamiast krwi i spustoszenia brać za nasz okrzyk wojenny przyszłości? Słuchaj — ty udajesz — zna jednak „*biały orok*“ twoje nazwisko i jest to jego rozkaz, że cię uwolniłem z przemocy twoich nieprzyjaciół.

— Przysięgam ci, odparła pani Schancenau poważnie że prawdę mówię, jeszcze nigdy nie słyszałam o „*białym proroku*“ czerwonoskórych; jednak to cię wiele nie objaśni, żyłam już wiele lat w zupełnem odosobieniu od świata.

— Dobrze, pytaj tedy twego czarnego niewolnika, usłyszał on rozkaz „*białego proroka*“, bym cię ratował i do niego następnie przyprowadził.

Marya przywołała do siebie Menelausa, który kilka kroków naprzód po za koniem wiozącym Alfreda i Minnę nucąc wesołą piosnkę murzyńską, postępował elastycznym krokiem. Pani Schancenau nie miała dotąd sposobności, zapytać się murzyna, czy i do kogo oddał jej liścik do dowódcy wojsk Unionistowskich nad Old-River.

Ku jej zdziwieniu opowiedział teraz gadatliwy Menelaus w dość ciężko zrozumiałej, zepsutej mowie, że wcale nie był nad Old-River, lecz kilka mil angielskich od plantacyi oddalony, schwytany został przez Apachów tego pokolenia. Przeprowadzono go przed jakiegoś jak indyanina, ale bardzo wspaniale ubranego białego człowieka, któremu czerwonoskórni prawie boską cześć oddawali. Ten biały człowiek wziął od niego jego liścik, przeczytał go i zrobił mu, Menelausowi wiele zapytań. Kiedy murzyn następnie prosił, czy może się ze swoim poselstwem udać nad Old-River, by wyratować swoją dobrą panię z rąk filibustyerów, rzekł biały człowiek łagodnym, życzliwym tonem: ztamtąd pomoc przyjdzie za późno, nawet jeśli, o czem powątpiewam, dowódca z nad Old-River istotnie byłby w możności wysłać dość silny oddział swoich wojowników. Uspokój się, mój dzielny chłopcze, zakończył zagadkowy biały człowiek, twoja pani i jej dzieci będą ocalone. Czerwonoskórni są zwinniejsi, jak bladolicowi. Dogoni się niekzemną bandę rozbójników, zanim zdoła zabezpieczyć w Evertonie swój łup. Wszystko się zrobi, by żonę i dzieci „brata“ nas wszystkich brata, który mnie *osobiście* nad wszystko jest drogim, wyrwać z rąk owych niekzemnych łotrów.

Biały człowiek, ciągnął dalej Menelaus swoje opowiadanie, biały człowiek miał następnie długą rozprawę z dowódcą Apachów, który zrazu zdawał się robić pewne wymówki. Zdawało mi się, jakoby czerwonoskórni filibustyerom ciężką krzywdę odemścić mie-

li, i dla tego o przyjaznych układach z ludokradcami wiedzieć nie chcieli, lecz chętniej formalną wyprawę by przedsięwzięli. Wreszcie zwyciężyła jednak sztuka namowy i powaga białego człowieka, i ten oto tu dowódca dał wreszcie rękę na to, że dobrze się obejdzie z filibustyerami. Po czem zbliżył się do mnie biały człowiek i rzekł: Bogu niech będą dzięki, iż udało się usposobić przyjacielsko-czerwonoskórych. Byliby wprawdzie w otwartej walce przy swojej liczebnej przewadze i wojennych podstępach zwyciężyli, lecz ja drżałem na samą myśl, że w dzikiej rzezi biedna kobieta i jej dzieci ciężkich krzywd doznaćby mogli. Kto wie, czy rozbójnicy wszystkich czworga przez zemstę by nawet nie pomordowali. Na rozkaz białego człowieka przystałem do Apachów, i oto ożywia mnie teraz radość, iż odnalazłem znowu moją dobrą panią.

I śmiejąc się szalenie uradowany, skoczył teraz murzyn do konia, na którym siedzieli Alfred i Minna, którym niezmordowany figlarz pokazywał tak zabawne sztuki, iż dzieci nie mogły się powstrzymać od głośnych wybuchów śmiechu.

Marja wzniosła ku niebu spojrzenie najserdeczniejszej podziękii. Teraz znikły ostatnie jej obawy. Kto jednak mógł być ów szczególny biały człowiek, który umiał zdobyć sobie takie uważanie między śmiertelnymi nieprzyjaciołmi bladolicych? Zkął mu przyszło nazwać ją żoną swego brata. Miałoby może jaki daleki i jej nieznany kuzyn przyjąć na siebie awanturniczą rolę proroka między czerwonoskórnymi? Na-

próżno natężala swoją pamięć, nie mogła sobie przypomnieć, żeby ze strony jej familii lub familii jej męża istniało indywiduum, któreby zdolne być mogło do spełnienia podobnej misyi. Naturalnie Marya, która za czasu, kiedy z Howardem razem mieszkała w *Clarvasser*, tak wiele dowiedziała się o wolnomularzach, wpadła ostatecznie na domysł, że będący w mowie biały człowiek w każdym razie musi być członkiem wielkiego związku braterskiego; z kąd on jednak mógł nazwać jej męża blizkim swym krewnym? Dalej zdawało się teraz pani Schancenau jako zupełnie pewne, że Apachowie, przez których wyratowaną została, również należą do związku wolnych mularzy. *I tak też istotnie było.*

Istnieje mianowicie w Ameryce północnej od niedawnego czasu między indyanami krajowcami szeroko rozgałęziony związek braterski, który w zupełności spoczywa na wolno-mularskich zasadach, gdy nawet ceremoniali i wiele zwyczajów zastosowane są do nadzwyczaj dowcipnych, na głębokiej znajomości ludzi opartych, równie narodowych i religijnych poglądach pierwotnych mieszkańców. Związek ten nosi nazwę „*Niezależnego zakonu czerwonych ludzi*“, którego pierwsze też cyfry są: *N. Z. C. L.*

Pojedyncze, od Atlantyckiego oceanu aż do oceanu Spokojnego w dół do Meksyku i w górę ku północnemu biegunowi rozgałęzione braterskie związki zowią się: „*podległemi plemionami niezależnego zakonu czerwonych ludzi*“, i stoją pod nadzorem i kierunkiem „*wielkiego plemienia*“ połączonych stanów w Filadelfii.

O tym szczególnem, jak już powiedzieliśmy dopiero od niedawna zawiązanem między Indyanami pobratymstwie, leży przed autorem drukowana konstytucya „*wielkiego plemienia*“ z r. 1866; ta uważana za tekst pierwotny konstytucya dziwnym sposobem jest zredagowana w *języku niemieckim*. Ta, jak również i druga okoliczność, że początkowe litery niemieckiego nazwania zakonu, to jest: *N. Z. C. L.*, a nie angielskiego, jako cyfry wybrane zostały, które *A. Z. C. L.* brzmieć by musiały, dowodzi, że stojący w mowie związek założony został przez Niemca.

Motto ogólnego związku „*Niezależnego zakonu czerwonych ludzi*“ jest:

*Wolność! wspaniałomyślność! miłość bratnia!*

Oprócz stopnia święcenia lub nowicyatu zakon obejmuje trzy stopnie z rozmaitym ubiorem, który to ostatni jużesmy wiernie opisali, kiedyśmy pokrótce przedstawili odbyte ranne zebranie przez dowódcę Ho-acho-Kuachi.

Pierwszy rozdział owej konstytucyi brzmi:

1. Sześciu poważnych mężów mogą żądać od *wielkiego plemienia* ustawy do założenia *niższego plemienia*, i gdy to nastąpi, musi *Ober wielki mistrz* lub *wielki pisarz*, lub nawet powołany do tego ex-mistrz udać się na oznaczone miejsce, by wręczyć przywilej wraz ze wszystkimi należącemi do tego księgami zakonu, nowe *plemię* otworzyć i zainstallować urzędników.

2. Każde nowe podległe plemię ma prawo, przydać sobie jakieś dowolne nazwisko, musi sobie jednak pozwolić dać odpowiednią temu nazwisku liczbę.

3. Każdemu niższemu plemieniowi przysługuje prawo, nadawać sobie pewniejsze prawa, które wszakże muszą się zgadzać z ogólnymi prawami, corocznie musi być wysłany mistrz jako reprezentant do zastępowania interesów *niższego* plemienia do *wielkiego* plemienia.

4. Każde *niższe* plemię jest obowiązane, co kwartał przeselać do *wielkiego* plemienia dokładne sprawozdanie o wszelkich w tym czasie zaszłych u niego zmianach a nadto przysyłać trzy procenta od wzrastających wpływów z pieniędzy od stopni święceń i miesięcznych dochodów.

5. Przepisy dotyczące się formalności i ceremonii zakonu musi każde niższe plemię zachowywać dokładnie i punktualnie.

6. Ustawa odbiera się niższemu plemieniowi, skoro zacoła się z czterema kwartalnymi sprawozdaniami, przekroczy ogólną konstytucyę i umyślnie sprzecznie postępuje z duchem zakonu.

7. Zebrania mają się w oznaczonych wieczorach miejscach od 1-go kwietnia aż do 1-go października o 8-mej godzinie, w zimie o 7 $\frac{1}{2}$  zaczynać.

8. Zebrania mogą tylko być otwarte, kiedy wszyscy wybrani urzędnicy są obecni, lub też ich miejsca przez właściwych braci obsadzone.

9. *Wszystkie czynności na zebraniach muszą być w niemieckim języku spisywane.*

Drugi rozdział konstytucyi ma za przedmiot we-



wewnętrzną organizację urzędów kolegium. Wyższe urzęda są: mistrz naczelny (mistrz krzesła), mistrz zastępca (deputowany mistrz), mistrz dodatkowy, pisarz i zachowawca skarbu. Niższe zaś urzęda: marszałek, herold, wojownik, stróż namiotu, stróż lasu i stróż graniczny.

Rozdział trzeci traktuje o warunkach przyjęcia, według którego żaden starający się wejść do plemienia „niezależnego zakonu czerwonych ludzi“ nie może być przyjęty, gdy nie doszedł jeszcze 21 lat, lub też już przeszedł 50. Kandydat musi dalej używać dobrej opinii. być zdrowym. Rodzaj i warunki przyjęcia są zupełnie podobne do wolnomularskich, tak dalece nawet, że przez cztery czarne galki przy ballotowaniu przyjęcie bezwarunkowo się odrzuca.

Jak już wzmiankowaliśmy „niezależny zakon czerwonych ludzi“ posiada trzy stopnie, czarnych (1), niebieskich (2) i zielonych (3); bracia bez stopnia noszą czerwone kolnierze i czerwone fartuchy bez wszelkich obwóddek.

Dalsze rozdziały, które traktują o śledztwach zaprzewinienia „braci“, o appellacyach od wyroków plemienia i karach, tchną obok surowej sprawiedliwości nadzwyczajną ludzkością.

Rozdział o karach jest interesującym dla wszystkich, dla tego go też powtarzamy.

Ów brat—który o nim jest mowa—gdy proponuje przyjęcie kogoś, który nie ma przepisanego wieku, jest słaby lub niegodny, winien gdy to świadomie

uczynił, zapłacić karę pieniężną lub wrazie powtórzenia być wykluczonym.

Taki brat, który uchwały i czynności plemienia rozgłasza, gdzie winno być zachowane milczenie, lub który niedotrzyma danego przyrzeczenia, odkrywa tajemnice zakonu, lub dopomaga do tworzenia się pokątnych pokoleń, winien być wyrzucony w razie przekonania go.

Ów brat, który przez swoje postęпки przekracza istniejące prawa państwa, w którem żyje, zostaje wyrzuconym. Również i ten, który prowadzi niemoralny sposób życia i przez to sobie i zakonowi szkodę przynosi, albo wyrządza krzywdę bratu swemu na honorze, może oczekiwać kary wykluczenia.

Nieprzyzwoite odzywiania się w czasie zebrań przeciwko urzędnikom lub współbraciom są karane, a kto napity ukaże się na zgromadzeniu, zapłaci pierwszy raz karę dolara, zaś przy powtórzeniu będzie wykluczony.

Nawet formalne certyfikaty wystawia „Niezależny zakon czerwonych ludzi.“ Certyfikaty te są bardzo pięknie odrobione i całe otoczone arabeskami, liściami i winietkami. U góry w środku znajduje się litografowana pieczęć wielkiego plemienia Stanów Zjednoczonych z napisem:

*„Wielkie plemię niezależnego zakonu czerwonych ludzi  
w Stanach Zjednoczonych,“*

przedstawiająca figurę, mającą głowę przyozdobioną 9-ma wystającymi w promień piórami, która w prawej

ręce trzyma opartą na ziemi umajoną gałąź, w pasie ma przewieszony sztylet, a w lewej ręce aż do ziemi spuszczoney berdysz.

Winiетка u góry na lewo przedstawia nam dwóch dzikich ludzi stojących przed licznymi namiotami, którzy sobie prawą rękę jako mistrze ściskają i z których jeden lewą rękę ku niebu wznosi, a w pasie przy prawym boku ma zasadzony berdysz i nóż, drugi zaś w lewej ręce opartą o ziemię lancę, a na jego zwierzchniej sukni znajduje się do góry wyciągnięta ręka, trójkąt, koła i kilka innych geometrycznych figur. Obiedwie głowy ozdobione są piórami. Winiетка u góry na prawej stronie przedstawia nam dwie przed namiotami siedzące figury, także dzikich, których głowy ozdobione są trzema w górę sterczącymi piórami. W pośrodku obu figur płonący ogień, siedząca figura na prawo, która w lewej ręce trzyma lancę szpicem do ziemi zwróconą, podaje siedzącej na lewo fajkę, tak nazwaną fajkę pokoju, albo Calumet.

Ten związek czerwonych ludzi powinien nam dostarczyć nowy dowód nieprzepartej wszechwładzy wolno-mularskiej idei, która nawet utorowała sobie drogę między zdziczałymi czerwonoskórnymi i zakorzeniła w ich serca ewangelię miłości bliźniego daleko wymowniej i skuteczniej, jak wszelkie owe missye rozmaitych sekt chrześcijańskich, których dążności nigdzie jeszcze dotąd nie odpowiedziały stosunkowo do nakładu pieniędzy i czasu.

Możemy powstanie „*niezależnego zakonu czerwonych ludzi*“ powitać tylko z serdeczną radością, jako jedyny i najpewniejszy środek, zaszczepienia prawdziwej cywilizacji między pierwiastkowymi mieszkańcami Ameryki, i przez to zachowania tego plemienia ludzi przed zupełną zagładą. Ponieważ zaczęliśmy mówić o rozszerzeniu wolno-mularstwa w ogólności, będzie więc zupełnie w miejscu, przez krótki wykaz dać także o nim czytelnikowi jasne wyobrażenie.

Obecnie związek wolnomularski jest w następujący sposób rozkrzewiony. W wielkiej Brytanii istnieje w każdym z trzech królestw: Anglii, Szkocji i Irlandji jedna wielka loża, która, tak w tych królestwach jak i we wszystkich koloniach angielskich całej kuli ziemskiej, ma liczne loże filialne. Anglia liczy ich w Anglii samej przeszło 700, z tych w samym Londynie 154, w pozostałej Europie 14, około 100 w Azji (większa część w Indjach Wschodnich, dalej kilka w Honkong w Chinach, Adenie Arabii i t. d.), 20 w Afryce, 143 w Ameryce 83 w Australii i 11 loż wojskowych, razem z górą 1000 Szkocya i Irlandya każde około 300. We wszystkich trzech państwach istnieje tak nazwany królewski arcy stopień, który zresztą niema żadnego przywileju przed innemi trzema stopniami, nowy tak nazwany zakon templaryuszów i inne tym podobne odrośle w wysokim stopniu zamięszania, które jednak przez prawdziwe loże wolnomularskie nie są uznane. Dziwnym sposobem, że tak nazwane szkockie loże w Szkocji mają daleko mniej wpływu i znaczenia, jak w innych krajach, tak

miejscowa wielka loża pochłania głównie wszystkie wysokie stopnie. Wielka Brytania liczy wielką liczbę dobroczynnych instytucji i zakładów wychowawczych wolnomularskiego pochodzenia ze znacznymi funduszami.

We Francji wolnomularstwo jest podzielone na tak zwany francuzki i szkocki system, pierwszy pod nazwą „wielkiego wschodu“, ostatni częścią pod tą samą, częścią pod nazwą „Suprême Conseil“ „Wielki Wschód“ liczy 158 łóż we francji, z których 36 w Paryżu, 11 w Algierze, 20 w innych francuzkich koloniach i w obcych krajach; Suprême Conseil“ liczy 41 łóż we Francji, z których 22 w Paryżu, jedną w Algierze i ośm na Haiti. Obadwa systemy pochodzą z końca zeszłego stulecia, kiedy panowała gorączka wielkich stopni, którym dziś jeszcze hołdują. System francuzki liczy 7, szkocki 33 stopnie. Dążność do połączenia francuzkiego wolnomularstwa uczyniona była w 1848 r. przez „narodową wielką lożę“, która z wielką zabieглиwością pracowała według angielskiego systemu i uznawała tylko trzy stopnie, lecz w r. 1851 przez policję rozwiązana została. Znaczne zmniejszenie się liczby łóż we Francji w porównaniu do dawniejszych czasów, kiedy liczone je na setki, jest częścią przypisywane złemu zarządowi księcia Murata, który od r. 1852 do 1861 był wielkim mistrzem „Wielkiego Wschodu“ i więcej związkowi szkodził, jak jego najwięksi nieprzyjaciele i z tego powodu nawet w końcu został haniebnie z urzędu złożony, częścią dążeniom Napoleona III, by wyzyskać wol-

nomularstwo jako pozór policyjny. Oprócz wzmiankowanych dwóch systemów istnieje także jeszcze przestarzały „Rite Mizraim“ lub zakon Memphis, który wolnomularzy z Egiptu wyprowadza i w dziewięćdziesięciu stopniach pracuje. „Rite Mizraim“ liczy zresztą tylko 5 łóż w Paryżu, jedną w Genewie, kilka w Ameryce i jedną w Australii.

Loże Belgii pozostają pod „Wielkim Wschodem“, którego wielki mistrz Berhaegen w r. 1854 zaczął wprowadzać miejscowe polityczne i religijne kwestye w czynności związku. Dla tego też belgijski „Wielki Wschód“ jest od tego czasu przez wiele cudzoziemskich wielkich łóż wywołany i wszelkie stosunki z nim zerwane.

W Niderlandach „Groot-Osten“ łączy w sobie 67 łóż, w których wysokie stopnie cieszą się bardzo małym stronnictwem.

Co się tycze Niemczech, to te pod względem wolnomularskim, jak niestety i pod wszelkimi innymi, są więcej rozdwojone, jak jakikolwiek inny kraj. Znajduje się tu 9 wielkich łóż; mianowicie trzy w Berlinie i sześć w innych miejscowościach. Trzy berlińskie wielkie loże są: 1 „Wielka loża krajowa Niemczech“ (Grosse Landesloge von Deutschland), która w Prussach Meklemburgu i w miastach Hanzy obejmuje 68 łóż; została ona założona w r. 1766 przez ambitnego doktora Joh. Wilh. Ellebergera, zwanego Zinnendorf, który jak w Szwecyi, przez pomieszanie templaryzmu z towarzystwem krzyża różanego, z najrozmaitszemi fikcyami

o historii wolnomularstwa obficie ubarwiony, rozszerzył po Niemczech 9 stopni w trzech oddziałach mistyczno-patryarchalny system, który dla tego *szwedzkim* został nazwany i z pomiędzy wszystkich systemów najbardziej pozostał po za postępem wolnomularstwa. 2. National Mutterloge dla „trzech kuli świata“, która obecnie w Prusiech i północnych Niemczech liczy sto łóż i uznaje cztery stopnie, z których wszakże czwarty albo szkocki stopień nie używa żadnego przywileju, ale jedynie służy do nauki w historii wolnomularskiej. 3. Grosloge Royal-York „dla przyjazni“, od angielskiego księcia York tak nazwana, który tu został przyjęty. Ta wielka loża posiada tylko loże w Prusiech, w liczbie 27. Przy niej występują w miejsce wyższych stopni pięć tak zwanych stopni uznania, które mają za swą treść moralny porządek świata i nieśmiertelność. Trzy pruskie wielkie loże stoją pod protekcją Następcy Tronu Pruskiego. Inne niemieckie wielkie loże są. 4. Hamburgska, która w r. 1811 przez Schrödera przemienioną została z angielskiej loży prowincjonalnej na wielką lożę, z 21 lożami we wszystkich okolicach Niemiec, trzy w Ameryce i jedna w Konstantynopolu, które wszystkie pracują wedle angielskiego, czysto wolnomularskiego systemu; 5. „Pod słońcem“ w Bagrucie z 9-m lożami; 6. Saska, z 15-ma lożami; 7. „Eklektycznego związku“ we Frankfurcie nad Menem z 10-ma lożami założona w r. 1783 w zamiarze, by związek oczyścić; 8. Hanowerska z 20 lożami, obecnie jednak w skutek aneksji do Pruss w zupełnym upadku; 9. „Zgody“

w Darmsztadzie, która się utworzyła w 1846 r. przez odłączenie od eklektrycznego związku i obejmuje 7 łóż: Wszystkie te loże oprócz pruskiej stanowczo odrzucają wyższe stopnie. Znajduje się jeszcze pięć *odosobnionych* łóż mianowicie w Altenburgu, Gera, w Hildburghauzen i dwie w Lipsku; dalej jedna żydowska we Frakfurcie nad Menem, która stoi pod zwierzchnictwem wielkiej loży w Anglii. Istnieje więc w Niemczech w ogóle okrągła summa 300 łóż które obejmują około 25,000 członków.

Loże szwajcarskie; w liczbie 27, stoją pod zwierzchnictwem założonej w r. 1844 wielkiej loży Alpina, która swoje siedlisko co lat sześć zmienia i żadnych wyższych stopni nie uznaje.

We Włoszech w skutek politycznych przewrotów ostatnich czasów zakwitło na nowo dawniej mocno ściągane wolnomularstwo. „Wielki Wschód“ we Florencji liczy około 200 łóż, pomiędzy niemi kilka w Turcji, w Egipcie i w południowej Ameryce. Podobnie w Portugalji i w Hiszpanji w ostatnich czasach wolnomularstwo znakomicie się podniosło.

W Danji znajduje się siedm, a w Szwecji i Norwegji dwanaście łóż, które w obydwóch tych krajach są pod zwierzchnictwem wielkiej loży krajowej, u steru których stoją królowie owych państw.

Obecnie w *całym* świecie znajdują się tylko trzy państwa w których wzbronione jest wolnomularstwo, mianowicie Państwo Kościelne, Rossja i *konstytucyjna* Austrja! Przeciwnie rząd węgierski nie stawiał za-



dnym przeszkód co do założenia łoży św. Jana i na terytorjum korony Stefana powstały już od r. 1868 trzy łoże pracujące według systemu Schrödera, w Peszcie, Temeszwarze i Oedenburgu.

W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki znajduje się prawie w każdym państwie wielka łoża, we wszystkich razem przeszło 4,000 łoż z pomiędzy nich wiele powstałych z ludzi kolorowych (t. j. murzynów) Prawdziwe wolnomularstwo jest wszakże tylko zastąpione przez żywiół niemiecki. W państwach mówiących językiem hiszpańskim Ameryki środkowej i południowej, jak również i w Meksyku znajduje się bardzo wiele łoż; prócz tego cesarstwo Brazylijskie posiada „Wielki Wschód“ z blisko 100-ma łożami.

Na całej ziemi może istnieć około 8,000 łoż. Podać liczbę wolnomularzy jest wszakże rzeczą niemożliwą. W każdym razie wynoszą oni wiele setek tysięcy i należą do wszelkich możliwych stanów najrozmaitszych narodów i istniejących wyznań.

Prócz tego istnieje jeszcze wiele jakoby wolnomularskich związków pomiędzy krajowcami Turcji, Persji, Chin o których wszakże dotąd brak bliższych potrzebnych wiadomości.

Z tego wszystkiego jest rzeczą widoczną, że związek wolnomularski obecnie cieszy się rozkwitem *jakiego jeszcze nigdy nie dosięgnął*. Do tego historia związku zaznacza stanowczy postęp do dobrego. Zbłądzenia i niezgody, w jakie dawniej tak bardzo obfitował, albo znikły bez śladu albo też mają zniknąć. Wolnomular-

ska literatura, jakkolwiek w dawniejszych już czasach posiadała wielkie nazwiska, pomimo to nigdy jeszcze tak wysoko nie stanęła jak obecnie i nigdy przedtem nie działała z tak stanowczym skutkiem dla postępu i odrzucenia wszystkich bezpożytecznych form. W ten sposób związek wolnomularski bez wątpienia dosięgnie wyższego jeszcze stopnia rozwoju i wciśnie się jeszcze do owych trzech państw, gdzie dotąd go odrzucano, tak z postępem ludzkości nawet na te okolice, które dotąd ich niepoznały.

Zwyciężenie zdróżności i coraz większe rozszerzenie się związku po całej ziemi są głównymi dążeniami, które pracami jego kierować mają, nie są one jednak najwyższym celem.

Do najwyższego celu wolnomularstwa związek się zbliży, z jednej strony przez swoją wielką *jedność*, z drugiej przez rozszerzoną i zwiększoną *działalność*. Nie jest to jednak ściśle zjednoczona *jedność*, jaka ma związkiem kierować. Związek wolnomularski nie jest żadną społecznością, dyktaturą, lub despotją, nie znosi on także ogólnej jednostajności, spoczywa on nie na *hierarchicznych* lecz na *demokratycznych* zasadach; ożywia go *nie narzucony ale dobrowolny sposób myślenia*. Jedność, do jakiej dążyć ma związek wolnomularski jest jednością serca, jednością celów, jednością braterskiej miłości.

Istotnym środkiem do sprowadzenia podobnej jedności powinny być bezprzymusowe wolnomularskie kongresy, które reprezentantów wszystkich krajów świata zgromadzać mają. Podobnie związek musi

większą działalność na zewnątrz rozwinąć, anizeli jak to dotąd miało miejsce, jeśli chce osiągnąć wyższy swój cel. Wolnomularstwo dotąd na korzyść pojedynczych ludzi i mniejszych kół wiele zdziałało. Jest ono jednak bardzo jeszcze od swego celu oddalone; musi ono iść dalej, musi dla większego koła mieszkańców ziemi, dla całej ludzkości działać. Jest tak nieskończenie wiele do zrobienia dla materialnego jak dla duchowego dobra cierpiącej ludzkości, co spuszcza ją z oka istniejące władze państwowe i prywatne stowarzyszenia, jak np. opieka nad biednymi w kraju nie przez jałmużny *ale przez dostarczanie pracy*, opieka nad wychodźcami w oddaleniu przeciw samowoli i oszustwu, polepszenie zakładów dobroczynnych, które często nie są tem czem być winny, wsparcie i opieka. Dla nieszczęśliwych ofiar wojny i politycznej nienawiści, zaprowadzenie dotąd zaniedbywanych środków dla zdrowia publicznego i t. d.—tylko co w kierunku materialnym—następnie np. popieranie sztuk i umiejętności, gdzie te są pod naciskiem, niszczenie przesądów i trzpiotowatości, postęp, wykształcenia ludowego, gdzie ono jest w zaniedbaniu opieka wiary i wolności sumienia i t. p.—w duchowym kierunku. Istotnie wielkie i godne najświetniejszego powodzenia zadanie.

Jeśli *kiedyś* czystość, rozszerzanie, jedność i działalność związku wolnomularskiego o tyle się powiedzie, że *idea* jego, idea ludzkości, jako panująca między wszystkimi ludźmi na ziemi będzie mogła być uważaną, jeśli ona wszystkie państwa i kościoły i inne związki ludzi

przeniknie i ożywi, wówczas zadanie związku jest spełnione, wówczas wszystkie jego prace w *dotychczasowym* zakresie zostaną skończone, a nawet może się zamknąć, by wystąpić znów *publicznie* w *innym* kierunku. Pojęcie związku rozumie wtedy cała ludzkość, jedna wielka łaża się utworzy pod kierunkiem wszechpotężnego Twórcy wszystkich światów.

Podczas trziedniowego pochodu do zburzonego schronienia w pobliżu Old-River z każdą chwilą wzrastała ciekawość pani Schancenau co do „białego proroka“ czerwonych ludzi, w oderwanych szkicach jakie dawał jej Huacho-Kuachi w lichym angielskim języku o działalności zagadkowego człowieka.

Nakoniec zbliżano się do celu. Tuman kurzu w oddaleniu zapowiadał przybycie oddziału jeźdźców. Huacho-Kuachi i jego ludzie wybuchli dzikim okrzykiem radości. „Prorok wielkiego ducha się zbliża!“, szalenie razem okrzyknęli i popędzili swoje konie w najszybszym biegu.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Zanim Flodoardo powrócił z plantacji z kilkoma tragarzami, już „Dumna Junona“ była trupem. Umarła jak żyła, bez pokuty. Upór, duma odbijały się na jej twarzy, nawet w chwili śmierci. Ani jedno słowo żalu o ostatnim niegodnym czynie nie wymknęło się z jej ust. Zarys szatańskiego uśmiechu, który na jej

ustach stęzał jak maska szatana, dawał dowodne świadectwo, że jej ostatnia myśl, ostatnia nadzieja skierowane były do udania się jej niegodziwego jadem zaprawionego planu.

Następnego rana patrol rozłożonych niedaleko od plantacji wojsk przyprowadził przed swego dowódcę jakiegoś człowieka, którego na wpół umarłego, leżącego pod koniem, znaleziono w lesie. Był to Cichulka, zabójca „dumnej Junony“. W pośpiechu z jakim usiłował oddalić się od miejsca spełnienia czynu a bynajmniej nie tęgi jeździec, przewalił się ze swoim koniem, pod którym go też znaleziono. Strumień krwi płynął mu z ust, pierś zaś miał zupełnie zgniecioną. Tak to straszna Nemezys zbyt prędko oboje tych nędzników dosięgła swoją często ociągającą się ale zawsze ostatecznie nieomylną i Nielitościwie niszczącą ręką.

Cichulka nie mógł jednego słowa wymówić. Jakkolwiek z miłości chrześcijańskiej otoczono go wszelkimi możliwymi staraniami, w kilka godzin zakończył życie.

## XXI.

### Zeznania.

Zacny Howard jak również i Flodoardo przez całą noc oka zmrużyć nie mogli. Śmierć „dumnej Junony“ wywołała w obu tych ludziach niesłychane wzruszenie jakkolwiek w każdym z innych zupełnie pobu-

dek. „Biały prorok“ nie mógł wcale pojąć, jakim sposobem ta istota, jedna z najdoskonalszych stworzeń, jakie kiedykolwiek Belzebub jako zastępczynię piekieł zesłał na ziemię, mogła do tego stopnia zająć sobą, zanim jeszcze serce jego zagorzało czystą miłością dla łagodnej, anielskiej a jednak z razu pogardzonej przez niego Adelgundy.—Howard przeciwnie przebiegł pamięcią swoje młode lata; wspomnienia, które żywo przed oczami jego stały, nie mogły być bardzo przyjemnej natury. Czuł on nagłą potrzebę swoje uczucia wyjawić przez otwarte wypowiedzenie tego, co go tak bardzo dręczyło, a kogóż mógł uważać godniejszym swego zaufania, jeśli nie Flodoarda, który w szkole życia, pomimo swojej młodości nabył aż nadto wielkiego doświadczenia.

Zacny starzec postanowił tedy, oddalić się na godzinkę z „białym prorokiem“ do blizkiego lasu, by tam w spokojności wynurzyć pewne „wyznania“.

Przedewszystkiem musiało jednak dokładnie być stwierdzone, co właściwie znajdowało się w studni, w którą „dumna Junona“ wypróżniła woreczek.

Dla chemicznego rozbioru jakoby zatrutej wody brakowało wymaganych przyrządów. Jako ofiary tedy zostały wybrane stary koń, baran, kilka owiec i kilka ptaków; dla dalszej naukowej analizy kazał jednak Howard napelnić kilka flaszek podejrzanym płynem.—Skoro to nastąpiło, musieli murzyni zaraz porobić przygotowania, by niebezpieczną studnię zasypać, wraze

gdyby na wybranych do doświadczeń zwierzętach, okazały się rzeczywiście symptomy zatrucia.

Skoro Howard ze zwykłą przezornością porobił wszelkie przygotowania, zaprosił swego młodego przyjaciela na spacer do lasu.

Niedaleko miejsca gdzie „dumna Junona“ przez Cichulkę otrzymała karę od kuli za swoje nieczne czyny zatrzymał się Howard, i zaprosił Flodoarda, by zajął miejsce na jednym z wielu pni drzewnych.

Kiedy Howard również usiadł, zaczął z wielką powagą w mowie i postawie jak następuje:

„Mój drogi przyjacielu i bracie! Jakkolwiek nasza osobista znajomość jest jeszcze zbyt świeża, muszę ci jednak bez namysłu zrobić „wyznania“ jakie dotąd mocno byłem zdecydowany zabrać ze sobą do grobu. Nawet Marya, której już oddawna odkryłem, jak blisko mnie ona stoi wraz ze swemi dziećmi, nie przeczuwa straszego ciężaru, jaki spoczywa na mojem sumieniu, i nigdy nie miała się ona ani jój mąż o tem dowiedzieć, gdyż niechciałem w obec nich stracić na szacunku. Do pana jednak, Flodoardo, chcę mówić otwarcie, gdyż zaufanie mam do pańskiej dojrzałości poglądu, do owej prawdziwie chrześcijańskiej, niczem niezamąconej pobłażliwości, by błędy mojej młodości przez późniejsze zasługi dla dobra ludzkości choć w części za odpokutowane uważać. Jednak do czego te wstępy—chcę raczej zaraz rozpocząć moje opowiadanie, przyrzekam jednak, że opowiem bardzo krótko.

Howard głęboko odetchnął i tak dalej mówił:

„Ujrzałem światło dzienne w roku 1795 w Wiedniu i byłem wnukiem austrijackiego kapitana Hermana Brauna, który 18 Czerwca 1757 roku w bitwie pod Colin zdobył sobie krzyż Maryi Teresy. Ponieważ świetny czyn wojenny, jaki dokonał będąc już majorem na czele pułku zasadał się na zdobyciu bardzo ważnego, stanowiska położonego nad rzeką Auszańca, do wspomnionego więc orderu do którego zarazem przywiązany był tytuł barona dołączono mu Predykat von Schanzenau, które go jedynym prawem spadkobiercą jest jeszcze mój starszy kochany brat emeryt Feldmarszałek Jakób von Schanzenau, gdy Oskar wyrokiem za przestępstwo pozbawionym został swego szlachectwa.

Podług Austriackich praw byłby wprawdzie i maly Alfred uważany za mającego tytuł do tego nazwiska, ale ponieważ go już jako przyszłego amerykańskiego obywatela zapisać kazałem a tu w kraju, dzięki Bogu, szlachta z urodzenia nie nie znaczy, przeto kazałem go znowu przyjąć zarówno z jego braciszkiem Oskarem, do naszego starego rodzinnego nazwiska Braunów. Mówiąc nawiasem, serdecznie mnie to cieszy, że mój biedny nieszczęśliwy syn po swojej ucieczce ze Stejnu sam z siebie wpadł na koncept, że się nazwał *Brown*, co tylko jest angielskiem tłumaczeniem Braun, i jak w niemieckim się wymawia.—Moja pierwsza młodość przypadła w bardzo ruchliwej politycznej epoce, i zaledwie wyrosłem z lat dziecinnych, wzięłem tornister na plecy by dzielnie walczyć, w wojnie o wyswobodzenie. W tych



wyprawach wojennych był ciąglem moim nierozłącznym przyjacielem i towarzyszem mój kochany kuzyn, syn bankiera Henryk von Eichenstamm, i myśmy często po bratersku dzielili się ostatnim kawałkiem chleba, ostatnim łykiem. Żeśmy się w najgętszym gradzie kul nigdy z oczów nie opuszczali, że Henrzk i ja byliśmy dzielnymi i śmiałymi chłopcami, zupełnie rzecz naturalna.—Z wieloma dobrze zasłużonymi orderami, jeśli to być może zasługą, powróciliśmy po skończeniu wyprawy ze zdobytego Paryża do ojczyzny. Kuzyn Henryk o parę lat starszy odemnie, doszedł w tym czasie do pełnoletności i objął teraz rozległy interes handlowy, który mu jego niedawno zmarły ojciec w świetnym stanie pozostawił. Ja przeciwnie, dręczony żądzą nauki, poświęciłem się dalszym moim studiom, które przede wszystkim miały za przedmiot matematykę, nauki przyrodzone, i naukę gospodarstwa krajowego, i byłem uważany za najlepszego ucznia Kolegium do którego uczęszczałem. Kiedy doszedłem lat i pozyskałem prawo rozporządzania około sześćdziesiąt tysięcy guldenów monetą konwencyjną wynoszącym majątkiem, którego administracją opiekował się dom Eichenstamm, pomyślałem urządzić sobie własny dom i pozyskać jaką małą posiadkę; gdyż plany moje były wówczas tak skromne, że mogłem być wzorem uczciwego parafianina. Robiono mi bardzo świetne propozycję robienia partyi w kołach szlacheckich, lecz uważałem że lepiej zrobić, jeśli towarzyszkę mego życia wybiorę nie ze stanu szlacheckiego. Ponieważ żeńska połowa rodzaju ludzkiego do tej

pory wcale jeszcze dla mnie nie istniała w tym więc kierunku postanowienie moje wkrótce stanęło, kiedy mój serdeczny przyjaciel Henryk zaproponował nie jako narzeczoną córkę swego pierwszego buchaltera. Serafina mi się podobała, ja jej, rodzice dali zezwolenie, i tak stanęliśmy w sześć tygodni później przed ołtarzem i to dwa razy, gdyż narzeczona moja była katoliczką, ja zaś wyznania ewangelickiego. Już w dziesięć miesięcy później udarowała mnie Serafina, którą kochałem całym zapalem pierwszej miłości, chłopakiem, biednym Oskarem, który wkrótce miał być wygnany, lecz niestety! teraz zaczyna się smutna, wzruszająca drama mego życia rodzinnego.“— — —

Starzec ukrył przez chwilę oblicze w dłoniach i wewnętrzne jego wzruszenie było tak wielkie, że w tej chwili wcale nie czuł się w stanie, dalej mówić. Wreszcie zaczął znowu tak dalej;

„Przyjacielski mój stosunek do Eichenstammów trwał niewzruszenie. Ja wziąłem udział w założeniu fabryki chemicznej w pobliżu Wiednia, skutkiem czego często całemi dniami przebywałem zdala rezydencyi. Jakże radowały się zawsze moje oczy, kiedy znowu moją żonę i dziecko mogłem przycisnąć do serca! Tak upłynęło mi lat kilka szczęśliwego pożycia jakkolwiek już od dłuższego czasu zdawało mi się uważać, że pieszczoty Serafiny noszą na sobie piętno jakiegoś wykwintnego przymusu, w porównaniu z dawniejszą tak naiwną otwartością i czarującą serdecznością. Staralem się jednak zawsze sam w siebie wmówić, że się myślę, że

Serafina czuje się do najwyższego stopnia rozdrażniona częstą moją nieobecnością. Postanowiłem tedy zwinąć moją fabrykę pod *Wiener-Neustadt*, jakkolwiek interes był bardzo zyskowny i mój majątek powiększył się w trzy lata prawie o sto tysięcy guldenów, wszakże wyżej nad wszystkie skarby świata ceniłem moje szczęście domowe.—Na moje wielkie zdziwienie spostrzegłem że Serafina to moje postanowienie bynajmniej nie przyjęła z radością i starała się raczej namówić mnie, by fabryki wcale nie zwijać, i jeśli się rozmyślę, żebym założył na nowo podobny zakład pod samą stolicą. Nie odpowiedziałem nic, ale żądło zazdrości głęboko, bardzo głęboko zraniło moje serce. Zarządziłem czaty i dowiedziałem się, że Henryk von Eichenstamm, który kiedy się w Wiedniu znajdowałem, przez całe tygodnie odwiedził nas najwyżej dwa razy na bardzo krótko i zawsze udawał bardzo zajętego, codziennie po kilka godzin w moim domu przebywał, podczas mojej nieobecności. Podejrzenie moje, że po za temi wizytami kryje się karygodny stosunek, musiało dojść do pewności, gdyż tak mój kuzyn jak i żona o tych wizytach starannie przedemną zamilczali, nawet kiedy oboje ich w tym punkcie w dobry sposób badałem. Nawet służba mego domu brała udział w tym spisku, była bowiem na gaży nędzników, którzy mnie oszukiwali.—Postanowiłem tedy nabrać zupełnej pewności i zastępnie strasznie się zemścić na nim i na niej. Plan mój zaskoczenia z nienacka udał się; złapałem oboje w położeniu, które nie do-

puszczało żadnego kłamstwa żadnego wybiegu. Obdarzony herkulesową siłą wytrzepałem w napadzie szaleństwa nikczemnego uwodziciela i zdrajcę tak, że go jak nieżywego wyniesiono z mego mieszkania i zaledwie po kilku miesiącach mógł opuścić łóżko. Kiedy Eichenstamm'a usunięto na tragach z mojego domu, poszedłem porachować się z Serafiną, zaryglowała się w swoim pokoju, ale jednym kopnięciem nogą wysadziłem drzwi. W moim straszném rozjątrzeniu zostawiłem jój wybór, albo umrzeć z mojej ręki, albo własnymi rękami, by położyła koniec swemu shańbionemu ciału. Występna, padła przedemną na kolana i błagała o łaskę, lecz pozostałem niewzruszony. Było to z mojej strony szaleństwem, gdyż nosiłem się z zamiarem, tak siebie jak i małego Oskara zamordować, jak tylko niegodna kobieta wyda ostatnie tchnienie. Zgrozą i żalem przejęta, wątpiąc o wszelkiej pomocy, by z mojej władzy się uwolnić, wepchnęła sobie sztylet w serce, który jój z groźną miną podałem. Widok krwi, który jak strumień purpurowy z jój łona wytrysnął, wywołał we mnie taki przestrah, że mi włosy na głowie stanęły, i na szczęście zapominając o swoim zamiarze zamordowania także i niewinnego dziecka, jak przez furję gnany, wyleciałem z domu. Na ulicy schwytała mnie policya, gdyż zachowywałem się jak szalony, z podartymi sukniemi z rękami powalanemi krwią. Przez policyę zostałem odstawiony do Sądu karnego, gdyż obwiono mnie o zabójstwo bankiera von Eichenstamm i zamordowanie mojej małżonki. Po kilku tygodniach

wszakże Sąd uwolnił mnie z obydwóch zarzutów. Nawet mój kuzyn starał się, by się zemną łagodnie obeszli, co zaś do Serafiny, lekarz sądowy złożył świadectwo, że wówczas znajdowałem się w stanie niepoczytalności, i że z większym prawdopodobieństwem przyjęć można było że moja żona istotnie sama się zamordowała.—Pobudki, z których Ejchenstamm o przerwanie śledztwa prosił, o ile mógł występować jako oskarzyciel, nie wpływały jednak wcale z uczucia żalu lub pojednania. Lękał się on tylko skandalu, i następnie myślał nad daleko pewniejszą i straszniejszą zemstą za otrzymaną karę. Pewnego dnia zostałem przez policję aresztowany w zarzucie, jaki przy ówczesnym absolutnym systemie cesarza Franciszka i Meternicha dziesięć razy był cięższy, jak najcięższa zbrodnia. Zostałem tajemnie denuncjowany, że jestem wolnomularzem, i że z naczelnikami tego związku, utrzymuję niebezpieczną dla Państwa korespondencyą. Znalezione przy rewizyi moich rzeczy rzeczywiście moje insygnia jako członka francuzkiej loży, do której wpisałem się w Paryżu, za czasów okupacyi tego miasta przez związkowych.—Ponieważ wówczas służyłem w wojsku, uznano mnie naturalnie podwójnie zasługującym na karę. Również i moje listy, któremi zawładnęli pacholkowie nędznego Sedlnickiego, dostarczyły dostatecznej materyi, by mnie zupełnie skompromitować, jakkolwiek nie było w nich mowy o żadnym spisku. Przez cały rok siedziałem w więzieniu. Chciano także w Austryackich prowincjach wynaleźć współwinnych mego rewolucyjnego

działania, ale zapóźno, gdyż poprawdzie korrespondo-  
wałem tylko zagranicą, i to, wzywając Boga na świadka  
bez żadnych zamiarów przewrotu, a tylko w celu  
wymiany moich poglądów. Jakkolwiek wiedeński sąd  
karny z pewnością miał wielką ochotę, by znaleźć mnie  
winnym przekroczenia tego lub owego paragrafu, nie  
udało się jednak mnie potępić, lecz musiano dla braku  
prawnych dowodów przerwać śledztwo. Nieuzyska-  
łem jednak zaraz wolności, ale przesłano, jak to w owym  
świątym peryodzie absolutyzmu zwykle się zdarzało,  
papiery moje do tak zwanego politycznego rozporzą-  
dzenia naczelnika policyi. Sedlnicki, który raz już po-  
stanowił moją zgubę, stał się teraz pełnym gospodarzem  
nad moim losem. Ponieważ, jako zapisany do ksiąg  
ludności w Wiedniu, niemogłem być wydalony z granic  
państwa austriackiego, a z drugiey strony z góry już  
zdecydowano, bym niekorzystał z wolności, czy bym mógł  
być przez zwyczajne Sądy skazanym lub nie, kazano  
mi więc po prostu „zniknąć“ jak brzmiał w podobnych  
razach *terminus technicus*. Wśród nocy i mgły wywie-  
ziono mnie z Wiednia w szczelnie zamkniętym powozie  
i w dwadzieścia godzin późniey byłem mieszkańcem  
Spielbergu w Brünn, którego nie miałem opuścić przez  
całe życie. Przez całe pięć lat byłem tam zamknięty  
między rozbójnikami i mordercami w błotnistej i nie-  
zmiernie niezdrowej celi, z tych trzy lata w kajdanach,  
ponieważ pewnego dnia brutalstwo dozorey więzienia,  
zapłaciłem silnemi razami pięści. Przez ten czas sta-  
rałem się napróžno dowiedzieć, co się dzieje z moim

dzieckiem, z moim majątkiem. Prosiłem, błagałem, groziłem—wszystko napróżno. Byłem umarły dla tego życia, miałem Spielberg opuścić tylko trupem. Wtem dowiedzieli się „bracia“ z zagranicy o moim pobycie w owym nieludzkim więzieniu państwowem, którego dzieje pełne są niezliczonych zbrodni, jakie działy się w imię legitymizmu. Jakkolwiek ciężko było pomyśleć nawet o środkach i drodze mojego uwolnienia, wierni „bracia“ wytrwali, i po trzech miesiącach udało się nakoniec zręcznie obmyślany plan doprowadzić do skutku. Byłoby dziś za długo, mój drogi Flodoardo, zaznajamiać cię ze wszystkimi szczegółami. Dosyć że ciężko strąpiony i przesładowany, dostałem się wszakże szczęśliwie do Szwajcaryi. Było to w r. 1826. Ze Szwajcaryi udałem się do północnej Ameryki, troszcząc się przedtem napróżno o wydanie mego majątku. Dowiedziałem się tylko, że Henryk von Eichenstamm został przez władzę ustanowiony za kuratora mego syna i mojej pozostałości i uważano mnie już za zmarłego człowieka. Na skierowane ostateczne do mnie głupionaiwne żądanie, bym dowiódł osobiście przed austriackim sądem moją tożsamość osoby ze *znikłym* baronem Hugonem von Schancenau, naturalnie nie zwracałem żadnej uwagi, w Ameryce. uśmiechnęło mi się szczęście, pod względem materyalnym, bardzo życzliwie. Jakkolwiek bez jednego dollara wysiadłem na ląd, i dla przeprowadzenia się musiałem się wynająć jako prosty ciura okrętowy posiadałem już po trzech latach znaczny majątek. Spotkałem mianowicie jednego zupełnie

mi obcego „brata“, który umiał ocenić moje wiadomości i przyjął mnie zaraz za towarzysza swoich licznych zakładów przemysłowych. W roku 1833, a więc w lat siedm po moim przybyciu do nowego świata, byłem już bardzo bogatym człowiekiem. Serce mnie ciągnęło do Europy—ohciałem widzieć moje dziecko, gdyż Oskar jest rzeczywiście moim synem i mogłem tylko wątpić o tem w pierwszym napadzie szaleństwa i zmartwienia. Udałem się pod moim przybranym nazwiskiem Howarda do Wiednia, strzegłem się jednak, by nie zdradzić mego inkognito, jakkolwiek bowiem policya teraz mnie znała jako obywatela Ameryki, nadarzyło się by jednak sto środków dla Sedlnickiego, po raz drugi i to z pewnością z lepszym skutkiem kazać mi „zniknąć.“ Przecież udało mi się zobaczyć Oskara, nawet z nim rozmawiać, naturalnie nie zdradzając się, że jestem jego ojcem. Zostałem malcem zachwycony, i przebaczyłem prawie jego opiekunowi, co zrobił mi złego. Około owego czasu Henrykowi, który się przed kilkoma laty ożenił, urodziło się dziecko—to była Alwina „dumna Junona“, która później miała wywrzeć tak nieszczęsny wpływ na Oskara. Cieszyłem się urodzeniem tego dziecka, kiedy się dowiedziałem, że Eichenstamm objawił zamiar swój żonie, że kiedyś malca i jej córkę razem weźmie do siebie. Henryk mógł tedy uczuć wyrzut sumienia za to, co względem mnie zgrzeszył dwa razy. Ja zaś, dzięki niech będą Bogu, w owym czasie już tak serdecznie z żyłem się z duchem prawdziwego wolnomularstwa, że skłonny byłem przebaczyć z całego serca memu



śmiertelnemu nieprzyjacielowi, w razie gdyby istotnie skierował się do prawdziwej poprawy. Dosyć zadowolniony opuściłem tedy znowu Wiedeń. Mógłbym memu synowi oddać znaczne summy na kontynencie, ale zaniechałem tego umyślnie, gdyż spostrzegałem w chłopcu pewną skłonność do marnotrawstwa, głównie jakąś dozę lekkomyślności, dwie rzeczy, jakie odziedziczył po swojej nieszczęśliwej matce. Miał wzrosnąć w skromnym dostatku i chciałem wiedzieć, co on pocźnie ze swoim udziałem po dojrzeniu do pełnoletności. Possymistyczne moje przewidywania niestety zupełnie się sprawdziły. Kiedy mu po dojrzeniu do pełnoletności udział akuratnie wypłacony został przez Eichenstamma, przyszedł już w pierwszych latach przez dobroć i ślepe zaufanie w poczciwość ludzi do stracenia ostatniego grosza. Takiemu człowiekowi niepodobęstwem mi było oddać kiedyś ze spokojem mego, tymczasem do milionów wzrosłego majątku. Młodzieniec miał się pozbyć w szkole życia swój łatwowierności do ludzi i nauczyć się szanować wartość pieniędzy, kiedy będzie musiał je zapracować. Zresztą wiedziałem, że mój prawie o dwadzieścia lat starszy brat Jakób, z którym, mówiąc nawiasowo, nigdy nie byłem na dobrej stopie, gdyż byłem w oczach jego zanadto wspaniałomyślnym, mego siostrzeńca nieopuści, ale z drugiej strony wiedziałem także, że „stary gderacz“ od czasu do czasu tego go bierze w obroty, i cierpko mu dosyć odpłaca za robione przezeń długi. Jednak wrócemy teraz do domu, by zobaczyć jakie działanie wywarło na zwie-

rzędach podéjrzana woda, i czy istotnie zasypać należało studnię.

— Czy pan od roku 1834 nie byłeś w Europie aż do czasu, kiedyś swoją synową i troje dzieci wziął do siebie? zapytał Flodoardo w czasie powrotu, by pauzę wypełnić.

— Wcale nie, odrzekł Howard. W powrotnej drodze, jaką wówczas przedsięwziąłem do Genewy, miałem małą przygodę, jaką kiedy panu szczegółowo opowiem. To podwyższyło moją nienawiść do kobiet do najgłębszej pogardy, tak że na słowo wolnomularza, od owego czasu zamknąłem w sercu mojem przystęp zupełnie dla miłości drugiej płci. Naturalnie ta uroczysta klątwa niedotyczy Marji, gdyż kocham ją jak moją rolzoną córkę, i za nią ta istota zasługuje też by ją kochać.

— To drugie rozczarowanie spotkało pana więc przypadkowo na rok wcześniej jak ja ujrzałem światło dzienne wtrącił Flodoardo.

— Tak—pan urodziłeś się w roku 1835? odrzekł obojętnie Howard; tak, tak, jak to czas upływa! Trzy dziesiątki lat hm, hm, zmienia on wiele na tym świecie, a jeszcze więcej ludzi.

Wśród takich i podobnych rozmów zbliżyli się obaj panowie do domu. Na „ofiarach“ jak Howard słusznie wybrane stworzenia do doświadczeń toksykologicznych nazwał, były już widoczne oznaki zatrucia. Biedne ptaki straciły pierze, owce beczaly smutnie, wół zaś parskał chrapliwie. Tylko na starym koniu słabo było widać skutki działania, co potwierdziło wniosek,

że woda zatruta była arszenikiem, gdyż konie znoszą tegoż znaczną ilość (3—4 gramów) bez żadnej krzywdy.

Howard wydał rozkaz, żeby wszystkie te zwierzęta pozabijać, by im ułatwić śmierć. Następnie rozkazał stojącym w gotowości murzynom by tę studnię zasypali.

— Ten fatalny przypadek, rzekł starzec, zwracając się do Marji i Flodoarda, którzy obok niego stali, zmusza nas do opuszczenia tej okolicy, gdyż inne studnie dostarczają złej wody i zanim odkryjemy nowe zdadne do użytku źródło, upłynie zawiele czasu. Wrócimy się do naszego starego mieszkania nad „Klarwasser“. Grunta te podaruje pierwszej lepszej familji niemieckich wychodźców, jacy nam się nawiną, i będą mieli ochotę tutaj szczęścia próbować. Jednak do licha! gdzie też Aigner być może? zakończył Howard, rzucając z ukosa spójrzenie na Flodoarda, i przy tem zmrużając oczy na znak wzajemnego porozumienia.

— „*Lupus in fabula!*“ (wilk w bajce) rzekł Flodoardo wskazując ręką na jeźdca, którego widać było w odległości na 300 kroków.

— O, on idzie sam! zawołał Howard kiwając głową i niespokojny, to przecież nic złego nie znaczy.

— Z pewnością nie! uspakajał „biały prorok“ tonem przekonania! znam zanadto dobrze mojego kochanego tyrola. Byłby on zobaczywszy nas zaprzestał swojej śpiewki narodowej, gdyby nam miał przynosić złą nowinę.

## XXII.

### Ulotna księżniczka.

Z ową szybkością myśli, jaka znaleźć może jedynie rywała w telegrafach elektrycznych, musimy z owych lasów zrobić mały przeskok do Europy, by odwiedzić małą rezydencję księcia Ryszarda.

Z pewnością ucieszy czytelnika wiadomość że od dawna stan interesów kochanego i drogiego władcy Falkenstejn—Rothburg—Stixenhausen w owej chwili, mianowicie w r. 1865, w obec dawniejszego czasu, kiedy go ciężki ciężar długów jakkolwiek zawsze lekko-myślnego przygnębiał do ziemi, w bardzo znajdował się porządnym stanie.—Zacny Goldstern nie tylko dotrzymał słowa co do uregulowania trudnych finansowych stosunków księcia z obustronnem zadowoleniem, lecz także sławnie przepowiedział że „czarne dyamenty“ które dotąd jako martwe skarby leżały, zamienią się w czyste złoto.

Dzięki téj zmianie do lepszego, rozporządzał teraz książę czystem rocznym dochodem przeszło 200,000 talarów, summą więcéj jak dostateczną na skromne potrzeby Falkstejnskiego dworu, nadto ciotka Ulryka i pan Strickwitz dobrego starego księcia, tak że tego właściwie nie zauważył, wzięli w swoją opiekę we wszystkich kwestyach pieniężnych. Księciu podobało się to „mistrzowanie“, jak sam je nazywał, gdyż jarzmo,

jakie na niego dobra siostra nałożyła, nie było gniotące, i ponieważ do zadawalniania jego niewinnych głównych słabostek, mianowicie do zadawalniania gościnności i powiększenia skarbów biblioteki, dziesięć razy miał większe fundusze w porównaniu z „dawnymi złemi czasami,” byłby się miły staruszek, pomimo swoich 70 lat nad podziw żwawy i wesoly, nadzwyczaj czuł szczęśliwym, gdyby nie miał i on także na schyłku swego życia doświadczyć, że żadne szczęście zupełne być niemoże.

Adelgunda, jego jedyne, jego ukochane dziecię, którą do szaleństwa kochał, sprawiła mu mianowicie ciężki smutek, i głęboką bolesć, tak, cierpienie serca które biednemu ojcu gorzkie łzy wyciskało.

Księżniczka cierpiała umysłowo i z każdym miesiącem pogarszał się jej stan. Doktorzy poczytywali już sobie za obowiązek dać poznać, że księżniczka już bardzo, bardzo blisko jest owej linii granicznej gdzie melancholia i szaleństwo podają sobie bratnie dłonie.

Kiedy Flodoardo bez pożegnania się z nią wyjechał z Solmony, Adelgunda się zdziwiła i przez miesiąc wierzyła istotnie w bajkę, jaką książę ułożył na motywę tego niespodzianego odjazdu. Kiedy jednak blisko rok upłynął a Flodoardo, którego tak prawdziwie i z całym zapalem dziewiczej duszy kochała, niedawał ani jednego znaku życia o sobie, stała się niespokojną i nalegała z niezwykłą energią na swego ojca, by zasięgnął wiadomości. Zakłopotanie, jakie się odmalowało w słowach, minie, i zachowaniu się księcia przy téj familijnej scenie, utwierdziło księżniczkę w domniemaniach, że ja-

kies zaszło złowrogie zdarzenie w jój związku z Flodoardem, gdyż, że jój narzeczony się przeniwierzył, tego niemogła i niechciała nawet dopuścić.

Napróżno nalegała biedna księżniczka na zacną ciotkę i dobrego pana Strickwita, by jój całą prawdę odkryli. Ale pierwsza istotnie niewiedziała o co chodzi a ostatni co do niektórych wiadomości udzielonych mu przez księcia o Flodoardzie, był słowem wolnomularskim zobowiązany do milczenia, naturalnie więc pozwoliby sobie wprzód gardło poderznąć i język wyrwać, zanimby słowo wypaplał.—By z ojca swego coś wyciągnąć, dawno już Adelgunda zrezygnowała. Stan jój zdrowia z tego powodu powoli się pogarszał. Stała się z łagodnej drażliwa, chimeryczna, małomówiąca i zniechęcona.

Dobrzy przyjaciele księcia, jezuici, którzy z daleka bystre oczy zwracali na dwór w Falkstajnie, skorzystali z takiego położenia rzeczy. Umiano księżniczce zręcznie tak, że nikt nie wtajemniczony w Felkstajnie, nie mógł się niczego domyślać, od czasu do czasu przysyłać liściki, w których z trzeciej ręki dostawała wiadomości o Flodoardzie. Naturalnie wiadomości te nie były prawdziwe, ale ku większej chwale Boga“ według jezuickiego zwyczaju, do celu który wszelkie środki uświęca, nadzwyczaj zręcznie zastosowane. Przedewszystkiem doniesiono księżniczce że panna Eichenstamm znajdowała się na amerykańskim gruncie i tam też bawi Flodoardo, któremu zawsze w tych tajemniczych doniesieniach dodawano tytuł księcia Cozenca,

gdyż leżało w zamiarze „padalców“ żeby znana nam, w Solmonie między matką i synem zaszła scena dla Adelgundy na zawsze została tajemnicą.

Późniejsze listy donosiły, jak wiemy zupełnie nieprawdziwe fakta, że między Flodoardem i „dumną Junoną“ miało miejsce spotkanie, i jakkolwiek nigdzie nie było powiedziane, że między nimi zawiązał się powtórnie serdeczny stosunek, można było jednak jasne domniemanie tego czytać między wierszami.

Zdradziecko ta trucizna działała. Biedna Adelgunda w ten sposób, jakby sama z siebie, przyszła do wniosku, że Flodoardo, który jej się przენiewierzył zapalił się znów całą potęgą pierwszej miłości do Alwiny Eichenstam. Do podobnej niestałości nieprzypuszczała, żeby zdolny był kiedykolwiek Flodoardo. Bolesć i zazdrość szarpały odtąd jej biedne, tak godne miłości i kochające serce, jakkolwiek na pozór wyglądała zimna jak marmur, i przez to oszukała nawet kobiety bystry wzrok ciotki Ulryki. Wszelkich dokładała usiłowań, by zapomnieć o zdrajcy, ale napróżno Adelgunda kocha nie jak inne zwyczajne córki Ewy; wszystkie usiłowanie by Flodoarda wymazać ze swego serca, jeszcze go bardziej w nie wpajało, podobnie jak węzeł przez silne szarpnięcie nierozwiąże się, ale jeszcze mocniej zaciśnie. Wielokrotnie Adelgunda uczuwała ochotę, napisania do Flodoarda. I tu podstępnie zamaskowani „bracia nocy“ zajęli się wymianą pewnych korespondencji, naturalnie dla tego tylko by wyzyskać je na swoją korzyść, fabrykując fałszywe odpowiedzi. Zaw-

sze oburzała się jednak, na szczęście musimy to powiedzieć, duma księżniczki, kiedy słaba i opuszczona „listami gonila“ za wiarołomcą.

Przez długi czas pochlebiali sobie książę i ciotka Ulryka nadzieją, że może udać się będzie mogło zagoić rany serca Adelgundy przez drugą jej godną miłość, i czynny pan Strickwitz wkrótce miał długą listę pod ręką kandydatów, z których żaden pod względem charakteru, urodzenia i innych okoliczności nie mógł stanowić zlej partji. Naraz zaroilo się w Falkstejnii od przyjezdnych książąt i hrabiów, niezwykle ten jednak najazd obcych trwał zaledwie dwa tygodnie. Adelgunda bowiem już pierwszego konkurenta o jej rękę tak szorstko i prawie nawet w obrażający sposób przeprosiła, że nietylko wszystkim innym kandydatom odeszła ochota wyprawy do rezydencyi księcia, ale nawet ten z planów, by swęj córce wyszukać męża, spelnąć musiał na niczem, gdyż książę niechciał na siebie ściagnąć niezliczonych nieprzyjaciół.

Adelgunda czula się prawie w głębi duszy oburzoną, że w podobny sposób sądzono, że będzie można uleczyć cierpienia jęj serca. Rozdrażnienie jęj zwiększyło się uderzająco od czasu tego nieszczęśliwego usiłowania, i jeszcze bardziej teraz nieznosiła wszelkiego otoczenia. W jęj chorobliwym pobudzeniu nieznosnem jęj się nawet czasami stawało towarzystwo jęj ojca i ciotki Ulryki i całemi dniami zamykala się w swoich pokojach, pogrązona w ponuręj zadumie, która, jak już



wspomnieliśmy, w bardzo krótkim czasie mogła spowodować nieuleczoną chorobę umysłową.

Tym więcéj i bardziéj było nieprzyjemnem, kiedy księżniczka wyrwaną została ze swego niebezpiecznego letargu wizytą niespodziewanego gościa.

Gościem tym był nie kto inny jak słynny agitator Del Lucca, którego książe i Adelgunda dobrze z nazwiska i z rozgłosu, ale nie osobiście znali. Przyjęcie jego w Falkstejnii było naturalnie ze strony księcia nadzwyczaj przyjacielskie i serdeczne, gdyż on wiedział przecież, że śmiały dowódca „czerwonych“ na wszystko się odważył, by Flodoarda po dwa kroć wyrwać ze szponów świętego officium, że Del Lucca w katakumbach Rzymu drzał nie o siebie, i że nakoniec szczerze opiekował się tulaczem w Abruzzach,

Od dwóch lat Del Lucca znowu był pierwszym gościem którego towarzystwo znosiła Adelgunda bez przymusu, a nawet szukała raczej częstego z nim spotkania. Książe i Ulryka byli uradowani tym nagłym jak również i niewytłumaczonym zwrotem, który doktorzy z radością powitali. Del Lucca jeden odgadł wszakże, co mu wielką łaskę księżniczki zjednało. Odgadł on mianowicie zaraz w pierwszej chwili, że Flodoardo ciągle jeszcze wiernie i gorąco przez nią był kochany, jakkolwiek uważała go ona za niewiernego lub przynajmniej jako płochego. Umiał on tedy, kiedy miał zaszczyt towarzyszyć księżniczce na spacerze w parku, w pewnym czasie prawie codziennie się zdarzało, zawsze rozmową spowodować niby przypadkiem

na Flodoarda. Adelgunda rumieniła się i bladła na przemiany, podczas gdy Del Lucca rozwodził się w pochwałach o swoim przyjacielu, i zawsze kończył zapewnieniem, że nie należało wątpić w zacny charakter Flodoarda.

Adelgunda wprawdzie zawsze tylko była niemym słuchaczem, z ciekawością jednak przysłuchiwała się słowom pana Del Lucca i z konwulsyjnych niemal od czasu do czasu drzeń jej ust, z zapalania się jej wzroku dostatecznie można było się przekonać o natężonym stopniu jej uwagi i wewnętrznem wzburzeniu.

Chętnie się temu wierzy czego się życzy, i ta kardynałna zasada tem więcej da się zastosować do kochających. Księżniczka była już po kilku rozmowach z agitatorom najmocniej przekonana o stałości i niewinności swego narzeczonego. Jakkolwiek pod tym względem nie miała właściwie żadnej innej rękojmi, prócz kategorycznych zapewnień pana Del Lucca. Nakoniec zdobyła się Adelgunda, zrobić zapytanie, na czem właściwie Del Lucca opiera swoją obronę — otrzymała jednak wymijającą odpowiedź.

— Wasza Książęca Mości! rzekł agitator w pełnym szacunku ale stanowczym tonie; znajomość nasza jest jeszcze za krótka, bym mógł sobie pozwolić mówić pani o rzeczach, które być może w wysokiem stopniu obraziły by jej dziewicze ucho. A jednak kiedyś wręcz będę mógł pani powiedzieć, jak skoro pewne zewnętrzne okoliczności przewidywanych skutków nie spotkają żadnych przeszkód do swoich wyjaśnień.

— Mój panie! odrzekła Adelgunda prawie urażona; pan mówisz, grzecznie mówiąc, zagadkowo, gdyż nie chcę być tak niegrzeczną, bym pańskie słowo uważać miała za czczą gadaninę. Zresztą muszę zarazem co do pewnej części pańskiej mowy objawić nawet zdziwienie. Jeżeli Flodoardo istotnie takim pozostał, za jakiego go kiedyś uważałam, jakże tedy mogą pańskie objaśnienia moje ucho obrazić?

— Na miłość Boską, zawołał Del Lucca głęboko poruszony i łzy ukazały się w oczach dotąd tak męznego człowieka, nie zmuszaj mnie pani popełnić wielkie głupstwo, gdybym miał zawczasie powiedzieć czego byś pani, księżniczko, gorzko żałowała.

Ja nie chciałam pana obrazić; rzekła Adelgunda łagodnie słodkim podchlebnym tonem, który należał do głównych rysów jej całej istoty,—na Boga nie, ale co pan rozumiesz pod wyrazem *przedwcześnie*?—byłoby próżną rzeczą, gdybym miała przed panem człowiekiem tak byстрыm ukrywać, że Flodoarda zawsze kocham, że pańskie zapewnienia o jego niezmiennej prawości charakteru szczęśliwą mnie czynią. Tak, czuję teraz obudzające się we mnie nowe siły żywotne, gdyż chcę żyć, żyć dla niego.

— Dzięki, dzięki Ci, wielki Mistrzu Wszech świata, rzekł łkając Del Lucca, w tej chwili prawie odchodzący od zmysłów. Dzięki Ci, żeś mi dozwolił dokonać cudu zachowania tego kwiatu, dla „brata“. Gdybyś pani wiedziała, jak blisko mnie dotyczy Flodoardo i jak ciężko ja za niego i siebie odpokutowałem!

Agitator przy ostatnich wyrazach z wyrazem niewypowiedzianej rozpaczycy schwytał się za włosy i uciekł w szalonych skokach.

Adelgunda spoglądała za nim zdziwiona.

— Czy jest on przy zdrowych zmysłach? rzekła do siebie kiwając głową i wyszła z alei w pobliżu klatki niedźwiedzia, gdzie jej towarzysz w tak mało grzeczny sposób ją opuścił, udając się z powrotem do zanku.

W godzinę później służący przyniósł księżniczce bilet następującej treści.

*Jaśnie oświecona księżniczko!*

Obejściem się mojem dalem pani dostateczny powód do powątpiewania o moim rozumie lub do uważania mnie za człowieka źle wychowanego. Ach, gdybym mógł jednak istotnie być szalonym. Być może w ciemności ducha mniej czułbym gorzkie wyrzuty mego sumienia. Właśnie dowiedziałem się, że zacny książę już pojutrze przedsięwzemie od dawna projektowaną podróż do Berlina. Zaklinam panią, byś mu nie towarzyszyła. W godzinę po wyjeździe Jego księżęcej mości proszę panią, księżniczko, byś mnie przyjęła w obecności księżniczki ciotki Ulryki i zacnego Strickwitza. Dowiesz się wtedy pani szczegółowo części mojej tajemnicy, mianowicie o ile dotyczy Flodoarda. Aż dotąd unikam wszelkiego poufnego spotkania się z waszą wysokością jako bezcelowego, a nawet przeciw celowi. Nie byłabyś pani w stanie zachować się jak wypada w obec swego ojca. A więc raz jeszcze pozwól pani księciu jechać samemu, jeżeli nie chcesz

się pani na zawsze rzec Flodoarda. Tylko szybkie olbrzymie postanowienie, doprowadzi panią do celu.

Pani i Flodoarda najwierniejszy przyjaciel D. L.  
Falkenstejn 16 sierpnia 1865 r.

Dobrze, rzekła Adelgunda do siebie, skoro przeczytała bilecik, nie będę ojcu towarzyszyć, jakkolwiek pan Del Lucca bardziej jest człowiekiem nie do zrozumienia, im więcej stara się wyjaśnić. Że swoich wiadomości nie chce zakrywać przed dobrą ciotką Ulryką i naszym starym przyjacielem Strickwitzem, to mnie zupełnie uspakaja, jakkolwiek ciężko mi przychodzi, że cokolwiek muszę ukrywać przed moim kochanym ojcem. Czyż mogę jednak sprzeciwić się żądaniu pana Del Lucca? O Flodoarda toczę już od roku z moim sercem walkę na śmierć i życie; zwycięstwo chwieje się; mamże mieć jaki skrupuł o popadnięcie w straszny stan boleści, z rozpaczania, które się stało moim panem? Nie, nie, powinny być wygnane te złe duchy przed amora jasną pochodnią!

Tym czasem nadszedł czas zasiąść do stołu. Adelgunda przy obiedzie oświadczyła księciu, że woli zamiast pojechać do zdawna niełubianego przez nią Berlina, raczej pozostać przy ciotce Ulryce, której wiek daleko bardziej zaczął już dokuczać, jak młodszemu od niej o lat kilka bratu Ryszardowi.

Książę cieszył się tym postanowieniem swej córki, gdyż unikał przez to nieskończonej liczby wizyt, czego by nie mógł zrobić w Berlinie, gdyby mu tam księżniczka towarzyszyła. Powód który go zmuszał do udania

się nad romantyczne brzegi Sprei, wcale nie był przyjemny, gdyż boczna linia jego domu zmuszała go w nieco niegrzeczny sposób, jak gdyby już nie można było dłużej czekać na śmierć starego księcia, do szybkiego uregulowania stosunków sukcesyjnych wielkiego państwa Falkstejn-Rothburg-Stienhauzen, po za tym przedmiotem ukrywała się właściwie intryga Berlińskiego dworu, dla którego Książę Ryszard nie był „dość pruskim“ i dla tego hętnie by przelano jego prawa na korzyść uleglejszego następcy.

Znaczące spojrzenie Del Lucca, który siedział obok księcia, podziękowało księżniczce za spełnienie jego listem objawionej prośby.

Skoro książę na trzeci dzień wcześniej z rana wyjechał z Falkstejnu do Berlina, Adelgunda kazała powiadomić agitatora, by punkt o dziesiątej z rana mógł się znajdować w pokoju przyjęcia księżniczki Ulryki.

Ciekawość starej damy i pana Strickwita była nie mniejszą jak Adelgundy. Trzy te osoby już godzinę przeszło wcześniej się zebrały i gubiły się w tysiącnych domysłach czy Del Lucca będzie w stanie dotrzymać danej onegdaj księżniczce w parku przy tak wielkiem wzruszeniu obietnicy.

Przy pierwszym uderzeniu oznaczonej godziny kazał się zameldować Del Lucca. Z nadzwyczaj uroczą powagą zajął miejsce na krześle, które mu podał pan Strickwitz, jako mistrz ceremonji tego małego koła.

Agitator mówił przeszło godzinę bez przerwy. Zaczął on od szczegółowego opowiedzenia poprzednie-

go życia niegdyś zarówno rozwiązłej jak i obłudnej księżny Marji Cozenca, i naturalnie o tyle w sposób ostrożny, by nie ambarasować dwóch słuchaczek.

Zupełnie nieznaczenie doszedł do owej miłośnej przygody, której skutkiem był Flodoardo. Teraz dopiero przedstawił wzruszającą scenę, jaka się w Solmonie między naturalną matką i jej synem w obecności księcia odegrała. Del Lucca który w imieniu stronnictwa działania księżny Cozenca ciągle był usidlany siecią szpiegów, wiedział naturalnie zawsze dokładnie co się działo w domu jednej z najzawziętszych i najniebezpieczniejszych przeciwniczek Carbonerów.

Tak Adelgunda jak i ciotka Ulryka o mało co nie zemglały kiedy się dowiedziały, że Flodoardo jak się jego matka własna, matka bez serca dostatecznie wyraziła, był „*podrzuconym bękartem*“, któremu nie należało się ani nazwisko, ani majątek księcia Cozeny. Pan Strickwitz zrobił niesłychanie długą twarz; jakkolwiek człowiek wolny od przesądów, był on wszakże do pewnego stopnia zawziętym karmazynem, ztąd też nadzwyczaj go nieprzyjemnie dotknęło, gdy naraz się dowiedział, że człowiek którego on dotąd za księcia krwi uważał, właściwie według poglądów szlacheica, wcale nie był „urodzony“. Wkótce wstydzil się jednak tego niegodnego wolnomularza poglądu, i za pokutę za popełnione w myśli względem „brata“ przestępstwo zdobył się na wielkie postanowienie.

— Biedny, biedny Flodoardo łkając zawołały razem obie damy.

— Widzisz moje dziecię, rzekła nakoniec dobra ciotka Ulryka, kiedy może po kwadransie czasu ochłonęło pierwsze silne wrażenie, jakie wywołały wyjawienia pana Del Lucca,—widzisz moje dziecię jak to się najzaciejszych ludzi fałszywie do najwyższego stopnia niesprawiedliwie potępiac może, kiedy się nie zna pobudek ich postępowania. Tak, Gundi, powiadam otwarcie. Flodoardo przez swoje zaparcie się, stanął daleko wyżej i wznioslej, jak gdybyśmy kiedykolwiek sądziły. O! znam mego dobrego brata zanadto dobrze, z pewnością nie ociągał by się ani chwili co do postanowienia waszego związku, ale młody człowiek był rozsądny, jak nasz stary filozof, skoro to wspaniałomyślnie odrzucił, niechcąc Gundi wystawiać na smutne następstwa podobnego mezaljansu.

— Wybacz pani, księżniczko, przerwał dotąd tak potulny Strickwitz z niesłychaną w nim śmiałością i mocą, wybacz pani, jeśli ja co się tycze mezaljansu, zupełnie innego jestem zdania.

— Oho! zawołała ciotka Ulryka mocno zdziwiona. Adelgunda przeciwnie spoglądała błyszczącym wzrokiem na człowieczka, który dziś zdawał się jakby zmieniony. Del Lucca przyglądał się bystro trzem osobom i jego oko zdradzało, że się przyglądał tej zmianie rozmowy z wielkiem upodobaniem.

— I ja również ciągnął dalej pan Strickwitz czułem się przez udzielone nam odkrycia zrazu więcej jak zdziwiony—powiem otwarcie, byłem zgnębiony, zdumiony, ale już otrząsnąłem się z tego poglądu niegodnego wol-



nomularza, i teraz kiedy znam cały stan rzeczy, teraz czuję się obowiązany nawet najjaśniejszemu księciu zrobić wyrzut iż bardzo niesłusznie uczynił, skoro Flodoarda sciągnął z Solmony z jego drogi.

— Czy zdecydował byś się to zrobić? zapytała Ulryka kiwając głową, wiedziała bowiem jak balwochwalczo obóstwiał pan Strickwitz swego księcia przyjaciela i „brata“.

— Z pewnością bym się na to odważył, odrzekł z mocą Strickwitz. Jego Wysokość mianowicie dał mi pewne domysły, że jakieś bardzo ważne okoliczności spowodowały, iż Flodoardo zrzec się musiał tytułu i dziedzictwa domu Cozenca czasowo przynajmniej, jak Jego książęca mość łaskawie dodać raczył. O właściwym stanie rzeczy nie posiadał jednak żadnej wiadomości.

— Mój kochany Strickwitz, rzekła ciotka Ulryka, pan jesteś podstępny figlarz. Jak to często ja i Gundi naklaniałiśmy pana, by wydobyć od pana choćby najmniejsze objaśnienia co do powodu dziwnego zniknięcia Flodoarda, ale pan zostałeś niemy jak kamień. Czekał pan tylko zapłaci mi za to. Wszakże do rzeczy. Zostałeś mi pan dłużnym wyjaśnienia, dla czego pan po smutnym zdarzeniu w Solmonie nie uważasz za megalians małżeństwa Adelgundy z dziedzicznym księciem.

— Och! na wszystko odpowiem zawołał pan Strickwitz, w którego ciele dzisiaj zdawało się żeęszatan zamieszkał; przedewszystkiem muszę najpokorniej waszej

księżcej mości zwrócić uwagę na jej własne słowa. Flodoardo — raczyłaś wasza wysokość sama powiedzieć — Flodoardo przez swoje zaparcie się, stoi daleko wyżej jak byśmy kiedykolwiek sądzili! Hm! to zdanie, z którem z całej się duszy znaczy innemi słowy, że Flodoardo na moralnej wartości w obec ludzi, iż dla świata zaparł się tytułu i praw księcia, nie nie stracił, owszem, wartość jego przez to się tylko podniosła. Żeby on więc niegodnie chciał się stać przyczyną nieszczęścia Adelgundy, było by widocznie absurdem.

— Ale pan zapominasz o świecie, o świecie! przerwała ciotka Ulryka ożywionemu zapalem panu Strickwitz.

— Skończmy już raz z tym przedmiotem! wtrąciła teraz Adelgunda podnosząc się z fotela i z prawdziwie imponującą postawą stanęła między swą kochaną ciotką i panem Strickwitz, któremu rzuciła serdeczne spojrzenie najwyższej wdzięczności. Moja najdroższa ciotko, widocznie pod wyrazem świat myślałaś tylko o naszej strupieszalej Europie, w której z pewnością zaślubiny moje z Flodoardem nie tylko uważane by były za mezalians, ale nawet nazwane przez *haute volée* moralną zbrodnią. Dość jestem rozsądną, bym nie miała widzieć, że nie można się opierać takim pojęciom, inaczej prędzej lub później zakłóci się zmartwieniem i przykrosciami własne szczęście. Jednak znajdują się środki zaradcze: unika się stosunków, jakich naraz zmienić nie można. W moim przypadku naprzykład jedzie się do Bremy lub Hamburga, siada się tam na pierwszy lepszy

zaatlantycki parowiec, i porzuca się, jak skoro się tylko wstąpi na wolną ziemię nowego świata, nic nie znaczące tytuły na stronę. I tak też postąpię i to dziś jeszcze; w Ameryce dodała Adelgunda, sarkastycznie się uśmiechając, tytuł mój urodzonej księżniczki z pewnością dla mej przyszłości nie będzie potrzebny.

— Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach! zawołała ciotka Ulryka, z przerażeniem zalamując ręce, i dobra wiekowa dama, rzuciła gniewne spojrzenie na agitatora i pana Strickwitza, którzy dzielnemu postanowieniu Adelgundy przyklasnęli biciem w ręce i głośnym okrzykiem.

— Bynajmniej nie jestem słaba, kochana cioteczko! odrzekła księżniczka i objęła rękami starą damę, która zdawała się marzyć, — jeszcze dziś wieczór się odjedzie, gdyż pojutrze odchodzi parowiec z Bremy do New Jorku; ani na jedną godzinę nie opóźnię mego postanowienia.

— Ale twój ojciec! zauważyła stara księżniczka.

— Ach, ojciec! śmiała się Adelgunda, ojciec z pewnością w dwa tygodnie później wysiądzie na ląd w New-Jorku, — już ja to tak urządzę, że on w czas jeszcze przybędzie na nasz ślub.

— I sama chcesz przedsięwziąć daleką podróż? rzekła ciotka Ulryka strwożona, gdyż czuła, że jej pełna silnej woli siostrzenica niczem nie da się odwieść od swego postanowienia, skoro już nawet nie zważa na swego tak szanownego ojca. Z drugiej strony zacna dama po bliższej rozwadze w duszy oddawała słusność

Adelgundzie, że całego swojego szczęścia nie chciała poświęcić światowym konwenansom.

— Księżniczka w żadnym razie sama nie pojedzie, wtrącił znowu Del Lucca, jeżeli mnie wolno będzie, ofiarować moje usługi. I mnie także droga prowadzi do Ameryki. Opuszczam Europę na zawsze. Miałem z Flodoardem pełną treści rozmowę, której przedmiot w swoim czasie nie powinien zostać tajemnicą dla tego kola. Dalby Bóg, żeby Flodoardo słuchając rad moich, mi przebaczył. Jednak dość o tem czas wszyskiego nauczy, zakończył agitator tak głęboko wzruszony, że łzy ukazały mu się w oczach, przyczem jego piękne szlachetne rysy wielką boleść duszy zdradzały.

— Już znowu nowa zagadka, rzekła Adelgunda uprzejmym tonem, z wdzięcznością przyjmuję pańską propozycję. Służący i pokojówka stanowiąc będą cały mój orszak. A teraz do widzenia aż do obiadu. Moje interesa wkrótce będą załatwione.

Po tych słowach Adelgunda z radością i zarumienieniem ze wzruszenia jagodami znikła z pokoju.

— Szczęśliwy Flodoardo! szeptał Del Lucca, spoglądając za księżniczką.

— Ach, kochany Strickwitzu, rzekła wdychając ciotka Ulryka, będzie to smutna historia, gdy książę wróciwszy z Berlina, dowie się, że jego córka wyjechała.

— Nie podoba się, że my tutaj w Faleksteinie doznamy burzę, odrzekł Strickwitz, w którym znowu ocknął się dyplomata; pojutrze doniesiemy listownie Jego Wysokości do Berlina o nastąpionym odjeździe księżni-

czki. Prosto pośpieszy do domu. Tymczasem ominie go gniew i stawię tysiąc przeciw jednemu, przybędzie tu z uśmiechniętą miną, i pierwsze jego słowo będzie: dziateczki wyjeżdżam do Ameryki!

## XXII.

### Zastępca.

Ach! jakże czuję się dobrze! zawołał pan Howard, wyciągając się w swoim domu nad „Klarwasser“ wygodnie w fotelu; trzy całe tygodnie przepędziliśmy w drodze, by dostać się tutaj z dawnej naszej siedziby. Bogu niech będą dzięki, że pominąwszy nieco zmęczenia, jesteśmy wszyscy zdrowi i cali. A teraz kiedyśmy znowu na naszą własną ziemię wstąpili, pozwólmy sobie dzisiaj po pierwszej potrawie obiadu wypróżnić szklaneczkę za zdrowie wszystkich naszych kochanych blizkich i oddalonych.

Pani Schancenau, Flodoardo i jego Sancho Pansza pocziwy Aigner, którzy wraz z Howardem całe towarzystwo przy stole stanowili, tręcili swoje kieliszki ze starym panem, który uradowany nadzwyczaj na to spoglądał. Dwoje dzieci spało w sąsiednim pokoju, gdyż cała karawana, dopiero przed trzema godzinami przybyła nad „Klarwasser“, i wszyscy szczerze wyznawali, że mniej lub więcej bardzo byli strudzeni długą po większej części konno odbytą podróżą.

— Czy jednak Oskar istotnie wkrótce powróci? Czy jaka nowa przeszkoda nie odwlecze znowu jego ostatecznego przybycia? zapytała Marya, i łza miłosnej tęsknoty zawisła na rzęsach jej pięknych oczu.

— Ach, łaskawa pani! rzekł Aigner, nie moja jest wina, że pan Schancenau przed kilkoma tygodniami musiał znowu powrócić z Cincinnati do New-Iorku, zamiast pojechać ze mną do państwa, jak to było ułożone. Dobry człowiek gcrzkie łzy wylewał, kiedy honor mu za obowiązek nakazywał, iść za wezwaniem ministra wojny, by co do kilku znacznych defraudacyi, jakich dopuścili się jego porucznik i kassyer pułkowy, wykazać swoją własną niewinność, co mu zresztą nie przyjdzie z trudnością. W ciągu tygodnia, jednak powinniśmy się go tutaj na pewno spodziewać. Jakże się zacny ten człowiek ucieszy, gdy oprócz Alfreda i Minny, które tutaj sądził, że spotka same jako sieroty, odnajdzie swoją małżonkę i ujrzy rodzinę swoją powiększoną o trzeciego potomka.

— Tak, daj Boże! zawołał stary Howard z rozjaśnionym wzrokiem; szczęśliwą to będzie ta chwila powtórnego spotkania. Dobry Oskar! Długi i ciężki był czas jego próby, ale już go przeszedł; z szczęście jego przyszłości będzie nadal niezakłócone i z spokojem mogę go „braciom“ polecić jako mego następcę.

Starzec długo i szeroko rozwodził się nad wieloma pięknymi planami, jakie już od dawna we wszystkich szczegółach ułożył, by los swoich zarówno przyjemnym dla nich jak i dla ogólnych interesów ludzko-

ści pożytecznym uczynić, gdyż człowiek taki jak Howard nie może nigdy oddzielać własnego ja, od dobra i dążeń ogółu.

W ten sposób zbliżył się wieczór. Wszyscy zrzekli się dzisiaj chętnie kolacyi, lecz udali się w rzeczywistości znaczeniu tego wyrazu na spoczynek razem z kurami.

Ale jakże miłe obudzenie się po dwunasto-godzinnym do śmierci podobnym śnie! Wszyscy na duchu i ciele świeżo pokrzepieni zebrali się następnego rana na śniadanie do wielkiej altany na wzgórkę, z kąd napawać się można było czarującym widokiem na rzekę i całą okolicę na kilka mil w około.

Po skończeniu kawy i kiedy trzej panowie zapalili drogie i wonne cygara, Howard spojrzął przypadkowo, który na swój wiek cieszył się jeszcze nad podziw bystrym wzrokiem, w kierunku, ciągnącej się drogi do Cincinnati.

— Ej do kroćset! zawołał zrywając się nagle i wesoło klaszcząc w ręce, — widzicie, widzicie tam ową małą grupę jeźdźców czyżby to miał być mój syn? Jednak nie — któż by to miał być ta elegancka dama przy jego boku? Czyby może chciał sprowadzić guwernantkę dla swoich dzieci albo może wiezie ze sobą towarzyszkę! Hm! Byłaby to głupia historia! Przy tych słowach rzucił ukośne spojrzenie na Maryę, która się zarumieniła i konwulsyjnie sięgnęła ręką do serca, które zdawało jej się w tej chwili być przebitem tysiącami sztyletów.

— Cóż to znowu. odrzekł Ajgner, wpatrując się sokolim wzrokiem w będącą w mowie grupę, która jeszcze może o jakie ośmset kroków oddaloną być mogła; — ów mężczyzna przy boku damy nie jest pan Schancenau, albo ja nazwę się przez całe życie ślepym gawronem. Co u licha! Tę kobietę już gdzieś kiedyś widziałem. Czegoś tak „wykwintnego“, takiej postawy na koniu nie zapomina się nigdy. A, już wiem, już wiem mój Boże! mój Boże! Byłoby to możliwem, nie mogę prawie wierzyć, byłoby to więcej jak cudem! Tak, tak, a jednak tak jest! Łaskawy panie! zawołał zwrócony do Flodoarda i zaczął lecieć o ile go mogły unieść jego żwawe nogi, to jest księżniczka—tak, tak, to Adelgunda!

Flodoardo, silny, polen sprężystości mężczyzna, który śmierci tak często bez obawy w oczy spoglądał; zaczął drzeć jak liść osikowy. Był blady jak śmierć, napróżno usiłował podnieść się, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Zakręciło mu się w głowie i bez zmysłów zsunął się na koniec z krzesła na podłogę.

Z ciekawością pospieszyli Howard, Marya i dzieci za tyrolem, sądząc naturalnie, że Flodoardo nie zostanie w tyle. Któż więc opisze ogólne zdziwienie, kiedy przybyli spotkali się ze spieszącymi na spotkanie a Flodoarda nie było. Spiesznie udali się wszyscy do altany, gdzie ujrzano „białego proroka“ leżącego bez zmysłów.

Z głośnym krzykiem rzuciła się Adelgunda na leżącego bez duszy kochanka, okrywając go pocałunkami. Wszyscy potracili głowy i razem płakali i krzyczeli.



Tylko Del Lucca zachował dość przytomności umysłu, by wiedzieć, co przede wszystkim zrobić wypadało. Wydobył on lancet z kieszeni i puścił krew bezprzytomnemu. Był już na to bardzo wielki czas; kilkoma minutami później byłaby prawdopodobnie apopleksya zaabiła pełnego życia młodego człowieka.

Powoli przyszedł Flodoardo do siebie. Rozglądał się błędnymi oczami w około siebie i zaledwie mógł wyjąkać wyrazy: Ach, jakież piękny sen! Jakież piękny sen!

— Nie, nie! zawołała księżniczka upojona radością i bez przerwy okrywając twarz ukochanego niezliczonymi pocałunkami, to nie jest wcale sen, jestem twoją, zostanę twoją, mój Flodoardzie!

— Gundi, Gundi! zawołał Flodoardo ze wzniesionymi rękoma i rzewnie błagalną miną. Gundi, ty nie możesz mnie kochać i nie kochałabyś mnie, gdybyś wszystko wiedziała!

— Ależ ja wiem wszystko, wszystko, mój Flodoardo, ty, moje życie, moja rozkosz, mój świat, moje królestwo niebieskie!

— Wiesz wszystko i jednak przybyłaś? wyjąkał niedowierzająco Flodoardo.

— Tak, przybyłam, by zostać przy tobie, przybyłam, by ci swoją rękę ofiarować, którą wspaniałomyślnie odrzuciłeś!

— Daj pokój wszelkiemu dalszemu oporowi, mój drogi „bracie“, rzekł Howard, wchodząc na tę chwilę, prześcigi w szlachetności pojęć, czynią was równymi sobie.

Flodoardo, który się przy pomocy Del Lucca i Ajguera podniósł z podłogi, rzucił się na piersi Adelgundy.

Howard, Del Lucca, Ajgner i Marya oddalili się z cicha, zostawiając ukochanych samych w altanie.— Pani Schancenau głośno płakała z radości a trzej panowie nie wstydzili się i nie mieli się nawet czego wstydzić, gdy i im się serce przepęliło i zapaliły się jasne łzy na ogorzałych policzkach.

W małą godzinę później weszli Flodoardo i Adelgunda pod rękę do mieszkalnego domu, gdzie tymczasem pani Schancenau z niesłychaną troskliwością i zajęciem tysięczne już porobiła przygotowania, by swoich kochanych gości umieścić i ugościć.

Z zadowoleniem spoglądając, pomagał jej w tem Howard, ale również i on tak był wzruszony, że miały miejsce liczne komiczne usterki.

Nakoniec wszystko było o tyle w porządku, że można było zasiąść do stołu. W domu Howarda było zwyczajem, że do obiadu siadano w samo południe, gdyż zwykle wstawano bardzo wcześnie.— Narzeczona para bardzo mało jednak korzystała z przygotowanych ze zbytkiem i w wykwintnym dobrze potraw. Del Lucca widocznie się przymuszał do okazywania wesołości i z trudnością tamował westchnienia, jakie rozdzierały jego serce.

Smutek Del Lucca nie znikł bynajmniej w ciągu następnego dnia, który piękna para narzeczonych nad „Klaiwasser“ spędziła w najpełniejszym szczęściu na

ziemi,—owszem powiększył się jeszcze. Pewnego rana zapakował agitator swoje rzeczy, gdyż miał zamiar wydalić się bez pożegnania.

Może będzie lepiej, mówił do siebie, że dobry Flodoardo nigdy się nie dowie, jak blisko siebie stoimy przez węzły natury i jak strasznej dopuściłem się zbrodni względem niego i siebie. Ucieknę w głębokie lasy, być może tam palka dzikiego lub żądnego krwi jaguara uwolnią mnie od moich cierpień. Okropne, okropne! Dokąd mnie to zaprowadził zapał dla sprawy rewolucji. Czyż byłem lepszy od tych, których teraz zwyciężyłem? Czyż i dla mnie także cel nie uświęcił środków? Czyż cofnąłem się kiedy przed ostatecznością, kiedy spełnienie moich planów wymagało życia ludzkiego? Ach—jakże strasznie i mnie także dosięgła Nemezis?! Błogość i spokój uciekły odemnie nazawsze, złe sumienie nie dało mi chwili spokojności—napróżno uciekałem od miejsca mojej ostatniej i największej zbrodni; świadomość o mej niegodziwości nawet za oceanem została moim nierozdzielny towarzyszem, i tylko śmierć, okropna śmierć może przebłagać cienie zamordowanej. A więc dalej wśród nocy i mgły—nie powinienem dłużej tego przybytku spokoju kazić moją nędzną obecnością. Z najbliższego miasta zapoznam listownie z moją winą zacnego Howarda—niechaj wyrzeczy na mnie wyrok, a poddam mu się z pokorą, choćby mnie nawet zupełnie potępił.

Przy tych słowach Del Lucca chciał podnieść z ziemi już upakowaną torbę podrózną, by się pocichu wśród wieczornego zmroku z domu wysunąć.

Wtem uczuł się schwytanym za ramię. Howard podслуchał jego głośny monolog. Szlachetny starzec spoglądał na schwytanego przestępcę, śmiertelnie przestraszonego agitatora poważnie, lecz łagodnym wzrokiem i rzekł.

— Do czego piśmiene wyznania, kiedy sprawa może się prościej i lepiej ustnie załatwić. Sądzę jednak że w każdym razie zasłużę na pańskie zaufanie, i co „brat“ „bratu“ jak na spowiedzi wypowie, pewniej się zamknę w przyjacielskiej piersi. A więc żadnych niepotrzebnych figlów, mój kochany del Lucca.

Agitator opuścił torbę podróżną na ziemię, i zakrywając twarz obiema rękami, zawołał głęboko wzruszonym głosem:

— Niech i tak będzie; przypadek chce, aby mi nie została oszczędzoną hańba ustnego wyznania, i w imię Boga zastosuję się do pańskiego życzenia. Tak, chcę więcej jeszcze uczynić i Flodoardo niech będzie obecny.

— Zgoda, odrzekł przyzwalająco Howard: udamy się do wielkiego pawilonu w parku; każę tam przynieść światła i Flodoarda do nas poprosić.

Howard wziął pod ramię młodego człowieka, który głęboko boleścią przybity, ze spuszczoną głową przy jego boku postępował. Flodoardo, wezwany przez Menelausa, pospieszył zadość uczynić uczynionemu wezwaniu, jakkolwiek, jak cały upłyniony dzień, znajdował się w czarującym towarzystwie Adelgundy i Maryi. Obiedwie damy umierały z ciekawości, co się właściwie odbywało w pawilonie, ale murzyn prośbę Howarda, by Flodoardo sam tylko przybył, sumiennie pow-

tórzył, tak więc musiały księżniczka i pani Schancenau ze względów przyzwoitości pohamować swoją bardzo uzasadnioną ciekawość.

Howard wziął na siebie; rozpoczął rozmowę. Del Lucca nigdy by się nie zdecydował od razu przystąpić do swoich wyjaśnień, i Flodoardo spoglądał już to na starca, już na agitatora, który to ostatni pochylił lekko głowę ku ziemi i odwrócony był na stronę niby obraz bolesny najwyższej rozpacz.

— Mój kochany Flodoardo, zaczął Howard wzruszonym głosem, jakkolwiek treści wyznań, jakie teraz mamy usłyszeć, nie znam bliżej, mam jednak słuszny powód przypuścić, że potrzeba nam wielkiego zasobu braterskiej miłości, by ze spokojem wysłuchać je z ust pana Del Lucca i następnie osądzić je bez uprzedzeń i z pobłażaniem. Mów więc pan, mów pan, mój bracie; zakończył starzec z łagodną uprzejmością trącając w ramię agitatora.

— Niech więc i tak będzie odrzekł tenże z rozpaczliwym postanowieniem.

Trzej panowie zajęli miejsca. Del Lucca zaczął: Obydwóm wam, „bracia moi, dokładnie jest wiadomo, z jaką energią i zarazem z jak wielkim skutkiem ja w imię „młodych Włoszech“ toczyłem walkę przeciw naszemu śmiertelnemu wrogowi. Bez żadnej przesady ja i moi nieprzyjaciele, przechodziliśmy często po trupach. Wszelki wzgląd, nawet wszelkie uczucie ludzkości było dalekiem od nas w długich zaciętych walkach o byt. Zdarzyło się tedy przed trzema miesiącami, że księżna Marya przez nasze „tajemne sądy“, ponieważ ona

panu Flodoardo, zabrane miliony przekazała „braciom nocy“, na śmierć skazaną została. W podobnych wypadkach los rozstrzyga pomiędzy członkami straszego „związku Orsiniego“, kto ma wykonać wyrok tego nieubłaganego krwiożerczego sądu. Wypadek chciał, że moje nazwisko wyciągnięto z urny. Według praw wzmiankowanego związku, moje własne życie było zagrożone śmiercią, gdyby w przeciągu trzech miesięcy skazana nie została zgładzoną ze świata w sposób, jaki mi się spodoba. Wykonanie nie robiło mi żadnej trudności. Liczna służba księżnej znajdowała się na tajemnym żołdzie stronnictwa czynu; byłoby więc dla mnie rzeczą łatwą podać jej przez trzecią osobę kubek z trucizną. Wszakże wedle naszych statutów „wykonawca“ spełnienia kary nie może przenosić na inną osobę, jeżeli wyjątkowo szczególne powody nie czynią niemożliwym bezpośrednio wykonanie wyroku. Księżna sprowadziła się do wspaniałej willi w bliskości Albano; z jej kiedys tak licznego orszaku, towarzyszyło jej teraz tylko kilka osób, ponieważ była bardzo chorowita i goręcej jak kiedykolwiek oddawała się pokutom. Przez moich agentów wpuszczony na noc do parku przez tylną furtkę, wcisnąłem się niepostrzeżony do sypialni księżnej, kiedy ta odprawiała modlitwy wieczorne w przyległej kaplicy. Wmieszczę do kubka, jaki na etażerce stał przy jej łóżku, przyniesioną truciznę, gdyż dowiedziałem się od moich ludzi, że zawsze przed udaniem się na spoczynek zwykła kubek do dna wypróżniać. Następnie ukryłem się w rodzaju alkowy, jaka znajdowała się w sypialni i zakryta była ciężką jedwabną zasłoną. Chciałem być

pewniejszy, czy księżna istotnie wypije zabójczą truciznę; gdyby zaś nie dotknęła złowrogiego napoju, byłem stanowczo zdecydowany sztyletem wykonać nieodwołalny wyrok. Za ledwie pół godziny oczekiwałem w moim ukryciu, gdy księżna wolnym krokiem weszła do sypialnego pokoju. Wyglądała tak mizernie tak zmęczona życiem, że prawie litość uczuwałem i przez chwilę zachwiałem się w moim morderczym postanowieniu. Jej kiedyś tak bujne kształty były w okropny sposób wychudzone, a chorobliwa czerwoność policzków jak również suchy, ochryply kaszel aż nadto wyraźnie zdradzały, że skończy na suchoty. Również i inne dziwne mnie ogarnęło uczucie, gdy byстрым wzrokiem przyjrzałem się księżnie. Jakiś wewnętrzny głos doradzał mi, bym nie spełnił zabójstwa. Straszna tęsknota jakaś mną ośwładnęła, śmiertelny pot wystąpił mi na czoło, i ja, który po tysiąc razy śmiało w oczy śmierci zająrzałem, zacząłem drzeć i dzwonić zębami. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Pasowałem się z postanowieniem i mimowolnie spuściłem księżnę na chwilę z oczu. Kiedy znowu na nią spojrzałem, właśnie przyłożyła kubek do ust, mimowolnie wydałem okrzyk, przestraszona postawiła księżna na powrót kubek na etażerke i słuchała, ale połowę napoju wypijała.

Howard i Flodoardo zakryli twarze swe rękami i zgrozą przejęci obrócili się na stronę. Flodoardo, którego oczy pełne już były łez, zaczął lkać z cicha, gdyż księżna jakkolwiek tak surowo i nie po ludzku się z nim obchodziła, zawsze jednak była jego matką, jego rodzoną matką.

Już było za późno! ciągnął dalej Del Lucca ponurym głosem: nawet ta połowa, którą księżna już wypila, musiała śmierć sprowadzić. Teraz nawet lepiej by było, gdyby była wszystko wypila, gdyż wtedy ostatnia jej walka byłaby krótszą, podczas gdy teraz może przez kilka dni jeszcze znosić musiała straszne męczarnie. Wskoczyłem z mego ukrycia.

„Nieba! Del Lucca!“ zawołała księżna, w tej chwili odgadując cały związek rzeczy, kiedy mnie zobaczyła, gdyż w Paryżu i Wiedniu kilkakrotnie mnie spotykała. „Pani“, rzekłem prawie bezprzytomny, przygotuj się do prędkiego końca; wypilaś pani truciznę, na którą sztuka ludzka nie zna żadnego lekarstwa. Spodziewałem się, że księżna wołać będzie o pomoc, i bynajmniej nie myślałem, ratować się ucieczką; w owej chwili byłoby mi zupełnie obojętnem, popaść w ręce sprawiedliwości. Na moje jednak wielkie zdziwienie księżna zachowała się najspokojniej; zmierzyła mnie jednak długą chwilę przeszywającym wzrokiem i nakoniec rzekła: „Tak, to straszna Nemezys, która każdy niegodny czyn prędzej lub później ukarze. A więc pan właśnie, pan musisz być moim zabójcą?—Ten spokój, to pojednanie się z koniecznością ze strony księżny miało coś niezwykle imponującego w sobie; podobnej wielkości duszy w zepsutej fizycznie i moralnie istocie przez „braci nocy“ nigdybym się był nie spodziewał. Nakoniec zbliżyła się księżna do stojącej w rogu sypialni żelaznej szkatułki, otworzyła ją pewną ręką, wyjęła z niej pakiet papierów i podała mi takowy. „Z dokumentów tych“, rzekła księżna ze straszną



powagą, z dokumentów tych dowiesz się pan, kogo zamordowałeś, to będzie pańska kara tak jak z mojej winy ujrzałeś pan światło dzienne. Tylko o jedno proszę pana na jego słowo honoru nie zaglądać pan do tych papierów, dopóki ja będę przy życiu. Czy mi pan to przyrzekasz? Dałem żądane przyrzeczenie.

Teraz, odejdz pan, zawołała księżna rozkazującym tonem, czuję, że trucizna działać zaczyna. Oduurzony, niemal obłąkany skierowałem się do wyjścia. We drzwiach raz jeszcze się zatrzymałem, by rzucić ostatnie spojrzenie na księżnę, gdyż nie wiem dla czego chętnie bym jej rzucił się do nóg, by błagać jej o przebaczenie. Spostrzegłem, że właśnie teraz wypróżniła kubek do ostatniej kropli. Tak, tak, zawołała prawie szyderczym tonem, pańskie dzieło nie powinno być spełnione w połowie, wola Opatrzności musi być wykonana! Jakby przez tysiące furyj ścigany, uciekłem z willi. Ukryłem się w Albano w domu współprzysięgłego. Następnego rana rozszerzyła się w miasteczku wiadomość, że księżna Marya Cozenca znalezioną została nieżywą w łóżku. Teraz wolno mi było przejrzeć oddane mi w taką straszną chwilę papiery. Myślałem, że oszaleję, gdyż słuchajcie, słuchajcie i pojmijcie następnie nieskończoną boleść mojej duszy, straszne katusze mego sumienia, gdyż Marya, księżna Cozenca, była moją rodzoną matką, tak jak była i twoją, mój biedny, kochany Flodoardo, mój bracie!

Głośnym krzykiem odpowiedzieli Howard i Flodoardo na to niespodziewane odkrycie Del Lucca. Szlachetny Flodoardo roztworzył szeroko ramiona nie-

szczęśliwemu agitatorowi i łkając serdecznie ściskali się dwaj bracia.

Kiedy nakoniec uspokoiło się nieco straszne wzruszenie trzech panów, Del Lucca znowu przyszedł do słowa:

„Nie jest to żadne złudzenie, że ja jestem istotnie synem księżny Cozenca. Papiery te dowodzą niewzruszenie, że późniejszy jezuita John, albo właściwiej Teobald Ferguzon już na dwa lata wcześniej, zanim zaślubiła księcia Cozencę, miał z księżną Hohoneck miłosne stosunki i że owocem tych stosunków byłem ja, który urodziłem się w Bolonii i oddany zostałem do miejscowego domu podrzutek pod nazwiskiem Giovanni Del Lucca. W dziesiątym roku życia oddano mnie do szkoły jezuitów, gdyż miałem zostać jednym z pobożnych ojców. Ale wolałem uciec z konwiktu w piętnastym roku życia. Jeden z członków tajemnego rządu „młodych Włoszech“ zajął się mną i wyrosłem tym, jakim później zostałem pod jego kierunkiem i przy własnych moich zdolnościach“.

— Ach Giovanni! rzekł Flodoardo, ze współczuciem spoglądając na agitatora, z którego twarzy przemawiały żal i rozpacz, ach Giovanni! Pod jednym względem jesteś jednak szczęśliwszy odemnie; ty wiesz przynajmniej, kto był twoim ojcem, choć byś nawet nie miał powodu, być dumnym z niego. Ja zaś, ja, co kiedyś dzieciom moim odpowiem, gdy zapytają mnie o imię dziadka?

— Zdaj się na los, odrzekł z powagą Del Lucca kto wie, czy się kiedy tak samo nie dowiesz, jak ja. Co do

mnie wolalem nie dowiadywać się o imię mego ojca jak dręczyć się wiadomością, że to jest nikczemnik, jak ów Ferguzon. Ty posiadasz dwa szacowne skarby Adelgundę i czyste sumienie; obys się ich nigdy nie pozba-  
wił. Teraz jednak pozwólcie mi iść dalej w pokoju. Lżej mi na sercu przez szczere wyznanie mej winy, lecz z drugiej strony czuję za nadto dobrze, że obecność moja przykrą by była dla Flodoarda, gdyby mi nawet przebaczył, że jestem mordercą jego, naszej matki! Wyświadcź mi tylko Flodoardo jedną ostatnią braterską usługę. Doradź mi, co mam teraz począć, bym mógł choć w części odpokutować za moją wielką zbrodnię. Bóg mi świadkiem! Im cięższą będzie pokuta, jaką mi naznaczysz, tem bardziej wdzięcznym ci będę.

— Pozwolicie mi zrobić propozycyę, moi przyjaciele, zapytał Howard stojąc między dwoma braćmi.

— Mów pan w moim imieniu, rzekł skromnie Flo-  
doardo.

— Dobrze tedy, zaczął Howard, obejmując ręce dwóch braci, wysłuchajcie mego zamiaru. Del Lucca ma słuszną, skoro niegodny swój czyn w Albano odpokutować chce przez dobre uczynki. A jakiesz może to spełnić lepiej, jak gorliwie i energicznie dalej budując dla dobra ludzkości piękne, wzniosłe dzieło, jakie nasz „biały prorok“ do życia powołał. Zamiar mój więc jest taki, żebyś pan Del Lucca od dnia dzisiejszego był zastępcą Flodoarda w kierowaniu i dalszem rozszerzaniu w duchu ludzkości już tak pomyślnie się rozwijającego „niezależnego zakonu czerwonych ludzi“. Awanturnicze wyprawy w głąb osad i lasów, nadal nie

są możliwe, dla rozpoczynającego młodego małżonka, jak Flodoardo, i jestem przekonany, że książę, którego z pewnością niezadługo powitamy na amerykańskim gruncie, wszelkim wpływem musiałby się sprzeciwić, wiedząc że jego zięć wystawiony będzie na nieustanne niebezpieczeństwa missyi. Witam tedy z radością zrządzenie okoliczności, które pana Del Lucca sprowadziły tutaj. Czy chcesz pan zrozumieć palec Opatrzności która mu daje sposobność odpokutowania za jego błędy, skoro pan w usłudze ludzkości przez rozszerzanie światła i miłości braterkiej rozproszysz ciemności wielu pokoleń?

—Chcę tego, i tak niech mi Bóg dopomoże odrzekł Del Lucca z mocą i podniósł trzy palce prawej ręki do uroczystej przysięgi. Wziąwszy się pod ręce powrócili trzej panowie do dam, do domu.

## XXIV.

### Dobry koniec, wieńczy dzieło.

Już następnego rana wyruszył agitator do pierj zachodu, by tam jako zastępca „białego proroka“ czerwonych ludzi rozpocząć swoją rolę. Przy rzadkich zdolnościach Del Lucca nie powinno nas dziwić, iż tenże z zadziwiającą szybkością płynnie wyuczył się rozmaitych djałektów indyjskich. Dalej należy wspomnieć, że Del Lucca, jako dowiedzieliśmy się z niedawno otrzymanego od niego listu, został przez dzikich przyję-

ty jako poseł ich pierwszego messyasza, do którego był bardzo podobny z miny i postawy i w swoich licznych działaniach, by skłonić koczujące nomady do kultury, zaczynał znajdować pociechę i spokój za swoją przeszłość.

Del Lucca oddane mu przez księżnę Cozencą papiery zostawił w rękach Howarda. Starzec i Flodoardo po wyjeździe agitatora zabrali się, by papiery te przejrzeć nieco bliżej. Obejmowały one prócz kilku urzędowych dokumentów także i całą korespondencję, jaka przez kilka lat miała miejsce między Ferguzonem i jego księżęcą kochanką. Howard przecierał sobie oczy kiedy znalazł przed sobą pisane ręką księżny listy.

— Niepodobna, niepodobna! szeptał on po kilkakrotnie do siebie, wpatrując się zarazem we Flodoarda, który w swojej gorliwości, z jaką czytał korespondencję Ferguzona, nie zauważył wielkiego wzruszenia staro-pana. Wreszcie skoczył Howard z krzeselka i pobiegł do swego biurka, z którego dobył mały pakiecik listów.

— Na Boga! krzyknął Howard, odchodząc prawie od zmysłów, niema wątpliwości, ona więc była! Nieba, co za odkrycie o, o, jakże szczęśliwy jestem w tej chwili Flodoardo, Flodoardo do mego serca, *znalazłeś twego ojca.*

— Tak, tak! ciągnął dalej starzec w najwyższem uniesieniu, ty jesteś moim synem, gdyż owa znakomita dama, w której po mojej ucieczce z Austrii do Genewy przelotnie się kochałem, była ona, księżna Marya Cozencą. Oto czytaj te listy, które od niej dostałem, to jest podobne pismo, jest w tych, które do Ferguzona pisała.

— Ach, moje przecucie! zawołał Flodoardo, serdecznie ściskając swego ojca; tak, tak, głos krwi nie jest żadnem urojeniem! Jakże się czułem szczęśliwym, kiedy pana pierwszy raz ujrzałem; to było więcej jak przyjaźń i szacunek, kiedy serce moje zdawało się, że się rozsadzi, to była miłość syna dla ojca!

Stary Howard blizkim był oszalenia z radości, Biegał i skakał po pokoju wzdłuż i wszerz, jak swawolny chłopiec. Chłapas, jaki przez to zrobił, zwabił Adelgundę i Maryę, które w przyległym pokoju zajęte były kobiecemi robotami.

— Dobrze, dobrze, wejdźcie tu panie! zawołał starzec.

Powstał szalony zamęt. Zaledwie po dość znacznym przeciągu czasu dowiedziały się panie dokładnie, o co chodzi, gdyż nawet Flodoardo mówił tak pomieszany że wypadało by mieć jakąś nadludzką bystrość umysłu, żeby zrozumieć odrazu istotny stan rzeczy.

— Teraz, Gundi rzekł nakoniec Howard, do księżniczki, której łzy radości po policzkach spływały, teraz Gundi, jestem prawdziwie twoim teściem.

Adelugunda nie była w stanie odpowiedzieć słowami, w duszy tylko dziękowała za dobroć zacnego starca.

Teraz jednak na mnie kolej nadchodzi, łkając rzekła pani Schancenau u Flodoarda piersi,—ach kochany, drogi szwagrze, zlituj się ty przynajmniej nademną! Czy zechcesz mi towarzyszyć do New-Iorku? Moje postanowienie jest stałe udaję się wreszcie do niego, w razie potrzeby udam się sama.

— O, o! zawołał Howard, zacierając ręce z zadowoleniem, w ostatniej chwili chcesz być jeszcze nieposłuszną? Dobrze, powinnaś jechać, ale nie sama. Już jutro wyjedziemy ztąd razem wszyscy. Stróże moi przyjmą księcia w New-Iorku jak tylko na ląd wysiądzie i przywiozą go do naszego uroczego parku nad zatoką Hudsonską. Więcej nic już na teraz nie chcę mówić. A więc, szybko do pakowania, jeśli się pośpieszycie, dziś jeszcze opuścimy „Klarwasser“.

— Tak, dziś jeszcze wyjedziemy, zawołały razem panie i Flodoardo i pobiegły jak szalone, by natychmiast porobić przygotowania. — — —

W dziesięć dni po tylko co opowiedzianych zdarzeniach nad „Klarwasser“ książę Ryszard wysiadł na ląd w New-Iorku zdrów i wesoły. Ludzie Howarda wzięli go zaraz ze statku w opiekę z uwagą, która księcia bardzo ucieszyła.

Nie powstawszy nawet jednej godziny w olbrzymim mieście New-Iorku, udał się książę z zaatlantycznego parowca prosto do ozdobnego jachtu, który był własnością Howarda i już czekał przygotowany w przystani by drogiego, z utęsknieniem oczekiwanego gościa zawieść do willi nad zatoką Hudson.

Ale książę nie sam tam jechał. Schanzenau, który właśnie ostatecznie załatwił się ze swoim przykrym interessem, został przez Howarda listownie zawiadomiony, by czekał na przybycie księcia Ryszarda w New-Iorku i razem z nim ztamtąd przyjechał do ustronia nad zatoką Hudson, gdzie nakoniec miał spotkać się ze swymi dziećmi.

Podczas trwającej aż do następnego rana podróży, wręczył książę swemu towarzyszowi podróży list Goldsterna, który doszedł do niego jeszcze w Europie w chwili, gdy w Bremie wsiadał na statek. Treść tego zbyt szczegółowego listu była następująca:

Sara i Paulina żyły bardzo szczęśliwe i już w pobłogosławionem liczmem potomostwem małżeństwie w Neapolu; gdzie teraz stary Goldstern prawie ciągle przebywał. Założył on sam zakład wiedeńskich wyrobów stolarskich na wysoką skalę, a dyrektorem jego zrobił dawnego czeladnika stolarskiego Henryka, który już dawno z małą Otylią się pojął i został jej małżonkiem. Dalej wspominał Goldstern, że Fellner pisał do niego, iż matka Cichulki w więzieniu się udusiła, że jej zacny małżonek skazany został na piętnaście lat więzienia, ale uniknął tej kary przez samobójstwo. Jednocześnie donosił bankier o nastąpionej w Neapolu spokojnej śmierci Fjeldmarszałka Jakóba Schanzenua, który dosięgnął 93 lat wieku. Swojej zmarłej małżonce kazał Goldstern w Rzymie na żydowskim cmentarzu wznieść wspinały grobowiec, gdyż ta na krótki czas przed śmiercią z żalem nawróciła się na wiarę swoich ojców.

Im bardziej zbliżał się jacht do miejsca, gdzie leżała willa Howarda, tem więcej niespokojny i uciśniony był Schancenau. Nakoniec przybił parowiec do prawego brzegu wspinałego Hudsonu. Nad brzegiem czekał lekki w dwa pyszne bieguny zaprzężony faeton. Kapitan jachtu zawiadomił księcia, by wsiadł do powozu



ze swoim towarzyszem, a szybko dojdą do miejsca przeznaczenia.

— Rzecz szczególna! szeptali do siebie tak książę jak i Schanzenau, podczas gdy powóz jak strzała pędził przez długą aleę olbrzymich platanów.

Obadwaj spodziewali się, że już na brzegu powitani zostaną przez Howarda i Adelgundę: Smutne przeczucia ogarnęły obydwóch panów. Książę sądził, że Adelgunda jest słaba, a biedny Schanzenau z niemą i rozpaczliwą rezygnacją pojednał się już z myślą, że zagadkowemu opiekunowi jego dzieci znowu może się podobało, przygotować mu nową próbę w sztuce odmowy.

Kiedy jednak powóz nagle skręcił, z alei na prawo, książę i Schanzenau w istotnym znaczeniu słowa roztworzyli usta i oczy. Ujrzeni oni przed sobą olbrzymią, wspaniałą, w najczystszy greckim stylu wzniesioną świątynię, o której znaczeniu i celu jasno wnosić mogli zewnątrz umieszczone, z daleka widzialne symbole. Była to świątynia wolno-mularska, którą Howard własnym kosztem za kilkakroć sto tysięcy dolarów kazał wznieść na tem miejscu.

W tej świątyni ludzkości miało być obchodzone połączenie szczęśliwych dwóch par, według wolno-mularskiego zwyczaju przez niego samego, wielkiego mistrza amerykańskich braci.

U stóp tej świątyni widać było siedzące osoby. Książę poznał zaraz swoją ukochaną córkę ale kto mogła być druga dama! która białą chustką przesyłała zbliżającym się przyjacielskie powitanie?

Schanzenau zarumienił się — druga dama była Marya, jego oddawna jako umarła oplakana Marya, lub też musiał wątpić w swoje zdrowe zmysły. Zanim jeszcze zdał sobie sprawę, czy jest na jawie, czy marzy, powóz zatrzymał się i jego droga, ukochana żona leżała w jego objęciach.

Flodoardo i Adelgunda padli przed księciem na kolana, by przyjąć jego błogosławieństwo, które też im głęboko wzruszony udzielił. Howard dziękował dobremu Stwórcy, że dozwolił mu dożyć najpiękniejszej chwili w jego życiu.

-- Dobry koniec, wieńczy dzieło! zawołał nakoniec książę, wskazując na wolno-mularską świątynię. Tam w kole kochanych braci połączcie się „węzłami“, które was zwiążą nierozzerwalnie, ale z pewnością nigdy was ugniatać nie będą.

Wyuczony śpiew choralny dał się teraz słyszeć ze świątyni, by powitać nadchodzących. Bez chałasu, tak jak się roztworzyły, zamknęły się za wchodzącymi drzwiami tej świątyni pokoju i prawdziwego szczęścia na ziemi.

Niechaj każdy człowiek za najgorętsze i najświętsze uważa sobie życzenie, by mógł się dostać od *takiej* świątyni.

A tak kończmy raz jeszcze słowami księcia:

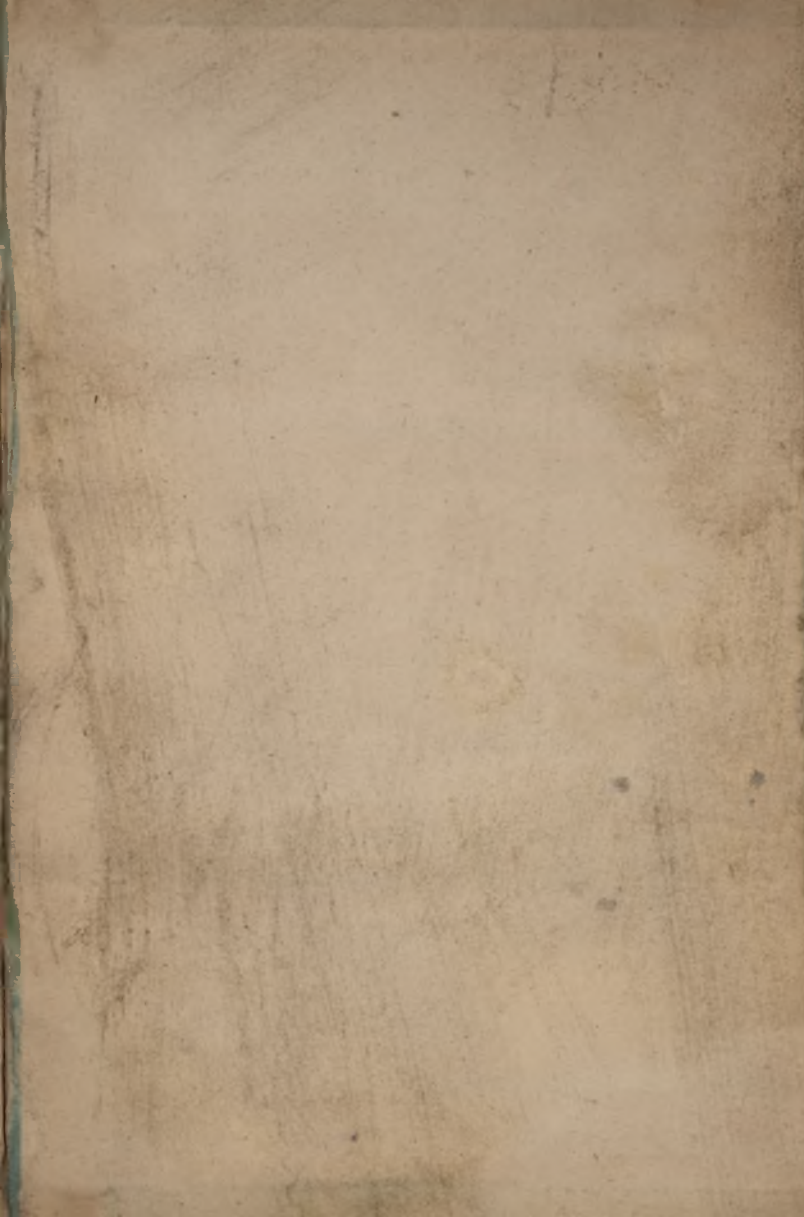
*Dobry koniec, wieńczy dzieło!*

Koniec tomu czwartego i ostatniego.









Biblioteka UJK Kielce

**UJK**



0472675